

ZESZYT STO DWUDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1998

ZESZYT STO DWUDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1998

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 504

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0172-X

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Antoni POSPIESZALSKI

TŁO NASZEGO DWUTYSIĄCLECIA

Jest to przede wszystkim, a nawet wyłącznie, dwutysiąclecie chrześcijaństwa. Nie zmienia tego fakt, że w pierwszych wiekach naszej ery, gdy przyjął się ten sposób liczenia czasu, popełniono podwójny błąd; polegał na tym, że jako datę narodzenia Chrystusa przyjęto moment, w którym Jezus już musiał mieć 5 czy 6 lat. Bo Jezus miał się narodzić jeszcze za panowania Heroda Wielkiego, a wiadomo skądinąd, że Herod zmarł w roku 4 przed Chrystusem. Ponadto za początek naszej ery przyjęto rok 1 zamiast roku 0. Wskutek tego dwutysiąclecie Chrystusa Pana mamy już od kilku lat za sobą, a jednak nasza era będzie sobie liczyć pełne dwa tysiące lat dopiero w roku 2001. Wyłącznie chrześcijańskiego charakteru rocznicy nie zmienia również fakt, że ten sposób liczenia czasu jest dziś przyjęty na całym świecie, nie tylko w ramach cywilizacji ukształtowanych przez chrześcijaństwo. Ten fakt jest niewątpliwie pomnikiem siły i wpływu tych cywilizacji, zwłaszcza europejskiej, choć niekoniecznie siły i wpływu samego chrześcijaństwa.

W przygotowaniach do obchodów tej wielkiej rocznicy widoczna jest – także w bliskiej mi Wielkiej Brytanii – dziwna tendencja do pomniejszania, czy wprost negowania, jej chrześcijańskiego sensu. Sławna już i zgoła skandalicznie kosztowna konstrukcja (tzw. *Dome* czyli Kopała) wznoszona przez rząd brytyjski w podlondyńskim Greenwich, leżącym

na linii zerowej długości geograficznej, została zaplanowana jako jedna olbrzymia technologiczna rozrywka, która nie ma nic wspólnego nie tylko z chrześcijaństwem, ale i z wszelką poważniejszą myślą ludzką, religijną czy kulturową. A jednak, przy całym idiotyzmie tej koncepcji, u jej podstaw zdaje się leżeć wzgląd – jeden z wielu oczywiście – który nie jest pozbawiony pewnej, szlachetnej nawet racji. Wielka Brytania, historycznie chrześcijańska, jest dzisiaj krajem kulturowo i religijnie silnie zróżnicowanym, chodzi więc o to, by Kopia i cały krajowy obchód Dwutysiąclecia nie miał zbyt ciasno wyznaniowego charakteru. Ten wzgląd – jeśli rzeczywiście gra rolę, jaką mu tu przypisuję – sam w sobie w żadnej mierze nie zdoła wypełnić pustki ideowej, którą (obawiam się) będzie świecił ten wymyślny technologiczny Lunapark (z Myszka Miki jako symbolem naszej cywilizacji), a jednak – paradoksalnie – może pobudzić do głębszej refleksji nad chrześcijańskim, lecz równocześnie ponadwyznaniowym, ogólnoludzkim sensem jubileuszu Dwutysiąclecia.

2.

Czytałem niedawno – i w pewnym sensie wciąż jeszcze czytam – fascynującą książkę amerykańskiego uczonego Jareda Diamonda pod nieco zwodniczym tytułem „Guns, Germs and Steel” czyli „Broń palna, zarazki i stal” (Jonathan Cape, London 1997), która okazała się po prostu historią ostatnich 13000 lat. Dlatego 13000, że ostatnia epoka lodowcowa zakończyła się mniej więcej 11000 lat przed Chrystusem, co wraz z 2000 lat naszej ery daje 13000. Historia *Homo sapiens* jednak liczy sobie kilkaset tysięcy, może nawet kilka milionów lat. Historia ludzkości jest zatem wielokrotnie dłuższa niż owe 13000 lat, jednak ten okres polodowcowy znaczy pierwsze stadia rozkwitu tej ludzkości, jaką znamy dziś i której jesteśmy częścią.

Gros tego okresu to prehistoria, która jednak dziś jest już w coraz większej mierze udokumentowana archeologicznie w postaci różnego rodzaju wykopalisk, a także w postaci setek tysięcy języków plemiennych, które w zamierzonych czasach powstały i przetrwały po dziś dzień, choć dziś już jest

ich coraz mniej, zmajoryzowane i skazane na wymarcie przez bardziej rozpowszechnione formy mowy ludzkiej, jakimi są nowożytnie języki narodowe. I te języki jednak też z owych pierwocin plemiennych wyrosły i językoznawstwo porównawcze potrafi w naszych żywych językach doszukać się ich niezmiernie starych pokładów, liczących wiele tysięcy lat. W odróżnieniu od tych pokładów, które ostały się w żywej mowie, źródła pisane pojawiają się w historii ludzkiej stosunkowo późno; najstarsze z nich, jak egipskie hieroglify, powstały najwyżej w początkach trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem czyli liczą sobie dziś około 5000 lat.

Wykopaliska naszej polodowcowej prehistorii to też nie tylko pozostałości wczesnych budowli i prymitywne narzędzia (zrazu tylko kamienne, potem też kolejno brązowe i żelazne), ale i skamieliny zwierząt domowych i najstarszych roślin uprawnych. Wszystko to razem stanowi dokumentację pierwszego przełomu (albo jednego z pierwszych, jeśli uwzględnić wynalazek ognia i koła) w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości: mianowicie przejścia od pre-cywilizacji myśliwsko-zbierackiej do systematycznej hodowli zwierząt i uprawy roli. I tu znajdujemy rozwiązanie najistotniejszej bodaj zagadki w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości: dlaczego ten rozwój był tak nierówny, tak że dziś istnieją drastyczne różnice między zaawansowanymi i względnie zacofanymi krajami świata? Na przykład między Stanami Zjednoczonymi i krajami podzwrotnikowej Afryki. Zagadkę pogłębia paradoksalny fakt, że to przecież Afryka według ostatnich badań była kolebką gatunku *Homo sapiens*, natomiast kontynent amerykański jest jednym z tych obszarów świata, gdzie człowiek pojawił się najpóźniej. A zatem Afryka jest cywilizacyjnie starsza od Ameryki i miała więcej czasu na osiągnięcie wyższych stopni rozwoju. W ramach epoki polodowcowej, która zaczęła się mniej więcej w r. 11000 przed Chrystusem, start cywilizacyjny przynajmniej niektórych części Afryki leży blisko początku tej epoki, najpóźniej około r. 8000 przed Chrystusem, natomiast najwcześniejsze ślady uprawy roli na kontynencie amerykańskim pojawiają się dopiero około roku 3000 przed Chrystusem. Jest to różnica 5000 lat na korzyść Afryki.

Na wytłumaczenie tego paradoksu składają się (według

książki Jareda Diamonda) trzy czynniki. Pierwszym jest kolejność ekspansji rodzaju ludzkiego z Afryki na inne kontynenty. Z grubsza mówiąc, szła ona poprzez bliskowschodnią część kontynentu eurazjatyckiego (Diamond konsekwentnie traktuje całą Eurazję jako jeden kontynent) do jego północno-wschodniego cypla naprzeciw Alaski i stamtąd przez Amerykę Północną i Południową aż do Ziemi Ognistej. Ta podróż trwała oczywiście wiele tysiącleci i to już tłumaczy późny start cywilizacyjny Ameryki. Po drugie, rozwój wszelkiej technologii, przede wszystkim rolniczej, miał większe szanse na osiach kontynentalnych równoleżnikowych (np. z zachodu na wschód) niż południkowych (np. z południa na północ). Jest tak dlatego, że kultury (zwłaszcza rolnicze) obszarów sąsiadujących ze sobą na osiach równoleżnikowych są wzajemnie bardziej przenikliwe i mogą się nawzajem zasilać, podczas gdy obszary sąsiadujące na osiach południkowych są często klimatycznie tak różne, że co rośnie dobrze na jednym obszarze, nie będzie już rośło na drugim. A właśnie oś kontynentalna obu Ameryk jest południkowa, tak samo zresztą jak oś kontynentalna Afryki, a jedynym kontynentem o osi równoleżnikowej jest Eurazja. Po trzecie wreszcie, obie Ameryki, jak o tym świadczą skamieliny roślinne, były stosunkowo ubogie w rodzime rośliny zdatne od uprawy i dlatego nie było tam szans na wyłonienie się rodzimej kultury rolnej. Tak samo naturalny zwierzostan obu przed-historycznych Ameryk był prawie całkowicie pozbawiony gatunków nadających się do oswojenia i hodowli. Nawet koń, który nam się kojarzy z rodowicie amerykańskim czerwonoskórym, nie mniej niż z białoskórym kowbojem, jest liczącym zaledwie kilkaset lat importem z Europy. (Ameryka pierwotnie miała wiele dużych ssaków, w tym i konie. Większość z nich jednak wyginęła około 13000 lat temu, wkrótce po rozprzestrzenieniu się gatunku *Homo sapiens* na tym kontynencie. Istnieje hipoteza, że te łatwe do upolowania ssaki zostały wytępione przez pierwsze ludzkie szczepy myśliwsko-zbierackie na tym kontynencie.) Innymi słowy, przed-Kolumbowa Ameryka była w stosunku do Eurazji, a nawet ówczesnej Afryki, paradoksalnie zacofana – i to z braku rodzimych zasobów naturalnych, bodźców zdolnych do zainicjowania gospodar-

czego rozwoju, nie zaś z braku zdolności pierwotnych mieszkańców tego kontynentu. Do tej sprawy naturalnego wyposażenia pierwotnych mieszkańców różnych obszarów naszego globu przejdziemy za chwilę.

Na razie zanotujmy inny uderzający fakt. Otóż okazało się, że podobnie jak cały kontynent amerykański, tak i cała południowa część Afryki – kolebki, pamiętajmy, całego rodzaju ludzkiego – była również pozbawiona gatunków flory i fauny sprzyjających przejściu z luźnego myśliwsko-zbierackiego trybu życia do uprawy roli i hodowli, a tym samym do powstania osiadłych ludzkich zbiorowości. *Homo sapiens* zatem musiał się rozwinąć w łaskawszej dla niego, położonej bardziej na północ części kontynentu. Karłowaci afrykańscy Pigmeje (i podobny szczep jeszcze dalej na południu) po dzień dzisiejszy prowadzą ten myśliwsko-zbieracki i pozbawiony szerszej więzi społecznej tryb życia. Osiadłe i zorganizowane szczepy murzyńskie Południowej Afryki, jak na przykład Zulusi, są w stosunku do Pigmejów stosunkowo późnymi przybyszami ze środka i północy kontynentu. Tym bardziej oczywiście Afrykanerzy i inni biali, przybyli tam najwyżej kilkaset lat temu z Europy. Tu właśnie, w osobach Pigmejów i innych ludzi na najniższym szczeblu cywilizacyjnego rozwoju, pojawia się w całej ostrości problem cywilizacyjnego czy też kulturalnego zróżnicowania rodzaju ludzkiego. Czy odważymy się powiedzieć: zróżnicowania umysłowego? Duchowego? Rasowego? Czy istnieją rasy ludzkie w sensie, w jakim mówimy o rasach bydła czy o rasach psów? Powiedzmy od razu, że Jared Diamond na wszystkie te pytania odpowiada zdecydowanie nie. Ale problem tak postawiony nie jest już tylko problemem rzeczowym czy naukowym. Jest to w pierwszym rzędzie problem natury moralnej. I warto mu się bliżej przyjrzeć.

3.

Jared Diamond jest w pierwszym rzędzie uczonym i niejako przygodnie tylko filozofem i moralistą. Co jednak nie znaczy, by swego zaangażowania moralnego nie traktował z całą powagą. Wprost przeciwnie: solidność i beznamiętny

obiektywizm, z jakim doszukuje się istotnych czynników, które ukształtowały dzieje społeczności ludzkich na różnych kontynentach i w różnych okolicznościach, podkreślają wagę wychodzących poza działanie tych obiektywnych czynników wartości moralnych. Na ogół dzieje ludzkie – jak je przedstawia Diamond – to łańcuch zgoła materialnych przyczyn i skutków, w których ludzkie uczucia, ambicje czy ideały grają najwyżej epizodyczną i drugorzędną rolę. Rozwój idzie czasami w kierunku, który określilibyśmy mianem cywilizacyjnego postępu, a czasem w kierunku wręcz odwrotnym, powrotu do cywilizacji myśliwsko-zbierackiej. Autor wielokrotnie stawia wyraz „cywilizacja” w cudzysłowie, jak gdyby wątpił, czy w ogóle w dziejach ludzkich jakiś postęp się dokonał. Motywem „postępu” jest zwykle tylko zaspokojenie własnych potrzeb i pożądań w sposób możliwie sprawny i to kosztem innych ludzi, zwłaszcza obcych. Ludy, które dorobiły się większych sprawności, bez skrupułów tępią ludy mniej sprawne albo wysługują się nimi jako niewolnikami. Stąd tytuł książki: „Broń palna, zarazki i stal” – zarazki też, bo ludy, które przeszły zarazę i nabyły przez to pewnej odporności na dany zarazek, są w stanie tym skuteczniej wyniszczyć ludy, które tej odporności jeszcze nie nabyły. Ludobójstwo nie tylko nie jest ponurym wynalazkiem XX wieku, ale było przez całe tysiąclecia jednym z najbardziej skutecznych czynników kształtujących dzieje ludzkości. Jared Diamond przypomina nam, że ludobójstwo było, a nawet jest jeszcze po dziś dzień metodą, która kształtowała historyczne dzieje obu Ameryk. Zaczęło się to na początku XVI wieku prawie natychmiast po odkryciu Ameryki, bez mała momentalnym wyniszczeniem Inków w dzisiejszym Peru i Azteków w Meksyku przez niewielkie oddziały Hiszpanów pod wodzą Pizarra i Corteza. W książce Diamonda jest wstrząsający i świetnie udokumentowany rozdział na temat tragedii Inków i ich cesarza Atahualpa. Tu oczywiście dochodzi do głosu Diamond moralista.

Nieco mniej będziemy sympatyzować z zaangażowaniem moralnym autora, gdy w opisie budowania struktur społecznych większych niż kilkuosobowa rodzina wprowadza pojęcie kleptokracji czyli rządów złodziejskich. Otóż na etapie rozwoju – gdy wzrost produkcji żywności pozwala już na

wyłonienie się innych specjalności, jak np. wytwarzanie narzędzi, a zwłaszcza piśmiennej biurokracji – pojawia się potrzeba i możliwość dostarczania wykonawcom tych funkcji żywności, kosztem wytwórców żywności. Tego przesunięcia zasobów dokonują ludzie, którzy mają dostateczną siłę, by to przesunięcie wymusić, a wśród nich ostatecznie jeden człowiek, który w ten sposób staje się wodzem danej społeczności. Jest to początek organizacji społecznej, której konstytutywnymi elementami są siła i wymuszona siłą kradzież żywności na rzecz tych, którzy sami jej nie produkują. Czyli kleptokracja.

Oczywiście nie można temu rozumowaniu i tej terminologii odmówić pewnej dozy słuszności. Wszelkie nierówności społeczne, nawet w społeczeństwach bardzo zaawansowanych, są w dużej mierze wynikiem egzekwowanego przez władze przymusu, ubranego potem w formę mniej lub bardziej moralnie uzasadnionego prawa i mniej lub bardziej w tej formie akceptowanego. O tyle jednak, o ile są one uzasadnione i akceptowane, przestają być kleptokracją i stają się warunkiem dalszego społecznego postępu. Widać tu do jakiego stopnia poglądy autora na rozwój cywilizacyjny ludzkości są zabarwione zasadniczym pesymizmem. Zgoła tytułowe czynniki kształtujące rozwój cywilizacyjny ludzkości – broń, stal, zarazki, brutalna przemoc, kleptokracja – wszystkie one mają wydzźwięk jednolicie negatywny. To samo dotyczy nawet wynalazku pisma: Diamond wykazuje, że pismo było pierwotnie tylko narzędziem w rękach władzy, służącym do kontrolowania zasobów i przekazywania rozkazów. I na tym polegała funkcja wszelkiego rodzaju skrybów i uczonych w piśmie. Ledwo trzeba dodawać, że według Diamonda także i religia miała na celu wyłącznie służenie interesom władców: uzasadniania przymusu wewnątrz danej społeczności i podboju na zewnątrz.

Ta jednostronność autora ma, jak się rzekło, swoje dobre strony; zapewnia skupienie uwagi na roli twardych, przyziemnych konieczności w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości i nieuleganie idealistycznym sentymentalizmom. Nawiasem mówiąc, przypomina to surowo funkcjonalną rolę darwinowskiego doboru naturalnego w teorii ewolucji, z wykluczeniem wszelkiej celowości. Ale wierzymy chyba wszyscy – nasz autor nie mniej niż jego czytelnicy – że rozwój ludzkości nie był

tylko wynikiem działania jakiegoś historycznego mechanizmu ślepych i samolubnych ludzkich instynktów, lecz także świadomych dążeń do realizacji mniej lub bardziej szlachetnych celów. Nawet na najniższym poziomie pre-cywilizacji zbieracze-myśliwi żywili zapewne nie tylko siebie i swoje dzieci, ale przynajmniej też niektórych swych bliźnich, którzy sami zdobyć sobie żywności nie mogli. Na wyższych etapach (nie sposób uniknąć takich wartościujących określeń), dajmy na to cywilizacji piśmiennej, słowo w pewnym momencie poczęło służyć celom wyższym niż tylko czysto praktyczne, a więc celom religijnym, poezji i sztuce. Nie wiem, czy wspaniałe malowidła w jaskiniach Lascaux, pochodzące z czasów Cro-Magnon, znacznie dawniejszych niż próg cywilizacyjny 13000 lat, służyły (jak twierdzą niektórzy) jako magiczne sposoby usidlenia malowanych zwierząt, ale nawet gdyby tak było (o czym Diamond zresztą nie pisze) to i tak mamy już tu do czynienia z początkami sztuki, a może nawet z jakąś formą pierwotnej religii. Jeśli religia nieraz służyła władcom do uzasadniania nagiej agresji, a i dziś często służy jako środek politycznej propagandy, to jednak sam wewnętrzny kształt religii świadczy, że nie to było jej początkiem, lecz raczej potrzeba nadania sensu ułomnemu ludzkiemu życiu. Tak samo jeśli organizacja społeczna i państwowa także dziś jeszcze zawiera w sobie elementy dyskryminacyjnego uprzywilejowania i kleptokracji, to jednak jest również systemem sprawności społecznej, w tym społecznego bezpieczeństwa, którego nawet najbardziej idealistyczni czy cyniczni reformatorzy nie zechcieliby się wyrzec. Cała myśl ludzka i nauka – w tym i ta, którą tak wspaniale reprezentuje książka Diamonda – jest dowodem cywilizacyjnego postępu, jakiego sam cywilizacyjny mechanizm, który stanowi rdzeń książki Diamonda, nie pozwoliłby się nawet domyślać. Diamond tych pozytywów cywilizacyjnych prawie nigdy *explicite* nie wspomina; są one w jego narracji tylko *implicite* zawarte. Może dlatego, że uważa je za zbyt oczywiste.

Tym bardziej uderzający jest ogromny szacunek, jaki Diamond okazuje, niejako *a priori*, ludzkości istniejącej dzisiaj. I to wcale niekoniecznie tej najbardziej zaawansowanej, która dumnie planuje dalsze postępy, jak podróże między-

planetarne czy nawet genetyczną inżynierię samej siebie, ale właśnie tej najmniej uprzywilejowanej, bo najbardziej w dotychczasowym rozwoju zacofanej. W pierwszym rozdziale swej książki autor relacjonuje rozmowę z młodym człowiekiem imieniem Yali, inteligentnym i już średnio wykształconym przedstawicielem jednego z najbardziej prymitywnych szczepów Nowej Gwinei. Tematem rozmowy jest pytanie Yali'ego o przyczynę głębokich różnic cywilizacyjnych między nimi – Nowogwinejczykiem, a jego rozmówcą, uczonym Amerykaninem; czyli to, co będzie stanowiło treść książki. I autor traktuje swego przygodnego przyjaciela nie tylko z szacunkiem, ale wprost z miłością. Jared Diamond jest przekonany – i wielokrotnie daje temu wyraz na dalszych stronach książki – że istnieje tylko jeden rodzaj ludzki i że każdemu człowiekowi należy się elementarne poszanowanie jego ludzkiej godności – niezależnie od jego pochodzenia, przynależności rasowej i stopnia zaawansowania na drabinie cywilizacyjnej. Wszystkie tego rodzaju różnice są w jego oczach tylko i wyłącznie wynikiem zewnętrznych okoliczności w jakich danemu człowiekowi czy danej zbiorowości przychodzi kształtować swe życie, a nie sprawą wrodzonych zdolności. Ta sama społeczność – powiada Diamond – znalazłszy się w innych okolicznościach, wypracowałaby sobie całkiem różny, mniej lub bardziej zaawansowany rodzaj cywilizacji. Arogancy biali kolonialiści w tych innych okolicznościach mogliby wyjść na Pigmiejów.

Jesteśmy do tego stopnia uwarunkowani aktualnymi okolicznościami naszej cywilizowanej egzystencji, że niełatwo nam w to uwierzyć. Wierzimy przecież w testy na stopień inteligencji, wszystkie nasze systemy oświatowe są oparte na zasadzie selekcji według zdolności, akceptujemy istnienie oczywistych różnic poziomu cywilizacyjnego w ramach naszych własnych społeczności narodowych czy państwowych i istnienie podobnych różnic między narodami (to jest często źródłem naszych uczuć patriotycznych). Jesteśmy też potocznie mocno przekonani o istnieniu różnic rasowych. Wszystko to prawda, ale to nie znaczy, by wszystkie te rodzaje różnicowania ludzi były równie usprawiedliwione. Niektóre z nich, jak uczucia rodzinne czy patriotyczne, są natury altruistycznej

i spełniają pozytywną rolę społecznego spoiwa, inne natomiast, jak wybujały nacjonalizm i rasizm, są dyskryminacyjne w złym tego słowa znaczeniu i są źródłem grupowych nienawiści. Jared Diamond, rysując swą rozległą historyczną panoramę, jest zainteresowany przede wszystkim zdemolowaniem dziewiętnastowiecznych teorii rasy, które towarzyszyły ówczesnym zachodnioeuropejskim imperializmom jako rzekomo naukowe uzasadnienie wyższości rasy białej. I te teorie, mimo prawie powszechnego dziś potępienia hitlerowskiego rasizmu, wciąż jeszcze w jakiejś formie w głowach ludzkich pokutują. Diamond jednak stwierdza dowodnie, że współczesna antropologia nie jest w stanie wykryć jakichkolwiek wrodzonych różnic między ludzkimi społecznościami, które by służyły głębiej aniżeli kolor skóry czy typ uwłosienia. Diamond jest uczonym i w jego oczach te właśnie naukowe argumenty przesądzają sprawę. Ale Diamond jest nie tylko uczonym. Sądzę, że gdyby nauka zaproponowała mu fakty stwierdzające coś wręcz przeciwnego, to jednak nadal broniłby prawa swoich nowogwinejskich przyjaciół do pełnego człowieczeństwa, wolnego od rasowej dyskryminacji. Bo na tym polega bycie człowiekiem czyli kultura: że człowiek jest czymś więcej niż bezwolnym faktem przyrodniczym. I to doprowadza mnie na powrót do mojego punktu wyjścia: Jak na tle szerokiej i głębokiej historycznej panoramy Diamonda wygląda nasze ostatnie dwutysiąclecie, dwutysiąclecie chrześcijaństwa?

4.

Na pierwszy rzut oka bilans tych 2000 lat jest mało zachęcający. Nade wszystko musimy odnotować olbrzymi minus, który polega na tym, że cała dzisiejsza ludzkość to potomkowie niezliczonych pokoleń, którym dane było przeżyć niezliczone fale wzajemnego mordowania się, w tym akty masowego ludobójstwa. Jesteśmy potomkami Kaina, nie Abla, sprawców a nie ofiar ludobójstwa. Mamy tu zgoła naukową dokumentację grzechu pierworodnego, którym wszyscy jesteśmy obciążeni. Wymaga to ekspiacji, choćby w formie uprzytomnienia sobie moralnego długu, jaki winni jesteśmy ofiarom przemocy naszych przodków (nader teoretyczna forma eks-

piacji), lecz nade wszystko w formie konkretnej pomocy aktualnym i potencjalnym ofiarom współczesnej nam przemocy.

Myślę, że tu jesteśmy w stanie odnotować dwa maleńkie plusy. Jeden ilustruje nam przykładowo książka Diamond, która świadczy, że jesteśmy przynajmniej świadomi ciężącego na nas długu. Jest to świadomość bardzo świeżej daty, którą zawdzięczamy współczesnej nauce. Drugim plusem jest właśnie konkretna pomoc – indywidualna i zbiorowa, prywatna i państwowa, w skali poszczególnych krajów i w skali międzynarodowej – która też zdaje się być względną nowością w dziejach ludzkości. Chodzi tu zwłaszcza o pomoc zinstytucjonalizowaną, która ma tę zaletę, że jest publiczna i dlatego daje się udokumentować, a więc nasze Oxfamy i Caritasy aż po Bank Świata, Światową Organizację Zdrowia (WHO) i inne agencje Organizacji Narodów Zjednoczonych. O naszym dobiegającym końca wieku XX mówi się często jako o okresie bezprzykładnych zbrodni – i w sensie ilościowym jest to niewątpliwa prawda – bo żaden Pizarro czy Dżengis-chan nie dysponował tak sprawną technologią środków niszczenia jak Hitler, Stalin czy Mao-Tse Tung i ich ofiary nie szły wprost w miliony. Ale też tenże wiek XX wydał Kartę Narodów Zjednoczonych i Międzynarodowe Konwencje Praw Człowieka. Dopiero w poprzednim stuleciu powstała Międzynarodowa Organizacja Czerwonego Krzyża, która poczęła ujmować w jakieś karby okrucieństwa wojny, w postaci lepiej lub gorzej przestrzeganych międzynarodowych konwencji. Dopiero wiek XVIII, wiek Oświecenia, odczuł pierwsze wyrzuty sumienia z powodu handlu niewolnikami, co w sto lat później doprowadziło do, przynajmniej formalnego, zniesienia niewolnictwa. W toku pierwszych fal europejskiego osadnictwa w Australii pierwotna jej ludność, Aborygeni, byli systematycznie wystrzeliwani przez białych osadników, dziś natomiast znajdują się pod ustawową społeczną opieką.

Czy to znaczy jednak, że w dziejach ludzkiej cywilizacji dokonał się jakiś postęp? Diamond, jak widzieliśmy, jest bardzo sceptycznie ustosunkowany do samego pojęcia postępu. Postęp cywilizacyjny ma u niego wydźwięk czysto funkcjonalny i utylitarny, jest wynikiem przystosowania się człowieka do fizycznych okoliczności. Tu natomiast widzimy

coś w rodzaju duchowego postępu, poszanowania dla człowieka i ponadmaterialnych wartości, w tym głównie wartości moralnych. Nie wchodząc w skomplikowany problem genezy tych wartości, jesteśmy dziś skłonni identyfikować je z wartościami szeroko pojętej religii, w każdym razie wyższych religii, zwłaszcza chrześcijaństwa. Nie zmienia tego fakt, że w ciągu naszego dwutysiąclecia chrześcijańskie przykazanie miłości bliźniego, zwłaszcza miłości nieprzyjaciół, było przynajmniej równie często gwałcone jak praktykowane; wiemy jednak z Ewangelii, co Chrystus głosił, a więc czym jest autentyczne chrześcijaństwo. I mimo współczesnego kryzysu instytucjonalnego chrześcijaństwa z zadowoleniem stwierdzamy, że w ciągu wieków te wartości przeniknęły także do świeckich form naszej cywilizacji. A z drugiej strony idea postępu przeniknęła także do instytucjonalnego, to jest kościelnego chrześcijaństwa.

Ale idea postępu odgrywa w chrześcijaństwie wcale nie jednoznaczną rolę. Jej źródło leży w najstarszych pokładach Starego Testamentu, w obietnicy danej przez Boga Abrahamowi, w ciągłym pochodzie narodu wybranego w przyszłość w oczekiwaniu na Mesjasza, a w Nowym Testamencie na nadejście Królestwa Bożego. W tym sensie i judaizm, i chrześcijaństwo są ściśle zespolonymi ze sobą religiami eschatologicznymi. Ale to nie wyczerpuje ich treści. Równocześnie i judaizm, i chrześcijaństwo są uparcie zapatrzone w przeszłość: judaizm w wyjście ludu wybranego z Egiptu, chrześcijaństwo w historyczne życie i śmierć Chrystusa na krzyżu. Bez tych wydarzeń przeszłości cała nasza przyszłość byłaby pozbawiona sensu. I to w pewnym sensie neutralizuje rolę postępu.

Dla Jareda Diamonda te religijne rozważania też byłyby pozbawione sensu. Religia, jak widzieliśmy, jest dla niego wymysłem żądnych władzy wodzów plemiennych dla usprawiedliwienia kleptokracji i podbojów. Ale myślę, że zrozumienie i sympatia, jaką nasz autor żywi dla członków ludzkości upośledzonych i pokrzywdzonych w procesie cywilizacyjnego „postępu”, nie ogranicza się tylko do istniejących po dziś dzień resztek tych upośledzonych plemion, ale rozciąga się również na ich przodków, którzy w tym procesie zginęli.

I myślę, że nade wszystko chrześcijanin, którego nauczono modlić się za zmarłych, nie może ograniczyć swej żałoby do swych bliskich, którzy zmarli wczoraj albo przedwczoraj. Ci, co zmarli przed wiekami, byli – i dla modlącego się człowieka nadal są – takimi samymi ludźmi jak ja i moi najbliżsi. I takimi samymi jak wszyscy ludzie, którzy z racji ich wspólnego człowieczeństwa są także bliscy naszemu autorowi. Niejednemu może się wydać dziwne – nawet człowiekowi religijnemu, wyznającemu wiarę w życie wieczne – że miałby mu być bliski człowiek, który żył setki czy nawet tysiące lat temu. A przecież cześć dla zmarłych, nawet miłość zmarłych, nie jest monopolem tylko ludzi religijnych. Nie ma zatem żadnej logicznej racji, która by nie pozwalała takiej czci i miłości rozciągać także na ludzi bardzo odległych od nas w przestrzeni (np. na mieszkańców dzisiejszego Peru) i w czasie (np. wymordowanych już prawie pięć wieków temu tamtejszych Inków i ich cesarza Atahuallpa). Trudność – jedna trudność – polega na tym, że trudno nam sobie tych ludzi wyobrazić, a tym bardziej żywić wobec nich jakieś osobiste uczucia. Druga trudność jest subtelniejszej natury. Co tym dawno zmarłym przyjdzie z tego, że będę miał wobec nich jakieś uczucia czy nawet się za nich pomodłę?

Rzecz w tym, że chrześcijaństwo neutralizuje nie tylko postęp w przyszłość, ale neutralizuje również przeszłość, zamykając je obie w bezczasowej wieczności. Tak więc Ukrzyżowanie Chrystusa nie jest dziś tylko wydarzeniem, które miało miejsce w odległej przeszłości, ani też dla jeszcze odleglejszych czasów, Abrahama czy ludzi Cro-Magnon, wydarzeniem, które miało dopiero nastąpić. Ukrzyżowanie jest również wydarzeniem wiecznym (jeśli słowo „wydarzenie” jest tu jeszcze na miejscu), aktem solidarności Boga z cierpiącą ludzkością wszystkich czasów. Chrześcijaństwo zatem umożliwia wszystkim ludziom, którzy kiedykolwiek istnieli, współudział w tym akcie solidarności i miłości Boga. I to sprawia, że w wiecznej rzeczywistości Boga ten akt solidarności i miłości, jakim jest Ukrzyżowanie, jest równocześnie Zmarłychwstaniem.

To co tu piszę jest oczywiście tylko stereotypowym, choć mocno skondensowanym, wykładem katechizmu. Względna

nowością jest tylko umieszczenie tego katechizmowego wykładu w kontekście setek i tysięcy lat dziejów ludzkości tak jak prezentuje książka Jareda Diamonda. Jest to religijna interpretacja zespołu naukowych faktów. Fakty, na tyle o ile są naukowo udokumentowane, mają moc absolutnie obojętną i nie ma od nich ucieczki, o tyle zniewalają człowieka. Interpretacja religijna natomiast staje niejako ponad faktami i ustawia je w sferze ludzkich wartości. I wartości przywracają człowiekowi wolność.

5.

Minęły dwa tysiąclecia od przyjścia Chrystusa. W porównaniu z setkami tysiącleci dziejów ludzkości jest to okres bardzo krótki. Jak gdyby Chrystus przyszedł za ledwie wczoraj. Nie na czasie trwania zatem polega znaczenie tego okresu. 13000 lat okresu polodowcowego, który Jared Diamond wybrał na temat swej książki, też jest okresem stosunkowo krótkim. Jego znaczenie, jak widzieliśmy, polega na tym, że był to czas wychodzenia ludzkości z długiego snu precywilizacji myśliwsko-zbierackiej, w którym nie była jeszcze świadoma swoich bez porównania większych możliwości. Był to okres pewnego przebudzenia, rozłożonego zresztą na wiele stuleci. Czy przyjście Chrystusa znaczyło zapoczątkowanie okresu podobnego przebudzenia? Przebudzenia świadomości duchowej i moralnej? Takie było niewątpliwie przekonanie pierwszych chrześcijan, gdy w Chrystusie ukrzyżowanym i zmartwychwstałym ujrzeli obecnego wśród nich wcielonego Boga. I to przekonanie – w formie zwykłej wiary czy sformalizowanego dogmatu – stanowi też rdzeń chrześcijaństwa, które dziś obchodzi swoje dwutysiąclecie. Ale objawem cywilizacyjnego przebudzenia, zwiększonej świadomości moralnej, jest również książka Jareda Diamonda i wiele innych elementów w naszej dzisiejszej cywilizacji. Natomiast nic podobnego nie potrafię dostrzec w idealnie pustej Kopule budowanej dla uświetnienia naszego 2000-lecia na londyńskim przedmieściu.

Antoni POSPIESZALSKI

Piotr MITZNER

MÓJ OJCIEC – KONSPIRATOR

Nigdy już zapewne nie dowiem się jakim człowiekiem był naprawdę mój ojciec – Zbigniew Mitzner.

Próbowałem. Zdeterminowany, przygotowany na odkrycie spraw drażliwych, nieprzyjemnych. Byle wiedzieć więcej. O nim i o sobie. Po jego śmierci (zmarł 3 grudnia 1968 roku) uporządkowałem papiery, zbierałem rozproszone fakty, które nie układają się w spójny obraz. Reszta jest domysłem, interpretacją i, jak słusznie mówi Hamlet – milczeniem.



Ojciec urodził się w Warszawie w 1910 roku. Tu ukończył gimnazjum Związku Nauczycielstwa Polskiego i w 1928 rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Przerwał je, bo wciągnęła go polityka (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, OM TUR, PPS) i dziennikarstwo. W 1935 założył tygodnik satyryczny Szpilki. Wytoczono mu kilkanaście procesów prasowych. Siadywał na ławie oskarżonych obok Mieczysława Grydzewskiego i Wandy Wasilewskiej. Był ponoć na liście przeznaczonych do osadzenia w Berezie Kartuskiej.

We wrześniu 1939 wyszedł z Warszawy na Wschód. Przebywał krótko we Lwowie a następnie w Białymstoku,

gdzie był kierownikiem literackim Teatru Miniatur, prowadzonego przez Kazimierza Krukowskiego. W grudniu został aresztowany przez NKWD. Uratowała go interwencja przyjaciół z teatru. Wyjechał do Wilna, wstąpił do socjalistycznej organizacji „Wolność”. Niebawem wszedł w skład jej Komitetu Głównego. Zajmował się przede wszystkim działalnością wydawniczą i łącznością z Zachodem. Był zwolennikiem podporządkowania „Wolności” WRN – podziemnej PPS.

W lutym 1943 roku aresztowało go gestapo. Wykupiony został z Alei Szucha dzięki staraniom rodziny. Mimo iż nie zdekonspirowano ojca (miał dokumenty na nazwisko Zbigniew Dąbrowski), nie wrócił już do działalności politycznej. Na wiosnę 1943 rozpoczął konspiracyjną akcję gromadzenia rękopisów dla mającego powstać po wojnie wydawnictwa „Wisła”.



W PODZIEMIU WYDAWNICZYM (1943-1944)

W komentarzach do „Dzienników lat wojny” Zofii Nałkowskiej Hanna Kirchner pisze: „Zbigniew Mitzner w czasie okupacji planował założenie po wojnie domu wydawniczego ‘Wisła’, oraz pisma literackiego pod tym samym tytułem (i z żartobliwym mottem: ‘Dużo wody w Wiśle’)”.

Na wiosnę 1943 rozpoczął tajną akcję skupywania rękopisów dla przyszłego wydawnictwa. Fundusze na ten cel uzyskał od Artura Schimmelmitza (400.000 zł) i od Wiktora Lipińskiego¹. Pewne fundusze, jak podaje w liście do mnie z dnia 8 VIII 1969 Andrzej Witold Więckowski, brat ówczesnej żony Mitznera, Wandy, który współdziałał w tej akcji ze

1. Wiktor Lipiński, niestychanie obrotny człowiek interesu, podczas okupacji zajmował się fałszowaniem dokumentów. Robił to podobno genialnie. Zarobione w ten sposób pieniądze ulokował w „Wiśle”. W 1946 zaplątał się w słynną aferę kradzieży cyny z daru UNRRY dla Polski, za co skazany został na karę śmierci. Wyrok wykonano.

szwagrem, pochodzą także od rodziny Więckowskich („Nakłoniłem moją matkę, aby upłynniła pamiątki rodzinne oraz sam zorganizowałem pewne pieniądze”).

Warunki oferowane autorom przez Mitznera były bardzo korzystne, nabywał on bowiem nie samo dzieło (honorarium wydawnicze miało być płacone osobno), a jedynie „prawo wydania dzieła, wymienionego w ust. 1, w czasopiśmie i w wydaniu książkowym”, jak głosi tekst umowy, zawieranej z autorami. Umowa ta została opracowana przy pomocy Emila Breitera, przedwojennego radcy prawnego Związku Literatów. (...)

Do niektórych autorów Mitzner trafiał sam. Oni zaś z kolei pomagali w nawiązywaniu kontaktu z innymi wartościowymi i potrzebującymi pomocy twórcami. Otrzymane rękopisy z narażeniem życia przewoził, oddawał do przepisywania i przechowywał. Niektóre z nich, złożone u Antoniego Bohdzewicza celem wykonania fotokopii, spłonęły w jego mieszkaniu w czasie powstania. Inne Zbigniew Mitzner zwrócił po wyzwoleniu autorom, nie roszcząc do nich żadnych pretensji i nie stawiając przeszkód w wydrukowaniu utworów w dowolnym wydawnictwie, gdyż projektowana przezeń firma nie powstała. W ten sposób zaliczki i honoraria za prawo pierwokupu stały się bezwrotną zapomogą, która wielu twórcom pozwoliła przetrwać najcięższy okres okupacji. Tak było np. w wypadku Nałkowskiej, czy prof. Marcelego Handelsmana, którego dzieło o Czartoryskim zakontraktował Marian Zawadzki za pośrednictwem Bronisława Wieczorkiewicza. (W papierach Zbigniewa Mitznera zachowały się liczne oświadczenia autorów, pisane po wyzwoleniu, stwierdzające z wdzięcznością tę jego wielką zasługę dla polskiej literatury”. – Hanna Kirchner w komentarzach do „Dzienników czasu wojny” Zofii Nałkowskiej. Wyd. II. Warszawa 1972, s. 475-477. Zwięzłe informacje Hanny Kirchner warto nieco rozszerzyć szczegółami).

„Marian Zawadzki” – to pseudonim, którym posługiwał się Zbigniew Mitzner w akcji wydawniczej „Wisła”, prywatnie używał bowiem wtedy nazwiska „Zbigniew Dąbrowski”. Ukrywał się wówczas w Komorowie i fikcyjnie zatrudniony był jako nauczyciel rysunków w szkole w Milanówku, której

dyrektorem był Bronisław Wieczorkiewicz. Mieszkanie w Komorowie mieściło się w willi „Żabie Oczko” przy ul. Żabiej 2 – tam też, w piwnicy pod zwałami węgla – jak wspomina Eryk Lipiński – zakopana była większa część rękopisów „Wisły”. Teksty przechowywane były zresztą w różnych miejscach; w Milanówku na posesji rodziców Ewy Bonackiej, na ulicy Szpitalnej – w mieszkaniu Antoniego Bohdziewicz, u Tadeusza Brezy (o czym Breza wspomina w liście do Mitznera z 9 lipca 1945: „Pisała do mnie Zofia Irzykowska z Pańskiego poduszczenia. Niestety, nic jej ojca u mnie nie było. Te zasoby zresztą, o których Pan ją powiadał – to miłe, że Pan jednak w miarę możliwości śledzi, gdzie co jest z rzeczy, które Pan pozakupywał – były u mnie przejściowo. Zabrał je autor, który teren krakowski przed trzema miesiącami opuścił”.) Część rękopisów ukryta była w piwnicy domu przy ul. Pańskiej w Warszawie. 18 stycznia 1945 roku ojciec z Joanną Prażyną wydobyli je spod gruzów i zapakowali do dwóch plecaków. Dopiero gdy opuszczali to miejsce zauważyli napis: „Nie wchodzić – teren zaminowany”. Z odnalezionym skarbem dotarli na piechotę do Łodzi.

Technika zawierania umów, z uwagi na wymogi konspiracji, była dość skomplikowana. Pod względem treści były schematyczne, opierały się bez wyjątku na wzorze, opracowanym przez Breitera. Znaczna część umów (sporządzanych zwykle w dwóch egzemplarzach²) pisana była w całości ręcznie przez autora, te zaś, które pisane były na maszynie, zawierały zawsze początkowy akapit wypelniony odręcznie przez autora. Chodziło o to, że pismo stanowiło właściwie jedyny dowód, mogący posłużyć do zidentyfikowania autora. Prawie wszyscy bowiem używali pseudonimów, a tytuły niektórych dzieł były zmieniane. Autorki sygnowały własnym nazwiskiem panieńskim. Autorzy obierali pseudonimy od nazwiska rodowego matki. Inni od nazwy miejscowości, w której urodzili się lub mieszkali przed wojną. Jeszcze inni przyjmowali pseudonimy po prostu śmieszne albo o znaczeniu symbolicznym. Sam ojciec gubił się w gąszczu owych pseudoni-

2. Jedyne autorskie egzemplarze umów zachowały się do dziś jedynie w archiwum Iwaskiewicza (obecnie Muzeum im. A. i J. Iwaskiewiczów na Stawisku).

mów i tytułów. Po wojnie nie mógł już ustalić wielu nazwisk. Tym trudniejsze stało się to po jego śmierci.

Do detektywistycznych prac nad ocalałym archiwum „Wisły” należała także analiza stylistyczna zachowanych tekstów. Dawiała ona nieraz zaskakujące wyniki. Oto proza, przez czytających ją polonistów przypisywana znanemu i uznanemu autorowi, okazywała się dziełem pisarza zapoznanego. Oto tekst wyraźnie słaby lub upstrzony błędami ortograficznymi znajdował autora w osobie znakomitego literata. Po śmierci ojca publikowałem wiele utworów z archiwum „Wisły”, niektóre po to, by w ten sposób odnaleźć autora. W kilku przypadkach eksperyment się powiódł (proza Bogusławskiej i Wiklera, wiersze Hussarskiego).

Oto niekompletna, rzecz jasna, lista dzieł zakupionych w latach 1943-1944 dla „Wisły”. Warto zwrócić uwagę, że znajduje się tu wiele utworów nie odnotowanych w „Słowniku Współczesnych Pisarzy Polskich”. Starałem się stosować najbardziej lapidarny zapis. Czytelnikowi należy się więc na wstępie kilka wyjaśnień. Jeśli umowa dotyczyła wznowienia, piszę tylko: „wznowienie”, nie podając daty ani miejsca pierwodruku, które można łatwo sprawdzić. Podobnie, jeśli rzecz została opublikowana po wojnie, piszę „wydane”. Odstępuję od tej zasady w szczególnie uzasadnionych przypadkach, gdy utwór drukowany jest tylko we fragmentach. Brak określeń: „wydane” jest równoznaczny ze stwierdzeniem, że rzecz nie została opublikowana. Jeśli podaję datę zawarcia umowy, to oznacza, że zachowała się ona w archiwum, jeśli zaś tylko wypłaconą sumę, to znaczy, że zostało to ustalone na podstawie kwitu lub istniejącego wykazu wypłaconych honorariów. Niektóre informacje – dotyczące udziału autorów w „Wiśle”, tytułów zakupionych dzieł, brzmienia pseudonimów – nie mają potwierdzenia w dokumentacji. Czerpałem je z relacji ustnych, bądź też otrzymywanych drogą listowną. Niektóre tytuły podawane są w dwóch wersjach: są to albo zaszyfrowane ze względów konspiracyjnych tytuły dzieł wydanych przed wojną, albo pierwotne tytuły zmienione później przez autorów, albo wreszcie tytuły robocze na użytek wydawcy (np. opowiadania Dąbrowskiej zapisane jako „Opowiadania Marii”).

W tej chwili całe archiwum „Wisły” znajduje się w zbiorach Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie.

Jerzy ANDRZEJEWSKI. Powieść „Natchnienie świata”; suma wypłacona prawdopodobnie około 15.000 zł; pierwszy rozdział drukowany w *Twórczości* (1945, nr 1); jeden maszynopis przekazany autorowi w 1945, drugi w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora tom opowiadań „Noc” („Opowiadania And”); umowa nie zachowała się; suma wypłacona 15.000 zł; wydane.

Tegoż autora (wspólnie z Czesławem Miłoszem) „Listy” – esej w formie korespondencji; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis w archiwum.

Stefania BACZYŃSKA („Maria Wiśniewska”). Tłumaczenie Ericha Kastnera „35-ty maj”; umowa z 25 września 1943; suma wypłacona 3.000 zł; wydane.

Krzysztof Kamil BACZYŃSKI („Jan Bugaj”). Zbiór wierszy „Śpiew z pożogi” (cz. I – „Śpiew z pożogi, cz. II – „Krzyż człowieczy”); umowa z 20 sierpnia 1943; suma wypłacona 10.000 zł; informacje szczegółowe wraz z reprodukcją umowy zawiera edycja Krzysztof Kamil Baczyński – „Utwory zebrane”, Kraków 1970, oprac. Aniela Kmita-Piorunowa i Kazimierz Wyka; maszynopis „Krzyża człowieczego” w archiwum „Wisły”. Wiersze Baczyńskiego z tomu „Śpiew z pożogi” po wojnie po raz pierwszy zostały wygłoszone w „Kwadransie poetyckim” Zbigniewa Mitznera w Radiu Warszawa 17 maja 1945, opublikowane zaś z komentarzem Mitznera w *Rzeczypospolitej* 28 października 1945. Jego oświadczenie dotyczące poety znajduje się w papierach Baczyńskiego w Bibliotece Narodowej.

Zofia BOGUSŁAWSKA. Opowiadania: „Infernum”, „Pianino”, „Macocho” i „Wielka wizja”. Maszynopisy te trafiły do „Wisły” za pośrednictwem nieznanej osoby. Autorka nie podpisywała umowy i nie otrzymała honorarium. „Wielka wizja” drukowana była w *Kulturze* (1976, nr 35). „Infer-

num” anonimowo w niezależnym almanachu „Silva Rerum” (nr 1, 1981). Oryginały w archiwum, odpisy przekazane autorce w 1976.

Helena BOGUSZEWSKA. („Helena Roguska”). Powieść „Cafe życie Sabyń”, („Zofia w piekle”); umowa z 4 sierpnia 1943; suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie; wydane.

Tej samej autorki wspólnie z Jerzym Kornackim – powieść „Polonez”; umowa nie zachowała się; suma wypłacona nieznana; wydane.

Karol BOROWSKI. Przekład pracy Konstantego Stanisławskiego „Praca aktora nad sobą”; suma wypłacona 5.000 zł; maszynopis zwrócony tłumaczowi w 1945.

Wanda BORUDZKA. („Marta Zaorska”, „Piotr Włodek”). Tomy wierszy dla dzieci: „Dzikię wino”, „Staszek i ptaszek”, „Nie rusz, słoniu, trąbą kwiatka” oraz trzy bajki: „Przygody Mruczka”, „Bal w kuchni”, „O Kaczce – Kwaczce i Osiołku Kręciołku”, oraz tom wierszy „Z kalendarzem w tornistrze”; z umów zachowała się tylko jedna, na tom 25 wierszy „Z kalendarzem w tornistrze” z 7 sierpnia 1943; z tytułu tej umowy wypłacona została suma 4.000 zł; za trzy bajki wypłacono 5.000 zł; za „Staszka i ptaszka” również 5.000 zł. Maszynopisy wyżej wymienionych wierszy z wyjątkiem tomu „Z kalendarzem w tornistrze”, który spłonął w czasie powstania, zwrócone zostały rodzinie autorki w 1973.

Edward BOYÈ („Edward Dantejski”). Tom esejów („Esseje Edzia”); umowa nie zachowała się; suma wypłacona nie znana; maszynopisów w archiwum nie ma, prawdopodobnie zniszczone podczas powstania.

Tegoż autora szkic „Proces rodziny Franco” (drukowany przed wojną w *Wiadomościach Literackich* w 1937), zaszyfrowany jako „Artykuł na tematy żydowskie”; umowa nie zachowała się; suma wypłacona nieznana; maszynopis i wycinek w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora parafraza przekładu wierszem z hiszpańskiego Lope de Vegi „Pies na sianie”; umowa nie zachowała się; suma wypłacona nie znana; w archiwum zachował się rękopis pierwszego aktu (uwagi krytyczne dotyczące prozodii wpisane przez nieznaną osobę).

Tegoż autora tłumaczenie Calderona „Życie snem”; umowa nie zachowała się, suma wypłacona 3.000 zł; sztuka wystawiona w Warszawie w 1937; wydana; w archiwum „Wisły” zachował się maszynopis Agencji Teatralnej.

Tegoż autora tłumaczenie C. Papiniego „Skończony człowiek”; umowa nie zachowała się; suma wypłacona 1.500 zł; wznowienie.

Kazimierz BRANDYS. Powieść „Urodziny”; fragmenty drukowane w prasie w 1945 i 1948; maszynopis w archiwum „Wisły”.

W 1955 podczas wieczoru autorskiego w Związku Literatów Zbigniew Mitzner mówił: „Zabieram tu głos jako jeden z pierwszych czytelników Kazimierza Brandysa. Pierwsze jego utwory czytałem bowiem w maszynopisie. Było to chyba dwanaście lat temu, a działo się na uliczce idącej w bok i w dół od placu Unii Lubelskiej, noszącej – jeśli się nie mylę – nazwę ulicy Spacerowej. Tadeusz Breza powiedział, że piętro wyżej nad nim mieszka młody człowiek, jego zdaniem utalentowany, który napisał interesującą powieść. Maszynopis tej powieści zabrałem od Brezy i przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Po pewnym czasie dopiero dowiedziałem się nazwiska młodego autora, który co prawda już przed wojną przemknął był przez ‘Ziemiańską’, ale nikt jeszcze nie przypuszczał, że literatura nasza zdobędzie w Brandysie świetnego pracownika, ani tym bardziej, że będziemy mieli nie jednego, ale aż dwóch Brandysów...”

Tadeusz BREZA. Powieść „Biała laska”; suma wypłacona 15.000 zł; maszynopis zniszczony podczas powstania w mieszkaniu Antoniego Bohdziewiczza. W liście do Zbigniewa Mitznera z 9 lipca 1945 Tadeusz Breza pisał:

„Kochany Panie Zbigniewie. (...) Czy ma Pan moje dzieło u siebie pt. „Biała laska”, które przed laty Pan u mnie częściowo zakupił? Czy zatroszczył się Pan o to Pańskie dobro? Rozstałem się przed kilkoma godzinami z Bohdziewiczem, do którego zacho-
dziłem po wielekroć. Przed niedawnym czasem stwierdził on, że wśród rolek, które on miał, „Białej laski” nie ma! Z Warszawy dostałem brulion i bez ostatniego rozdziału. Pomędzy tym, co Pan miał ode mnie, a tym, co mam, rozciąga się bezmiar różnicy, na którą zużyłem rok czasu. Skąd by teraz wziąć podobny rok, gdyby i u Pana nic nie było z mojej „Białej laski”. Ciągle się przecież

będzie zajęty nowymi rzeczami. No, dość już. Już wie Pan, o co mi chodzi!...

Pod koniec życia autor, na podstawie zachowanego brulionu, odtworzył powieść, która ukazała się już po jego śmierci pod tytułem „Zawiść”.

Tegoż autora powieść „Mury Jerycha”; wydana.

Jan BRZECHWA („Henryk Klonowicz”). Tom wierszy „Na ulicy Słowiczej” („Książka Henryka Klonowicza”); umowa z 1 września 1943; suma wypłacona 5.000 zł; niektóre wiersze publikowane po wojnie; maszynopis przekazany w 1970 rodzinie autora, drugi egzemplarz w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora dwa wiersze dla dzieci: „Alfabet” i „Gdyby ziemia była ananensem”; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora tom wierszy dla dzieci „Do tańca i do różańca”; niektóre wiersze publikowane po wojnie; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Jan Stanisław BYSTRON („Maciej Wrzesiński”). Monografia „Warszawa”; po wojnie za zgodą autora jeden z egzemplarzy maszynopisu przekazany do wydania „Wiedzy”. W 1946 rodzina Bystronia wycofała ten egzemplarz z „Wiedzy” i za pośrednictwem Ludwika Fiszera sprzedała wydawnictwu Józefa Kubickiego. Praca ukazała się (bez daty) z pominięciem ostatniego rozdziału, dotyczącego lat 1915-1939, z dodaniem natomiast zakończenia pióra Stanisława Dzikowskiego. W całości wydane w 1977. Kompletny egzemplarz maszynopisu (bez tablic, które istniały w jednym egzemplarzu) w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora „Przysłowia polskie” („Przysłowia”); umowa z 11 września 1943; suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora zbiór szkiców „Pieśni i piosenki”; umowa z 11 września 1943; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis nie został złożony, gdyż miał to być zbiór drukowanych przed wojną rozpraw na ten temat; w archiwum konspekt pracy.

Tadeusz CIEŚLEWSKI. Opowiadanie „Zdarzenie na Zapiecku”; suma wypłacona nieznana; druk *Tydzień* 1947, nr 33.

Maria CZAPSKA („Maria C.”). Biografia Mickiewicza, wydana w Paryżu w 1931. („La vie de Mickiewicz”), przełożona na polski przez autorkę, w „Wiśle” figuruje pod tytułem

„Biographie romancée Mickiewicza”, losy maszynopisu nieznane.

Stanisław CZOSNOWSKI. Wiadomo, że nawiązał kontakt z „Wisłą” za pośrednictwem Kazimierza Wyki. Nie udało się jednak ustalić, jakie prace złożył.

Maria DĄBROWSKA („Bogdan Sosnowski”). Dwa tomy esejów („Esseje Marii”); umowa ustna; sumy wypłacone: 10.000 zł i 5.000 zł; autorka maszynopisu nie złożyła, gdyż miał to być wybór tekstów drukowanych przed wojną.

Tej samej autorki opowiadania („Opowiadania Marii”); na podstawie kwitu odręcznego można stwierdzić, że umowa zawarta została 7 października 1943, a 20 maja 1944 na tej podstawie autorka otrzymała sumę 15.000 zł. Trudno ustalić o jakie opowiadania chodzi, w każdym razie na pewno nie o wznowienie opowiadań przedwojennych, gdyż w takim wypadku Zbigniew Mitzner wypłaciłby zgodnie z przyjętą zasadą całość sumy od razu przy zawieraniu umowy.

Jan DOBRACZYŃSKI. Dramat „Apel”; maszynopis zniszczony podczas powstania.

Stanisław Ryszard DOBROWOLSKI. Dramat poetycki „Spartakus”; umowa nie zachowała się; suma wypłacona 5.000 zł; maszynopis zwrócony autorowi w 1945; wydany.

„Za zaliczkę otrzymaną od Mitznera – wspomina autor – kupiłem sobie ubranie. Będę mu do końca życia pamiętał, że dzięki jego dla mnie życzliwości nie chodziłem za okupacji obdarty”. („Tamte dni i lata”. Warszawa 1981, s. 157).

Tegoż autora tom wierszy; rękopis przekazany autorowi w 1960; niektóre z wierszy po wojnie drukowane. W archiwum „Wisły” zachowały się rękopisy: nie publikowanego wiersza „Do mojej córki” i drukowanego w zmienionej wersji wiersza „Do przyjaciół w Warszawie” (druk pt. „Młodym”).

Tegoż autora poemat dramatyczny „Jutrznie warszawskie”; prasa wydawnicza przyjęta jeszcze w czasie wojny przez „Wisłę” od Spółdzielczego Instytutu Wydawniczego; maszynopis zniszczony w 1944 w SIW.

Tegoż autora tom wierszy „Wróżby”. Zjazd romantyczny; („Wróżby i wróżbici”); suma wypłacona 7.500 zł; wznowienie.

Stanisław DYGAT (Wacław Kurowski). Powieść „Jezioro Bodeńskie”; wydana. W archiwum zachowało się kilka kart maszynopisu.

Tegoż autora dramat „Okno”; maszynopis zwrócony autorowi w 1969. (Wypowiedzi autora na temat tej sztuki w: P. Mitzner, „Teatralia w archiwum ‘Wisły’”, *Pamiętnik Teatralny* 1977, z. 3.)

Tegoż autora opowiadania: „Różowy kajecik” i „Księżyc” – drukowane. „Upiór”, „Dzieje bohatera” („Koniec świata”), „O dniu powszednim” („Dzień powszedni”) – zwrócone Dygatowi w 1969 i publikowane w *Literaturze* i *Polityce*, a następnie włączone do tomu „W cieniu Brooklynu” (Warszawa 1973).

Tegoż autora tłumaczenie W. Szekspira „Wieczór Trzech Króli”; umowa z 4 sierpnia 1943; suma wypłacona 3.000 zł; wydane; rękopis i część maszynopisu w archiwum.

Włodzimierz DZWONKOWSKI („Zygmunt Jagodziński”). Trzytomowa praca „Rosja a Polska”; tom I – „Tysiąc lat stosunków polsko-ruskich do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej”, tom II – „Sprawa polska w opinii rosyjskiej XIX wieku”; tom III – „Aleksander Lednicki a stosunki polsko-rosyjskie w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia”; umowa z 20 września 1943; suma wypłacona 15.000 zł; maszynopis bez zakończenia znajduje się w archiwum „Wisły”. Tom II i III wydane łącznie: Warszawa 1991.

Tegoż autora esej „Wernyhora i jego proroctwa” włączony do wydania książkowego „Rosja a Polska” (1991).

Tegoż autora dwa tomy „Szkiców historycznych”; tom I – „Szkice kościuszkowskie”; tom II bez tytułu. Umowa z 20 września 1943; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis nie został złożony; w archiwum zachował się konspekt pracy.

Irena FILOZOF. Wstęp i komentarze do „Pracy aktora nad sobą” K. Stanisławskiego w przekładzie Karola Borowskiego (zob.); suma wypłacona 1.500 zł; wstęp drukowany po wojnie jako artykuł.

Krystyna GOGOLEWSKA. Sztuka „Ariadna”; suma wypłacona 5.000 zł; jeden maszynopis zwrócony autorce w 1969, drugi egzemplarz w archiwum „Wisły”.

Pola GOJAWICZYŃSKA. Powieści: „Dziewczęta z

Nowolipek” („Panny”) oraz „Rajska jabłoń”. („Panny – ciąg dalszy”); suma wypłacona 10.000 zł; wznowienie, wielokrotnie wydawana.

Tej samej autorki „Dwoje ludzi oraz inne opowiadania” („Para”); suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie.

Wanda GOJAWICZYŃSKA. Przekłady dwóch „wagonych” powieści angielskich; losy maszynopisów nieznane.

Marceli HANDELSMAN. Umowy zawierane ustnie za pośrednictwem Bronisława Wieczorkiewicza; monografia „Adam Czartoryski”; zakupiono trzy tomy, z czego autor złożył dwa; suma wypłacona 20.000 zł; maszynopis został zmikrofilmowany i po wojnie przekazany rodzinie autora. W archiwum Marcelego Handelsmana w PAN-ie znajduje się mikrofilm sporządzony przez Antoniego Bohdziewicza (tom I – 512 klatek i tom II – 492 klatki). W archiwum „Wisły” zachował się konspekt pracy. Dzieło wydane po wojnie.

Tegoż autora „Historia dla Maciusia” („Dla najmniejszych”); suma wypłacona 3.000 zł; nie wiadomo, czy autor złożył pracę. Rękopis w posiadaniu rodziny autora.

Paweł HULKA-LASKOWSKI. Zbiór 48 esejów „Dwie perspektywy”, tom I: „Perspektywa przedwojenna”, tom II: „Perspektywa powojenna”; suma wypłacona 4.000 zł; maszynopisu prawdopodobnie autor nie złożył; po wojnie nie wydane; w archiwum „Wisły” zachował się konspekt pracy oraz wycinek ze *Skamandra* (1935) z esejem „Wiekuiasty powrót”.

Tegoż autora zbiór trzynastu esejów na tematy polityczne, filozoficzne i społeczne, bez tytułu. W archiwum konspekt pracy.

Tegoż autora tom esejów różnych bez tytułu zbiorczego; w archiwum; praca złożona w formie autoryzowanych wycinków z przedwojennej prasy.

Tegoż autora tłumaczenie „Babuni” B. Němcovej; wznowienie; w archiwum konspekt.

Irena HUSSARSKA. Przekład powieści P. Valdesa „Siostra San Supicio”, losy maszynopisu nieznane.

Roman HUSSARSKI. Dwa cykle wierszy: „Głosy Ziemi” i „Bellona”; umowa ustna; maszynopis w archiwum; odpisy zwrócone autorowi w 1975; niektóre wiersze publikowane w prasie po 1968 (początkowo anonimowo).

Kontakt z „Wisłą” za pośrednictwem Wandy Melcer.

Jarosław IWASZKIEWICZ. („Henryk Pilawic”). Komedia w 1 akcie „Gospodarstwo”; maszynopis w archiwum.

Tegoż autora „Nowele włoskie”; umowa z 11 sierpnia 1943; suma wypłacona 15.000 zł; pierwodruk w odcinkach – *Tydzień* 1947; wydane; maszynopis z nie drukowanym wstępem w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora tom wierszy „Ciemne ścieżki”; umowa z 11 sierpnia 1943; suma wypłacona 10.000 zł; wydane, w archiwum zachował się jeden wiersz z tego tomu.

Tegoż autora „Książka moich wspomnień” („Ze wspomnień”); umowa z 11 sierpnia 1943; suma wypłacona 15.000 zł; wydane.

Tegoż autora „Książki i nuty”; umowa z 11 sierpnia 1943; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis zwrócony autorowi w 1945.

Tegoż autora opowiadanie „Bitwa na równinie Sedgemoor”; drukowane; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Ojciec wspominał kiedyś jak wracając ze Stawiska z rękopisami Iwaszkiewicza wpadł w łapankę na kolejce EKD. Wyszadzano wszystkich pasażerów na stacji w Pruszkowie i ustawiono z rękami do góry. Rękopisy upadły na ziemię. Żandarm podniósł je, przerzucił i cisnął z powrotem na ziemię: *Scheis!* Ojcu udało się wymknąć i nawet zabrać rękopisy. Opowiadał później o tym Iwaszkiewiczowi. Autor „Sławy i chwały” wysłuchał i spokojnie zapytał: „– No i co mu pan na to odpowiedział?”.

Witold JABŁOŃSKI („Stanisław Nowak”). Tłumaczenie z chińskiego Lao-Sze „Niezrównany Czaos Tsyjue” („Chińczyk”); umowa z 3 września 1943; suma wypłacona 5.000 zł; wydane.

Czesław JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI. Prawdopodobnie złożył tłumaczenia z literatury rosyjskiej. Bliższych danych co do tytułów, umów i wypłaconych sum brak.

Juliusz KADEN-BANDROWSKI („Kazimierz Górski”). Monografia „Karol Szymanowski”; umowa z 6 września 1943; suma wypłacona 10.000 zł; losy maszynopisu nieznane, prawdopodobnie oddany Antoniemu Bohdziewiczowi dla zmikrofilmowania, spalił się podczas powstania.

Tegoż autora monografia „Życie Chopina” („Chopin”); suma wypłacona 25.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora „Aciaki z I-A” („Notatki ze szkolnego domu”); suma wypłacona 9.000 zł; wznowienie; wydane.

Zbigniew Mitzner tak wspomina swoje spotkania z Kadenem:

„Przed wojną. Siedzę w gabinecie u Breitera na Kapucyńskiej. Omawiamy sobie moje sądowe, dziennikarskie sprawy. Bo Breiter, jak wiadomo, był nie tylko krytykiem literackim, ale także i adwokatem. A tu dzwonek do drzwi.

– To Kaden! – krzyczy pan Emil. – Nie może tu Pana spotkać!

Więc umykam kuchennymi schodami. Nie mam powodu narażać Breitera, który moimi sprawami zajmuje się oczywiście za darmo, na to, że Kaden zastanie u niego redaktora *Szpilek*, które Kadenowi nie szczędzą złośliwości. A on tego bardzo nie lubi.

W ten sposób nigdy nie poznałem wówczas Kadena.

A jednak w czasie okupacji doszło do tego jedynego spotkania. Oczywiście nie przypadkowego. Ktoś je zorganizował. Kto? Nie potrafię już sobie przypomnieć. Ale pamiętam dobrze mały pokójek gdzieś w okolicach Placu Zbawiciela, z gołymi ścianami, niemal bez mebli. Był tylko stolik, dwa krzeselka. Kaden był serdeczny, ale trochę, jak na mój gust, zbyt pompatyczny.

– To spotkanie jest historyczne – zagał dość górnolotnie, co mnie tak rozśmieszyło, że to pamiętam.

Mówiąc o historii, myślał oczywiście o sobie. Wyjaśnił, co miał na myśli:

– Po raz pierwszy od wielu lat spotykam się z socjalistą”. (Jan Szela, „Tak i nie”, *Kultura* 1966, nr 11).

Aleksander KAMIŃSKI. Powieść „Kamienie na szaniec” (druga redakcja); wydana; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Gabriel KARSKI („Karol Michalski”). Tłumaczenie H. Duvernois „Siostry Hortensias”; umowa z 17 sierpnia 1943; suma wypłacona 2.000 zł; wydane.

Tegoż autora tłumaczenie F. Mauriac „Pustynia miłości”; umowa z 17 sierpnia 1943; suma wypłacona 2.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora tłumaczenie L. Daudet „Tragiczny żywot Victora Hugo”; umowa z 17 sierpnia 1943; suma wypłacona 2.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora tłumaczenie M. Daireaux „Kulisy zacnego żywota”; umowa z 2 sierpnia 1943; suma wypłacona 5.000 zł; wydane.

Do umów dołączone oryginały listów autorów, wydawców francuskich i agentów do tłumacza.

Witold KLINGER (bez pseudonimu). Tłumaczenie „Historii” Herodota; w archiwum konspekt pracy. Czesław Miłosz w „Rodzinnej Europie” pisze, że przekład ten zakupił dla swego wydawnictwa Władysław Ryńca i rękopis spłonął w czasie powstania.

Roman KOŁONIECKI („Polanowski”). Zbiór esejów pod tytułem „Głos z wieży”; suma wypłacona 8.000 zł; w archiwum zachował się konspekt.

Tegoż autora tom 26 esejów pod tytułem „Sianokosy jesienne: próby krytyczne”; konspekt w archiwum.

Władysław KONOPCZYŃSKI (bez pseudonimu). Zbiór 20 rozpraw „Studia”; umowy brak prawdopodobnie z uwagi na pośrednictwo Kazimierza Wyki (autor przebywał wówczas pod Krakowem); w archiwum zachował się konspekt pracy.

Kazimierz KOŚCIŃSKI („Jan Dąbrowa”). Praca „Romanizm, mesjanizm i Wiosna Ludów” – tom I; suma wypłacona 15.000 zł; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora „Portrety literackie” („Adam Mickiewicz”, „Juliusz Słowacki”, „Zygmunt Krasiński”); za szkice o Mickiewiczu i o Słowackim wypłacono po 2.000 zł; maszynopisy zniszczone w czasie powstania; w archiwum „Wisły” zachował się fragment pracy o Słowackim.

Jan KOTT. Tom szkiców literackich „Mitologia i realizm”. („Tacyt”, „Stendhal”, „Gide”, „Nadrealiści”, „Conrad”, „Malraux”); wydane; w archiwum zachował się fragment maszynopisu „Tacyta” („Przed końcem świata”).

Stanisław KOWALCZYK. Tom wierszy „Kradzieże brylantów”; kontakt z „Wisłą” za pośrednictwem Jarosława Iwaszkiewicza. Niektóre wiersze drukowane po 1968; maszynopis z poprawkami Iwaszkiewicza w archiwum „Wisły”.

Anna KOWALSKA (występowała pod nazwiskiem panińskim jako Anna Chrzanowska). Powieść w 4 częściach „Pierwsza zdrada”; umowa, w imieniu przebywającej jeszcze wówczas we Lwowie autorki, zawarta została w dniu 3 września 1943 przez Marię Dąbrowską, występującą w tym przypadku jako Klementyna Tańska. Suma wypłacona 7.000 zł, pokwitowana została również przez Dąbrowską 7 września

1943; maszynopis w archiwum „Wisły” (bez pierwszych 47 stron).

Halina KRAHELSKA („Zofia Piotrowska”). Powieść „Kocioł śmierci”; umowa z 18 czerwca 1944; suma wypłacona 15.000 zł. Po wojnie Zbigniew Mitzner przekazał maszynopis książki rodzinie Haliny Krahelskiej, która złożyła go w „Wiedzy”. Powieść opracowana przez Kazimierza Błeszyńskiego została zaakceptowana do druku i oddana do składu. Podczas łączenia „Wiedzy” i „Książki” zarówno maszynopis, jak i odbitki szpalt zostały – według informacji byłych pracowników „Wiedzy” oraz „Książki i Wiedzy” – oddane na przemiał.

Krystyna KRAHELSKA (?). Tom wierszy „Droga otwarta”; niektóre utwory drukowane po 1968; w archiwum „Wisły” zachował się maszynopis tomu. Rodzina poetki nie potwierdza, a raczej waha się ze stwierdzeniem, czy to istotnie są wiersze Krystyny Krahelskiej.

Tadeusz Juliusz KROŃSKI. Rozprawa „Faszyzm a futuroizm”; umowa, maszynopis w 1969 przekazany Irenie Krońskiej.

Tegoż autora rozprawa „Faszyzm a tradycja europejska”; suma wypłacona 5.000 zł; po wojnie drukowana bez zniszczonego zakończenia; kompletny maszynopis w 1969 przekazany Irenie Krońskiej.

Mieczysław KRZEPKOWSKI. Powieść; losy maszynopisu nieznane. Autor, zapytywany w 1969 nie pamiętał już szczegółów tej sprawy.

Julian KRZYŻANOWSKI. Studium „Byliny”; suma wypłacona 3.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora „Polska bajka ludowa” („W świecie bajki”); suma wypłacona 7.000 zł; wydane.

Tegoż autora „Mądrej głowie dość dwie słowie. Trzy centurie przysłów polskich”; wydane.

Juliusz KRZYŻEWSKI („Juliusz Ehrenkreutz”). „Poezje”; umowa z 13 września 1943; suma wypłacona 3.000 zł; poeta skontaktował się z „Wisłą” za pośrednictwem Jarosława Iwaskiewicza; wydane (1978); maszynopis przekazany rodzinie w 1969; w archiwum rękopis.

Stefan Maria KUCZYŃSKI (bez pseudonimu). Powieść

„Expres”; rękopis Zbigniewowi Mitznerowi przekazała Zofia Nałkowska; w 1969 zwrócony autorowi.

Janina KULCZYCKA-SALONI („Maria Kwiatkowska”). Rozprawa „Lalka Bolesława Prusa”; suma wypłacona (kwit z 28 listopada 1943) – 1.500 zł; maszynopis zaginął podczas powstania. W czasie okupacji praca czytana była na jednym z zebrań Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Stefan KWAŚNIEWSKI. Tom humoresek pod nieustalonym tytułem; niektóre utwory publikowane w 1947 w piśmie *Tydzień*; maszynopis – niekompletny w archiwum „Wisły”, brak w nim humorestek drukowanych.

Jan Alfred LAUTERBACH. Studium „Podłoże katastrofy” („Przyczyny katastrofy”; zaliczka wypłacona 2.500 zł. Autor złożył wydawcy część swojej rozprawy: 75 stron rękopisu. W trakcie dalszej pracy został aresztowany i rozstrzelany. Po pewnym czasie ktoś przysłał ojcu zakończenie szkicu. „Marian Zawadzki” oddał je do zmikrofilmowania Bohdziewiczowi i u niego podobnie jak inne maszynopisy spłonęło. W ten sposób praca pozostała znów bez zakończenia. Po wojnie Zbigniew Mitzner oddał posiadany rękopis rodzinie Lauterbacha. Fragmenty „Podłoża katastrofy” przytaczał Mitzner w felietonie radiowym z 8 maja 1945, przedrukowanym w *Życiu Literackim* (1945, nr 5/6).

Emilia LESZCZYŃSKA. Tłumaczenie szkiców historycznych F. Massona „Przed stu laty”; w archiwum fragment egzemplarza książkowego przedwojennego wydania dzieła. Pozycja ta pochodzi prawdopodobnie z portfela wydawniczego K.Z. Skierskiego; wznowienie.

Adam LEWAK („Jan Dębski”). „Za waszą i naszą wolność” („O wolność, równość i braterstwo”); umowa z 2 września 1943; suma wypłacona 8.000 zł; wydane.

Alfred ŁASZOWSKI („Jan Gołębiowski”). Powieść „Miodowe miesiące”; umowa z 29 kwietnia 1944; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis przekazany autorowi w 1969.

Tegoż autora powieść „Błędne koło”; umowa z 29 kwietnia 1944; suma wypłacona 7.000 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora powieść „Śpiewacy norymberscy”; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora powieść „Psy gończe”; wydana.

Hanna MALEWSKA. Powieść „Zygmunt August i Barbara”; maszynopis zwrócony autorce w 1945.

Aleksander MALISZEWSKI („Antoni Piotrowski”). Dramat „Bunt na Kamczatce”; suma wypłacona 5.000 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Ryszard MATUSZEWSKI („Roman Rawicz”). Tom wierszy „Droga do nieba”; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora praca „Między Rzymem a Moskwą”; umowa z 17 lipca 1943; suma wypłacona 8.000 zł; losy maszynopisu nieznane.

Adam MAUERSBERGER („Adam Reinhardt”). Monografia „Aleksander Walewski”; suma wypłacona 7.000 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora „Anegdoty historyczne”; fragmenty drukowane w piśmie *Tydzień* w 1947; maszynopis zwrócony autorowi w 1969.

Wanda MELCER („Waleria Guzowska”). Powieść „Wyspa szczęścia”; umowa z 24 sierpnia 1943; suma wypłacona 15.000 zł; wydane.

Tej samej autorki powieść „Protesilaos i Laodamia”; suma wypłacona 15.000 zł; maszynopis zwrócony autorce w 1945.

Tej samej autorki powieść „Przygody spadochroniarza”; losy maszynopisu nieznane.

Tej samej autorki reportaż „Walki w Warszawie” („Wojna w Warszawie”); suma wypłacona 3.500 zł; wznowienie.

Tej samej autorki powieść „Narzęczona z Angory” („Narzęczona”); suma wypłacona 7.000 zł; wznowienie.

Tej samej autorki powieść „Morele Madzi”; powieść napisana przed wojną; umowa z 24 sierpnia 1943; suma wypłacona 5.000 zł; wydana.

Władysław MERGEL. Powieść „Monady”; umowa nie została podpisana a zaliczka nie wypłacona, gdyż rękopis przekazany został Marianowi Zawadzkiemu przez Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w przededniu powstania; zwrócony autorowi w 1970. Cztery rozdziały odczytane w 1970 w Radiu Gdańsk, jeden drukowany w prasie w tym samym roku.

Jan MIERNOWSKI. Tom wierszy „Sarabanda”; w na-

wiązaniu kontaktów z „Wisłą” dopomógł Jarosław Iwaszkiewicz; niektóre wiersze drukowane w prasie po 1968; jeden maszynopis zwrócony rodzinie autora w 1970, drugi w archiwum „Wisły”, rozszerzona wersja w Muzeum im. A. i J. Iwaszkiewiczów na Stawisku.

Jan Nepomucen MILLER. Praca „Literatura a życie społeczne”; suma wypłacona 8.000 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Czesław MIŁOSZ („Edward Malisz”, „B.B. Kózka”). „Esseje”; umowa z 14 sierpnia 1943; suma wypłacona 6.000 zł. Według umowy miało być 10 esejów: „Legenda wyspy” (Defoe), „Legenda miasta-potwora” (Balzac), „Legenda woli” (Stendhal), „Zupełne wyzwolenie” (Gide), „Poza prawdą i nieprawdą” (William James), „Religijność Zdziechowskiego”, o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, o Lwie Tołstoju, o T.S. Eliocie, o Supervielle’u. W maszynopisie, znajdującym się w archiwum, zachowało się 6 pierwszych esejów, prawdopodobnie pozostałe cztery nie zostały przez autora złożone. „Legenda wyspy”, „Legenda miasta-potwora”, eseje o Witkiewiczu i o Zdziechowskim drukowane były po wojnie.

Tegoż autora cykl wierszy „Świat – poema naiwne”; wydane. Rękopis i maszynopis znajdują się w archiwum.

Tegoż autora „Wiersze”; suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie wydania konspiracyjnego z 1940.

Zob. też: Jerzy Andrzejewski.

Janusz MINKIEWICZ („Wujcio Minio”); tom satyr „Nic świętego”; suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora „Trzy bajki” („10-ciu Muszynków”, „O Piesku-Dziwaku”, „Naokoło domku Tomka”); suma wypłacona 1.500 zł; dwie pierwsze bajki drukowane i maszynopisy w archiwum.

Tegoż autora „Wierszyki o mapie Europy”; maszynopis (6 kart) zniszczony w czasie powstania.

Maria MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA. Dramat „Genewa, Paquis nr 10”; drukowany we fragmentach przed wojną; wystawiony po wojnie; maszynopis w archiwum.

Tej samej autorki powieść w 4 tomach „Fermenty”; suma wypłacona 15.000 zł; maszynopis zwrócony autorce w 1945.

Zofia NAŁKOWSKA („Ignacy Sumicki”).

Hanna Kirchner w przypisach do „Dzienników czasu wojny” (wyd. II, Warszawa 1972, s. 475-476) ustala dane w tej sprawie następująco: „Jedna z umów, na utwór zaszyfrowany jako ‘Kochankowie’ (zapewne wznowienie ‘Romansu Teresy Hennert’ albo ‘Niedobrej miłości’), wymienia sumę 26.000 zł, a zaliczkę płatną przy zawarciu umowy stanowi tam suma 6.000 zł jako jedna piąta należności. Druga umowa, z zaszyfrowanym tytułem ‘Ptaki’ (z pewnością ‘Choucas’), nie podaje sumy globalnej, tylko wysokość zaliczki, tak samo 6.000 zł. Umowa trzecia, na ‘Esseje’, podaje sumę 10.000 zł jako 100% honorarium za prawo publikacji w czasopiśmie. Wszystkie trzy umowy zawarto w sierpniu 1943. Musiała jednak istnieć jeszcze jedna, gdyż z zachowanych dwóch kwitów, podpisanych przez Ignacego Sumickiego, jeden mówi o sumie 26.000 zł z tytułu czterech umów z sierpnia 1943. Kwit drugi, na 10.000 zł, wymienia również umowę z sierpnia 1943”.

Stefan OTWINOWSKI („Władysław Podrobek”). Dramat „Odwiedziny”; suma wypłacona 5.000 zł; czytany przez autora około 20 razy podczas tajnych spotkań literackich w czasie wojny w Warszawie; maszynopis przekazany autorowi w 1970; fragment drukowany w *Życiu Literackim* 1981, nr 5.

Tegoż autora powieść „Czas nieludzki” („Ostatni grób”); wydana.

Tegoż autora powieść „Nagrobek” („Portret przyjaciela”); wydana.

Tegoż autora utwór „Marsz błogosławiony”; umowa z 15 lipca 1943; suma wypłacona 7.000 zł; losy maszynopisu nieznane.

Włodzimierz PIETRZAK. Cykl powieściowy „Między Wschodem a Zachodem”; suma wypłacona 13.000 zł; część wydana; niekompletny maszynopis i fragment rękopisu z archiwum „Wisły” przekazane Instytutowi Wydawniczemu PAX w 1969.

Tegoż autora zbiór esejów „Rachunek z dwudziestolecie”, suma wypłacona 10.000 zł; wydany.

Tegoż autora esej „O ‘Nienasyceńcu’”; drukowany; maszynopis przekazany w 1969 IW „Pax”.

Stanisław PIĘTAK. Poemat „Student Paweł” – poetycka

kontynuacja „Młodości Jasia Kunefała”; suma wypłacona 7.000 zł; maszynopis zwrócony rodzinie autora w 1969; włączone do wydania: „Pisma. Utwory poetyckie” (Warszawa 1986, t. 2).

Andrzej PLEŚNIEWICZ. Esej „Czas książek już minął” („Z książką w rękę”); suma wypłacona 5.000 zł; według informacji Adama Mauersbergera – czytany na literackim wieczorze konspiracyjnym u Jana Michalskiego. Maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora tom szkiców o literaturze europejskiej. Ocalały trzy eseje: III – „Valery Larbaud”, V – „Rainer Maria Rilke” i VI – „Paul Valéry”. Wśród zaginionych był między innymi szkic o Giraudoux, czytany w czasie okupacji na spotkaniu u Tadeusza Brezy. Szkice o Rilkem i Larbaudzie publikowane po 1968 w *Literaturze na świecie*. Maszynopisy w archiwum „Wisły”.

Leon PŁOSZEWSKI („Leon Bugajski”). Antologia „Warszawa w poezji polskiej”; umowa z 12 września 1943; suma wypłacona 8.000 zł; losy maszynopisu nieznane; w archiwum konspekt pracy. W czasie okupacji Leon Płoszewski występował trzykrotnie z referatami o Warszawie w poezji na jednym z zebrań Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (raz) i na spotkaniu u Jana Michalskiego (dwa razy).

Seweryn POLLAK. Tłumaczenie dramatu Aleksandra Puszkina „Borys Godunow”; wydane.

Stefan PRZEWALSKI. Monografia „Rybiński”; maszynopis znajduje się w archiwum „Wisły”. W czasie okupacji, na spotkaniu u Jana Michalskiego Stefan Przewalski czytał referat „Rybiński – ostatni wódz powstania 1831 roku”.

Stanisław Edmund REMBEK. Powieść „Przemoc i szabla”; suma wypłacona 7.000 zł; wznowienie.

Tegoż autora opowiadanie „Opuszczone dzieło”; maszynopis w archiwum.

Alfred ROGALSKI. Powieść „Daleka Północ” („Północ”); suma wypłacona 5.000 zł.

„Daleka Północ” ukazała się nakładem „Czytelnika” w 1972 roku, opatrzona posłowiem Andrzeja Szczypiorskiego jako przyjaciela pisarza, oraz wstępem od wydawcy

(anonimowym). Ponieważ wstęp ten zawiera dużo nieścisłości (w niektórych fragmentach sprzeczny jest nawet z posłowiem Szczypiorskiego), należy je sprostować. Oto wstęp „Czytelnika”:

„Książka, która trafia obecnie do rąk Czytelników, powstała w latach wojny. Jej autor, należący do rocznika 1920 – zaginął bez wieści. W roku 1943 lub 1944 rękopis „Dalekiej Północy” znalazł się w posiadaniu Zbigniewa Mitznera, który podczas okupacji gromadził teksty literackie z myślą o ich wydaniu po wojnie. Splot trudnych do ustalenia okoliczności sprawił, że rękopis pozostał nie opublikowany przez wiele lat i odnaleziono go w papierach pośmiertnych Zbigniewa Mitznera dopiero u schyłku lat sześćdziesiątych. W tekście występują pewne luki i niejasności, których Wydawca nie mógł uzupełnić. Niepodobna obecnie ustalić, czy powstały one już w rękopisie Autora, czy też są wynikiem niestarannego przepisywania na maszynie, bezpośrednio po wojnie. Oryginał tekstu, pióra Rogalskiego, zaginął. Wydawnictwo korzystało więc z maszynopisu, który ocalał w papierach Zbigniewa Mitznera.

Edycję „Dalekiej Północy” uzupełniono wspomnieniem Andrzeja Szczypiorskiego o autorze.

Konfrontacja tych tekstów wydaje się interesująca zarówno z uwagi na biografie literackie, jak i mało znane fakty z życia kulturalnego Warszawy w dobie okupacji hitlerowskiej”.

Jak pisze Szczypiorski, Rogalski i on sam poznali najpierw Adama Mauersbergera. Jego mieszkanie na Senatorskiej było jednym z tajnych salonów literackich okupacyjnej Warszawy, a także, wraz z osobą gospodarza, stanowiło bezpieczny i niezawodny port „Wisły”. Tu, jak pisze Szczypiorski, doszło do zawarcia umowy pomiędzy Zbigniewem Mitznerem i Alfredem Rogalskim w sprawie zakupu powieści „Daleka Północ”. Była mowa i o aprowizacji dla autora, jak wspomina żartem Szczypiorski. Powieść swoją Rogalski pisał od października 1942 do 17 lipca 1943, a więc w sierpniu lub wrześniu 1943 wręczył wydawcy rękopis, za co otrzymał 5.000 zł. Tekst został przepisany w trzech egzemplarzach. Na jeden z tych maszynopisów Zbigniew Mitzner naniósł poprawki, korygując zarówno omyłki maszynistki, jak i niektóre potknięcia stylistyczne autora. Rękopis wraz z maszynopisami został zabezpieczony w walizce, ukrytej pod zwalami węgla w piwnicy domku w Komorowie. Po wojnie wraz z całym archiwum „Wisły” został odkopany. Ponieważ nikt się nie

zgłosił po „Daleką Północ” (Zbigniew Mitzner nie miał kontaktu z rodziną autora), powieść pozostała w archiwum do 1954 roku. Rękopis (brulion), prawdopodobnie wraz z jedynym maszynopisem, w roku 1954 przekazany został przez Zbigniewa Mitznera Zofii Nałkowskiej, która patronowała w czasie wojny młodemu autorowi. Potwierdza to zapis Zofii Nałkowskiej w jej dziennikach pod datą 23 listopada 1954 (udostępniony uprzejmie przez Hannę Kirchner):

„23 XI 1954. Czytanie tego zeszytu od Mitznera z tekstem Rogalskiego. Wstrząsająca lektura, zupełnie nowe widzenie wojny – od środka, w jakimś trybie rozważającym. Napisać do jego matki, spróbować na razie wyjątków czy „Czytelnika” (...)

25 XI pisanie z Teresą listu do matki Rogalskiego”.

List ten, datowany przez Zofię Nałkowską 29 listopada 1954 brzmi:

„Droga Pani,

Dopiero teraz udało mi się dostać rękopis Syna Pani z roku 1943, zatytułowany „Północ” – dzięki temu, że odnaleziony został podczas przeprowadzki u ob. Zbigniewa Mitznera, który odesłał mi go przed paru dniami. Czytając ten rękopis, którego wówczas nie znałam, widzę znowu, jak dużym talentem obdarzony był Alfred, jak wiele przeżył i przemyślał przez ten ciężki czas wojny. Zrobię wszystko, żeby książka została wydana. Przeszkody jednak istnieją, gdyż obecnie sposób pisania jest nieco inny i rzecz trzeba będzie z tym uzgodnić. Poza tym ob. Mitzner nie jest już wydawcą, więc musimy zwrócić się do odpowiedniego wydawnictwa. Jak tylko uzyskam jakieś porozumienie, zawiadomię Panią o tym natychmiast.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Zofia Nałkowska”

List ten nie został jednak wysłany. W dalszym prowadzeniu sprawy przeszkodziła Zofii Nałkowskiej choroba. Pisarka zmarła 17 grudnia tegoż roku. Oryginał cytowanego listu znajduje się w posiadaniu Hanny Kirchner i przekazany jej został przez Genowefę Goryszewską.

W ten sposób rękopis Rogalskiego pozostał w papierach Zofii Nałkowskiej i wraz z nimi trafił do Biblioteki Narodowej jako depozyt rodziny pisarki. W tym depozycie figu-

ruje pod numerem katalogowym 74. Jest to brulion w czarno-białej okładce z wiśniowym brzegiem, w linię, z wypisanym na str. 1 tytułem dzieła i nazwiskiem autora. Nazwisko na końcu rękopisu jest przekreślone czerwonym ołówkiem przez Zbigniewa Mitznera.

We wrześniu 1969 wręczyłem Stanisławowi Dygatowi dla orientacji maszynopis nie poprawiony. Wydrukował on fragment „Dalekiej Północy” w *Polityce* (1970, nr 15), poprzedzony wspomnieniami Andrzeja Szczypiorskiego i Jana Górskiego. Następnie Stanisław Dygat przekazał maszynopis „Czytelnikowi”, niestety, nie powiadamiając mnie o tym. Również wydawnictwo nie uczyniło tego, przystępując, po długim zresztą namyśle, do wydania książki. Można było przecież zastąpić maszynopis nie poprawiony zadiustowanym i nie byłoby ani niejasności, ani omyłek. Ten poprawiony egzemplarz znajduje się w archiwum „Wisły”. Istotnie, w niektórych miejscach tekst wydany przez „Czytelnika” jest niezrozumiały.

Jerzy Mieczysław RYTARD („Antoni Buczyński”). „Wspomnienia”; umowa z 31 lipca 1943; suma wypłacona 8.000 zł; tom składa się z rozdziałów: „W oblężonej Warszawie”, „List do Stanisława Ciesielczuka” i „List do trzech przyjaciół”. Fragmenty drukowane były w prasie. Ostatniego rozdziału brak. Do tomu dołączone jest tłumaczenie rozdziału książki „Dziad Iwańczyk” Petra Szekierzyka-Donykiwy. Maszynopis w archiwum „Wisły”.

Juliusz SALONI. Wiadomo, że znajdował się na liście autorów „Wisły”, nie zachowały się jednak żadne dokumenty, wskazujące na konkretne dzieło.

Leon SCHILLER („Lech Rollisen”). „Teatr żywy”; umowa z 15 sierpnia 1943; suma wypłacona 15.000 zł; tom zawierał nowe opracowania „Pastorałki”, „Misterium pasyjno-wielkanocnego”, „Godów weselnych”, „Tańców śmierci”, „Roku staropolskiego” oraz prawdopodobnie „Bandurki”. Rękopis zwrócony został autorowi w maju 1946 za pośrednictwem upoważnionej do tego osoby (prawdopodobnie Ireny Filozof). Jedna karta maszynopisu „Misterium pasyjno-wielkanocnego” znajduje się w archiwum „Wisły”. Ukazało się ono w opracowaniu J. Timoszewicza w roku 1990.

Tegoż autora projekt serii wydawniczej „Biblioteka Dzieł Dramatycznych”. Części przewidziane: a) literatura obca, b) dawniejsza literatura polska, c) nowsza literatura polska. Umowa nie zachowała się; suma wypłacona za opracowanie koncepcji serii nieznaną. W archiwum „Wisły” zachował się konspekt.

Warto tu przytoczyć przy okazji fragment artykułu Zbigniewa Mitznera z 6 maja 1945 pt. „Jeszcze o książce”, drukowanego w *Odrodzeniu* (1945, nr 23). Fragment ten pozostał tylko w maszynopisie, gdyż redakcja go skreśliła.

„Chcę zabrać głos w arcyważnej kwestii podniesionej przez Kotta w artykule o ‘sprawie książki’. Trochę się przecież na ten temat czasu Generalnej Guberni nie tylko myślało i rozmawiało, ale także – o dziwo – robiło. Nie ma to dziś, oczywiście, wielkiego znaczenia, było to bowiem wówczas, gdy Schiller ubolewał nad ubóstwem literatury teatralnej, a działo się to w jego pokoju w ‘Prudentialu’, gdzie się gość z trudem przemykał między książkami. W czasie owych sympozjonów nie raz i nie dwa Leon gestem smutnym wskazywał na pękata komodę – pełną staropolskich melodii i białal basem: ‘A to kiedy pan wyda’. Dziś kłopoty odpadły: komody nie ma, melodii nie ma, nie ma i jego biblioteki – pozostało parę kartek, skreślonych przez Schillera, wyrażającego program minimalnych książkowych potrzeb teatru polskiego.

Było to w owych czasach, gdy na przekór łapankom, w ogródku ‘Batavii’ z profesorem Krzyżanowskim snuło się marzenia o wznowieniach klasyków. A teraz nie ma i drugiej biblioteki Profesora – mamy sytuację inną: nową, jeszcze bardziej tragiczną, spowodowaną powstaniem sierpniowym i dalszymi działaniami wojennymi na terenie kraju”.

(O Schillerze jako autorze „Wisły” i innych teatraliach zob. P. Mitzner „Teatralia w archiwum ‘Wisły’”, *Pamiętnik Teatralny* 1977, z. 3).

W tym miejscu warto może tylko wspomnieć, że Zbigniew Mitzner był jednym z doradców powołanej przez Schillera Konspiracyjnej Rady Teatralnej.

Kazimierz Zenon SKIERSKI („Antoni Piotrowski”). Powieść „Nieurodzaj”; suma wypłacona 15.000 zł; wydane; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora powieść „Kontrakt z Halucynacją”; z rękopisu ocalało jedynie 5 pierwszych kart, znajdujących się w archiwum „Wisły”.

Ada SOBIENIOWSKA. Tłumaczenie G.B. Shawa „Prze-

wodnik inteligentnej kobiety”; losy maszynopisu nieznanne; w archiwum „Wisły” zachowało się jedynie w rękopisie 46-stronicowe streszczenie;

Florian SOBIENIOWSKI (bez pseudonimu). Tłumaczenie O'Neill'a sztuki w 4 aktach „Anna Christie”; sztuka grana przed wojną; maszynopis w archiwum „Wisły”.

Tegoż autora tłumaczenie G.B. Shawa komedii politycznej w III aktach „Wielki kram”; sztuka grana przed wojną. W archiwum „Wisły” zachował się fragment maszynopisu.

Tegoż autora tłumaczenie sztuki A. Kennedy Gould i E. Russel „Odwrót od szaleństwa”; maszynopis w archiwum.

Józef STACHOWSKI. Tom wierszy „Ku ziemi”; fragmenty tego tomu weszły w skład „Poezji”, wydanych w 1958. W skontaktowaniu się z „Wisłą” dopomógł autorowi Ryszard Matuszewski.

Leopold STAFF („Stanisław Stopa”). Tłumaczenie „Kwiatków św. Franciszka z Asyżu”; umowa z 7 sierpnia 1943; suma wypłacona 3.000 zł; wydane; wznowienie.

Tegoż autora tłumaczenie „Benvenuta Celliniego żywota spisane przez niego samego”; umowa z 7 sierpnia 1943; suma wypłacona 7.000 zł; wznowienie; wydane.

W felietonie „Nasza kronika” („Świat 1957, nr 23) Zbigniew Mitzner tak wspomina okupacyjne spotkanie ze Staffem:

„...Wiele lat chciałem poznać swego Poetę. Stało się to dopiero w czasie wojny. Edward Boyé zaprowadził mnie o zmierzchu na ulicę Koszykową tuż przy Mokotowskiej. Serce biło mi mocno i zupełnie po sztubacku. Bałem się, jaki On jest. Otworzył nam drzwi starszy pan z bródką, okrywający barki kobiecą, ciepłą chustą. Rozmowa przebiegała gładko, wśród nastroju lekkiego, życzliwego dowcipu. Poeta nie drapał się na własny pomnik, mówił o sprawach codziennych, trudnych i drobnych.

Wyszliśmy na ulicę, na tę ówczesną warszawską ulicę, pełni tym bardziej staffowskiej poezji, mimo że o wierszach w ogóle mowy nie było...”.

Stanisław STEMPOWSKI („Paweł Kurhański”). „Wspomnienia” – tom I; umowa z 6 sierpnia 1943; suma wypłacona 7.000 zł; wydane.

Tegoż autora tłumaczenie powieści W. Wieriesajewa „Bez wyjścia”; rękopis w archiwum „Wisły”.

Janusz STĘPOWSKI („Władysław Więckowski”). Tom wierszy „W świecie i w domu”; umowa z 19 sierpnia 1943; suma wypłacona 4.000 zł; maszynopis w archiwum.

Tegoż autora opracowanie do druku pamiętnika Teofila Łapińskiego „Powstańcy na morzu w wyprawie na Litwę...” („Morska wyprawa 1863 r.”); suma wypłacona 7.500 zł; maszynopis w archiwum.

Anna ŚWIRSZCZYŃSKA. Sztuka „Orfeusz” („Orfeusz i Eurydyka”) – I wersja po wojnie grana; wydana; maszynopis przekazany autorce w 1970, drugi egzemplarz w archiwum „Wisły”. „Orfeusz” odznaczony został drugą nagrodą w konspiracyjnym konkursie dramatycznym w Warszawie w 1943. W skład jury wchodził m.in. Leon Schiller i Zbigniew Mitzner, który zakupił wtedy część nagrodzonych bądź wyróżnionych sztuk, oprócz „Orfeusza” także np. „Apel” Jana Dobraczyńskiego.

Tej samej autorki bajka pt. „O Misiu Trębaczu”; („O niedźwiadku”); wydana.

Władysław TATARKIEWICZ („Władysław Łukowski”). „Historia filozofii”; wydane.

Tegoż autora zbiór szkiców „Architektura polska”; umowa z 4 września 1943; suma wypłacona 5.000 zł; losy maszynopisu nieznane.

Andrzej TRZEBIŃSKI. Dramat „Aby podnieść różę”; suma wypłacona 5.000 zł.

Po wojnie w 1945 lub 1946 jeden z maszynopisów oddany siostrze autora. Drugi egzemplarz z odręcznymi poprawkami autora i Mitznera znajduje się w archiwum. Drukowana i wystawiana.

Autor w swoim dzienniku sygnalizuje także, iż zobowiązał się do sprzedaży „Wiśle” powieści „Kwiaty z drzew zakazanych”, która w uprzednim zamiśle miała nosić tytuł „Drzewo wiadomości złego i dobrego”. W dokumentacji zobowiązaniu temu odpowiada pozycja „Drzewo” z wypłaconą sumą 9.000 zł. Egzemplarza powieści autor nie złożył, gdyż jeszcze nad nią pracował. Rękopis zachował się jednak gdzie indziej, większe jego fragmenty wydał „Pax” w 1972.

Władysław UMIŃSKI. Powieść „Zaziemskie światy” („Wyprawa na Venus”), zaliczka wypłacona 2.000 zł; wydane.

Jan WAŚNIEWSKI („Antoni Banasik”). Tom opowiadań „Po dniówce”; umowa z 19 sierpnia 1943; suma wypłacona 3.000 zł; wznowienie.

Bronisław WIECZORKIEWICZ („Józef Telehuj”). Praca językoznawcza „Wyrazy obelżywe”; suma wypłacona 10.000 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora „Reflektorem po historii” – zbiór anegdot o wieku XVIII; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Tegoż autora dwie prace o gwarze; maszynopisy zniszczone w czasie powstania; w archiwum „Wisły” z obu pozostały pojedyncze kartki.

Tegoż autora dramat „Druga śmierć Sokratesa”; umowa z 15 kwietnia 1944; suma wypłacona 5.000 zł; losy maszynopisu nieznanne.

Władysław WIKLER. Powieść „Córka szpiega”; zaliczka wypłacona na kilka dni przed wybuchem powstania – 200 zł; maszynopis zniszczony w czasie powstania, w archiwum 1 kartka z „Prologu”.

Tegoż autora powieść „Agentka 17 Drugiego Wydziału”; zaliczka nie wypłacona; maszynopis zniszczony w czasie powstania.

Stanisław WINDAKIEWICZ. Był na liście autorów „Wisły”, nie zachowały się jednak żadne dokumenty, dotyczące konkretnych prac.

Władysław WITWICKI. Tłumaczenia i opracowania dialogów Platona: „Państwo” (suma wypłacona 10.000 zł), „Polityk”, „Sofista”, „Eutydem” – (po 5.000 zł); wznowienia; wydane.

Tegoż autora rozprawa „Lukian”; suma wypłacona 5.000 zł; wznowienie; wydane.

Teofil WOJEŃSKI. „Historia Literatury Polskiej” (dwa tomy); wydane.

Marcin WOYCZYŃSKI. „Okruchy wspomnień”; autor nie złożył pracy w całości. Ocalałe fragmenty drukowane były w *Tygodniu* 1947, nr 9; rękopis w archiwum.

Kazimierz WYKA („Trawa”). „Esseje”; zaliczka wypłacona 3.000 zł. Autor pracy nie złożył.

Tegoż autora obszerny esej „Pesymizm a odbudowa człowieka”; maszynopis pozostał w archiwum, ponieważ Wyka, który czytał ów tekst w roku 1970 sam nie był pewien jego autorstwa.

Jerzy WYSZOMIRSKI, pseudonim nieznanym; tłumaczenie N. Niekrasowa „Jesienna nuda”; suma wypłacona 5.000 zł; wydane.

Jerzy ZAGÓRSKI („Anzelm Niezwojewski”). Tom wierszy „Rymy męskie” („Poezje Niezwojewskiego”); umowa z 5 sierpnia 1943; suma wypłacona 4.000 zł; niektóre wiersze włączone zostały po wojnie do tomu „Wieczór w Wieliszewie”; maszynopis zwrócony autorowi w 1971.

Grzegorz ZAŁĘSKI. Antologia „Satyra w konspiracji 1939-1944”; wydana; maszynopis w archiwum.

Jerzy ZAWIEYSKI. Powieść „Droga do domu”; wydana. Część maszynopisu znajduje się w archiwum „Wisły”. O tym maszynopisie chyba właśnie wspomina Antoni Bohdziewicz w swoim liście z Łodzi z 20 maja 1945 do Zbigniewa Mitznera: „Załączam część rękopisu powieści (sfotografowanej), którą znalazłem ostatnio w gruzach”.

Jadwiga ŻYLIŃSKA. Opowiadanie „Stig Ulsen i Rosemunda”; zaliczka prawdopodobnie nie została wypłacona z powodu wybuchu powstania; wydane.

Bogdan ŻYRANIK. Rozprawa „Przeciwieństwo bóstwa-drzewa” i bóstwa-kamienia w wyobrażeniach ludowych”. Choć miało to być wznowienie, autor złożył egzemplarz pierwszego wydania z 1934 z licznymi poprawkami i uzupełnieniami (w archiwum).

Eugeniusz ŻYTOMIRSKI. Był na liście autorów „Wisły”, ale nie zachowały się żadne dokumenty, dotyczące konkretnych utworów.



W archiwum „Wisły” znajdują się ponadto teksty, których autorstwa dotychczas nie udało się wyjaśnić.

- Bajka wierszem dla dzieci „Genio”.
- Zbiorek wierszy dla dzieci („Ruśtamy się”, „Nasz domek”, „Nasz ogródek”, „Gołąbek”, „Świerszczyk”, „Talerzyk Jerzyka”, „Tomuś i piesek”).

– Opowiadanie „Artysta w czarnych okularach” – akcja toczy się w Warszawie podczas okupacji. Pewne realia wskazują na to, iż bohaterem opowiadania mógłby być Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Drukowane w *Kulturze* 1977, nr 33.

– Konspekt dzieła „Pozytywizm polski”.

– Esej „Katolicyzm”; maszynopis znajduje się obecnie w archiwum „Paxu”, gdyż istniało domniemanie, że jego autorem jest Włodzimierz Pietrzak.

– Konspekt proponowanej do przekładu pracy C. Hardy’ego „La politique coloniale et les partages de la terre”.

W spisie dzieł zakupionych dla „Wisły”, figuruje także dziesięć tytułów, co do których brak bliższych informacji.

1. „Celnicy”; suma wypłacona 5.000 zł:

2. „Wiersze filmowe”.

3. „Ryszard z Bordeaux” (154 strony – według rachunku maszynistki). Nie wykluczone iż był to przekład sztuki historycznej Elisabeth MacKintosh, wydanej przed wojną pod pseudonimem Gordon Daviot (później autorka podpisywała się: Josephine Tey).

4. „Kwestia”; objętość 34 strony maszynopisu.

5. Tłumaczenie „Eugeniusza Oniegina” Aleksandra Puszkina. Przepuszczalnie autorem przekładu był Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

6. „Nowele Sujk”.

7. „Notatki historyczne”.

8. „Szarady”.

9. „Bajki”. Być może chodzi tu o zbiór klechd polskich Stanisława Dzikowskiego.

10. „Notatki”.

Nie wyjaśnionych pozostaje jeszcze kilka kwestii. Na przykład sprawa pamiętników Stefana Jaracza. W kołach literacko-teatralnych krążyły swego czasu pogłoski, że znajdowały się one w portfelu wydawniczym „Wisły”. W dokumentacji nie ma żadnego śladu, potwierdzającego te przypuszczenia. Wprawdzie Zbigniewa Mitznera łączyły z aktorem przyjazne i serdeczne stosunki, ale prawdopodobnie ktoś inny wcześniej zawarł umowę z Jaraczem.

Janusz Minkiewicz w artykule „Pozory życia kulturalnego” (*Odrodzenie* 1944, nr 1) wspomina, że podczas oku-

pacji ta sama firma wydawnicza, która zakupiła pamiętniki doktora Woyczyńskiego, nabyła także wspomnienia Jana Cyniana. A więc, bez wątpienia chodzi tu o „Wisłę”. W felietonie „Tak i nie” (*Kultura* 1967, nr 14), Zbigniew Mitzner pisze, że Jana Cyniana poznał, odsiadując przed wojną w więzieniu któryś ze swych wyroków za działalność prasowo-polityczną, w czasie wojny zaś: „...Cynian przypominał mi się. Ktoś doręczył mi kilkadziesiąt kartek z zeszytu w kratkę, zapisanych równo i czytelnie. Był to początek pamiętników, które Cynian zaczął spisywać, taktownie widać z powodu panujących wówczas okoliczności, wycofawszy się ze swego proceduru. Niestety, kartki zaginęły”. Otóż sprawa jest o tyle ciekawa, że Wiech w swoich wspomnieniach „Pięte przez dziesiąte” pisze, iż postać słynnego hochsztaplera, który miał jakoby sprzedać naiwnym kolumnę Zygmunta, tramwaj i rogatkowe przy moście Kierbedzia wymyślił dla uciechy czytelników Władysław Zambrzycki w *Expressie Porannym*. I teraz w końcu nie wiadomo: istniał Cynian w rzeczywistości czy nie. Tak zwanych farmazonów w Warszawie nigdy nie brakowało, bywali tacy i po wojnie. Może któryś z nich podszył się pod postać, wymyśloną przez Zambrzyckiego, która zyskała sobie duży rozgłos.

Trzecia sprawa dotyczy powieści Kazimierza Zenona Skierskiego „Głodne żywioły”. Z notatek Zbigniewa Mitznera wiadomo, że w czasie wojny czytał rękopis tej powieści. Czy jednak zakupił ją, nie wiadomo. Wydała ją w 1947 „Wiedza”, która przyjęła wiele pozycji z zasobów „Wisły”.

Kolejną nie wyjaśnioną pozycją jest ilość prac Krońskiego, zakupionych przez „Wisłę”. Zachowane zapiski wskazują, że dzieł tych zakupiono dwa: „Faszyzm a futurizm” i „Faszyzm a tradycja europejska”. Natomiast Irena Krońska przypuszcza, że Zbigniew Mitzner zakupił również rozprawę „O wyobraźni politycznej”. Maszynopis tej pracy nie zachował się nigdzie.

Według relacji Adama Mauersbergera, który ułatwił wiele kontaktów między „Wisłą” i twórcami, Zbigniew Mitzner pertraktował z Zofią Nałkowską w sprawie zakupu jej powieści „Węzły życia”. Czy sprawa ta została sfinalizowana, nie wiadomo. Z kwitów zachowanych w archiwum „Wisły”

wiadomo, że zostały zawarte cztery umowy z Zofią Nałkowską, zachowały się jednak tylko trzy. Być może ta czwarta dotyczyła właśnie „Węzłów życia”. Jeśli tak, to czemu Nałkowska 9 stycznia 1945 zawarła na tę powieść umowę z Władysławem Ryńcą. Prawdopodobnie Mitznerowi wyczerpały się już w tym czasie fundusze, którymi dysponował i po prostu musiał od umowy odstąpić oraz zaniechać dalszego finansowania pracy autorki.

W sumie „Wisła” zakupiła około 200 dzieł. Jest to dużo w porównaniu chociażby z plonem konspiracyjnego Spółdzielczego Instytutu Wydawniczego, o którym Stanisław Pazyna w pracy „Z dziejów książki polskiej w czasie drugiej wojny światowej” (Warszawa 1970, s. 258) pisze, że „mógł poszczycić się zgromadzeniem około 50 prac przygotowanych przez wybitnych literatów i naukowców”. Z dokumentów wynika, że w 1941 roku wydał on na honoraria autorskie 30.000 zł. Na marginesie warto wspomnieć, iż wiele nazwisk twórców – kontrahentów SIW i „Wisły” pokrywa się. Tych 200 pozycji nie zamyka zresztą całości akcji wydawniczej „Wisły” – bez wątplenia zakupiono więcej tytułów, lecz dotycząca ich dokumentacja, podobnie jak część maszynopisów, uległa zniszczeniu podczas powstania. Przepadło około 90 maszynopisów i rękopisów. Wydawnictwo „Wisła” dysponowało ilością około 3 i pół tysiąca arkuszy. Z pozycji zakupionych przez Zbigniewa Mitznera ukazało się po wojnie drukiem – bądź w formie książkowej, bądź też na łamach czasopism – co najmniej 80 tytułów. Ponieważ w 1945 wydawnictwo „Wisła” nie podjęło działalności, Zbigniew Mitzner większości autorów zwrócił ich rękopisy, w wielu wypadkach ułatwiając im jednocześnie zawarcie umów z wydawnictwami, z którymi był związany, np. z „Wiedzą”, i z PIW-em. W sumie spadek po „Wiśle” przejęły:

„Wiedza”, wydając: Heleny Boguszewskiej „Całe życie Saby”, Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie”, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Spartakusa”, Jarosława Iwaszkiewicza „Nowele włoskie”, Wandy Melcer „Wyspę szczęścia”, Juliana Krzyżanowskiego „W świecie bajki ludowej”, Adama Lewaka „Za waszą i naszą wolność”, Stefana Otwinowskiego „Czas niehumaniczny”, Teofila Wojeńskiego „Historię

literatury polskiej”, Grzegorza Załęskiego „Satyrę w konspiracji”, Poli Gojawiczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipek”, Witolda Jabłońskiego tłumaczenie Lao-Sze, Haliny Krahełskiej „Kocioł śmierci” (w opracowaniu Kazimierza Błęszyńskiego – zniszczone w szpaltach), Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”, Leopolda Staffa tłumaczenie pamiętników Benvenuto Celliniego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Śpiew z Pozogi”, Zofii Nałkowskiej „Niedobrą miłość”.

„Książka” Seweryna Pollaka tłumaczenie „Borysa Godunowa” i Jerzego Zagórskiego „Wieczór w Wieliszewie”.

Wydawnictwo Józefa Kubickiego – Jana Stanisława Bystronia „Warszawa”.

Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana w Krakowie, wydając „Orfeusza” Anny Świrszczyńskiej.

Jak również „Czytelnik”, PIW oraz w późniejszym nieco czasie PWN, „Pax” i Wydawnictwo Literackie.

W dokumentach, dotyczących akcji „Wisła”, bardzo często przewija się nazwisko Kazimierza Zenona Skierskiego, występującego przy tej okazji w roli współwydawcy pod pseudonimem „Karol Kwiatkowski”. Początkowo Skierski był kierownikiem Wydziału Wydawniczego organizacji Jutro Polski Niepodległej a następnie szefem Oficyny Warszawskiej. Trudno w tej chwili powiedzieć, kto wystąpił z inicjatywą połączenia obu akcji wydawniczych, w każdym razie doszło do tego już latem 1943 roku i Skierski – aczkolwiek na zawieranych przez „Wisłę” umowach z autorami nie figurował jako wydawca – włączył się w działalność firmy wraz z własnym portfelem wydawniczym.

Nie doszło natomiast do połączenia „Wisły” z podobną akcją wydawniczą Władysława Ryńcy. Z planem takim wystąpił Czesław Miłosz – autor „Wisły” i współpracownik Ryńcy.

„Jako agent – wspomina w „Rodzinnej Europie” – zrobiłem próbę połączenia nie istniejącego domu wydawniczego z innym, również nie istniejącym, tak samo opartym na dochodach z czarnego rynku. Rokowania trwały długo, jak zwykle, kiedy w grę wchodzi skarb na nie istniejącej wyspie. Szczytowym punktem moich powodzeń był obiad z udziałem obu stron w jednej z wytwornych restauracji, jakie zakładali wtedy bezrobotni aktorzy i

malarze, umiejący nadać dekoracji wewnątrz wiele wdzięku. Piliśmy najlepsze francuskie wina i koniaki, zabawiani przez piosenkarza z akordeonem, choć ta ucztą, mająca przypieczętować ugodę, okazała się tylko wstępem do dalszego i już beznadziejnego sporu o procenty. Zresztą pod podszewką tych finansowych zmagani czaił się nasz śmiech, bo wszyscy trzej, a więc W. (Władysław Ryńca), jego niedoszły partner i ja, należeliśmy do tej samej socjalistycznej organizacji, która wyłoniła się z grupy działającej w Wilnie na początku wojny” („Rodzinna Europa”, Warszawa 1990, s. 256).

Czy lista udziałowców spółki wydawniczej „Wisła” zamyka się w kręgu nazwisk wymienionych na początku tego sprawozdania, z dołączeniem Skierskiego? Trudno to już dziś stwierdzić, gdyż ze zrozumiałych względów żadnych dokumentów w tej sprawie nie sporządzono. Być może jeszcze jakieś osoby prywatne lub organizacje przyczyniały się do powiększenia funduszy akcji. Może niektórzy z udziałowców mieli rozleglejsze stosunki czy powiązania i odgrywali rolę jak gdyby pełnomocników jakiejs zagranicznej firmy wydawniczej, zakonspirowanych na czas wojny – nie wiadomo. Antoni Trepiński w nieopublikowanym wspomnieniu o Alfredzie Lauterbachu napisał: „Zbigniew Mitzner był pełnomocnikiem spółki finansistów – jak mówiono szeptem, londyńskiej firmy wydawniczej Kolin (Kohn & Lindenfeld) – przygotowującej się do uruchomienia wydawnictwa ‘Wisła’ po wojnie”.

Grono najbliższych współpracowników „Mariana Zawadzkiego” było dość liczne – lecz, oczywiście, z uwagi na konieczność ścisłej konspiracji, wszelkie kontakty były raczej nieformalne. Dokumentem tego życia towarzyskiego jest list Stanisława Dygata do Jarosława Iwaszkiewicza (bez daty, prawdopodobnie: 1943, rękopis w Muzeum im. A. i J. Iwaszkiewiczów na Stawisku):

„Drogi Jarosławie! W nadchodzący poniedziałek 30 bm. wybieramy się na Bielany w następującym składzie: Andrzejewscy, Miłoszowie, Kropka Gosławska i ja, ewentualnie nasz drogi Micio (Mitzner – P. M.). Niech go nam Bóg chowa w zdrowiu! Może ktoś jeszcze. Chcielibyśmy bardzo, żebyś zechciał wybrać się z nami. Program wycieczki przewiduje wylegiwanie się na słońcu, względnie w cieniu, pławienie się w Wiśle itp., oraz zjedzenie obiadu u Bochenka. W razie niepogody nie rezygnujemy z ekskursji, tyle, że program ograniczy się do Bochenka”.

Spotykano się, naradzano i zawierano umowy bądź w mieszkaniu Adama Mauersbergera przy Senatorskiej, bądź w innych mieszkaniach prywatnych czy lokalach. Wiemy o spotkaniach w salonie Kazimierzowej Morawskiej, na Stawisku, w mieszkaniu Leona Schillera w „Prudentialu”, na Kłownej, w mieszkaniach autorów. Spotykano się czasami w „Batavii”. Niektórym autorom, może najbardziej młodym, ten rodzaj kontaktów wydawał się czasem nieco szokujący, jak wspomina o tym Andrzej Szczypiorski w posłowie do „Dalekiej północy”, czy Andrzej Trzebiński w swoim dzienniku.

Oczywiście, ani szef „Wisły” ani jego współpracownicy nie mogli dotrzeć do wszystkich pisarzy, którzy pracowali właśnie nad interesującymi książkami, lub byli w potrzebie. W doborze nabywanych książek też zdarzały się pomyłki artystyczne. Znalazły się w portfelu „Wisły” książki, które sami autorzy po wojnie uznali za niewarte druku.

Nie można jednak zarzucać pracownikom „Wisły”, że jak to sugerował Adolf Rudnicki („Krakowskie Przedmieście pełne deserów”, Warszawa 1986, s. 69) stosowali w doborze autorów kryteria rasowe i dlatego nie zwrócili się na przykład do niego, czy do Mieczysława Jastruna.

W towarzyskim charakterze prowadzenia „Wisły” nie było nic udawanego. Rzeczywiście, w gronie bliskich sobie ludzi rodziły się wszystkie owe pomysły, które miałyby nadać po wojnie kształt całemu przedsięwzięciu, dotyczące pisma literacko-społecznego czy profilu wydawnictwa. Niewyczerpaną inwencję wykazywali w tej mierze Adam Mauersberger, Bronisław Wieczorkiewicz, Eryk Lipiński, Stanisław Dygat, Czesław Miłosz.

Zygmunt Klukowski, dyrektor szpitala w Szczepieszynie, w „Dziennikach z lat okupacji Zamojszczyzny (1939-1944)” (wyd. II, Lublin 1959, s. 373-374) zanotował pod datą 10 października 1943 roku:

„W Warszawie byłem 3 dni (...) Miałem możliwość zauważyć, że w szeregach organizacji wre gorączkowa robota. Ale najwięcej zaimponowała mi praca nad przygotowaniem przyszłej działalności wydawniczej. Ma powstać nowe wydawnictwo „Wisła”. Zgromadziło już ono bardzo dużo utworów literackich najwybitniejszych pisarzy polskich, którzy jeszcze jakoś utrzymali się na wolności.

Pierwsza publikacja pt. „Pierwsza książka” ma być wydana natychmiast po wyjściu Niemców. Będzie to swego rodzaju prezentacja pisarzy polskich. Ukażą się w niej drobne utwory wszystkich niemal literatów, którzy coś tworzyli w czasie wojny. U kierownika artystycznego tego wydawnictwa, malarza i karykaturzysty Eryka Lipińskiego, mego bliskiego kuzyna, widziałem cały szereg rysunków do poszczególnych książek³.

Miało też wydawnictwo „Wisła” swoich recenzentów i lektorów, najczęściej chyba spełniających swe obowiązki ustnie. Jednym z nich był Juliusz Saloni, który 20 kwietnia 1945 roku złożył takie oto oświadczenie pisemne:

„Stwierdzam niniejszym, że w roku 1943 i 1944 współpracowałem z ob. Zbigniewem Mitznerem, używającym wówczas nazwiska „Marian Zawadzki” lub „Zbigniew Dąbrowski”. Pełniłem obowiązki pośrednika w dostarczaniu wartościowych rękopisów naukowych ze sfer uniwersyteckich i lektora oceniającego przedłożone lub oddane mi do oceny prace. Stwierdzam, że działalność przygotowawczo-wydawnicza ob. Mitznera, w zakresie mi znanym była, ze względu na nędzę sfer naukowych, niezwykle pożyteczna (...)”.

Recenzenci otrzymywali określone stawki. Niestety zachował się tylko jeden kwit – na 500 zł z 28 listopada 1943 podpisany właśnie przez Juliusza Saloniego jako lektora „Wisły”.

Do zespołu „Wisły” należeli jeszcze ludzie, których działalność można byłoby zaliczyć do roli techniczno-administracyjnej, gdyby nie warunki, w jakich przyszło im pracować. Tak więc: Antoni Bohdziewicz ze swym współpracownikiem podjął się mikrofilmowania tekstów. Wprawdzie część mikrofilmów oraz rękopisy przekazane mu do przefotografowania w lipcu 1944 spłonęły w czasie powstania w jego mieszkaniu przy ul. Szpitalnej, lecz część rolek zachowała się. W ten sposób można było przystąpić od razu po wojnie do wydania dzieła Handelsmana o Czartoryskim. Uważam za właściwe przytoczyć tu *in extenso* cytowany już list – oświadczenie Antoniego Bohdziewicza, dotyczący tej sprawy. Świadczy on o tym, jak powojenne trudności rzutowały na rozwiązanie się „Wisły”, jak okrężne i skomplikowane były drogi kontaktowania się osób zainteresowanych.

3. Eryk Lipiński wykonał też projekt znaku firmowego i winiety czasopisma *Wisła* (zniszczone w czasie powstania).

Obywatel Zbigniew Mitzner

Przesyłamy zostawioną nam kartkę przed
wyjazdem Bohdziewicza do Krakowa

/-/ ppor. Rodowicz⁴

Za pośrednictwem Obywateli przesyłam na ręce ob. Mitznera następujące wyjaśnienie: „po otrzymaniu negatywów w Krakowie, z rąk osoby, która je uratowała i po wywołaniu tego, co nie było wywołane – zapakowałem wszystko w jedną paczkę, nie badając dokładnie co jest na taśmie, a czego nie ma. Rozżalony zagubieniem moich prywatnych rzeczy i rękopisów – nie miałem zdrowia badać, co ja, w przeciwieństwie do Mitznera, uratowałem. Z kilkudziesięciu pozycji, sfotografowanych – co mogę przypomnieć sobie bez zaglądania do negatywów? To np. że na pewno jest Handelsman, bo to była pierwsza rzecz, jaką robiłem. Że jest Bystron o Warszawie (?), Krzyżanowski coś bardzo dużego, że jest jedna powieść Brezy (ale która? ‘Mury Jerycha’ czy ‘Biała laska’ czy obie – już nie pamiętam). Jest część pastorałek Schillera, ale to był bardzo zły maszynopis, więc nie rękę za skutek. Jest na pewno zdaje się ‘Wieczór Trzech Króli’ w przekładzie Stasia Dygata itp. Prawie na pewno nie była w ogóle sfotografowana rzecz Mauersbergera ‘Aleksander Walewski’. Pamiętam, że był to maszynopis z licznymi uwagami pisanymi ręcznie. Po paru nieudanych próbach odłożyłem to dla aparatu Leica. Sam tego nie sfotografowałem na pewno, ale mógł to zrobić mój Zdzisio. Czy zrobił?

Zaraz po powrocie do Krakowa i po ukończeniu zdjęć – czwartek, piątek zrobię dokładny spis wszystkiego co jest, posklejam taśmy itd.

Przypominam: to co jest na taśmie leicowskiej można odczytać za pomocą zwykłego powiększającego szkła, to co jest na taśmie 16 mm wymaga użycia małej maszynki projekcyjnej, najlepiej Leica.

Ant. Bohdziewicz

Łódź, 20 V 45

PS. Proszę poprosić Mitznera, żeby jadąc do Krakowa – koniecznie zabrał pozostałe dwa maszynopisy mojej pracy, gdyż w tym, który dostałem – brak rozdziału o montażu, brak dla mnie w obecnej chwili bardzo dotkliwy. Rozdział ten znajduje się prawdopodobnie w innych teczkach.

Zalączęm część rękopisu powieści (sfotografowanej), którą znalazłem ostatnio w gruzach.

AB”

4. Prawdopodobnie ppor. Rodowicz związany z org. „Miecz i Pług” organizującą z gestapo „Hotel Polski”.

Dodatkową informację na temat materiałów fotograficznych pozostających w posiadaniu Bohdziewiczza, zawiera list Stanisława Wohla do Zbigniewa Mitznera z 5 czerwca 1945:

„Negatywy Obywatela, jak również koperta z fotografiami umów autorskich, jak również pisemne oświadczenie Bohdziewiczza, że oddaje wszystko, co z negatywów było w skrytce warszawskiej – znajdują się w moich rękach od dnia 3 VI.

Komunikując o powyższym, proszę Obywatela o możliwie szybki zwrot rzeczy Bohdziewiczza, tj. walizy z ubraniami i butami, jak również reszty egzemplarzy jego rękopisu i notatek”.

Zapytywany w latach siedemdziesiątych Stanisław Wohl, niestety, nie przypominał sobie, kiedy i w jakich okolicznościach nastąpiła wymiana cennych fotokopii na walizkę z butami. W każdym razie ani mikrofilmów ani fotokopii umów w archiwum „Wisły” nie ma.

Prawie każdy autorski maszynopis lub rękopis był przepisywany w trzech egzemplarzach.

Teksty przepisywały na maszynie m.in. J. Brzozowska, Zofia Lewakowa, Stanisława Jagodzińska i Jadwiga Gosławska. Sekretarzewała „Wiśle” z poświęceniem Hanna Wertheimowa (później Grossowa), córka mecenasa Szumańskiego.

Przy okazji warto dodać, że umowy zawierane, względnie podpisywane były przeważnie w obecności świadka. Najczęściej bywał nim chyba Adam Mauersberger, co zaznaczał Zbigniew Mitzner na fiskach z kartoteki sygnaturą „M.św.”, jak np. przy umowach z Jarosławem Iwaszkiewiczem na „Nowele włoskie” i „Ciemne ścieżki”.

W akcji „Wisły” niezwykle istotną była sprawa wysokości „zaliczek”, będących w istocie rzeczy czymś w rodzaju stypendium czy też vadium, aczkolwiek formalnie dotyczyły one przeważnie zapłaty za prawo przedruku tekstu w mającym powstać czasopiśmie. Na marginesie dodam, że po wojnie niektórzy z autorów zwrócili te pobrane „zaliczki” częściowo lub w całości. Trudno dziś ustalić listę tych osób, lecz wiadomo, iż znajdowali się wśród nich: Stanisław Stempowski, Pola Gojawiczyńska i Stanisław Dygat. Zebrana w ten sposób suma 99 tysięcy złotych powojennych została wręczona wdowie po jednym z udziałowców „Wisły”,

Wiktorze Lipińskim, która pokwitowała jej odbiór jako „Żeliszawa Figurska”. Działo się to w roku 1947 albo 1948, co trudno precyzyjnie stwierdzić, gdyż kwit nie ma daty.

Zaliczki wypłacane były według ustalonych stawek, a mianowicie: za powieść – 5 do 15.000 zł; za esej – 3 do 5.000 zł; za opowiadanie – 2 do 5.000 zł; za tom wierszy – 4 do 10.000 zł; za dramat – 3 do 5.000 zł; za prace naukowe – 5 do 25.000 zł.

Jaka była wartość tych kwot? Najlepszą odpowiedzią na to może być oświadczenie Wandy Melcer, złożone 9 kwietnia 1945, w którym pisarka stwierdza:

„W lecie 1943 p. Zbigniew Mitzner zaproponował mi nabycie moich rękopisów. Nie zwracałam się z nimi przedtem do innych wydawców, ale słyszałam od kolegów, że najwyższe stawki za powieść wynosiły około 4.000 zł. P. Mitzner nie tylko wypłacił mi po 15.000 zł za rękopis, ale i umowa, którą ze mną zawarł, była tego typu, że dawała p. Mitznerowi tylko niejako prawo do druku, podczas kiedy właściwe honorarium w stosunku 15% miało być uiszczone podczas drukowania. Stwierdzam więc, że p. Mitzner położył prawdziwe zasługi przysługujące z pomocą literatom polskim w czasie, kiedy nic nie mogliby drukować:

po pierwsze dając duże zaliczki,

po drugie – wpływając pośrednio na podniesienie cen rękopisów na rynku, gdyż nawet ci, od których nic nie zakupił, powoływali się na jego warunki i ceny,

po trzecie, ratując wielką ilość rękopisów do zniszczenia, gdyż liczni koledzy, ja między innymi, prócz złożonych u niego, nie zachowaliśmy swoich powieści.”⁵

W tym czasie miesięczny istotny koszt utrzymania rodziny robotniczej wynosił przeciętnie 2.877 zł, a więc około 720 na osobę. Zatem autor, który zainkasował w „Wisłę” powiedzmy 10.000 zł, otrzymał tyle, ile wydawał na swe utrzymanie – bardzo oczywiście skromne – jeden członek rodziny robotniczej mniej więcej przez rok.

5. Oświadczenie to, podobnie jak inne, dalej cytowane, złożone zostało przez niektórych autorów „Wisły” w związku z rozprawą przed Centralnym Sądem Partyjnym PPS. Ponieważ przeciwko Mitznerowi wysuwano prywatnie różne oskarżenia w związku z jego działalnością okupacyjną, sam prosił o zwołanie Sądu w jego sprawie. Świadkowie wykazali bezzasadność zarzutów. W archiwum „Wisły” znajdują się kopie ich oświadczeń.

A oto inne oświadczenia z 1945 roku:

Jarosław Iwaszkiewicz:

„W lecie 1943 podpisałem ze Zbigniewem Mitznerem umowę autorską na szereg moich książek, które miały ukazać się po zakończeniu działań wojennych. Umowa przewidywała wypłacenie przez p. Mitznera pewnej kwoty w formie zadatku i honorarium za druk utworów w czasopismach, w razie ukazania się książki miałem otrzymać zwyczajne 15% od wartości nakładu. Warunki umowy dotyczące wpłaty przez p. Mitznera pewnej określonej sumy na moje ręce, zostały całkowicie dotrzymane przez niego. Przeciwnie, ja ze swej strony nie dostarczyłem mu pewnych obiecanych rękopisów. Uważam, że akcja p. Mitznera ożywiła produkcję literacką w bardzo ciężkim dla literatów momencie oraz że sumy wypłacane przez niego wielu z nas ułatwiły przetrwanie najtrudniejszych chwil okupacji. Była ona – jak o tym mogę sądzić – moralnym i materialnym podtrzymaniem dla nich. Obecnie nie spotkałem ze strony p. Mitznera trudności w rozporządzeniu materiałem literackim, zakupionym w swoim czasie przez niego”.

Anna Kowalska:

„Jestem bardzo wdzięczna p. Mitznerowi za przyjęcie mi z pomocą w najcięższych dla mnie chwilach, kiedy zadatek dany w takich czasach raczej był przyjacielską pomocą, niż sprawą handlową”.

Maria Dąbrowska:

„W roku 1943, w okresie dla mnie materialnie bardzo ciężkim, zawarłam z p. Zbigniewem Mitznerem ustną umowę w sprawie wydania po wojnie tomu moich essayów literackich i społecznych, drukowanych po czasopismach przed wojną 1939 roku. Na mocy tej umowy p. Zbigniew Mitzner udzielił mi zaliczki w wysokości 15.000 zł (piętnaście tysięcy złotych). Zaliczka przewidziana była jako honorarium za prawo druku w ewentualnym czasopiśmie powojennym bądź nowych essayów, bądź fragmentów powieści oraz za prawo wydania tomu essayów. Poza tym normalne honoraria w razie wydania książki w wysokości 15% były zapewnione. Umowa była dla mnie korzystna – do p. Mitznera nie tylko nie mam żadnej pretensji, ale uważam, że przyszedł z pomocą pisarzom w ich trudnych warunkach wojennych. O ile ‘Czytelnik’ reflektowałby na przejście moich praw autorskich od p. Mitznera w zakresie przewidzianym wyżej wymienioną umową – nie mam nic przeciwko temu – o ile p. Mitzner na to się zgadza”.

Bronisław Wiczorkiewicz:

„Na jesieni 1943 r. sprzedałem ob. Mitznerowi za 10.000 zł pra-

wa wydawnicze swej pracy naukowej. Następnie za moim pośrednictwem ob. Mitzner zakupił od prof. Marceliego Handelsmana jego dzieło o Czartoryskim, za które zapłacił pełną ustaloną sumę zł 20.000 – mimo, iż pracę swą Profesor dopiero wykańczał. Prof. Handelsman był bardzo zadowolony z tej transakcji, gdyż uzyskana suma miała bardzo duże znaczenie w jego sytuacji, gdy musiał się ukrywać. Szereg innych firm wydawniczych odmówiło zakupu dzieła ze względu na pochodzenie autora. Ob. Mitzner dołożył starań do przepisania otrzymanych dwóch tomów, czym ułatwił dalszą pracę autorowi. Oba te tomy zostały przez ob. Mitznera ocalone. Działalność ob. Mitznera na tym polu uważam za bardzo pożyteczną, bowiem w wielu wypadkach umożliwiał egzystencję ludziom nauki i literatom”.

Cytowana już raz Wanda Melcer pisze również o „Wiśle” w szkicu „Kolor przeszłości”, zamieszczonym we „Wspomnieniach o Zofii Nałkowskiej” (Warszawa 1965, s. 261-262).

„Pod koniec wojny zdarzało się, że otrzymywałyśmy niby to jakieś zamówienie literackie na ‘po wojnie’ i to pozwalało nam przetrwać. Rozdawcą szczęśliwości był wówczas Zbigniew Mitzner. Przypominam sobie dom na Klonowej, gdzie na którymś piętrze Hanka Szumańska, córka adwokata, prowadziła z nami w jego imieniu jakieś skomplikowane a dobroczyne rozliczenia”.

W tej samej księdze Tadeusz Breza zamieścił swoje „Wspomnienie o ‘Węzłach życia’”, w którym pisze:

„W końcu zjawił się człowiek, dorzeczny i przyzwoity, przyzwany ‘wszystko kupić’, którego rozmach jednak był znaczniejszy niż środki, uległe przez to rozdrobnieniu” (s. 98).

W oświadczeniach przewija się kilkakrotnie sformułowanie o ewentualnym ustąpieniu praw wydawniczych „Czytelnikowi”, względnie o zamiarach autorów wydania swoich dzieł w „Czytelniku”. Istotnie, na początku 1945, gdy było już wiadomo, że w nowym modelu życia kulturalnego typ wydawnictwa, jakim miała być „Wisła”, nie znajdzie miejsca, Zbigniew Mitzner powziął zamiar przekazania całego portfela wydawniczego istniejącemu już wówczas „Czytelnikowi”. Rozmowy prowadzone były zarówno bezpośrednio z Jerzym Borejszą, jak i za pośrednictwem Jana Kotta, o czym świadczy następujący fragment listu Zbigniewa Mitznera do Jana Kotta z 9 kwietnia 1945:

„Drogi Panie, tydzień temu wysłałem do Pana list przez okazję zawiadomieniem, iż esesju o Stendhalu nie mam. List ten powinien być Pan otrzymał za pośrednictwem Mauersbergera. Z pisma Pańskiego wnioskuję, iż wiadomości moje do Pana nie dotarły. Zresztą już wręczając esesje Haneczce [Szumańskiej], powiedziałem, że nic więcej nie mam. Nieporozumienie polegało na tym, iż sądziłem, że esesj o Witkiewiczu jest Pański a nie Pietrzaka.

Bardzo chętnie przystąpię do rozmów w sprawie scedowania rękopisów 'Czytelnikowi'. Sądzę, iż czas najwyższy sprawę tę załatwić. Sprawy finansowe, choć tak dla mnie obecnie ważne, nie są dla mnie najistotniejsze. Tak jak oświadczyłem swego czasu Borejszy i Panu mogę powtórzyć, że nie mam zamiaru robić żadnych trudności. Rzecz w tym, iż nie chciałbym uczynić z tego zwykłej transakcji handlowej. Sprawy wydawnicze nie były dla mnie nigdy tylko interesem, ale stanowiły i stanowią ośrodek mojego zainteresowania i nie chciałbym z nich wypaść. Tym bardziej, iż sądzę, że mógłbym być w tym zakresie pożytecznym”.

Do scedowania w całości praw wydawniczych „Wisły” na „Czytelnika” jednak nie doszło, skoro już w niedługi czas po rozmowach z Jerzym Borejszą i Janem Kottem, co najmniej kilkanaście pozycji, na których Zbigniewowi Mitznerowi bardzo zależało, znalazło się w portfelu wydawniczym „Wiedzy”. „Czytelnik” przejął i to w późniejszym okresie – niezliczoną ilość prac. Pozostali autorzy, jak już wspominałem, rozproszyli się ze swymi utworami po różnych wydawnictwach.

W świetle cytowanych oświadczeń autorskich, w których pisarze i naukowcy życzliwie podkreślają sposób, w jaki następowały z nimi rozliczenia w „Wiśle”, znamienny wydaje się list otwarty Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich do wydawców z listopada 1945 roku, podpisany przez Jarosława Iwaszkiewicza jako prezesa i Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego jako sekretarza generalnego, zamieszczony w *Kuźnicy* (1945, nr 15):

„Do wydawców książek.

Związek Zawodowy Literatów Polskich zwraca się do wszystkich wydawców, którzy podczas okupacji zawarli umowy wydawnicze z członkami ZZLP – i przystępują obecnie do ich realizacji, z wezwaniem, aby dobrowolnie uzupełnili wypłacone honoraria autorskie do wysokości norm przyjętych ogólnie w dzisiejszym obrocie wydawniczym. Związek stoi na stanowisku, że wszystkie umowy z pominionego okresu zawierane były w warunkach dla pisarzy przy-

musowych i że wyrównanie honorariów jest obowiązkiem społecznym Wydawców, leżącym w ramach dobrych obyczajów handlowych. W stosunku do Wydawców, którzy uchylą się od wypełnienia słusznego zalecenia Związku, wydany będzie pisarzom zrzeszonym zakaz zawierania z nimi w przyszłości umów wydawniczych”.

Jak to się stało, że do dziś w archiwum „Wisły” pozostała jeszcze pewna część zakupionych wówczas rękopisów, a wśród nich niektóre niepublikowane? Pytanie to było często zadawane w sposób obcesowy, albo ze zdziwieniem i jakby niedowierzaniem, w którym wyczuwa się nutkę nieufności: albo Mitzner ukrył celowo te maszynopisy – kto wie, w jakim celu – albo zlekceważył powierzone mu dobro. Niektórzy uważają może nawet, że autorom, których utwory „utknęły” w archiwum „Wisły”, stała się krzywda. I to za sprawą ich niedoszłego wydawcy. Otóż trzeba stwierdzić, że ojciec wykazał w całej sprawie maksimum dobrej woli. Prawie wszyscy autorzy – o ile ich rękopisy nie spłonęły, otrzymali je po wojnie z powrotem, gdy się po nie zgłaszali, bądź też Zbigniew Mitzner doręczał im te prace osobiście. Pozostawił swoim autorom całkowicie wolną rękę, chociaż podpisane z nimi umowy zachowywały ważność przez rok do pięciu lat po wojnie. Po tym wszystkim, przyjęcie, jakiego doznał od niektórych ludzi, tak go rozgorczyło i zniechęciło, że po prostu w pewnym momencie przestał zajmować się już sprawami „Wisły”. Doszły do tego jeszcze dwie okoliczności. Pierwsza ta, o której wspominał w liście do Kotta. Wśród setek utworów, zaszyfrowanych przedziwnymi nieraz hasłami, dostarczanych potajemnie często przez pośredników, trudno było czasami po wojnie dojść, czyj jest ten lub ów utwór.

Po śmierci ojca zabraliśmy się z matką do porządkowania jego archiwum i natknęliśmy się na stos teczek „Wisły”, minęły cztery lata, zanim przy pomocy całego zastępu życzliwych informatorów i pomocników zdołaliśmy rozszyfrować kilkadziesiąt prac. Wymagało to przewertowania setek informacji bio- i bibliograficznych, wywiadów, ekspertyz grafologicznych, lektur porównawczych i korespondencji. I mimo to pozostało jeszcze kilka pozycji nie rozszyfrowanych.

Oczywiście, jeżeli nam praca ta zabrała kilka lat, to prawdopodobnie ojciec wykonałby ją szybciej i sprawniej, ale

też nie sędzę, aby była to dlań czynność prosta. Odkładał ją z roku na rok, zawsze pochłonięty nadmiarem pracy bieżącej i przy każdej kolejnej przeprowadzce, gdy pakował osobno teczki „Wisły”, mówił: „kiedy będę miał czas, trzeba to będzie uporządkować”.

Druga okoliczność, która przyczyniła się do pozostania w archiwum „Wisły” części maszynopisów, to fakt, że niektórzy z autorów zginęli w czasie wojny. Rodzina – jeżeli pozostała – nie zawsze wiedziała, gdzie można szukać spuścizny po zmarłym czy poległym. Niepodobieństwem zaś było szukać spadkobierców po całej Polsce a czasem i poza jej granicami. W każdym jednak wypadku, gdy ktoś taki zgłaszał się sam lub za czymś pośrednictwem, odyskiwał maszynopis. Tak było swego czasu z matką Włodzimierza Pietrzaka, z rodziną prof. Handelsmana, z siostrą Trzebińskiego i wieloma innymi.

Jeszcze jedną rzecz warto wyjaśnić z uwagi chociażby na wysokość funduszków, jakimi dysponowała „Wisła”. Do tej prywatnej spółki wydawniczej Zbigniew Mitzner nie wniósł kapitału, chociaż działał w jej imieniu na zewnątrz jako pełnoprawny i pełnomocny wydawca „Marian Zawadzki”. Sam fortuny na tym nie zrobił, suma dana mu do dyspozycji, rozliczona jest niemal w całości, a liczni znajomi i dawni przyjaciele wiedzą doskonale, że rozpoczynał życie w powojennej Polsce wraz z rodziną w ciężkich warunkach i bez żadnych rezerw materialnych.

Piszę, że suma rozliczona jest do końca, chociaż ustalenie jej pełnej wysokości nie jest łatwe. Z ludzi, którzy przyczynili się do powstania „Wisły” nikt już nie żyje. Zachowała się tylko część rozliczeń, gdyż większość dokumentacji spaliła się na Klonowej. Ale i ta część w postaci zestawień honorariów, kwitów itp. pozwala w przybliżeniu zrekonstruować całość przedsięwzięcia. Fundusz ogólny musiał wynosić około 2 milionów złotych, skoro suma wypłacona autorom wyniosła około 1.685.000 złotych. Do kwoty honorariów doliczyć jeszcze trzeba wydatki na stronę techniczną przedsięwzięcia. Niewątpliwie jakieś wynagrodzenie za pracę sekretarki i łączniczki pobierała Hanna Szumańska. Niemało musiało kosztować mikrofilmowanie rękopisów. Niestety, pytany

przeze mnie o tę sprawę dziś już nieżyjący Antoni Bohdziewicz nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądały jego rozliczenia z „Wisłą”. Dużą sumę wydano na przepisywanie powierzonych prac. Zachowała się tylko część pokwitowań za maszynopisanie, ale wynika z nich, że „Wisła” płaciła 3 do 5 złotych od strony. Pokwitowanie za przepisywanie na przykład „Historii literatury polskiej” Teofila Wojeńskiego opiewa na sumę 1.150 zł, a za przepisanie części tylko „Adama Czartoryskiego” Marcelego Handelsmana – na 3.775 zł.

Można przyjąć, że na koszty przepisywania na maszynie Marian Zawadzki wydał minimum 150.000 zł. Zachowane kwity uwzględniają nawet wydatki na zakup materiałów piśmiennych, papieru maszynowego i konserwację maszyn do pisania.



CENA WOLNOŚCI

W drugiej połowie stycznia i na przełomie lutego 1945 roku ojciec zaczął wydobywać ze skrytek w Warszawie, Komorowie i Milanówku rękopisy zgromadzone dla „Wisły”. Przewiózł je do swojego przedwojennego, łódzkiego mieszkania, dopiero co opuszczonego przez Niemców (zajmował je jeden z szefów łódzkiej NSDAP – Alfred Teubner z rodziną). Równocześnie zaczął szukać kontaktu z nową władzą. W lutym w Warszawie już rezydował rząd lubelski. Ówczesny minister kultury i sztuki Jan Karol Wende wspomina, że właśnie w lutym przysłała do niego Wanda Więckowska-Mitznerowa.

„Przysłała do mnie z polecenia męża. – Czy Mitzner mógłby liczyć na uzyskanie u mnie ‘audiencji’ i czy nie grożą mu żadne ‘niespodzianki’ ze strony władz ludowej Polski? (Mitzner był podczas okupacji w ścisłym kontakcie z przedstawicielami rządu londyńskiego). Powiedziałem pani Więckowskiej, że chętnie zobaczę Zbyszka. Zjawił się u mnie kilka dni później. Mimo przedwojennych studenckich spięć ideologicznych, politycznych, przywitałem go bardzo serdecznie. – Weź się do roboty, byle szybko! Nie

spodziewaj się żadnych ‘niespodzianek’, chyba, że chcesz odstawić bohatera.... Powiem obywatelowi premierowi, że jesteś w Warszawie. Robotnika redaguje Dąbrowski, weźmie cię z otwartymi ramionami... A może wznowisz *Szpilki*?”

Ojciec przyniósł wówczas Wendemu teczkę, zawierającą wojenne wiersze Broniewskiego, Tuwima, Lechonia i Wierzyńskiego, które w czasie okupacji krążyły w odpisach w okupowanym kraju. Łudził się, że pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Szuki będzie można wydać tę książkę. Wende z Rzymowskim stwierdzili jednak, że to niemożliwe i cenny zbiór utonął w archiwach Ministerstwa.

Następnie ojciec wybrał się do Borejszy. Ten dość skutecznie wyperswadował mu, że nie warto otwierać prywatnego wydawnictwa. Ojciec liczył na to, że wraz z całym pakietem umów i rękopisów zgromadzonych w latach 1943-1944 będzie mógł związać się z „Czytelnikiem”. Ale Borejsza zwlekał z decyzją. Mało tego, zaczął wydawać *Szpilki* nie biorąc ani ojca (przed wojną właściciela i redaktora naczelnego), ani Eryka Lipińskiego (współzałożyciela pisma) do redakcji.

Rozmowa z Borejszą była natomiast decydująca dla decyzji politycznych ojca. Nieskłonny do wspomnień, często jak pamiętam cytował to, co wówczas usłyszał: „– Cała ta zabawa (to znaczy Polska – P.M.) obliczona jest na dziesięć lat. Potem tu będzie republika radziecka”.

Szybko więc wybrał się ojciec do sekretarza generalnego CKW PPS – Stefana Matuszewskiego i 19 marca złożył na jego ręce podanie:

„Szanowni Towarzysze,

Niniejszym zwracam się do Was z prośbą o reaktywowanie mnie jako czynnego członka Partii.

W obecnym przełomowym okresie nie chciałbym stać na ubożu. Uważam, iż tego rodzaju stanowisko stawiałoby mnie w sytuacji dwuznacznej, która mogłaby być utożsamiana ze stanowiskiem reakcyjnym. Stosunek mój do aktualnej polityki Partii określa istota zachodzących przemian gospodarczo-społecznych i politycznych w odradzającej się Polsce.

Zreformowanie ustroju rolnego, ograniczenie działalności kapitału prywatnego, oddanie władzy politycznej w ręce ludu pracującego – są to przemiany o znaczeniu rewolucyjnym, do których, pracując od lat piętnastu w Partii, w miarę mych sił i możliwości

dążyłem. Chciałbym więc obecnie okazać się w pracy Waszej pomocnym na posterunku, który mi wyznaczycie.

W załączeniu składam sprawozdanie z mojej działalności w okresie okupacji, które przyczynić się winno do zlikwidowania fałszywych i krzywdzących mnie plotek.

Z socjalistycznym pozdrowieniem

/-/ Zbigniew Mitzner”

W *Robotniku* z 25 czerwca 1945 roku ojciec opublikował (jeszcze pod pseudonimem „Niemy”) artykuł „*Liberum conspiro*”):

„Żywy i czujny Maurycy Mochnacki (pod koniec okupacji ojciec zbierał materiały do książki o nim – P.M.) pisał przed wiekiem przeszło o polskim „*Liberum conspiro*”, o tym przekleństwie życia polskiego, polegającym na prowadzeniu walki politycznej w mrokach tajności, w atmosferze ukrycia i spisku. (...) W okresie przeszło pięciu lat całe właściwie życie narodu było spiskiem przeciw nakazom i zakazom okupanta. Była to nie wolność konspiracji, ale konieczność, nakazana instynktem samozachowawczym. (...) Polityka jest umiejętnością przystosowania działalności do istniejących form. Demokracja daje nam przywilej jawności. (...) Kto dziś uprawiać pragnie owo *liberum conspiro*, ten albo jest ślepy politycznie, albo – co gorsza – w tych mrokach pragnie pielęgnować swe idee i przekonania, które w jasności dnia okazałyby się wrogimi ojczyźnie i jej duchowi, którym jest wolność”.

Ale mimo takich deklaracji, mimo złożenia sprawozdania ze swojej działalności w okresie okupacji, sytuacja ojca była nadal niejasna. Zażądał więc zwołania sądu partyjnego dla odparcia pomówień. Rozprawa odbyła się 15 maja 1945 roku i jej wynik był raczej nijaki. Zarzuty odparto, ale w sentencji stwierdzono, że

„Zbigniew Mitzner winien swą działalnością zawodową i społeczną w odrodzonej Polsce, tymczasowo poza organizacją partyjną, w szeregach sympatyków PPS, wykazać, że posiada walory moralne i społeczne, warunkujące bezpośredni udział w życiu partyjnym”.

Po tej rozprawie ojcu pozwolono publikować artykuły w *Robotniku*, początkowo pod pseudonimem „Niemy”. Ale już jesienią wszedł do kolegium redakcyjnego, a niebawem stał

się faktycznie redaktorem naczelnym pisma. Zapewne stwierdzono, że się „wykazał”.

W latach stalinowskich wiodło mu się niezłe jako dyspozyjnemu publicyście. Pisał tak jak było trzeba. Ile było w tym prawdziwego zaangażowania, ile strachu a ile cynizmu (który niekiedy pojawia się w pisanych wtedy listach do mojej matki) – trudno dziś powiedzieć. Oczywiście, tak zupełnie nie pozwolił się utemperować i zdarzały mu się polemiki z ortodoksami, jak choćby z Borowskim. Ze względu na przedwojenny rodowód ideowy i wojenne poczynania, traktowano go trochę podejrzliwie, ale chętnie w działaniach propagandowych wykorzystywano jego zdolności redaktorskie i publicystyczne.

Nie obracał się w najwyższych kręgach władzy. Z Berma-
nem się nie lubili, z Cyrankiewiczem miał ostre spięcia jeszcze w PPS-ie, z Bierutem chyba nigdy się osobiście nie zetknął.

Kontaktował się i przyjaźnił przeważnie z kolegami dziennikarzami, ale nie tylko. Bardzo zażyłe stosunki łączyły rodziców z pisarką Krystyną Żywulską i jej mężem Leonem Andrzejewskim – szefem trzeciego departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa, zajmującego się walką z podziemiem.

Pod koniec 1954 roku za pośrednictwem Wolnej Europy Józef Światło powiedział: „Krystyna Żywulska jest w tej chwili kochanką Zbigniewa Mitznera, a pułkownik Andrzejewski sypia w rewanżu z żoną Mitznera. Miodowe miesiące przeżywali w Juracie, gdzie Andrzejewski spędzał urlop ze mną”.

Tak czy inaczej, bliskie, niekoniecznie erotyczne stosunki z bezpieczką to poważniejsza sprawa.

Matka twierdziła, że ze strony MBP były na ojca naciski, namowy do bliższej współpracy (rozmawiała z nim o tym Lu-
na Brystygierowa), ale nie zgodził się. Czy rzeczywiście? Czy mógł się nie zgodzić?

Aleksander Wat w rozmowie z Miłoszem wspomina spotkanie z ojcem we Lwowie w 1939 roku. Należy sądzić, że ojciec musiał go wówczas zaatakować jako... komunistę.

Wat: „I pamiętam tę niesłychaną bryzgliwość, którą mi okazał, kto? Mitzner. Mitzner ten, który potem był jako ubek i w PIW-ie bardzo mi dokuczył.

Miłosz: Mitzner jako ubek?

Wat: No, w zupełnie jawnym kontakcie z Bezpieczeństwem. Potem sytuacja zrobiła koziołka.

Miłosz: Ja się zetknąłem z Mitznerem w Wilnie, on ze Lwowa przedostał się do Wilna.

Wat: Ach, ze Lwowa do Wilna. On na mnie patrzył wtedy jak na zdrajcę. W Warszawie, po wielu latach sytuacja zrobiła koziołka, pracowaliśmy razem w PIW-ie i tępił mnie tak wyraźnie i zdecydowanie jako mąż zaufania Bezpieki.

Miłosz: Przypuszczam, że Mitzner w ogóle tylko za tę cenę przeżył w Polsce Ludowej, bo oni wiedzieli o nim dużo rzeczy z okresu okupacji, kiedy był jedną z głównych postaci WRN**.

Gotów byłbym uznać oskarżenia Wata, gdyby poparte były konkretnymi przykładami ubeckich poczynań ojca. Pytałem Czesława Miłozza, czy Wat powoływał się na konkrety, czy mówił jeszcze coś, co nie zostało zapisane. Okazuje się, że nie. W liście do mnie 4 marca 1989 Miłosz pisał:

„Sądy Wata były bardzo skrajne i różni ludzie protestowali przeciwko jego łatwym oskarżeniom. Adam Ważyk np. przysłał mi na krótko przed śmiercią nagraną przez siebie kasotę ze swoim komentarzem do „Mojego wieku”. Nie zgadza się z tym, co Wat opowiada o winie Daszewskiego. Również syn Jerzego Borejszy protestował przeciwko oskarżaniu przez Wata postaci jego ojca. (...) Z pewnością byłbym gotów polemizować z Watem ale chyba wtedy kiedy nagrywaliśmy z nim te rozmowy polemizować nie mogłem, nie mając w ręku żadnych argumentów. Niestety to tak wygląda jakbym mu basował. (...) Na dobry ład należałoby napisać uzupełnienie do mojej przedmowy do ‘Mojego wieku’, choć jedyne co mógłbym zrobić, to ostrzec czytelników, żeby personalnych ataków Wata nie brali dosłownie”.

W dwa tygodnie później otrzymałem od Miłozza wiadomość: „Zwróciłem się do Oli Watowej z propozycją dodania paru słów do przedmowy, nie uzyskałem jednak na to jej zgody”.

Być może sprawa powiązań ojca z bezpieką wyjaśni się, gdy uda się odnaleźć jego teczkę personalną w MSW. Jeżeli oczywiście taka istnieje.

Dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości: że ojciec nie stronił od prywatnych kontaktów z przedstawicielami resortu i że od

* Aleksander Wat „Mój wiek”, t. 1. S. 300-301, Polonia Book Fund Ltd. Londyn 1981.

1945 roku był chyba pod ochroną ubecji. Świadczy o tym choćby to, że cytowany przeze mnie donos z 1949 roku o powiązaniach z kontrwywiadem AK nie został wykorzystany.

Gdy rozpoczęła się „odwilż”, ojciec poczuł się wyzwolony. Można powiedzieć, że zaczął ją za wcześnie i za ostro a potem nie zorientował się kiedy należy przestać. W 1955 został z naganą partyjną usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego *Szpilek*, a w 1957 wyrzucony z partii. Przez cztery lata miał zakaz publikowania. W tym czasie napisał powieść polityczną „Zanik i Nadir” – gorzki rozrachunek z realnym socjalizmem. Ale odstawka skończyła się w 1961 roku, zaczął znów pisać i drukować, w 1963 wstąpił do partii. Został dziekanem Studium Dziennikarskiego. Po marcu zachował się z godnością. Odmówił proponowanego mu kierownictwa połączonych wydziałów filozofii, socjologii i dziennikarstwa i odszedł z Uniwersytetu. Umarł 3 grudnia 1968 roku.

Kiedy przypominam sobie jego pokój, jeden tylko przedmiot budzi dziś mój niepokój, jak kiedyś budził niezdrowe zaciekawienie. Schowany w szafce z ubraniami wielki ciężki pistolet – TT z ostrą amunicją. Wychodząc wieczorem na stację kolejki by przyprowadzić do domu matkę, zawsze zabierał go ze sobą. Podobno dostał go jesienią 1956 roku gdy przenieśliśmy się z Warszawy do Podkowy Leśnej, gdzie było niebezpiecznie, bo grasowali bandyci. Nie odebrano mu go wówczas gdy w 1957 roku został bezrobotnym i bezpartyjnym „przeciwnikiem systemu”.

Piotr MITZNER

Andrzej GRZYWACZ

FUNKCJONOWANIE ODDZIAŁU II SZTABU GŁÓWNEGO W 1939 ROKU

Istniejący jeszcze do niedawna podział na historiografię krajową i emigracyjną wyraźnie zaznaczał się w sferze dostępnego do wykorzystania materiału archiwalnego. Uwarunkowania polityczne sprawiły, że krajowe archiwa były zamknięte przed badaczami historii Polski, wywodzącymi się z uchodźstwa, zaś historycy krajowi mieli znacznie utrudniony dostęp do materiału zgromadzonego w krajach zachodnich. Dyskomfort wynikający z ograniczonej dostępności źródeł odczuwali szczególnie uczeni podejmujący tematy z historii najnowszej, w tym historii polskiego wysiłku zbrojnego podczas II wojny światowej. Opracowania krajowe wciąż jeszcze nie dość często zawierają odwołania do bogatych i cennych zasobów archiwów londyńskich czy nowojorskich. Naukowiec podejmujący problematykę polskich przygotowań wojennych w latach 1936-1939 i wojny obronnej Polski w 1939 r. nie powinien ominąć szczególnie cennych materiałów zgromadzonych w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Zbiory archiwalne zawierają między innymi szereg relacji generałów i wysokich oficerów Wojska Polskiego, dotyczących przebiegu służby wojskowej, udziału w polskich przygotowaniach wojennych i szlaku bojowego we wrześniu 1939 r. Ze względu na zagi-

nięcie wielu dokumentów, relacje te mają często fundamentalne znaczenie dla odtworzenia przebiegu faktów historycznych. Szczególnie pokaźne zbiory relacji dotyczą działalności Oddziału II Sztabu Głównego – przede wszystkim w drugiej połowie lat trzydziestych, ale często sięgają głębiej w przeszłość, do lat dwudziestych.

Powstanie wspomnianych akt należy wiązać z sytuacją polityczną po klęsce wrześniowej. Rząd gen. Władysława Sikorskiego zdecydowany był nie dopuścić do armii oficerów najbardziej zaangażowanych politycznie po stronie obozu sanacyjnego. Wśród niektórych polityków rządu na uchodźstwie (np. płk. dypl. Izydora Modelskiego, prof. Stanisława Kota, Jana Stańczyka) bardzo silnie zaznaczały się nastroje odwetowe, pragnienie rozliczenia się z kierownictwem przedwrześniowym pod hasłem osądzenia za nieprzygotowanie kraju do wojny¹. Już 10 października 1939 r. Rada Ministrów powołała specjalną „komisję rządową dla ustalenia przebiegu zdarzeń w Polsce w ostatnim okresie” w celu rejestracji faktów i gromadzenia dokumentów dotyczących przebiegu wojny obronnej Polski i ustalenia przyczyn poniesionej klęski. Przewodniczącym komisji został gen. broni Józef Haller a w skład weszli Stanisław Stroński, Aleksander Ładoś i płk. Modelski, zastępujący Hallera w sprawach wojskowych. Stosowne obwieszczenie ukazało się w *Monitorze Polskim* 15 listopada 1939 r.² 29 października 1939 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało specjalną instrukcję zobowiązując każdego oficera do przedstawienia swego udziału w przygotowaniach wojennych i samej wojnie i „niekrepowania się żadnymi względami” w sprawozdaniu. Sformułowano specjalne wytyczne dotyczące zagadnień, które powinny znaleźć się w sprawoz-

1. Karol Popiel, „Generał Sikorski w mojej pamięci”, Warszawa 1985, s. 97-98; „Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej”, t. I październik 1939 – czerwiec 1940, Kraków 1994, s. VII.

2. „Protokoły...”, t. I, s.11, 196; Eugeniusz Duraczyński, „Rząd polski na uchodźstwie 1939-1945. Organizacja, personalia, polityka”, Warszawa 1993, s. 50.

3. „Instrukcja w sprawie rejestracji faktów, uwag i spostrzeżeń, dotyczących przygotowań i działań wojennych”; „Wytyczne nr 1 do opracowania sprawozdania z Kampanii Wrześniowej”; „Wytyczne do sprawozdania”, „Rozszerzenie ‘Wytycznych’”; wszystkie dokumenty IMPS, B.I.12h/1.

daniu³. Polityczne zapotrzebowanie na krytykę przedwrześniowych elit politycznych i wojskowych uruchomiło mechanizm porachunków osobistych i otworło drogę dla pozbawionych skrupułów oficerów, którzy pragnąc jak najszybciej znaleźć się we Francji na możliwie wysokim stanowisku, spisywali prawdziwe paszkwile na temat działalności przedwojennych władz. Aby usystematyzować całą akcję, powołano Biuro Rejestracyjne Ministerstwa Spraw Wojskowych, na czele którego postawiono płk. dypl. Fryderyka Malły, służącego przed wojną w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych, a w czasie działań wojennych w Sztabie Naczelnego Wodza i dowodzącego obroną Kołomyi⁴. Działalność Biura Rejestracyjnego wzbudziła silne opory wśród znacznej części kadry oficerskiej. Niektórzy oficerowie odmawiali składania wyczerpujących relacji. Nie ukrywano zresztą faktycznych celów istnienia Biura, stawiając jako cel jego istnienia dokumentowanie winy byłych członków władz państwowych w zakresie zaniedbań w przygotowaniu Polski do wojny, wskazywanie na niedostatki w dowodzeniu, przyczyny niepowodzeń wojennych itd.⁵ Polityczna zajadłość płk. Modelskiego znalazła najlepszy wyraz w złośliwych dopiskach, od których aż roi się w zachowanych relacjach⁶.

W tej sytuacji gen. Sikorski, do którego dotarły liczne skargi na działalność Biura, zmuszony został do wydania specjalnego rozkazu, w którym stwierdzał, że rejestrowanie faktów przez Biuro ma znaczenie historyczne, służy odtworzeniu wiedzy na temat polskiego wysiłku wojennego wobec zaginięcia lub zniszczenia wielu dokumentów, ale i prace Biura „mają służyć do oceny przydatności osób zgłaszających się do służby wojskowej i poddaniu ich wartości nowemu przeglądowi, aby wyjaśnić z jakim zasobem sił fachowych

4. Tadeusz Kryśka-Karski, Stanisław Żurakowski, „Generałowie Polski niepodległej”, Warszawa 1991, s. 128; Piotr Stawecki, „Oficerowie dyplomowani wojska Drugiej Rzeczypospolitej”, Warszawa 1997, s. 182.

5. Andrzej Suchcitz, „Sprawa odtworzenia Archiwum Wojskowego we Francji 1939-1940”, w: Teki Historyczne, t. XXI, Londyn 1994-1995.

6. Np. w relacji płk. dypl. Józefa Englichta (IPMS, B.I. 6d/24) osoba kpt. Jerzego Niezbrzyckiego została określona dopisanymi na marginesie słowami *a ponadto kanalia*, w relacji płk. dypl. Stanisława Kopańskiego (IPMS, B.I. 7a/1) płk Modelski swym dopiskiem na marginesie podał w wątpliwość czy marsz. Śmigły-Rydz posiadał umysł itd.

i moralnych zgłaszają się do wojska”. Naczelny Wódz wyraźnie zaznaczał, że „Biuro Rejestracyjne nie ma (...) atrybutów sądów karnych, ani honorowych, ani wreszcie (...) Wojskowego Trybunału Orzekającego. (...) Dlatego sam fakt badania kogoś przez Biuro Rejestracyjne nie przynosi nikomu żadnej ujmę. Oficerowie Biura Rejestracyjnego mają pamiętać o tym, że nie są sędziami, a osoby przez nich przesłuchiwane nie są oskarżonymi, dlatego należy je przesłuchiwać z poszanowaniem ich godności i ze zrozumieniem, że ich zeznania mogą się przyczynić do osiągnięcia celów wyżej podanych w interesie służby i dobra ogólnego. (...) Nie wolno nikomu czynić zarzutów, ani trudności służbowych, jeśli w interesie służby podał do wiadomości Biura fakty prawdziwe (...). Natomiast istotne denuncjacje, a więc oskarżenia nieprawdziwe, albo nie mające na celu ochrony interesów służby lub dobra państwowego, a tylko osobiste porachunki – będą najsurowiej karane. (...) Z drugiej strony znowu dzięki pracy Biura Rejestracyjnego ujawniono wiele poważnych nadużyć i wyeliminowano szereg jednostek, niegodnych służby w Wojsku Polskim i plamiących mundur narodowy. (...) Prace Biura nie powinny podrywać dyscypliny wojska. (...) Nie mogą one również mącić pracy normalnej w wojsku. Ograniczać więc należy wzywianie oficerów do istotnej potrzeby. (...) W tych warunkach ten będzie mógł określać zeznania w Biurze składane jako „denuncjacje”, „podważanie autorytetu” itp., kto sam nie ma czystego sumienia (...)”⁷. Rozkaz gen. Sikorskiego nie zamknął kwestii obrachunków z wojenną przeszłością. 2 stycznia 1940 r. minister Stańczyk wystąpił z wnioskiem o przyjęcie uchwały Rady Ministrów w kwestii postawienia przed właściwym sądem wojskowym marsz. Śmigłego-Rydza, a przed Trybunałem Stanu byłego premiera gen. dyw. dr. Felicjana Sławoj-Składkowskiego, byłego ministra spraw wojskowych gen. dyw. Tadeusza Kasprzyckiego i byłego ministra spraw zagranicznych płk. dypl. Józefa Becka, jako odpowiedzialnych za nieprzygotowanie Polski do wojny i klęskę wrześniową. Rozpętało to dyskusje na kilku następnych posiedzeniach Rady Ministrów, ale ze

7. „Rozkaz oficera tajny nr 13” Naczelnego Wodza gen. dyw. Władysława Sikorskiego z 12 marca 1940 r. IPMS, B.I.12h/1.

względu na sprzeciw premiera i Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego zaniechano generalnego rozrachunku politycznego z dawnym obozem rządzącym. Ostatecznie prezydent wydał dekret, na mocy którego powołano „komisję w związku z wynikami kampanii wrześniowej”, do której weszli prof. Bohdan Winiarski, awansowany do stopnia gen. bryg. Izidor Modelski, Stanisław Mikołajczyk i Herman Lieberman. Stosowny tekst z datą 30 maja został opublikowany w Dzienniku Ustaw RP z 29 czerwca 1940 r. (skład komisji został zatwierdzony przez Radę Ministrów podczas posiedzenia 8 czerwca)⁸.

Publikowany poniżej tekst jest właśnie relacją złożoną na ręce płk. Modelskiego i wytworzoną dla potrzeb rejestracji wydarzeń z okresu 1938-1939. Przypisy numerowane pochodzą od wydawcy, natomiast przypisy oznaczone gwiazdkami – od Autora relacji (tekst w tychże przypisach, zawarty w nawiasach kwadratowych, pochodzi od wydawcy). Relacja znajduje się w zbiorach Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, sygnatura B. I. 6i/6. Piszący te słowa pragnie gorąco podziękować Dyrekcji Instytutu i Panu mgr. Andrzejowi Suchcitzowi za udostępnienie relacji i zgodę na jej opublikowanie⁹.

Autor relacji – płk dypl. Marian Józef Smoleński urodził się 18 września 1894 r. w majątku Gostkowo, powiat ciechanowski. Maturę uzyskał w Rydze (1913 r.), po czym wyjechał do Liège w Belgii na studia politechniczne. Tamże wstąpił do Związku Strzeleckiego. Od sierpnia 1914 r. do lipca 1917 r. służył w Legionach Polskich, początkowo w 1 Kompanii Kadrowej, a następnie w 1 pułku ułanów płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego. Po kryzysie przysięgowym został internowany. Od listopada 1918 r. wstąpił do Wojska Polskiego i został przydzielony do 7 pułku ułanów, w którym służył do września 1922 r. Odbił studia w Wyższej Szkole Wojennej (wrzesień 1922 – październik 1924 r.), aby następnie objąć szefostwo wydziału w Oddziale I Sztabu Generalnego (październik–grudzień 1924 r.). W styczniu 1925

8. Duraczyński, „Rząd...”, s. 50-51; „Prokokoły”, t.I, s. 137, 147-148, 178-180, 195-196, 218-219, 231, 287-291, 313-314, 317.

9. List z 14 lutego 1997 r.

został mianowany szefem sztabu 4 DK gdzie służył do kwietnia 1928 r. Od maja 1928 r. przeniesiony do Oddziału III Sztabu Generalnego (od 28 grudnia 1928 r. Sztabu Głównego) jako szef jednego z wydziałów. Do służby w oddziałach liniowych powrócił w maju 1930 r., przejmując dowództwo 2 pułku ułanów w Suwałkach. W lipcu 1935 r. został mianowany komendantem Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, sprawując tę funkcję do listopada 1938 r. Wezwany do Warszawy przez marsz. Smiętego-Rydzę w październiku 1938 r. otrzymał od Generalnego Inspektora zadanie uporządkowania sytuacji w Oddziale II Sztabu Głównego i w listopadzie 1938 r. powierzono mu formalnie kierowanie Oddziałem II. Faktycznie jednak płk Smoleński nie dysponował stosownym doświadczeniem ani orientacją w pracy powierzonego mu zespołu, wobec czego początkowo był wprowadzany w obowiązki przez dotychczasowego szefa Oddziału II płk. dypl. Tadeusza Pełczyńskiego. Pełnię władzy przejął dopiero od 1 lutego 1939 r. Po klęsce Polski w wojnie obronnej 1939 r. przedostał się przez Rumunię, Węgry i Jugosławię do Francji. Tam został przydzielony do Stacji Zbornej w Paryżu, przewodniczył również Sekcji Historycznej Kawalerii. W maju 1940 r. został mianowany II zastępcą ministra – przewodniczącego Komitetu Ministrów do Spraw Kraju gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego (do czerwca 1940 r.). Od lipca 1940 r. płk Smoleński objął szefostwo zorganizowanego ze sztabu gen. Sosnkowskiego Samodzielnego Wydziału Krajowego przy Sztabie Naczelnego Wodza (następnie Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza) i piastował je do października 1941 r. Po zdaniu swych obowiązków przyszła kolej na dowództwo batalionu oficerskiego Brygady Szkolnej w Szkocji (do września 1942 r.), po czym nadeszła nominacja na komendanta Wyższej Szkoły Wojskowej w Szkocji (do marca 1943 r.). Kolejne przydziały płk. Smoleńskiego to: Sztab Inspektora Wyszkolenia Polskich Sił Zbrojnych (kwiecień–październik 1943 r.), funkcja II zastępcy szefa Sztabu Naczelnego Wodza (październik 1943 – sierpień 1944 r.), funkcja zastępcy dowódcy 3 Dywizji Strzelców Karpaccich i udział w kampanii włoskiej II Korpusu PSZ aż do 1947 r. Po demobilizacji płk Smoleński

osiedlił się w Londynie, gdzie aż do emerytury pracował zarobkowo i prezesował Instytutowi Józefa Piłsudskiego. Awansowany do stopnia generała brygady ze starszeństwem od 1 stycznia 1964 r. zmarł tragicznie w Londynie – na skutek wypadku samochodowego – 19 stycznia 1978 r. i został pochowany na cmentarzu Gunnersbury. Awanse: rotmistrz – 1 czerwca 1919 r., major Sztabu Generalnego – 15 sierpnia 1924 r., podpułkownik dyplomowany – 1 stycznia 1930 r., pułkownik dyplomowany – 1 stycznia 1932 r., generał brygady – 1 stycznia 1964 r. Odznaczenia – *Virtuti Militari* V klasy, *Polonia Restituta* III klasy, Krzyż Niepodległości, Krzyż Walecznych 8 razy, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami¹⁰.



SPRAWOZDANIE PŁK. DYPL. MARIANA JÓZEFA SMOLEŃSKIEGO

Smoleński Marian Józef¹¹
płk dypl.¹²

Smoleński Marian płk dypl.¹³
Paryż, 1 listopada 1939 r.¹⁴

I zastępca Pana Ministra Spraw Wojskowych płk dypl. Modelski¹⁵

Stosownie do ustnego rozkazu Pana Pułkownika z dn. 28.10.br. przedstawiam sprawozdanie z przebiegu zdarzeń i spraw związanych z moją pracą na stanowisku szefa Oddziału

10. Duraczyński, „Rząd...”, s. 100; Kryśka-Karski, Żurakowski, „Generałowie...”, s. 167; Suchcitz, „Sprawa odtworzenia...”, s. 222; Eugeniusz Duraczyński, „Kontrowersje i konflikty 1939-1941”, Warszawa 1979, s. 74; Tadeusz Jurga, „Obrona Polski 1939”, Warszawa 1900, s. 819-820; *Rocznik oficerski 1923 r.*, s. 613, 678; *Rocznik oficerski 1924 r.*, s. 81, 555, 600; *Rocznik oficerski 1928 r.*, s. 329, 340; *Rocznik oficerski 1932 r.* s. 141, 629.

11. Tekst napisany ołówkiem i naklejony.

12. Maszynopis.

13. Tekst napisany ołówkiem.

14. Maszynopis.

15. Płk dypl. dr Izydor Modelski piastował funkcję I pomocnika i II zastępcy ministra spraw wojskowych.

II SG za czas od dn. 1.02.1939 r. do dnia przybycia mojego do Paryża – 27.10.1939 r.

Sprawozdanie moje jest ogólne i obejmuje tylko te zagadnienia, które są konieczne dla uzupełnienia i oświetlenia istniejących dokumentów Oddziału II. Dokumenty te, dotyczące całości posiadanych przez Oddział II wiadomości o przygotowaniu Niemiec do wojny i o koncentracji nieprzyjaciela przed wybuchem wojny, zostały w całości zachowane i są obecnie w Paryżu.

Uwzględniam w sprawozdaniu moim kolejne 3 okresy:

- okres I – od 1 II 1939 r. do 31 VIII 1939 r. (przedwojenny),
- okres II – od 1 IX 1939 r. do 17 IX 1939 r. (wojenny),
- okres III – od 18 IX 1939 r. do 27 X 1939 r. (pobyt w Rumunii).

Okres I (przedwojenny) (1 II 39 – 31 VIII 39)

Na stanowisko szefa Oddziału Sztabu Głównego byłem wyznaczony przez P. Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych¹⁶, który mnie wezwał w końcu października ub. r. i powierzył mi osobiście tę funkcję. Pan Gen. Insp. Sił Zbr. dał mi kilka miesięcy czasu dla zaznajomienia się z zupełnie dla mnie nowym rodzajem pracy Oddziału Wielkiego Sztabu (dotychczas w Oddziale II nie pracowałem).

Pan Gen. Insp. Sił Zbrojnych poza tym oświadczył mi, że z pracy informacyjnej Oddziału II jest zadowolony, ma jednak zastrzeżenia co do niektórych metod Wydziału Wywiadowczego, które wymagają uzdrowienia (miało to związek z toczącym się wówczas procesem mjr. Sosnowskiego)¹⁷. Wytyczne bardziej szczegółowe w tej sprawie miałem otrzymać

16. Funkcję Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych piastował marsz. Edward Śmigły-Rydz.

17. Chodzi o proces mjr. Jerzego Sosnowskiego, pracownika Oddziału II SG, kierownika berlińskiej placówki wywiadu polskiego w latach 1926-1934, aresztowanego i skazanego przez sąd niemiecki na dożywocie, po czym w 1936 r. wymienionego i osądzanego w Polsce jako podwójny agent (proces trwał od 29 marca 1938 do 7 czerwca 1939 r.) oraz skazanego nieprawomocnym wyrokiem na 15 lat więzienia.

dopiero później, gdy poznam bliżej warunki pracy Oddziału II, co miało nastąpić w terminie mniej więcej półrocznym. Tych wytycznych później, wobec rozwijających się wypadków, nie otrzymałem.

Pan szef Sztabu Głównego ustalił mi dwumiesięczny termin do objęcia funkcji szefa Oddziału od mego poprzednika płk. dypl. Pełczyńskiego¹⁸. Objęcie to trwało nieco dłużej jednak (dwa i pół miesiąca)¹⁹ i polegało na zaznajomieniu się ogólnym z pracą poszczególnych wydziałów Oddziału II w centrali, jak również organów Oddziału II w terenie. Mimo pozornie długiego czasu przeznaczanego na objęcie Oddziału zdołałem poznać bardzo ogólnie tylko centralę w Warszawie oraz jedną ekspozyturę wywiadowczą. Dokładniejsze poznanie organów terenowych Oddziału II odłożyłem na później. Rozwój wypadków uniemożliwił mi wykonanie tego zamierzenia, mimo to całość pracy Oddziału II, związanej przede wszystkim ze sprawami tzw. „Zachodu” poznałem bardzo dobrze.

Ze strony oficerów Oddziału II, tak szefów wydziałów czy ekspozytur, jak i kierowników referatów i referentów, spotkałem się z bardzo lojalnym i szczerym stosunkiem do mnie. Byłem wszędzie bardzo rzeczowo i wszechstronnie informowany. Kilkumiesięczna praca moja dała mi możliwość stwierdzenia, że aparat Oddziału II był zorganizowany bardzo dobrze i funkcjonował bardzo sprawnie. Pewne braki, dotyczące głównie liczebności aparatu wywiadowczego w Niemczech i Rosji, spowodowane były trudnościami budżetowymi i personalnymi (otrzymanie odpowiednich oficerów dla zwiększenia placówek zagranicznych było bardzo trudne wobec ogólnego braku oficerów, jaki się odczuwał w związku z rozrostem armii).

Mimo tych bardzo dużych trudności personalnych udało się jednak zebrać odpowiednią ilość oficerów, wyszkolić ich i wysłać w teren, tak że bezpośrednio przed wojną terytorium Niemiec było opanowane wywiadowczo dobrze.

18. Płk dypl. Tadeusz Pełczyński dwukrotnie kierował Oddziałem II SG w latach 1927-1932 (do 1929 r. jako p.o. szefa Oddziału II SG) i 1935-1939.

19. Faktycznie płk Smoleński przejął kierownictwo Oddziału II SG od 1 lutego 1939 r.

Względy budżetowe również odpadły, bowiem szef Sztabu dał mi w kwietniu jeszcze rozkaz nieliczenia się z budżetem w wydatkach związanych z wykonywaniem pracy wywiadowczej na Niemcy. To pozwoliło mi na uzupełnienie wyposażenia technicznego. Zamówione zostało m.in. uzupełniające wyposażenie placówek wywiadowczych za granicą i w kraju w sieć specjalną radia. Zamówienia te w znacznej części zostały wykonane przed wojną, jednak tylko część radiostacji zdołano umieścić w terenie. Niezależnie jednak od tego łączność z agenturami do chwili wybuchu wojny funkcjonowała bardzo dobrze.

Z chwilą objęcia przeze mnie Oddziału II praca Sztabu Głównego była nastawiona na przygotowanie planu wojennego wschodniego „W”. Dopiero pod koniec lutego (czy na początku marca), gdy zaczynały się zaznaczać objawy przygotowującej się akcji niemieckiej przeciwko Czechosłowacji, szef Sztabu Głównego wydał rozkaz przejścia całkowitego na plan „Z” i odłożenia planu „W”²⁰. Od tego czasu cały wysiłek pracy Oddziału II został skierowany na Niemcy.

Przejście na plan „Z” nie natrafiło na odcinku pracy Oddziału II na zbyt duże trudności, wymagało tylko pewnego czasu (był rozkaz wykonania wszystkiego jak najszybciej). Wiele spraw mob. Oddziału II dla planów „W” i „Z” było jednakowych, zmiany wymagały głównie obsady personalne oddziałów II Sztabów Armii, gdzie oficerowie byli przewidziani tylko dla „W” (ze znajomością języka rosyjskiego i Rosji). W centrali w zasadzie były uwzględniane w tej sprawie oba warianty. Poza tym z powodu przejścia na plan „Z” musiała nastąpić rewizja w planie unieszkodliwienia elementów wrogich państwowości polskiej przez zwiększenie ilości mniejszości niemieckiej i postawienie jej w pierwszej kolejności przed komunistami²¹. Praca ta była wykonywana przez Min. Spraw Wewnętrznych w uzgodnieniu z Sam. Referatami Informacyjnymi.

20. Decyzje w sprawie przejścia do prac nad planem „Zachód” marsz. Śmigły-Rydz podjął w końcu lutego 1939 r. i zakomunikował je szefowi Sztabu Głównego gen. bryg. Wacławowi Stachiewiczowi, zaś Sztab Główny rozpoczął stosowne prace 4 marca 1939 r.

21. Tak w oryginale.

Wydarzeniem najbardziej doniosłym, które wytyczyło plan pracy Oddziału II SG i wpłynęło w sposób zasadniczy na wysiłek główny mojej pracy jako szefa Oddziału, była akcja niemiecka na Czechosłowację.

O tym, że ta akcja nastąpi, było na kilka dni przed tym poinformowane Min. Spraw Zagranicznych. Zdaje się, że głównym informatorem Min. Spraw Zagranicznych był konsul w Lipsku Chiczewski²², który miał dobre kontakty polityczne i otrzymywał wiadomości od dobrze poinformowanych osób partyjnych. Do Oddziału II również wpłynął w tej sprawie (na kilka dni przed akcją) meldunek *attaché* wojskowego w Pradze ppłk. dypl. Noela²³, który znów miał dobre stosunki z *attaché* wojskowym niemieckim w Pradze²⁴ i ten go na ogół dobrze informował, tak przed akcją czeską, jak i później.

Koncentracja wojska niemieckiego do akcji czeskiej była przez Oddział II ujawniona bezzwłocznie. Zdradziły ją przede wszystkim ruszenie 2 Dywizji Zmotoryzowanej ze Szczecina, którą obserwowano od chwili jej wymarszu, aż do przybycia w rejon Morawskiej Ostrawy i stwierdzono później w tym samym czasie marsz 4 Dywizji Pancernej z Würzburga oraz nast. innych jednostek zmotoryzowanych i dywizji piechoty. Ogółem zostały stwierdzone całości lub części dwudziestu kilku dywizji szybkich i piechoty, użytych do akcji czeskiej. Dalsze rozpoznanie, już po zajęciu Czech, wykazało że Niemcy użyli przeważnie części różnych dywizji, których liczba była na ogół zgodna z pierwszą oceną (dwadzieścia kilka)²⁵, co również ustalił Oddział II francuski i angielski*.

22. Funkcję konsula RP w Lipsku piastował Feliks Chiczewski.

23. Funkcję *attaché* wojskowego RP w Pradze piastował ppłk dypl. Bronisław Noel.

24. Funkcję *attaché* wojskowego III Rzeszy w Pradze piastował płk Rudolf Toussaint.

25. Operację zajęcia Czechosłowacji Niemcy przeprowadzili siłami 2 dowództw grup wojsk., 7 dowództw korpusów, 5 dywizji pancernych, 3 dywizji lekkich, 2 dywizji zmotoryzowanych, 8 dywizji piechoty, 2 pułków kawalerii, 4 zmotoryzowanych pułków SS i wielu mniejszych oddziałów – łącznie użyto około 300.000-350.000 ludzi.

* Szczegóły w tej sprawie może podać mjr dypl. [Jan] Leśniak, kierownik Referatu Sytuacyjnego Niemieckiego, a były kierownik Sam. Ref. „Niemcy”.

Część wojsk niemieckich użytych do akcji czeskiej, znajdujących się w rejonie Morawskiej Ostrawy, została odwrócona frontem na Śląsk Cieszyński. Wywołało to niepokój wśród organów Straży Granicznej i władz państwowych i wyraziło się w formie dość alarmujących meldunków o zamierzonej jakoby akcji oddziałów niemieckich przeciwko Śląskowi Cieszyńskiemu. Żołnierze niemieccy mieli opowiadać, że Niemcy zajmą Śląsk po Bielsk. Z tych alarmujących, a zupełnie nieprawdziwych wiadomości, powstała następnie plotka szeroko omawiana w Polsce o rzekomej bitwie polsko-niemieckiej w Boguminie, co w rzeczywistości absolutnie nie miało miejsca.

Około 15-20 marca²⁶ szef Sztabu Głównego na odprawie szefów oddziałów Sztabu Głównego zakomunikował, że Ribbentrop wezwał ambasadora Lipskiego i podał mu do wiadomości ultymatywne żądania Hitlera zwrotu Gdańska, zezwolenia na autostradę przez Pomorze oraz zawarcia paktu antykominternowskiego²⁷. Na to żądanie, nie do przyjęcia przez Polskę, Naczelny Wódz zdecydował wzmocnić garnizony nadgraniczne przez powołanie pewnych roczników oraz ściągnięcie do zachodniej części państwa 3-ech zmobilizowanych dywizji piechoty z DOK IX i 1-ej z DOK IV wraz z pewną ilością kawalerii i oddziałów KOP-u²⁸.

O tych zarządzeniach został przeze mnie, na rozkaz szefa Sztabu, poinformowany w formie ogólnej *attaché* wojskowy sowiecki²⁹ z zaznaczeniem, że zarządzenia te w żadnym wy-

26. Być może narada odbyła się 23 marca, w ślad za tym gdy marsz. Śmigły-Rydz wręczył przyszłym dowódcom armii wyciągi z ogólnymi wytycznymi dotyczącymi zadań podległych im związków operacyjnych.

27. Po raz pierwszy żądania niemieckie zostały przedstawione przez ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa ambasadorowi RP w Berlinie Józefowi Lipskiemu 24 października 1938 r., jednak minister spraw zagranicznych RP Józef Beck poinformował o tym prezydenta Ignacego Mościckiego i marsz. Śmigłego-Rydz dopiero 4 stycznia 1939 r.

28. 22 marca 1939 r. wzmocniono 4 batalionami KOP Armie „Kraków” a 8 szwadronami kawalerii KOP Armie „Łódź”. 23 marca przeprowadzono alarmową mobilizację DOK IX w Brześciu i DOK I w Warszawie, stawiając w gotowości bojowej 4 dywizje piechoty, 1 brygadę kawalerii i jednostki pozadywizyjne, co wzmocniło stan liczebny wojska do 350.000 żołnierzy.

29. Funkcję *attaché* wojskowego ZSSR w Warszawie piastował kombrig Paweł S. Rybałko.

padku nie są skierowane przeciwko ZSSR.

Oddział II otrzymał zadanie wzmocnienia czujności, by móc zawczasu uprzedzić o koncentrujących się ewent. dywizjach niemieckich nad granicą Polski. Szef wywiadu liczył się z możliwością szybkiej akcji niemieckiej na Polskę. W tych warunkach obserwacja, zwłaszcza wielkich jednostek zmotoryzowanych, pancernych i lekkich, oraz lotnictwa była rzeczą pierwszorzędną.

Położyłem na to cały nacisk, nie zwracając uwagi na przemęczenie personelu wywiadowczego. Równocześnie drugi wysłanek szedł na przygotowanie i zwiększenie personelu wywiadowczego w Niemczech. Sprawa ta jednak wymagała dłuższego czasu.

Mniej więcej do Wielkiej Nocy (połowa kwietnia) położenie było bardzo napięte. Były częste alarmy, pochodzące przeważnie od Francuzów, o mającym nastąpić puczu w Gdańsku i połączoną z nim akcją niemiecką na Polskę. Szef Sztabu alarmy te przyjmował ze spokojem, bowiem zarządzenia wojskowe niemieckie nie zdradzały żadnych przygotowań koncentracyjnych na naszej granicy.

Terminów rzekomej akcji niemieckiej przeciwko Polsce połączonej z puczem w Gdańsku było i później bardzo wiele. Były one niewątpliwie inspirowane przez Niemców celowo, by zużywać nas nerwowo. Stopniowo jednak (od połowy maja) zaczynały napływać z różnych źródeł (z placówek konsularnych MSZ, z placówek Oddziału II, z obcych poselstw, a także z prasy itp.) wiadomości, że wojna z Polską nastąpi „po żniwach”.

Wiadomości wojskowe z Niemiec, zbierane przez Oddział II świadczyły również o przygotowaniach na odleglejszy termin. Równocześnie wystąpiły objawy pewnych prób porozumienia z Polską, idących od strony władz wojskowych niemieckich. Świadczyły o tym rozmowy *attaché* wojskowego niemieckiego z naszym *attaché* w Pradze czeskiej, rozmowy z płk. Szymańskim w Berlinie³⁰, niezwykła uprzejmość *attaché* niemieckiego w Warszawie³¹, który po przyjeździe z Berlina w drugiej połowie maja gwałtownie szukał okazji, by

30. Funkcję *attaché* wojskowego w Berlinie piastował płk dypl. Antoni Szymański.

31. Funkcję *attaché* wojskowego III Rzeszy w Warszawie piastował płk. Alfred (?) Gerstenberg.

mnie zaprosić na śniadanie, podczas którego po polsku wygłosił toast za pomyślność naszej współpracy „teraz i na przyszłość”; *attaché* japoński³² pytał wprost na jakich warunkach Polska by się zgodziła dojść do porozumienia z Niemcami w sprawie Gdańska.

O wszystkich tych objawach meldowałem szefowi Sztabu, który przyjmował to do wiadomości, nie dając mi żadnego mandatu do ewent. rozmów z *attaché* niemieckim i japońskim. Wobec tego żadnych rozmów nie wszczynałem, a *attaché* japońskiemu oświadczyłem, że to są sprawy polityczne, które należą do Min. Spraw Zagranicznych i którymi Oddział II Szt. Gł. się nie zajmuje.

Mimo pewnego uspokojenia Oddział II miał rozkaz w dalszym ciągu bacznej obserwacji wojska niemieckiego i przygotowań Niemców do wojny. Równocześnie szła usilna praca organizacyjna wywiadu wojennego na szczeblu Naczelnego Wodza i armii (tych ostatnich na obszarach krajowych) oraz przygotowań dywersyjnych, tak poza granicami kraju, jak i na obszarach operacyjnych armii.

Ze zdobyczy pozytywnych Oddziału II na odcinku wywiadowczym i przygotowań dywersyjnych podkreślić muszę nawiązanie ścisłego kontaktu z organizacją czeską przez b. *attaché* wojskowego w Warszawie płk. Kumpošta³³. Współpraca ta rozwijała się i zacieśniała coraz bardziej, zwłaszcza na odcinku wywiadowczym, dając nam coraz więcej cennych wiadomości wojskowych z terenu Protektoratu³⁴.

Objawy, stwierdzające przygotowania Niemiec do wojny z Polską, zdobywane przez Oddział II Szt. Gł. były w głównych zarysach następujące:

1. Zwiększone tempo przeszkolenia roczników rezerwowych z krótkoterminowym przeszkoleniem, przy czym przeszkolonych w „E” batalionach nie puszczano do domu, a wcielano do oddziałów liniowych.

2. Bardzo szybkie wywożenie sprzętu wojskowego czes-

32. Funkcję *attaché* wojskowego Japonii w Warszawie piastował płk Masao Ueta.

33. Płk Prokop Kumpošt.

34. Protektorat Czech i Moraw został proklamowany 16 marca 1939 r. jako pozornie autonomiczna część Rzeszy Niemieckiej, obejmująca tereny anektowane przez Niemcy po likwidacji Czecho-Słowacji.

kiego w głąb Niemiec w celu – według przypuszczenia Oddziału II – dozbrojenia oddziałów wojsk niemieckich.

3. Zdecydowana i konsekwentna akcja niemiecka w Gdańsku, jawne zbrojenie oddziałów policji i SS i ściąganie oddziałów z Niemiec przez Prusy Wschodnie. Stan ten już w połowie lipca był przez Oddział II oceniony na około 1 dywizję piechoty.

4. Reparacja i poszerzanie szos, zwłaszcza na Słowaczczyźnie zachodniej, przy czym terminy ukończenia tych prac były określane na koniec sierpnia.

5. Budowa fortyfikacji tuż nad granicą polską i to na całej granicy od morza do Śląska, a następnie (już w sierpniu) i dalej na południe aż do rejonu Żyliny na Słowaczczyźnie. Ta budowa fortyfikacji była niezrozumiała. W jakim celu? Było to przedmiotem rozważań moich z najbliższymi współpracownikami Oddziału II oraz na odprawach u szefa Sztabu. Przyjmowano hipotezy: osłony koncentracji, akcji wcześniejszej na zachodzie, obawy przed niespodziewaną akcją polską, podstawy do działań zaczepnych, wreszcie obrony w oczekiwaniu na ewent. akcję zaczepną Polski wobec spodziewanego puczu w Gdańsku. Fortyfikacje budowane były typu polowego, przy czym przed samą wojną tempo prac na odcinku Morawska Ostrawa i Żylina było bardzo intensywne. Początkowo (w lipcu) do budowy fortyfikacji były używane całe dywizje sprowadzane z głębi Niemiec (lub poszczególne pułki), które po kilku tygodniach pracy odchodziły z powrotem, w sierpniu jednak już zaczęły nadchodzić do budowy umocnień dywizje zmobilizowane.

6. Coraz uporczywiej powtarzające się wiadomości o zamierzonej wojnie z Polską „po żniwach”. Równocześnie jednak z tymi wiadomościami zaczęły nadchodzić i inne – że Hitler mimo wszystko nie chce wojny, chodzi mu tylko o zachowanie prestiżu i rozwiązanie sprawy przyłączenia Gdańska do Niemiec. Hitler w stosunku do Polski zastosuje wszystkie środki nacisku, połączone z koncentracją dużych sił wojskowych nad granicą Polski, jednak jeżeli się Polska zdecydowanie przeciwstawi, to Hitler się cofnie, bowiem nie będzie chciał ryzykować wojny europejskiej z Anglią i Francją. Tego rodzaju wiadomości pochodziły z Ministerstwa

Spraw Zagranicznych – m.in. od konsula Chiczewskiego z Lipska, który zdobył sobie zaufanie dobrego informatora; potwierdzały je również do pewnego stopnia raporty *attaché* wojskowego w Berlinie, który oświetlał głosy za i przeciw wojnie. Co do innych źródeł informacji w tej sprawie, pochodzących z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, to nie jestem w tym dobrze zorientowany, bowiem z ministrem Beckiem konferował tylko szef Sztabu Głównego, z innych jednak objawów wydaje mi się, że pogląd ten podzielały oficjalne sfery polityczne angielskie i francuskie, które na 100% z wojną się nie liczyły.

Co do wiadomości otrzymywanych przez Oddział II z placówek wywiadowczych, z raportów *attaché* wojskowych różnych państw itp., to one również początkowo nie stwarzały jasnego obrazu niewątpliwej wojny.

Niezależnie od tego jednak wszystkie przygotowania Sztabu Głównego odbywały się pod kątem widzenia przygotowań do mającej nastąpić wojny. Szef Sztabu Głównego na jednej z odpraw (w lipcu) jasno powiedział: „niezależnie od tego, czy będzie wojna, czy nie, ja jestem nastawiony na to, że wojna będzie i czynię wszystkie przygotowania do wojny”.

Przygotowania te na wszystkich odcinkach pracy wojskowej były bardzo intensywne – najsilniejsze w zakresie prac fortyfikacyjnych, przeszkód przeciwpancernych (zalewy), wytwórczości amunicji, dział przeciwpancernych itp. Równocześnie były prowadzone rozmowy o dostawy sprzętu wojskowego z Francji i z Anglii³⁵.

We wszystkich oddziałach Sztabu Głównego praca była

35. Polsko-francuskie rozmowy wojskowe w Paryżu toczyły się w dniach 15-17 maja 1939 r. i zakończyły się podpisaniem protokołu końcowego, który wszedł w życie dopiero wraz z sygnowaniem protokołu politycznego (4 września 1939 r.) 23 maja – 1 czerwca 1939 r. trwały w Warszawie negocjacje informacyjne z przybyłą brytyjską delegacją wojskową. Od 11 czerwca 1939 r. w Londynie przebywała polska misja wojskowo-gospodarcza z zadaniem wynegocjowania zakupów sprzętu wojskowego w ramach kredytu, który strona brytyjska obiecała udzielić Polsce. Umowę o pożyczce zawarto dopiero 2 sierpnia, stąd żadne z zamówionych dostaw nie dotarły do Polski. Między 17 a 21 lipca 1939 r. odwiedził Polskę gen. Edmund Ironside, prowadząc negocjacje z marsz. Śmigłym-Rydzem, gen. Stachiewiczem i ministrem Beckiem.

niezwykle intensywna. Szef Sztabu sam dawał przykład niezwyklej pracowitości. Poczynając od pierwszych dni marca obraz pracy Sztabu Głównego był całkowicie wojenny. Zostały zarządzane 24-godzinne dyżury w oddziałach, zajęcia w ważniejszych wydziałach i referatach ciągnęły się często do godz. 24-ej. W Oddziale II został utworzony referat sytuacyjny niemiecki (przewidywany normalnie tylko na wypadek działań wojennych), który wydawał codziennie wyczerpujące komunikaty sytuacyjne. Komunikaty te otrzymywali: Naczelny Wódz, szef Sztabu, I i II zastępca szefa Sztabu³⁶, szef Sztabu Lotniczego³⁷, szef fortyfikacji³⁸, kierownik Szefostwa Marynarki³⁹, minister spraw wojskowych⁴⁰, minister spraw zagranicznych i pp. inspektorzy armii zachodnich (a później również i pp. inspektorzy wschodni)⁴¹.

Niezależnie od tego szef Sztabu Głównego zarządził nast. system informacyjny i codziennie o godz. 10-ej odbywała się w gabinecie szefa Sztabu w jego obecności odprawa informacyjna, na której byli obecni: I i II zastępca szefa Sztabu, szef Biura Inspekcji płk dypl. Münnich⁴², szef Sztabu Lotniczego, przedstawiciel Oddziału III (referent sytuacji nieprzyjaciela w Oddziale III) oraz oficerowie Oddziału II SG, a to: ja, jako szef Oddziału II, I-szy zastępca szefa O. II płk dypl.

36. Odpowiednio gen. bryg. Tadeusz Malinowski oraz płk dypl. Józef Jaklicz.

37. Gen. bryg. Stanisław Ujejski – szef Sztabu Lotniczego, od 24 sierpnia 1939 r. szef Sztabu Naczelnego Dowódcy Lotnictwa i OPL.

38. Gen. bryg. Mieczysław Bąkowski.

39. Kontradm. Jerzy Świrski.

40. Gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki.

41. Armia „Modlin” – gen. bryg. Emil Przedzrymirski-Krukowicz, Armia „Toruń” – gen. dyw. Władysław Bortnowski, Armia „Poznań” – gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba, Armia „Łódź” – gen. dyw. Juliusz Rómmel, Armia „Śląsk“ (następnie „Kraków”) – gen. broni Leon Berbecki (następnie gen. bryg. Antoni Szylling), Armia „Wilno” – gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki, Armia „Rezerwowa” („Lida”) – gen. dyw. Mieczysław Norwid-Neugebauer, Armia „Baranowicze” – gen. dyw. Tadeusz Piskor, Armia „Polesie” – gen. broni Kazimierz Sosnkowski, Armia „Wołyń” – gen. dyw. Stanisław Burhardt-Bukacki, Armia „Lwów” – gen. dyw. Kazimierz Fabrycy.

42. Płk Tadeusz Münnich sprawował funkcje oficera do zleceń GISZ, od 1 lipca 1939 r. szefa Biura Inspekcji GISZ, a podczas wojny obronnej 1939 r. głównego adiutanta Naczelnego Wodza.

Englicht⁴³, szef Biura Studiów ppłk. dypl. Banach⁴⁴, kierownik Referatu Sytuacji Niemieckiej mjr dypl. Leśniak, oraz szef Biura Wywiadowczego ppłk dypl. Mayer⁴⁵, lub szef Wydziału Wyw. ppłk Skinder⁴⁶.

Podczas tych codziennych odpraw była podawana szczegółowa sytuacja niemiecka przez mjr. dypl. Leśniaka – niewątpliwie najlepszego w Oddziale II znawcę armii niemieckiej (który od 4-ech lat kierował Sam. Ref. Studiów „N”). Po czym następowała dyskusja, odpowiedzi na zapytania szefa Sztabu i polecenia szefa Sztabu, dotyczące zdobywania wiadomości. Szef Sztabu żądał bardzo dokładnych i ścisłych wiadomości i wymagał wielokrotnego ich sprawdzenia, co było bardzo uciążliwe i wyczerpujące dla aparatu wywiadowczego, pozwalało jednak zazwyczaj w ciągu kilku dni – najdalej do tygodnia, na wyjaśnienie nieścisłości lub luk w rozpoznaniu wywiadowczym wojska niemieckiego. Tylko w bardzo nielicznych wypadkach nie udało się rozpoznać numerów oddziałów niemieckich, grupujących się za naszą granicą (np. oddziałów znajdujących się w pobliżu morza, naprzeciwko Strzebielina).

Wnoski z tak zestawionych codziennych sytuacji o przygotowaniach nieprzyjaciela do wojny szef Sztabu wyciągał sam i sam te sprawy referował Panu Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych. Ja jako szef Oddziału II nigdy do wojny raportów Gen. Inspektorowi Sił Zbrojnych o sytuacji niemieckiej nie przedstawiałem. Przez cały okres przedwojenny mojej służby w Oddziale II byłem do Pana Gen. Inspektora Sił Zbrojnych wezwany dwukrotnie. Raz (w początkach czerwca), celem zreferowania stanu przygotowań organizacyjnych do dywersji na terenie własnym na wypadek wycofania się naszych wojsk i drugi raz (w sierpniu) celem zreferowania sprawy przygotowań organizacyjnych do wywiadu wojennego, również na terenie własnym. W obu wypadkach otrzymałem instrukcje wykorzystania w szerokim zakresie ugrupowań ideowych (głównie POW) do zadań dywersji i wywiadu, po

43. Płk dypl. Józef Englicht.

44. Ppłk dypl. Ignacy Kazimierz Banach.

45. Ppłk dypl. Stefan Mayer.

46. Ppłk dypl. Tadeusz Skinder.

czym Pan Gen. Inspektor Sił Zbrojnych przesunął bardziej ku wschodowi granice pasa, na którym dywersja i wywiad miały być organizowane – mniej więcej aż po linię Wisły (miało to miejsce w początkach czerwca).

Szczegóły narastania koncentracji niemieckiej poza naszą granicą przedstawiają dokumenty Oddziału II. Nie będę tych spraw omawiał w moim sprawozdaniu, melduję tylko nast. terminy, które były uzyskiwane b. szybko przez Oddział II i przedstawiane do wiadomości na codziennej odprawie szefowi Sztabu Głównego.

1. W końcu lipca na podstawie danych dokumentalnych uzyskano pewne wiadomości o terminach powołań dużej ilości rezerwistów w Prusach Wschodnich (15-16 sierpnia). Ten sam mniej więcej termin odnosił się do powołań rezerwistów na Śląsku Górnym, Bawarii, Austrii, w rejonie Hamburga itp.

2. W pierwszej połowie sierpnia był obserwowany bardzo dokładnie transport morski materiału wojennego i wojsk Rzeszy do Prus Wschodnich. Ogólny tonaż transportu obliczono na około 300 tys. ton.

3. Bardzo dokładnie był znany stan wojska i uzbrojenia na terytorium Gdańska (stan ponad jedną dywizję piechoty, z dodatkową artylerią ciężką i bronią pancerną).

4. Już ok. 17-18 sierpnia znane były z niektórych stron Prus Wschodnich dane co do momentu powołania rezerwistów. Dane te wskazywały niewątpliwie na formowanie co najmniej 2-ch dywizji piechoty rezerwowych.

5. Również w tym samym mniej więcej czasie (15-18 sierpnia) zaznaczył się napływ wojsk w rejon Górnego i Dolnego Śląska, oraz do rejonu Morawskiej Ostrawy, a później na północny-zachód od Żyliny.

Wszystkie te wiadomości napływające w terminie ogólnym od połowy sierpnia spowodowały (ok. 20 sierpnia) mobilizację tzw. „kolorową”, która postawiła w stan wojenny zdaje się 2/3 naszej armii.** Transporty koncentracyjne zmo-

** Szczegółowe dane w tej sprawie może udzielić Oddział I SG (płk dypl. Wiatr i płk dypl.[Roman] Saloni) i Oddział III (płk dypl. Jaklicz, płk dypl. Kopański).

bilizowanych mobilizacją „kolorową” wojsk miały być ukończone do końca sierpnia⁴⁷.

Na odcinku pracy Oddziału II mobilizacja „kolorowa” postawiła w stan wojenny całą służbę s.r.i. (samodzielnymi referentów informacyjnych) i ekspozytur wywiadowczych zachodnich.

6. 26 i 27 sierpnia uzyskano pewne wiadomości o mobilizacji powszechnej ukrytej w Niemczech, ogłoszonej w nocy z 25/26 sierpnia. Szef Sztabu Głównego żądał dla potwierdzenia wiadomości o powszechnej mobilizacji meldunków o afiszach mob. Dodatkowo wywiad stwierdził, że mobilizacja niemiecka jest powszechna, ale ukryta i nie ogłaszana afiszami.

Równolegle codziennie zupełnie wyraźnie narastała koncentracja niemiecka i przesuwanie wojsk niemieckich do podstaw wyjściowych, przede wszystkim w Prusach Wschodnich i na Śląsku Dolnym, oraz w rejonie Żyliny. Pod koniec sierpnia stwierdzono również przesunięcie się oddziałów niemieckich na Słowację w rejon na płd. zach. od Nowego Targu, oraz na południe od Muszyny. Zaznaczały się wyraźnie kierunki uderzeń niemieckich. O tych kierunkach i planach uderzenia niemieckiego Oddział II otrzymywał również wiadomości z różnych źródeł francuskich i angielskich. Wszystkie one podawały mn. więcej nast. kierunki uderzeń:

Pomorze – dla połączenia się z Prusami Wschodnimi,

Prusy Wschodnie – w kierunku na Warszawę,

Śląsk i Zachodnia Słowacja – w ogólnym kierunku na Kraków i COP.

Plany te były łatwe do wydedukowania nawet przez

47. Pod wrażeniem narastających przygotowań wojennych III Rzeszy po południu 22 sierpnia 1939 r. podjęto wstępne zarządzenia dotyczące zwiększenia gotowości bojowej własnych wojsk, a 23 sierpnia zarządzono mobilizację alarmową w 6 OK graniczących z Niemcami (OK I Warszawa, OK III Grodno, OK IV Łódź, OK V Kraków, OK VII Poznań, OK VIII Toruń), mobilizację całości lotnictwa, obrony przeciwlotniczej, łączności i wojsk kolejowych (ogółem 20 dywizji piechoty i 7 brygad kawalerii). Mobilizacja alarmowa w pozostałych OK nastąpiła 27 sierpnia i objęła 3 dywizje piechoty, 2 brygady kawalerii oraz 1 brygadę kawalerii zmotoryzowanej. Wyczerpało to możliwości mobilizacji alarmowej.

laików, podawały je również dzienniki zagraniczne i polskie⁴⁸.

W trakcie otrzymywania tych wiadomości o mobilizacji w Niemczech i koncentracji wojsk niemieckich na granicy polskiej szef Sztabu Głównego niewątpliwie liczył się z koniecznością postawienia w stan wojenny całej siły zbrojnej, bowiem na jednej z odpraw pytał płk. Wiatra, czy jest możliwa mobilizacja reszty dywizji bez ogłaszania mob. powszechnej. Otrzymał odpowiedź, że to nie jest możliwe.

Jakie były powody odwlekania decyzji ogłoszenia mobilizacji powszechnej, mimo niewątpliwych wiadomości o mobilizacji i koncentracji niemieckiej – nie jest mi wiadome. Z późniejszych objawów mogłem wywnioskować, że zaważyły tu tylko czynniki polityczne, mianowicie toczące się wówczas rozmowy i wymiany not między Hitlerem a Francją i Anglią. W dniu ogłoszenia mobilizacji powszechnej (28 VIII – godzina zdaje się 13) otrzymałem rozkaz zawiadomienia o tym *attaché* wojskowych Francji i Anglii. Uczyniłem to o godz. 14-tej, a już w godzinę później miałem telefon, by umożliwić niezwłocznie przyjęcie przez szefa Szt. Gł. szefów misji angielskiej i francuskiej. Po ich bytności u szefa Sztabu mobilizacja powszechna została wstrzymana. Wywołało to duże trudności, bowiem część depeesz mob. już poszła i trzeba je było odwoływać. Na drugi dzień dowiedziałem się, że powodem wstrzymania mobilizacji była usilna prośba rządów Francji i Anglii, by do czasu wręczenia odpowiedzi Hitlera ambasadorowi Hendersonowi w Berlinie – co miało nastąpić późnym

48. Po Monachium przyjęto jako zasadniczą, możliwość dwuskrzydłowego uderzenia nieprzyjaciela. Odczytano zgodnie z rzeczywistością kierunki uderzeń z Pomorza Zachodniego, Śląska i zachodniej części Prus Wschodnich. Szczególnie ważny element stanowiło przeświadczenie o koncentracji sił głównych Wehrmachtu na Śląsku, a nie na Pomorzu Zachodnim. Niektóre rozwiązania sztabowców niemieckich stały się jednak całkowitym zaskoczeniem dla polskiego Naczelnego Dowództwa. Nad koncepcją działań na froncie północnym zaciążyły poglądy o roli Narwi-Biebrzy jako przeszkody wodnej i koncepcja uderzenia wzdłuż osi Allensten-Mława-Modlin (Warszawa). W rezultacie nie przewidziano zwrotu 3 Armii niemieckiej na Różan-Pułtusk po wygranej bitwie pod Mławą i głębokiego odejścia sił polskich przez wojska 4 Armii, której sił głównych spodziewano się na lewym, a nie prawym brzegu Wisły. Na skrzydle południowym nie liczone było z możliwością tak głębokiego obejścia od południowego-wschodu przez 14 Armię, ze Słowacji, z której wojska, wraz z korpusem gen. Heinza Guderiana (4 Armia) utworzyły drugą parę „kleszczy”.

wieczorem 28 VIII, mobilizacji w Polsce nie rozpoczynać.

Rozkaz mobilizacyjny definitywny wyszedł dopiero dnia 29 VIII i pierwszym dniem mob. został wyznaczony dzień 30 VIII⁴⁹.

Na zakończenie mego sprawozdania z pierwszego okresu (przedwojennego) przedstawiam porównanie stanu koncentracji wojsk niemieckich użytych przeciw Polsce według wiadomości posiadanych w Oddziale II do dnia 31 VIII, z rzeczywistym stanem wojsk niemieckich, jaki ujawnił się w działaniach wojennych od dn. 1 IX do dn. 17 IX (patrz tabela str. 89).

Biorąc dla porównania liczby maksymalne, jako bardziej prawdopodobne, otrzymamy nast. stany wielkich jednostek niemieckich, użytych w składach armii walczących w Polsce:

1. Wg oceny O. II. z dn. 31 VIII – 29 dp, 14 ds = 53 wj⁵⁰

2. Zidentyfikowanych do dn. 17 IX – 42 dp, 16 ds = 58 wj. lub biorąc pod uwagę 2 dp słowackie – 44 dp, 16 ds = 60 wj⁵¹.

Różnica więc w ocenie wynosiła 3(5) dp i 2 ds.

Nie zostały stwierdzone do dnia 31 VIII 19 DP⁵² i 30 DP⁵³, 1 Dywizja Górską⁵⁴ (i 2 dywizje słowackie⁵⁵), oraz 10

49. Mobilizację powszechną zarządzono dopiero nocą z 28/29 sierpnia (ogłoszenie – 29 sierpnia), 1 dzień mobilizacji – 30 sierpnia) lecz po interwencjach Francji i Wielkiej Brytanii 29 sierpnia opóźniono wydanie rozkazów. Pod naciskiem sytuacji 30 sierpnia między godziną 10.00 a 11.00 ponownie zdecydowano się nakazać rozplakatowanie mobilizacji powszechnej (1 dzień mobilizacji – 31 sierpnia).

50. Tak w oryginale, powinno być 39 dp. Skróty: dp – dywizji piechoty, ds – dywizji szybkich (czyli pancernych, lekkich i zmotoryzowanych), wj – wielkich jednostek.

51. Przeciwko Polsce Niemcy rzucili 37 dywizji piechoty, 3 dywizje piechoty górskiej, 15 jednostek fortecznych i Grenzschtzu w sile dywizji lub brygady, 7 dywizji pancernych, 4 dywizje lekkie, 4 dywizje zmotoryzowane, 1 brygadę kawalerii i 2 samodzielne zmotoryzowane pułki SS. Do tego należało doliczyć wojska słowackie w sile 3 dywizji piechoty i 1 zmotoryzowanego oddziału szybkiego, oraz część odwodów OKH przeznaczoną do użycia na wschodzie w sile 8 dywizji piechoty. Ogółem więc można mówić o ponad 80 wielkich jednostkach na froncie wschodnim.

52. 19 DP w składzie XI KA 10 Armii.

53. 30 DP w składzie X KA 8 Armii.

54. 1 DGór. przekazana 2 września wraz z 2 DGór. odwołu OKH i podporządkowana dotychczasowemu dowódcy XVIII KA.

55. Patrz przypis 37.

Dyw. Panc.⁵⁶, świeżo sformowana w Pradze i 20 Dyw. Zmotor.⁵⁷, która odeszła z garnizonu (Hamburg), nie stwierdzono jej jednak na froncie polskim – być może że była w odwodzie Naczelnego Dowództwa niemieckiego***.

W kalkulacji powyższej nie uwzględniłem odwodów Nacz. Dowództwa niemieckiego, z których na front polski mogło być przeznaczone około 20 dywizji piechoty, a więc razem na front polski mogło być skierowane 78 do 80 wielkich jednostek, reszta z rozporządzalnych wielkich jednostek (34 do 40)**** mogła być w tym czasie użyta na froncie zachodnim.

Obszar	Stan wojsk niemieckich wg wiadomości O. II z dn. 31 VIII			Stan wojsk niemieckich ujawnionych w walkach do dn. 17 IX		
	dp	d. szyb.	razem	dp	d. szyb.	razem
	od-do	od-do	od-do	od-do	od-do	od-do
Prusy Wschodnie	7-10	2-2	9-12	8-9	3-3	11-12
Przedpole Pomorza	3-4	2-3	5-7	4-5	3-3	7-8
Przedpole Poznańskiego	1-2	-	1-2	1-1	-	1-1
Przedpole Śląska (od Leszna do Raciborza)	8-8	5-6	13-14	10-10	6-7	16-17
Przedpole Śląska Ciesz. i Zach. Słowacji	5-5	3-3	8-8	6-6 (2-2 słowac.)	3-3	9-9 (2-2 słowac.)
Razem w I linii	24-29	12-14	36-43	24-29	15-16	44-48
dp II linii (odwoły armii przypuszcz. minimum)	10-10	-	10-10	10-10	-	10-10
Razem w składzie armii walczących	34-39	12-14	46-53	34-39 (41-44)	15-16	54-58 (56-60)

56. 10 DPanc. przeszła z odwodów OKH do GA „Północ”.

57. 20 DZmot. w składzie XIX KPanc.

*** Już w Paryżu dowiedziałem się, że 20 Dyw. Zmotor. była użyta w grupie niemieckiej nacierającej na Pomorze [patrz przypis 56]

**** Badania możliwości mob. niemieckiej wykazywały 114 do 120 wj. zmobilizowanych. Sztab francuski oceniał to wyżej, nawet do 140 wj [Na froncie zachodnim w Grupie Armii „C” skupiono około 42 dywizji piechoty. Faktycznie więc Niemcy wystawiły w 1939 r. 106 wielkich jednostek lądowych, nie wliczając w to wojsk fortecznych, granicznych, oddziałów pozadywizyjnych oraz licznych uzupełnień]

Przypuszczalna ilość sił lotniczych, które mogły być użyte w Polsce Sztab Lotniczy Sztabu Głównego oceniał na 1/3 do 2/3 całości sił powietrznych Rzeszy. W rzeczywistości było użyte co najmniej 3/4. Ilość tylko aparatów bombowych użytych w Polsce oceniono na 800 do 900 aparatów⁵⁸, na ogólną ilość 1.000 aparatów bombardowania ciężkiego⁵⁹ i 300 – nurkowego⁶⁰, które według wiadomości Oddziału II miały być w stanie bojowym floty powietrznej Niemiec.

Ilości czołgów użytych na froncie polskim były przypuszczalnie następujące:

6 dyw. pancer. á 400 czołgów = 2.400

5 dyw. lekkich á 200 czołgów = 1.000

kilkanaście baonów czołgów przy dywizjach piechoty = 1.000

Razem: 4.400⁶¹

Okres II (wojenny) (1 IX 39 – 17 IX 39)

Meldunek o rozpoczęciu kroków wojennych nadszedł do Oddziału II dn. 1 IX o godz. 5-ej (zbombardowany Tczew, Puck i przekroczenie granicy pod Chojnicami). O tym został niezwłocznie powiadomiony szef Sztabu i zarządzony alarm Sztabu. Stosownie do planu wojennego I rzut Sztabu Głównego ewakuował się niezwłocznie na ul. Rakowiecką do schronów, II rzut Sztabu, do którego wchodził również i II rzut Oddziału II SG ewakuował się do różnych przewidzianych planem budynków. Na starych miejscach z Oddziału II

58. Faktycznie wystawiono przeciwko Polsce 1.078 sprawnych maszyn bombowych, 474 samoloty rozpoznawcze, 507 samolotów myśliwskich i 506 samolotów transportowych.

59. Faktycznie wystawiono 1.089 sprawnych średnich bombowców, z czego 775 przeciwko Polsce.

60. Faktycznie wystawiono 332 sprawne bombowce nurkujące, z czego 303 przeciwko Polsce.

61. Faktycznie przeciwko Polsce skierowano 2.586 czołgów i około 800 samochodów pancernych. Aż 75% (1.921 sztuk) czołgów skupiono w ramach 7 dywizji pancernych, 20% (521 sztuk) czołgów w ramach 4 dywizji lekkich, a zaledwie 5% (144 sztuki) czołgów w ramach 2 batalionów pancernych skierowano do wsparcia piechoty.

pozostały: W-T kontrwywiadowczy, Ekspozytura 2, Biuro Szyfrów (gros) i W-T Techniczny.

W składzie I rzutu Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza wchodziłem łącznie z grupą około 18 oficerów. I rzut obejmował tylko dobrze rozbudowany Wydział Sytuacji nieprzyjaciela, grupę szyfrów i mały referat wywiadowczy. Cały aparat Oddziału II wykonujący właściwą pracę Oddziału II podlegał mi przez szefa II-go rzutu Oddziału II Szt. Gł. płk. dypl. Englichta. Łączność była zorganizowana i łatwa w Warszawie, trudności powstawały dopiero po ewakuacji Kwatery Głównej Naczelnego Wodza z Warszawy, co nastąpiło 6 września.

Wypadki wojenne rozgrywały się bardzo szybko. Uderzenie niemieckie nastąpiło na 4-ech głównych kierunkach:

1. Z Prus Wschodnich w ogólnym kierunku na Ciechanów, Pułtusk, z pomocniczym uderzeniem na wschód od Grudziądza,

2. Z Pomorza Pruskiego w rejonie Chojnic w ogólnym kierunku na północ od Bydgoszczy,

3. Z Dolnego Śląska w kierunku na północ od Częstochowy i na Piotrków. Przy czym część sił niemieckich poszła w kierunku wschodnim dla okrążenia Armii „Kraków” od północy,

4. Z rejonu Morawska Ostrawa i Zachodnia Słowacja w kierunku na Kraków i Nowy Sącz dla okrążenia Armii „Kraków” od południa⁶².

62. Grupa Armii Północ rozwinęła 3 Armie w Prusach Wschodnich i 4 Armie na Pomorzu Zachodnim; zadaniem bliższym było uzyskanie łączności przez Korytarz Gdański i uderzenie z obu kierunków wzdłuż Wisły na Warszawę w celu zniszczenia sił polskich na Pomorzu Gdańskim i Mazowszu; zadaniem ostatecznym – przy współdziałaniu z GA Południe zniszczenie nieprzyjaciela w Polsce zachodniej

3 Armia, skoncentrowała siły główne w rej. Allenstein-Neidenburg-Willenberg z zadaniem przełamania obrony polskiej na północnym Mazowszu i sforsowania Narwi w celu uderzenia od wschodu na Warszawę; XXI KA miał wykonać pomocnicze uderzenie z rejonu Marienwerder-Freystadt na Grudziądz, w celu połączenia się z częścią sił 4 Armii operującej z Pomorza Zachodniego;

4 Armia; zgrupowana w rej. Schlochau-Landeck-Flatow miała przełamać obronę polską na odc. Koronowo-Tuchola i opanować linię Wisły w rej. Chełmno-Grudziądz; 3 KA otrzymał zadanie osłony tych działań natarciem na Nakło-Bydgoszcz;

Przerwania frontu dokonały grupy pancerne, których działanie, jak również działanie lotnictwa nieprzyjaciela, w niezwykle sposób ułatwiała wspaniała wprost, trwająca od szeregu dni pogoda i susza. Czołgi przechodziły wszędzie. Rzeczki powysychały i nie tworzyły przeszkód przeciwpancernych. Lotnictwo niemieckie w ciągu kilku dni tak rozbiło wszystkie linie i węzły kolejowe, że transporty koncentracyjne dywizji odwodowych Naczelnego Wodza nie były w stanie przybyć do miejsc przeznaczenia. Zamiast dywizji przybywały poszczególne bataliony bez artylerii, lub z małą jej ilością.

Marsz grup pancernych nieprzyjaciela był bardzo szybki. Piechota niemiecka pozostawała w tyle. Oddziały pancerne nieprzyjaciela powodowały panikę na tyłach, uniemożliwiając wysiłki zorganizowania oporu.

Szczegóły postępów wojsk nieprzyjaciela w każdym dniu wojny, jak również oceny sił nieprzyjaciela, uwzględniają dokumenty Oddziału II.

W okresie działań wojennych tak szybkich praca Sztabu była bardzo trudna. Łączność ciągle rwana przez lotnictwo nieprzyjaciela, szyfry wpadały w ręce nieprzyjaciela, tak że trzeba je było co kilka dni zmieniać. Stosunkowo najlepiej i najszybciej funkcjonowała łączność lotnicza, jednak i tu lotnicy łącznikowi byli często zestrzeliwani przez własne oddziały i sterrowane działaniem lotnictwa nieprzyjacielskiego i nie zwracające uwagi na znaki rozpoznawcze samolotów. Olbrzymie fale uchodźców zapchały większość szos i utrudniały w wysokim stopniu łączność oficerów łącznikowych na samochodach.

Grupa Armii Południe skoncentrowana na Dolnym Śląsku i Morawach powinna przełamać obronę wroga w celu zdobycia Warszawy i uchwycenia Wisły na północ i południe od stolicy, oraz wyeliminowania możliwego przeciwnatarcia sił polskich z Małopolski zbieżnym uderzeniem na Kraków;

10 Armia; miała wykonać główne zadanie, przełamując obronę nieprzyjaciela na kier. Kielce-Pabianice natarciem z rej. Pitschen-Peiskretscham-Oppeln w celu szybkiego dotarcia do Wisły na linii: ujście Wieprza-ujście Bzury;

14 Armia; miała uderzać z Górnego Śląska i Słowacji, zając polską część Śląska i rej. Krakowa, oraz wyjść nad Dunajec w celu uchwycenia przepraw i osłony działania 10 Armii od południa; w dalszym etapie powinna nacierać ze Słowacji na Lwów i Włodzimierz Wołyński;

8 Armia; skoncentrowana w rej. Namslau-Neumittelwalde-Festenberg powinna osłonić działania 10 Armii od północy.

Wobec nieudania się prób zatrzymania zgrupowań pancernych nieprzyjaciela na zachód od Wisły, Naczelny Wódz wydał rozkaz wycofania wojsk za Wisłę i stworzenia frontu obronnego na rzekach Narwi, Wiśle i Wisłoku, względnie na Sanie, przy czym Warszawa i Modlin miały tworzyć przyczółki obronne****. Na nowe m.p. Naczelnego Wodza został wybrany Brześć n. B., dokąd Kwaterna Główna przybyła 7 IX rano.

W tym czasie zaczęły napływać meldunki o częściowej mobilizacji i przesunięciach wojsk sowieckich ku granicy polskiej. Składałem o tym meldunki szefowi Sztabu i Naczelnemu Wodzowi. Zostało to ocenione jako pewnego rodzaju zabezpieczenie się Sowietów nad granicą, ale nie jako koncentracja wojsk sowieckich do akcji na Polskę. Do tego rodzaju oceny upoważniały uspokajające oświadczenia ambasadora sowieckiego w Polsce, Szaronowa, oraz przyjęcie delegacji naszej (Se.Pe.We.), która wyjechała do Moskwy dla rozmów o dostawy materiału wojennego z Sowietów.

Zdaje się, że około 9 września pękła linia Narwi pod Rózanem⁶³, a na południu czołowe pancerne elementy nieprzyjaciela doszły do Radymna nad Sanem⁶⁴. Wychodzą wówczas rozkazy Naczelnego Wodza wycofania się na południow-wschód i oparcia frontu na linii Brześć-Wieprz-San, a główną linią komunikacyjną na Rumunię. Rumunia w tym czasie jest jeszcze życzliwie neutralna i przepuszcza nasze transporty materiału wojskowego z Anglii i Francji, skierowane przez Constanzę.

Na m.p. Naczelnego Wodza przewidywany jest Lwów. Przedtem jednak Naczelny Wódz wybiera Włodzimierz Wołyński, jako m.p. przejściowe.

Kwaterna Główna Naczelnego Wodza przybywa do Włodzimierza Wołyńskiego dn. 12 września rano. W tym czasie pęka linia Sanu i nieprzyjacielskie dywizje pancerne przedostają się na Lwów. Dn. 13 września w południe

**** Dokładne sprawozdanie w tej sprawie może dać płk dypl. Jaklicz, płk dypl. [Tadeusz] Klimecki.

63. Niemcy sforsowali Narew pod Rózanem już 6 września.

64. Niemiecka 4 DLeK sforsowała czołowymi elementami San pod Radymnem rano 10 września.

poszczególne patrole pancerne nieprzyjaciela podchodzą pod Hrubieszów, we Lwowie walki z oddziałami pancernymi nieprzyjaciela. Naczelne Dowództwo przechodzi w nocy z 13/14 września do Młynowa, a następnie w nocy z 14/15 września do Kołomyi. Umieszczenie Nacz. Dowództwa w tej miejscowości pozostaje w związku z decyzją Nacz. Wodza stworzenia frontu na rzekach Dniestrze i Stryju w widłach granic Węgier i Rumunii z zasadniczą komunikacją na Rumunię (Sniatyń).

Wystąpienie bolszewików w dniu 17 września o świcie zniweczyło tę ostatnią koncepcję Naczelnego Wodza i został wydany rozkaz ewakuacji na Rumunię, celem przedostania się następnie do Syrii lub Francji, dla tworzenia tam nowej Armii Polskiej.

Nic nie wiem do jakiego stopnia i czy sprawa przejścia wojsk polskich na teren Rumunii, a następnie przez Rumunię do Francji (lub Syrii) była przygotowana przez ministra spraw zagranicznych. Aczkolwiek była już ogłoszona deklaracja rządu rumuńskiego rozbijania i internowania oddziałów Wojska Polskiego przechodzących na teren Rumunii, to wydaje mi się, iż Naczelny Wódz liczył na to, że ta decyzja rządu rumuńskiego została powzięta dla zachowania pozorów wynikających z postawy neutralnej Rumunii, że natomiast Rumuni nie będą stawiali większych przeszkód dla szybkiego przetransportowania wojsk polskich do Constanzy na okręty francuskie i angielskie.

Jest to tylko moje przypuszczenie, bowiem o tych sprawach nie byłem informowany. Przypuszczenie moje potwierdziła późniejsza rozmowa z płk. dypl. Jakliczem (już w Rumunii), który mi opowiadał o decyzji Naczelnego Wodza powziętej w Kosowie przedostania się w towarzystwie kilkunastu oficerów samochodami do wojsk broniących się w rejonie Stanisławowa, a następnie, o ile możliwości połączenia się z grupą gen. Sosnkowskiego, która miała maszerować w kierunku południowym. Płk Jaklicz ocenił niekorzystnie sytuację w terenie dla tej decyzji Naczelnego Wodza, bowiem grupa Naczelnego Wodza mogła łatwo wpaść w ręce dywersantów ukraińskich, coraz liczniej występujących przeciwko oddziałom polskim, lub w ręce bolszewików. Płk Jaklicz był

zdania, że nie należy rezygnować z możliwości przejścia przez teren Rumunii celem formowania Armii Polskiej we Francji. Naczelny Wódz odstąpił od pierwotnego zamiaru i zdecydował się na przejście do Rumunii.

Akcja Sowietów była zaskoczeniem. W wielu miejscach wkraczające oddziały sowieckie nie strzelały do oddziałów polskich. Po porozumieniu się z M.S.Zagr. na rozkaz szefa Sztabu zarządziłem wysłanie parlamentariuszy z pułku KOP-u w Czortkowie do dowództwa sowieckiego z zapytaniem, w jakim charakterze wojska sowieckie przekroczyły granice polskie.

Ponieważ przysły meldunki, że wojska sowieckie nie rozbrajają naszych oddziałów, Naczelny Wódz wydał rozkaz nie wdawania się w walkę z bolszewikami, a maszerowania oddziałów polskich w kierunku Rumunii poprzez wkraczające oddziały sowieckie.

Naczelny Wódz z Kwaterą Główną opuścił Kołomyję dnia 17 IX w godzinach przedpołudniowych i zatrzymał się w Kosowie. W Kołomyi został tylko szef Sztabu Głównego z kilku oficerami.

Rozkaz do wycofania się do Rumunii otrzymałem w Kosowie ok. godz. 21-ej. Przejazd z Kosowa do Kut trwał całą noc, wobec zapchania szos przez masy samochodów. Granicę Rumunii przekroczyłem ok. godz. 4-ej dn. 18 IX.

Dnia 16 IX wieczorem podczas pobytu w Kołomyi Naczelny Wódz wezwał do siebie mjr. Galinata i w mojej obecności wydał rozkazy udania się samolotem do Warszawy dla rozpoczęcia prac organizacji POW w Polsce. Mjr Galinat miał odlecieć z Kołomyi, co jednak z powodu nie znanych mi trudności nie nastąpiło. Po kilku dniach próbował odlecieć dopiero z Bukaresztu przy pomocy *attaché* wojskowego w Bukareszcie. Otrzymałem później wiadomość, iż mjr Galinat wylądował w Warszawie jeszcze przed jej poddaniem⁶⁵.

65. Mjr dypl. Edmund Galinat przybył z lotniska w Czerniowcach do Warszawy samolotem PZL P-46 „Sum” 26 września z rozkazem marsz. Śmigłego-Rydza zorganizowania podziemnej organizacji konspiracyjnej.

Okres III (pobyt w Rumunii)

Po przekroczeniu granic Rumunii zebrałem dwa rzuty Oddziału II Szt. Gł. wraz z dołączonymi organami terenowymi w jedną kolumnę. Zostaliśmy skierowani na Starożyniec, gdzie miało nastąpić zdanie broni. Wskutek zapchania szos samochodami ewakuujących się wojsk, urzędów i osób cywilnych trzeba było czekać cały dzień pod Starożyńcem. Przez Starożyniec kolumna Oddziału II SG przeszła o godz. 24 dn. 18 IX, przy czym samochody ciężarowe ze sprzętem zostały przez Rumunów zatrzymane. W Starożyńcu rozbrojeni zostali tylko żołnierze, oficerowie broni nie zdawali.

Jako pierwsze miejsce zbiórki dla Kwatery Głównej Naczelnego Wodza została wyznaczona miejscowość letniskowa Vatra Dornei. Dowództwo nad grupą Sztabu i Kwatery Głównej objął I-szy zastępca szefa Sztabu gen. Malinowski (szef Sztabu był nieobecny, dołączył dopiero później). Dzięki wysiłkom gen. Malinowskiego stopniowo zostały uregulowane pierwsze sprawy związane z pobytym w Rumunii (rejestracja, wymiana złotych itp.). Zasadniczym dążeniem gen. Malinowskiego było zachowanie zwartości Sztabu, by mógł być w całości użyty do dalszej pracy.

Korzystając z chwilowego postoju w Vatra Dornei zarządziłem zewidencjonowanie oficerów Oddziału II – już obu rzutów, oraz tych organów terenowych Oddziału II, które dołączyły po drodze. Stan oficerów wynosił około 300 (w tym ok. 60 sztabowych), stan urzędników również ok. 300 – łącznie 600 osób personelu Oddziału II, a ponadto ok. 150 szeregowych.

Personel wywiadowczy na terenie Niemiec miał stosownie do istniejącego planu z chwilą rozpoczęcia kroków wojennych zjechać z terenu Niemiec, dla zasilenia placówek limitrofowych, które miały wszelkie warunki dla ciągłej pracy. Z tymi placówkami obecnie nie było żadnej łączności, wydałem więc przez oficera wysłanego do Bukaresztu, do *attaché* wojskowego, rozkaz do wszystkich placówek limitrofowych, by zdobywane wiadomości wywiadowcze przekazywały Francuzom i Anglikom. Wydałem również rozkaz zestawienia

dokumentów sytuacyjnych Oddziału II za czas działań wojennych dla celów historycznych.

Dnia 24 września nastąpił wyjazd I rzutu Kwatery Głównej samochodami do obozu w Tulcea. W tej grupie pojechał I rzut Oddziału II wraz ze mną. II rzut pojechał poprzedniego dnia koleją i miał się spotkać z pierwszym w Tulcei.

Do Tulcei przybyłem z I rzutem Oddziału II dn. 26 września. II rzut nie przybył i został skierowany do różnych obozów, stosownie do zarządzeń władz wojskowych rumuńskich, które w tym czasie zostały wydane. Według tych zarządzeń oficerowie sztabowi zostali skierowani do obozu w Calimanesti, a młodszy oficerowie do szeregu obozów.

Po drodze do Tulcei dołączył do grupy szef Sztabu Głównego gen. Stachiewicz.

Szef Sztabu Głównego interesował się głównie dwiema sprawami: transportem wojsk do Francji i zachowaniem zwartości Sztabu, by móc go użyć do pracy we Francji. W tym celu były przygotowywane wytyczne, fundusze potrzebne dla wyjazdu do Francji miał dostarczyć Oddział II, posiadający pewien zasób walut obcych, przeznaczony na potrzeby Oddziału II na kilkumiesięczny okres wojny.

Na drugi czy trzeci dzień naszego pobytu w Tulcei władze rumuńskie wydały rozkaz internowania szefa Sztabu. Wyjeżdżając z Tulcei szef Sztabu Głównego powierzył Sztab oficjalnie płk. dypl. Jakliczowi (drugiemu zastępcy). Pierwszy zastępca szefa Sztabu, gen. Malinowski, pozostał nieoficjalnie jako pułkownik, bowiem wszyscy generałowie odjeżdżali z Tulcei stosownie do zarządzeń władz rumuńskich do obozu w Herkulanum.

Gen. Malinowski i płk Jaklicz opracowali rozkaz wysyłki oficerów i szeregowych do Francji. Rozkaz ten w odpisie załączam.

Dnia 4 X do Tulcei przyjechał oficer francuski, kpt. de Winter, wysłannik gen. Faury⁶⁶, który przywiózł ogólne wytyczne tworzenia Wojsk Polskich we Francji i żądania, by najlepiej przygotowani do pracy Sztabu oficerowie i specjaliści Oddziału II jak najszybciej starali się przedostać do Francji.

66. Gen. bryg. Louis Faury, szef misji francuskiej przy Naczelnym Dowództwie WP.

Kpt. de Winter nastawał przede wszystkim na wyjazd gen. Malinowskiego i płk. Jaklicza. Obaj ci oficerowie zgodzili się jechać, a kierownictwo Sztabu objął płk dypl. Wiatr⁶⁷.

Dnia 5 X rano wyjechał z Tulcei z kpt. de Winterem gen. Malinowski, płk dypl. Jaklicz i mjr dypl. Leśniak, którego chciałem jak najspieszniej wysłać z Oddziału II do Francji, jako najlepszego specjalistę od wojska niemieckiego.

Tegoż dnia po południu przyjechał po mnie taksówką rumuńską oficer Oddziału II, celem zabrania mnie do Bukaresztu, bowiem zostałem zażądany w[e] Francji. Wyjechałem niezwłocznie i bez przeszkód dn. 6 X przybyłem do Bukaresztu. Również dnia 5 X cały Sztab z płk. Wiatrem odjechał z Tulcei pociągiem do obozu w Calimanesti (oficerowie młodszy ze Sztabu Głównego odjechali kilka dni przed tym do obozu w Bals).

Gen. Malinowski i płk Jaklicz po przybyciu do Bukaresztu, korzystając z okazji wyjazdu ambasadora RP w Bukareszcie do Naczelnego Wodza Marszałka Śmigłego-Rydza, internowanego w Craiovej, wysłali przez oficera meldunek do Naczelnego Wodza o swym przybyciu do Bukaresztu i dalszych zamierzeniach odnośnie wyjazdu oficerów Sztabu Głównego do Francji. Ja zameldowałem projekt pracy Oddziału II, stawiając na pierwszym miejscu organizowanie łączności z krajem.

W odpowiedzi na meldunek gen. Malinowskiego i płk. Jaklicza Naczelny Wódz wydał rozkaz wyjazdu Sztabu do Francji i podporządkowania się rozkazom p. gen. Sikorskiego. Mój projekt prac Oddziału II Naczelny Wódz zaakceptował. Przystąpiłem do organizacji tej pracy oraz przygotowywałem się do wyjazdu do Francji, zbierając potrzebne wize.

Ok. 11 października przybył do Bukaresztu gen. Kleeberg⁶⁸, jako specjalny pełnomocnik p. ministra spraw wojskowych dla uregulowania sprawy wysyłki oficerów i szeregowych do Francji. Gen. Kleeberg przywiózł mi rozkaz, podobny w treści do otrzymanego uprzednio rozkazu Naczelnego

67. Płk dypl. Józef Wiatr, Naczelny Kwatermistrz i zastępca szefa Sztabu NW.

68. Gen. bryg. Juliusz Kleeberg, od sierpnia 1939 r. dowódca OK II Lublin.

nego Wodza o organizacji łączności z krajem, jako zasadniczej akcji Oddziału II, przy czym wywiad na Rosję Sowiecką miał być przerwany. Zameldowałem gen. Kleebergowi, że wywiad ten ułatwi nam zadanie pierwsze (zasadnicze) maskując je. Gen. Kleeberg zgodził się na mój projekt. Opracowałem wówczas rozkaz organizacyjny tej akcji od południa, który załączam (rozkaz ten po zbadaniu przeze mnie w czasie podróży do Francji warunków pracy w Budapeszcie i Belgradzie winien ulec pewnym zmianom, jednak nie zasadniczym).

Poza tym gen. Kleeberg polecił mi złożyć meldunek o stanie funduszu specjalnego Oddziału II, co uczyniłem. Stan bieżący kasy Oddziału II w walutach obcych i polskiej został przewieziony do Bukaresztu i zdeponowany u *attaché* wojskowego. Szczegółowe zestawienie kasowe i rozliczenie może być w każdej chwili wykonane przez kierownika referatu pieniężnego Oddziału II, który posiada całą księgowość⁶⁹ i jest obecnie w Bukareszcie. Winien on być, zdaniem moim, ściągnięty wraz z kasą Oddziału II i księgowością do Francji. Rozliczenie się dysponentów z otrzymanych zaliczek wymaga w obecnych warunkach dłuższego czasu.

Wskutek trudności wizowych nie mogłem szybko wyjechać do Paryża, by osobiście zameldować mój projekt pracy Oddziału II i jego organizacji w obecnych warunkach.

Aparat Oddziału II Sztabu Głównego jest aparatem przygotowanym całkowicie do pracy w zakresie całokształtu zagadnień o podstawowym znaczeniu dla państwa polskiego. W obecnych warunkach musi on być zredukowany, np. niektóre b. obszerne działy pracy O. II w kraju, jak cały kontrwywiad wewnętrzny, winien ulec bardzo poważnej redukcji. Tym niemniej jednak pozostaje do użycia cały aparat wywiadowczy na Niemcy i Rosję Sowiecką, cała ewidencja niemiecka i częściowo rosyjska i ogólna, cały aparat dywersyjny (tzw. Ekspozytura 2), aparat propagandy i informacji prasowej, oraz niezwykle cenny, bodajże najlepszy na świecie zespół specjalistów kryptografii oraz cały zespół techniczny.

Oddział II Sztabu Głównego ma doskonałą markę pośród wywiadów świata (opinie angielskie, francuskie, japoń-

69. Tak w oryginale.

skie), wyrobił ją sobie długoletnią ofiarną i pełną oddania się sprawie pracą. Personel oficerski Oddziału II jest świetny i fachowo doskonale przygotowany, może oddać nieocenione usługi dla sprawy polskiej, ale dlatego winna być zdaniem moim zachowana jego zwartość. Wielu oficerów Oddziału II przewidywanych przeze mnie do pracy Oddziału jest już we Francji, wielu jeszcze czeka na wezwanie z Rumunii. Duża ilość oficerów Oddziału II może być z powodzeniem użyta w linii, jednak główny aparat może być szybko zebrany i w ciągu krótkiego czasu może z pełną wydajnością pracować.

Z Rumunii wyjechałem 21 października. Po drodze w Budapeszcie zbadałem warunki pracy placówek Oddziału II tam umieszczonych. Praca ta idzie dobrze i łączność z krajem już została zorganizowana, należy ją tylko ulepszać. Budapeszt, zdaniem moim, skupia obecnie najwięcej możliwości dla organizacji łączności z krajem i dlatego tam winien być umieszczony większy aparat tej akcji.

Jadąc do Francji zbadałem również możliwości umieszczenia organów pracy Oddziału II na terenie Jugosławii, które są korzystne.

Do Francji przybyłem 27 października.

Marian Józef SMOLEŃSKI, płk dypl.

Igor TORBAKOW

SWÓJ CZY OBCY? STEREOTYP UKRAIŃCA W ROSJI XVII-XVIII WIEKU

„Każdy naród posiada jakieś cechy szczególne, wyróżniające je spośród wszystkich innych – pisał 16 stycznia 1829 roku Johann Wolfgang Goethe. – To właśnie odczuwanie owych cech różni narody między sobą, przyciąga je do siebie lub, przeciwnie, odpycha. Przejawy zewnętrzne tej specyfiki widziane są zwykle przez innych jako antypatyczne i odrażająco śmieszne. Dlatego właśnie inny naród darzymy zawsze mniejszym szacunkiem niż na to zasługuje”. Notując powyższe słowa sędziwy już „niemiecki geniusz” przekazał nam w spadku niezwykle głęboką myśl, rzucającą snop światła na mechanizmy rządzące wielokształtną ludzką społecznością.

Rzeczywiście – jednostka zaczyna uświadamiać sobie własną tożsamość w miarę poznawania innych ludzi. To samo odnosi się do całych narodów (kolektywnych jaźni): kategorie „my” i „nasze” konstituują się poprzez dystansowanie się wobec „nie naszego”, „cudzego”. Z czasem owo „cudze” obrasta w zespół charakterystycznych, stałych cech – przeważnie negatywnych; to one właśnie tworzą stereotyp – również stereotyp danego narodu. Konkretnie przykłady funkcjonowania stereotypów narodowych można znaleźć już choćby w haśle „nacja” w Encyklopedii Diderota i d’Alamberta: „Każdy na-

ród posiada własny, szczególny charakter – pisał uczony autor wieku oświecenia. – Znany jest cały szereg porzekadeł, np. lekkomyślny jak Francuz, zazdrosny jak Włoch, wyniosły jak Hiszpan, srogi jak Anglik, dumny jak Szkot, pijany jak Niemiec, leniwy jak Irlandczyk, cwany jak Grek”.

We współczesnych badaniach historycznych zagadnieniu stereotypów narodowych poświęca się coraz więcej uwagi, dostrzegając w nim istotny składnik fundamentalnej, społeczno-psychologicznej i kulturologicznej problematyki, którą określić można jako obraz innego. W ostatnim czasie tematowi temu poświęciły specjalne numery pisma *Diogenes*, *Annales* oraz rosyjski *Odissiej*. W Niemczech już od ponad dziesięciu lat prowadzi się badania w ramach stworzonego przez śp. Lwa Kopielewa „Wuppertalskiego projektu studiów nad wzajemnymi wyobrażeniami Niemców i Rosjan”. Owocem tego przedsięwzięcia jest wielotomowe wydawnictwo „Westostliche Spiegelungen”, składające się z dwóch serii: „Russen und Russland aus deutsche Sicht” oraz „Deutsche und Deutschland aus russischer Sicht”.

Ważna szkoła „Stereotypen-Forschung” działa również w Polsce. Podejmuje ona przede wszystkim problematykę stereotypów polsko-niemieckich, choć na początku lat 80-tych pojawiają się także interesujące studia nad wzajemnym odbiorem Polaków i Rosjan¹ oraz Polaków i Ukraińców². Zagadnieniem narodowych stereotypów (głównie ukraińsko-polskich) zajmują się również uczeni ukraińscy³.

1. A. Kępiński, „Lach i Moskal. Z dziejów stereotypu”, Warszawa-Kraków 1990; J. Radziejowski, „The Image of Pole in Russian Publicistic Writings (1864-1918)”, *Acta Poloniae Historica* 1992, t. LXVI, s. 115-139; *idem*, „Znienawidziłem ten potwór azjatycki”. Kształtowanie się obrazu Rosjanina w Polsce od powstania listopadowego do I wojny światowej”, *Krytyka* 1993, nr 40, s. 94-115; A. Drawicz, „Nasze widzenie Rosjan w XX wieku”, *Dzieje Najnowsze* 1995, nr 2, s. 37-41; G. Przebinda, „Poliaki i Rossija (mieжду simpatijej i antipatijej)”, *Rossija i sowriemiennyj mir* 1997, nr 2 (15), s. 540-63.

2. J. Radziejowski, „Ukrainian and Poles. The Shaping of Reciprocal Images and Stereotypes”, *Acta Poloniae Historica* 1984, t. L, s. 115-140; *idem* „Ukraińci ta Poliaki – formuвання wzaemnego obrazu i stereotipu”, *Widnowa* 1985/86, nr 4, s. 147-168.

3. N. Jakowienko, „Образ Полиака в українській історичній білієтристичі”, w: „Ukraina-Polsza: Istoryczna spadszczyna i suspilna swidomist’.

Zainteresowanie nowymi tendencjami uwidoczniło się także – jakkolwiek z tradycyjnym w tym przypadku opóźnieniem – w humanistyce rosyjskiej: „dopiero w ostatnich latach pojawiły się prace poświęcone mechanizmom powstawania i funkcjonowania pozapolitycznych wyobrażeń i stereotypów. Spośród najbliższych sąsiadów zachodnich Rosji stosunkowo nieźle opracowano temat obrazu Polaka w oczach Rosjan⁴, natomiast jeśli idzie o problem kształtowania się wśród Rosjan obrazu Ukraińca, poważniejszych prac na ten temat praktycznie nie ma. Zaryzykuję twierdzenie, że niektórzy z uczonych rosyjskich po prostu nie traktują tej kwestii jako rzeczywistego problemu badawczego, wychodząc zapewne z założenia, iż Rosjanie i Ukraińcy są pod każdym względem tak podobni do siebie, że nie ma nawet sensu ich rozróżnianie. Słowem – tworzą jeden naród⁵. Niniejszy szkic jest próbą odmiennego spojrzenia na problem wzajemnego postrzegania się przez Rosjan i Ukraińców.

Materiali miżnarodnoj naukowej konfieriencii, Kamjaniec-Podilskij, 29-31 trawnia 1992”, Kijów 1993, s. 125-132; F. Sisin, „Z istorii polsko-ukrainskich stereotipiw”, w: „Ukraina-Polsza: Istoryczna spadszczina i suspilna swidoist’...”, s. 18-23 (autor jest Kanadyjczykiem ukraińskiego pochodzenia).

4. M.S. Falkowicz, „Polski charakter narodowy w oczach Rosjan. Kształtowanie się narodowego stereotypu Polaka”, *Dzieje Najnowsze* 1995, nr 2, s. 43-58; A.I. Kuprianow, „Poliaki w przedstawienijach ruskich (1760-1860)”, w: „Rossija i wniesznyj mir: diałog kultur”, Moskwa 1997, s. 31-40.

5. Jaskrawym, a równocześnie kuriozalnym przykładem takiego podejścia jest opublikowany niedawno artykuł S.M. Samujłowa, w którym uczonego historyk wzywa do „odrzczenia nacjonalistycznych mitów ideologicznych i uznania rzeczywistości, zgodnie z którą kultura ukraińska (prócz katolickiej i unickiej kultury zachodnioukraińskiej) jest jedynie odgałęzieniem kultury ogólnoruskiej, zaś naród ukraiński jest jednym z narodów ruskich – na równi z Wielkorusinami i Białorusinami...”. „Jedna historia, jedna kultura, jedna krew...” – bez ogródek konkluduje rosyjski uczonego. Zob. S.M. Samujłow, „O niekotorych amierikanskich stierieotipach w otnoszeni Ukrainy”, *SSZA.: ekonomika, politika, ideologija* 1997, nr 4, s. 85. Zresztą i na Ukrainie nie brakuje ideowych „sobowtórów” Samujłowa. Zob. np. E. Gucało, „Mentalnist ordi: statti”, Kijów 1996. Na szczęście w kręgach akademickich obu krajów widoczne są również zdrowe tendencje; świadczy o tym choćby wielka konferencja naukowa, której owocem jest zbiór pt. „Rossija-Ukraina: Istorija wzaimootnoszenij”, Moskwa 1997.

Powszechnie znane okoliczności historyczne sprawiły, że kontakty pomiędzy mieszkańcami Rusi północnej i południowej były w przeciągu około trzech stuleci (od połowy XIV do początku XVII wieku) poważnie utrudnione. Przodkowie Ukraińców i Rosjan żyli w tym czasie w odrębnych państwach i w różnych światach kulturowych.

Dopiero rok 1620 zapoczątkował bardziej lub mniej regularne kontakty polityczne i kulturalne pomiędzy Rosjanami a Ukraińcami. Znamienne, że Sergiusz Sołowjow rozpoczyna w swym monumentalnym dziele opowieść o dziejach Małej Rusi od opisu przyjęcia w Moskwie posłów zaporoskiego hetmana Piotra Sahajdacznego w roku 1620; tego samego wydarzenia dotyczy również dokument tzw. „Prikazu poselskiego”, otwierający pierwszy tom materiałów źródłowych pt. „Wossojedinienije Ukrainy s Rossijej”.

Owo „odrodzenie” kontaktów Ukrainy z Rosją (podobnie jak późniejsza unia perejaśławska z 1654 roku) było z reguły interpretowane w historiografii rosyjskiej (zarówno przedrewolucyjnej, jak i zwłaszcza w sowieckiej) jako długo oczekiwane „zjednoczenie dwóch bratnich narodów”, „sojusz po wieczne czasy”, którego pragnęły na równi obydwie strony – zarówno Rosja, jak i Ukraina – powodowane poczuciem dawnej historycznej jedności, teraz jakoby na nowo rozbudzonym⁶. Pomijając pewne drobne modyfikacje powyższej tezy w nowszych pracach historyków rosyjskich, zasadnicza jej treść nie uległa zmianie. „W połowie wieku XVII idea jedności wszystkich Słowian wschodnich, bez względu na poczucie istnienia poważnych różnic pomiędzy „Wielką” a „Małą” Rosją, zajmowała poczesne miejsce w ich świadomości społecznej” – pisze

6. Najbardziej wyczerpujący przegląd interpretacji treści i znaczenia historycznego unii perejaśławskiej – od kozackich kronik po historiografię sowiecką – przynosi praca amerykańskiego badacza Johna Basaraba, „Preiaslav 1654: A Historiographical Study, Edmonton, 1982. Zob. także nowsze opracowania ukraińskie i rosyjskie: O.M. Apanowicz, „Ukraińsko-rosyjskij dogowir 1654 r.: mifi i realist”, Kijów 1994; A. Zajac, „Ukraińsko-rosyjskij dogowir 1654 r. w ocinci súčasnoji ukraińskoj istoriografii (90-ti roki)”, w: „Materiali Drugoj Polsko-Ukraińskoj Naukowej Zustriczi (Lwiv, 12-13 zownia 1995)”, Lwów-Lublin 1996; L. Zaborowski, „Perejaśławskaja rada i moskowskije sogłaszenija 1654 goda: problemi issledowanija”, w: „Rossija-Ukraina: Istorijska wzaimo-otnoszenij”, Moskwa 1997, s. 39-49.

np. Borys Fłoria. Rosyjski badacz nie uwzględnia jednak istotnych argumentów podniesionych przeciwko takiemu stanowisku przez amerykańskiego uczonego Edwarda Keenana, który przekonująco dowodzi, iż wyobrażenie na temat „wspólnego dziedzictwa kijowskiego” jest w istocie historycznym mitem wykreowanym w późniejszym okresie. „Czyż otoczenie Iwana III (1462-1505), właściwego założyciela państwa moskiewskiego, jego syna Wasyla III lub jego wnuka Iwana IV traktowało podjęte przez nich dzieło przekształcenia prowincjonalnego księstwa w potężne imperium w kategoriach odrodzenia czy choćby naśladowania sławnej spuścizny Kijowa?” – pyta Keenan. I odpowiada bez wahania: o niczym podobnym nie było wówczas mowy, jako że źródła historyczne zachowują na ten temat całkowite milczenie. „Jest rzeczą zdumiewającą – pisze Keenan – iż dzisiejsi historycy są w stanie uwierzyć, że Moskwicini – przedstawiciele wielkosiądzęcej arystokracji czasów Iwana III czy Iwana IV – mogli uważać się za spadkobierców kijowskiego tronu np. epoki Jarosława Mądrego”⁷. Co się zaś tyczy mitu o „kijowskim dziedzictwie”, to został on stworzony w końcu XVII i na początku XVIII wieku przez napływowych ukraińskich i białoruskich duchownych (w znacznym stopniu w ich własnym interesie!), kiedy ci – po przeobrażeniu się Rzeczypospolitej w trakcie kontrreformacji w ortodoksyjne państwo katolickie – dołączyli swe głosy do apeli o interwencję w obronie prawosławia, kierowanych wówczas do moskiewskiego cara przez greckich hierarchów”. „To prawda – przyznaje Keenan – że przedstawiciele moskiewskiej elity uważali innych Słowian wschodnich – zwłaszcza możnowładców „litewskich”, z którymi wielu z nich łączyły więzy krwi – za bardziej „swoich” niż np. Anglików czy Persów; trudno jednak byłoby znaleźć źródłowe potwierdzenie tezy, że kremlowscy dworzanie traktowali Słowian wschodnich („Litwinów”) w sposób różniący się funkcjonalnie [...] od ich stosunku np. do Szwedów, Polaków czy choćby Czerkiesów”⁸.

7. E. Keenan, „On Certain Mythical Beliefs and Russian Behaviors”, w: „The Legacy of History in Russia and the New States of Eurasia”, New York 1994, s. 21-22.

8. E. Keenan, „Muscovite Perceptions of Other Slavs before 1654 – An Agenda for Historians”, w: „Ukraine and Russian in Their Historical Encounter”, Edmonton 1992, s. 22.

W rzeczywistości analiza źródeł historycznych dowodzi, że „spotkanie” obu narodów nie przebiegało bynajmniej w idyllicznej atmosferze, a ich późniejsze stosunki rozwijały się, jak to ujął Iwan Kripiakiewicz, „bez nadmiernych przejawów sentymentu”⁹.

Jak zatem poddani moskiewskiego cara postrzegali dawnych poddanych monarchy polskiego? Dla Moskwiwinów z połowy XVII wieku Ukraińcy byli przede wszystkim obco-krajowcami. To „cudzoziemcy, nowoprzybyli Czerkasi” (suplika 4 ukraińskich Kozaków przybyłych z Azowa do Oskołu); „Czerkasi cudzoziemcy” (suplika 62 Ukraińców osiadłych w Biełgorodzie); „cudzoziemcy litewskiej ziemi” (suplika nowogrodzkiego kancelisty Rostoszki); „Litwini” (list białgorodzkiego wojewody P. Pożarskiego do „Prikazu poselskiego”); „Czerkasi z litewskiego narodu” (list Pożarskiego do „Prikazu razriadnego”)¹⁰.

Rosjanie zawsze przejawiali skłonność do podkreślania różnic między sobą a owymi „Litwinami” i „Czerkasami”, jak również pomiędzy Ukrainą („ziemią litewską”) a Rosją („państwem moskiewskim”). Tak np. Piotr Litwinow, wysłany przez wojewodę Putywała Pleszczejewa „do litewskich grodów do hetmana Chmielnickiego w sprawach sądowych i innych”, donosił, że „po drodze [...] asauł Misko wyjawiał mu, że ponoć oni, Czerkasi, planują wspólnie z Tatarami najechać Waszej Cesarskiej Mości moskiewskie państwo...” (list wojewodów Putywała, S. Prozorowskiego i I. Liapunowa, do „Prikazu poselskiego”).

Różnice istniejące w połowie XVII wieku pomiędzy Rosją a Ukrainą (Rosjanami a Ukraińcami) rzucały się w oczy nawet cudzoziemcom. Syryjski archidiakon Paweł z Aleppo, który w roku 1654 wraz ze swym ojcem, patriarchą antiocheńskim Makarym, przemierzył całą Ukrainę, następnie zaś, w roku 1656, po dwuletnim pobycie w Moskwie, ponownie przejechał przez ukraińskie ziemie, pisał w dzienniku podróży: „Dotarliśmy na brzeg rzeki Dniepr naprzeciwko Monasteru Pieczerskiego i posłaliśmy do Kijowa wiadomość

9. I.P. Kripiakiewicz, „Istorija Ukrainy”, wyd. 2, Lwów 1992, s. 193.

10. „Wossojedinienije Ukrainy s Rossijej”, t. 1, s. 318, 463, 258, 252, 260.

o naszym przybyciu. [...] W chwili, w której dostrzegliśmy jaśniejące w oddali kopuły Pieczerskiego Monasteru, kiedy poczuliśmy aromat tych kwitnących ziem, nasze dusze zadrżały w radosnym uniesieniu, otwarły się nasze serca i złożyliśmy dziękczynienie Panu Bogu. W przeciągu tych dwóch lat pobytu w Moskwie serca nasze były niczym zaryglowane, umysły zaś skrępowane i stłumione, gdyż w tym kraju nikt – chyba prócz jego rdzennych mieszkańców – nie może czuć się choć trochę swobodnym czy zadowolonym; każdy bowiem, podobny nam, choćby stał się właścicielem całego tego kraju, nigdy nie wyzbędzie się niepokoju duszy i trwogi w swym sercu. Przeciwnie *kraj Kozaków* – był dla nas niczym nasz własny kraj, zaś jego mieszkańcy byli nam serdecznymi przyjaciółmi i ludźmi w rodzaju nas samych”¹¹. Podobne opinie o „moskwiczinach” i „ruskich” (Ukraińcach) jako o dwóch różnych narodach można znaleźć w „Kronice” Macieja Strykowskiego czy w polemicznej literaturze unickiej (w szczególności w pismach Hipacego Pocięja).

Należy również pamiętać, że do momentu „spotkania” oba narody dzieliła dość istotna bariera językowa. Dokumenty sporządzone w języku ukraińskim („pismem białoruskim”) musiały być tłumaczone na język rosyjski (zob. np. przekład listu z „białoruskiego pisma” w raporcie rosyjskich ambasadorów w Polsce, G. i S. Puszkiniów, czy tłumaczenie listu hetmana Bohdana Chmielnickiego do atamana dońskiego¹²). Pertraktacje prowadzono z pomocą „tłumaczy”. Tak np. w spisie uczestników rosyjskiego poselstwa wysłanego z Moskwy na Ukrainę na czele z Wasylem Buturlinem znajdujemy dwóch tłumaczy: Bilię Bajcyna i Stiepana Kolczyckiego¹³.

Owa „zagraniczność” Ukrainy, jej „cudzoziemski charakter” zauważane były przez Rosjan jeszcze co najmniej do końca stulecia. Jako przykład można tu przywołać uwagi autora „Topograficznego opisu namiestnictwa Charkowskie-

11. „Putieszestwije antiochijskiego patriarchy Makarija w Ukrainu w sieredinie 17 wieka, opisannoje jego synom archidiakonom Pawłom Allepskim, pieriwod s arabskogo G. Murkosa, Kijów 1997, s. 127-128.

12. „Wossojedinenije Ukrainy s Rossijej, t. 2, s. 350, 370.

13. *Ibidem*, t. 3, s. 417.

go” (1788), Wielkorusa Iwana Pieriewierzewa. Roztrząsając kwestię „skąd wziął się ukraiński dialekt oraz inne różnice dzielące Małorosjan i Wielkorosjan” autor stwierdza: „To fatalne oddzielenie Rosji Południowej od Rosji Północnej albo Wielkiej przeobraziło na zawsze jej mieszkańców, przez co powstała jak gdyby jakaś obcoplemienna nacja¹⁴. Potwierdzeniem faktu uświadamiania sobie przez Rosjan rzeczywistej „odmienności” Ukrainy i Ukraińców było również usilne dążenie carskiej (a później imperatorskiej) władzy rosyjskiej do zniwelowania istniejących różnic instytucjonalnych, administracyjnych, kulturalnych i językowych¹⁵.

24 lipca 1687 roku, w przeddzień wyboru nowego hetmana, książę Wasyl Golicyń preforsował dodanie dwóch dodatkowych artykułów do umowy z rządem carskim, na którą przysięgali dotychczasowi hetmani. Jeden z nich zalecał „by hetman i starszyzna, służąc wielkim gosudarom, naród małorosyjski wszelkimi środkami i sposobami z narodem wielkorosyjskim jednoczyli, do nierozzerwalnej i trwałej zgody przywodzili poprzez małżeństwa i inne działania, aby oba narody połączyły się pod jednym berłem carskiego majestatu i w jednej chrześcijańskiej wierze, tak, by nikt już nie rozgłaszał, że małorosyjski kraj podlega władzy hetmańskiej, lecz by wszędzie występowali jednogłośnie: Jego Carskiej Wysockości samodzielną domeną hetman, starszyzna i naród małorosyjski – wspólnie z narodem wielkoruskim”.

W słynnej instrukcji przekazanej przez Katarzynę II nowemu generał-prokuratorowi senatu, księciu Aleksandrowi Wiaziemskiemu, caryca pisała m.in.: „Małorosja, Inflanty i Finlandia są prowincjami, które rządzą się potwierdzonymi dla nich przywilejami; pozbawienie ich wszystkich naraz

14. „Opisi Charkiwskiego namisnictwa kinca XVIII st”. Kijów 1991, s. 19.

15. Zob. W.M. Gorobiec, „Wid sojuzu do inkorporacii: ukraińsko-rosijski widnosini drugoj połowini XVII-pierwoj czwierti XVIII st.”, Kijów 1995; O.K. Strukiewicz, „Ukraina-Gietmanszczina ta Rossijska impieria protiagom 50-80-ch rr. XVIII stolittia (politiko-administratiwnij aspekti problemi)”, Kijów 1996. Na uwagę zasługuje również fundamentalna praca kanadyjskiego historyka Zenona Kohuta, „Russian Centralism and Ukrainian Autonomy: Imperial Absorption of the Hetmanate, 1760s-1830s”, Cambridge Mass. 1988.

byłoby wielce niestosowne, ale i nazywanie ich obcokrajowcami i traktowanie ich w ten sposób byłoby więcej niż błędem, a nawet z całym przekonaniem można powiedzieć – głupotą. Prowincje te [...] należy jak najbardziej łagodnymi sposobami doprowadzić do tego, żeby zruszczały i przestały ciągnąć jak wilki do lasu”. Urząd hetmański winien zostać, zdaniem Katarzyny, bezwzględnie zniesiony: „Kiedy w Małorosji nie będzie już hetmana, należy dołożyć wszelkich starań nie tylko o to, by ktoś ponownie nie został wyniesiony na ten urząd, ale by nawet pamięć i imię hetmanów zginęły na wieki”.

W końcu, po zniesieniu urzędu hetmana w roku 1764, w memorandum Kolegium Spraw Zagranicznych postanowiono „po likwidacji urzędu hetmańskiego powierzyć zarządzanie Małorosją jednej z tutejszych, znanych i zaufanych osób, wraz z nią zaś czterem Wielkorosjanom i czterem Małorosjanom. Dotychczas Wielkorosjanie zasiadali po prawicy, Małorosjanie zaś po lewicy, co utwierdzało w nich szkodliwe mniemanie, zgodnie z którymi uznawali się za naród całkiem odmienny od naszego; w celu zlikwidowania tego stanu rzeczy należy całą małorosyjską starszyznę zrównać w rangach z tutejszą, zaś członkowie kolegium winni zajmować miejsca nie wedle pochodzenia lecz wedle starszeństwa”¹⁶.

Określając miejsce Ukraińców w etnicznej hierarchii rosyjskiego imperium, historyk Andreas Kappeler słusznie zwraca uwagę na tak kluczowe czynniki, jak religia i aktywność polityczna. Najważniejszą przesłanką ideologiczną sojuszu z Moskwą była dla Ukraińców okoliczność, którą Bohdan Chmielnicki wyraził w słowach: „prawosławny chrześcijański wielki gosudar, wschodni car, jest tego samego co my zakonu greckiego, tej samej wiary”. W przeciągu kilku stuleci samodzielnego funkcjonowania ukraińska Cerkiew prawosławna wykształciła jednak szereg cech specyficznych, odróżniających ją od Cerkwii rosyjskiej. „Moskiewscy wyznawcy prawosławia – pisze A.N. Pypin – nie dopuszczali możliwości wystę-

16. Zob. A. Kappieler, „Mazepincy, małorossy, chochoły: ukraincy w etniczneskoj jerarchii Rossijskoj impierii, w: Rossija-Ukraina: Istorija wzaimootnoszenij, s. 125-144.

powania podobnych różnic lokalnych, choć sama obrzędowość moskiewska posiadała wyrazisty, właśnie lokalny charakter; w konsekwencji, podczas gdy prawosławni patriarchowie wskazując na lokalną specyfikę Cerkwi moskiewskiej tłumaczyli jednocześnie, że zróżnicowanie w sferze obrzędowości nie narusza istoty samej wiary, że obrzęd to nie „dogmat”, moskiewscy wierni byli przeświadczeni, że praktykowane przez nich formy obrzędowe są jedynymi prawidłowymi oraz oskarżali o nieortodoksyjność tych wszystkich, u których dostrzegali jakiegokolwiek odstępstwa od obrzędu moskiewskiego, interpretując je jako wyraz przejmowania pierwiastków doktrynalnych innych wyznań¹⁷.

Zetknąwszy się bliżej z religijnym życiem „Czerkasów” hierarchowie rosyjscy, a za nimi „prosty lud moskiewskiego gosударstwa”, zaczęli poddawać w wątpliwość ortodoksyjność małorosyjskiego prawosławia, co częstokroć prowadziło do traktowania mieszkańców „Litewskiej ziemi” jako swego rodzaju „innowierców”. Wiadomo np. że w Moskwie prawosławnych Ukraińców nazywano „oblewańcami” (na Ukrainie chrztu dokonywano nie przez zanurzenie, a jedynie przez polanie wodą), „Laszkami”, „unitami”; domagano się od nich powtórnego ochrzczenia, a niekiedy odmawiano im nawet pochówku na tutejszych cmentarzach.

Stwierdziwszy zatem, że „w Kijowie chrzczą przez polewanie”, 16 grudnia 1620 roku moskiewski sobór na czele z patriarchą Filaretem nakazał rebaptyzację imigrantów z Polski i z Litwy. Znamienny przypadek miał miejsce w roku 1629: kiedy pojmany Ukraińiec, niejaki starzec Warsonowiusz, nie mógł sobie z uwagi na podeszły wiek przypomnieć, w jaki sposób został ochrzczony jako dziecko, polecono ochrzcić go ponownie. W 1655 roku patriarcha Nikon wydał następujące zarządzenie: „Jeżeli ktoś został ochrzczony nieprawidłowo, przez oblanie – należy go ochrzcić powtórnie...”¹⁸. W celu religijnej unifikacji – „dla jedności cerkiewnej” – księgi liturgiczne i teologiczne wydane na Ukrainie

17. A.N. Pypin, „Istorija russkoj literatury”, wyd. 3, Sankt-Petersburg 1907, t. 2, s. 321.

18. „Akty odnosiaszczijesia do juridiczeskogo byta Driewniej Rossii”, Sankt-Petersburg 1857, t. 1, s. 274.

niszczono i zastępowano księgami drukowanymi w Moskwie. Jak pisał jeden ze współczesnych: „księgi nasze kijowskie poniszczono, a przysłano moskiewskie [...] Cerkiewne pienie i służbę odmieniono, a wszystko na wzór moskiewski, do czego nasi wierni nie mogą przywyknąć [...]. Małe dzieci muszą być chrzczone przez zanurzenie, a nie przez polanie; nie przywykli do tego obyczaju duchowni wiele z nich potopili w osadach...”¹⁹. 1 grudnia 1627 roku w Moskwie potępiono książkę Cyryla Stawrowieckiego „Uczitielnoje Ewangelije”, ponieważ jakoby „znaleziono w niej liczne herezje i sprzeczności”. Podobnie zostały osądzone inne dzieła Stawrowieckiego. Z nakazu cara Michała Fiedorowicza i patriarchy Filareta polecono, by „książki te zgromadzić i spalić w ogniu, aby ta herezja i zamęt nie rozniosły się po świecie”. Nakazano ponadto, „by nikt odtąd ksiąg wydanych w litewskich drukarniach i spisanych po litewsku nie ważył się kupować”²⁰. W 1672 roku wydano kolejne zarządzenie: „we wszystkich miejscach ludziom wszelkich stanów ostro i wyraźnie nakazać, by ksiąg drukowanych po polsku i po łacinie nie trzymali w swych domach, w ukryciu ani też jawnie, aby przynosili je i oddawali wojewodzie...”²¹. W celu uchronienia „prawdziwie prawosławnych” moskiewskich wiernych przed „łacińskim omamieniem, które nowe księgi kijowskie utwierdzają”, sobór z roku 1690 potępił dzieła P. Mohyły, C. Stawrowieckiego, J. Galatowskiego, Ł. Baranowicza, A. Radziwiłowskiego, S. Połockiego oraz obłożył je „klątwą i anatemą, nie tylko podwójnie i potrójnie, ale i po wielokroć”²².

Podejrzliwość wobec praktyk religijnych „bratniego narodu” nie osłabła również w oświeconej epoce Katarzyny Wielkiej. W tajnej instrukcji dla nowo mianowanego prezydenta

19. „Archiw Jugo-Zapadnoj Rossii, izdawajemyj Komissijej dla razbora driewnich aktow”, cz. 1, t. 5, s. 60-61.

20. „Sobranije gosudarstwiennych gramot i dogoworow, chraniaszczichsia w gosudarstwiennoj kollegii inostrannyh dieł”, Moskwa 1822, cz. 3, nr 77.

21. Zob. W. Ejngorn, „Knigi kijewskoj i lwowskoj pieczati w Moskwie w trietju czetwierť XVII wieka”, *Knigowiedienije* 1894, nr 9-10.

22. P. Morozow, „Fieofan Prokopowicz kak pisatel”, Sankt-Petersburg 1880, s. 60.

kolegium małosyjskiego, hrabiego Piotra Rumiancewa, caryca pisała: „Należy umiejętnie doglądać zarówno archierejów, jak i ich podwładnych, aby różnymi wybiegami właściwej ich naturze żądzy władzy nie wykraczali poza przynależne ich godności granice, stawiając swą władzę duchowną ponad władzą świecką lub rozsiewając pośród prostego i zabobonnego ludu rozmaite, sprzyjające ich zamiarom, lecz szkodliwe dla powszechnego pokoju plewy; wiadomo również, że uczniowie seminariów i sposobiący się do stanu duchownego [...] karmieni są jadem nienasyconej żądzy władzy, zgubnych skutków której pełne są minione wieki europejskiej historii”²³.

Jednym z najbardziej drażliwych aspektów postrzegania Ukraińców przez Rosjan był wreszcie polityczny obraz Małorusa funkcjonujący w XVII i XVIII wieku w moskiewskim carstwie i w rosyjskim imperium. W Moskwie od początku nie było i nie mogło być mowy o pełnym zaufaniu do mieszkańców „kozackiej ziemi”. W połowie XVII wieku żywa była jeszcze pamięć o ich udziale w Smucie i w krwawych wojnach z Polakami. „Wielokrotnie wzniesiali bunt i podejmowali działania na szkodę państwa rosyjskiego” – pisał w swym „Leksykonie” o ukraińskich Kozakach rosyjski historyk Wasyl Tatiszczew²⁴.

Złożone pertraktacje na temat „zjednoczenia” ujawniły dramatyczną odmiennność politycznego myślenia obu stron. Ukraińcy od samego początku (zgodnie z własną tradycją historyczną) pojmowali zjednoczenie w kategoriach zależności wasalnej, Rosjanie natomiast traktowali ich przejście „pod mozną rękę cara” jako akt całkowitego podporządkowania się władzy absolutnej²⁵. Z powodu odmienności kultury politycznej i zakładanych celów Rosjanie i Ukraińcy nie mogli się po prostu wzajemnie zrozumieć. Jak pisał Wasyl Kluczewski,

23. S.M. Sołowjow, *op. cit.*, ks. 6, t. 26, kol. 35-36.

24. W.N. Tatiszczew, „Izbrannyje proizwiedienija”, Leningrad 1979, s. 237.

25. Na temat historyczno-prawnych interpretacji ukraińsko-rosyjskiego porozumienia z 1654 roku zob. W. Gorobiec, „Ukraińsko-rossijskije odnoszenija i politiko-prawowoj status Gietmanczyny (wtoraja połowina XVII – pierwaja czetwert’ XVIII wieku)”, w: „Rossija-Ukraina: Istorija wzaimootnoszenij”, s. 77-87.

„od początku powstania Chmielnickiego pomiędzy Moskwą i Małorosją zawiązały się dwuznaczne relacje. [...] Nie rozumiejąc się i nie ufając sobie nawzajem, obie strony mówiły nie to, co myślały, i robiły to, czego robić nie chciały”²⁶. Sytuacja taka sprawiła, że każdy hetman, poczynając od Bohdana Chmielnickiego a na Iwanie Mazepie kończąc, próbował bądź to w jakiś sposób zmienić, bądź też otwarcie naruszyć warunki umowy z Rosją, ustanawiając wasalne stosunki z innymi „potentatami”. A zatem – z rosyjskiego punktu widzenia – zdradzić. Jak pisał Tatiszczew, Ukraińcy „przywykli do takiej samowoli i zuchwałości, że również jako poddani cara nieustannie wszczynali bunty i podejmowali zgubne działania, skutkiem czego żaden hetman nie dożył spokojnej starości, zaś w Małorosji nie ma ani jednego hetmańskiego grobu”²⁷.

Przez wiele dziesięcioleci jednym z kluczowych pojęć w kontaktach rosyjsko-ukraińskich było słowo zdrada. „Z czym najczęściej przybywało do Moskwy małorosyjskie poselstwo, co zwykle zawierały przywożone przez nie dokumenty i wiadomości? – pytał Sergiusz Sołowjow – Oskarżenia o zdradę. [...] I któż w tej sytuacji mógł mieć pretensję, że słowo Czerkaszeniec stało się w Moskwie synonimem zdrajcy? Moskiewski wojewoda, moskiewski oficer przybywał na Małoruś niczym do kraju kipiącego zdradą, w którym nikomu nie mógł zaufać, gdzie w każdym mieszkańcu widział człowieka knującego przeciwko sobie, czekającego tylko sposobnej chwili, by zza pazuchy wyciągnąć nóż. Jakichże to przyjacielskich uczuć między dwoma bratnimi narodami można się było w tej sytuacji spodziewać? Jakim szacunkiem mógł darzyć Moskal nieobliczalnych, buntowniczych Czerkasów?”²⁸.

Obraz Ukraińca-zdrajcy, sojusznika chwiejnego i zawsze gotowego do zdrady zakorzenił się na dobre w narodowej świadomości Rosjan jeszcze przed początkiem XVIII wieku. Przejście ukraińskiego hetmana Iwana Mazepy na stronę

26. W.O. Kliuczewskij, „Soczinienija w wosmi tomach”, Moskwa 1957, t. 3, s. 116, 118.

27. W.N. Tatiszczew, *op. cit.*, s. 238.

28. S.M. Sołowjow, *op. cit.*, ks. 3, t. 11, kol. 188-189.

króla szwedzkiego Karola XII dodatkowo utrwaliło ten stereotyp w rosyjskiej mentalności. Nieprzypadkowo zaraz po bitwie pod Połtawą (1709) nowo wybrany hetman, Iwan Skoropadski, skarżył się Piotrowi I: „Jeden przeklęty Mazepa z niewielkim gronem swych popleczników zdradził Waszą Wysokość, a na nas wszystkich, niezachwianych w wierności, spada odraza i nienawiść – nazywają nas zdrajcami”²⁹. Już w lutym 1710 roku wydany został surowy ukaz carski: „Aby odtąd nikt nie ośmielił się naszych wiernych poddanych z małorosyjskiego narodu nazywać zdrajcami. Gdyby zaś ktoś w czymkolwiek naruszył ten nasz ukaz, oficer zostanie postawiony przed sądem wojskowym, który wymierzy mu stosowną karę, zaś zwykli ludzie będą także z całą surowością karani”³⁰.

Zarządzenie tego rodzaju mogło jedynie złagodzić zewnętrzne przejawy wrogości Rosjan wobec Ukraińców, ale nie było w stanie zmienić ukształtowanego już stereotypu „zdradliwego Kozaka”. W instrukcji dla Piotra Rumiancewa, prezydenta kolegium małorosyjskiego, Katarzyna II pisała, że „naród rosyjski przywykł okazywać Małorosjanom nieskrywaną pogardę”³¹. Ukraińcy, rzecz jasna, odpłacali Rosjanom pięknym za nadobne. We wspomnianej instrukcji imperatorowa aż dwukrotnie podkreśla, że jedną z charakterystycznych cech narodu ukraińskiego jest „dostrzegana w nim wewnętrzna nienawiść wobec [narodu] wielkorosyjskiego”³².

Trzeba tu wszakże dodać, że ukształtowany w połowie XVIII wieku obraz Ukraińca podlegał dalszej ewolucji. Prowadzona przez władze centralne polityka unifikacji prawno-administracyjnej, a co ważniejsze, integracja kozackiej starszyny z wszechrosyjską szlachtą, zmieniały stopniowo pozycję Ukraińców w etnicznej hierarchii imperium, zaś stereotyp podejrzanego mazurek ustąpił miejsca stereotypowi lojalnego Małorusa. Jak zauważa kanadyjski historyk Orest Subtelnyj, „wielkość i potęga imperium, możliwość

29. *Ibidem*, ks. 4, t. 16, kol. 29.

30. *Ibidem*, kol. 30.

31. *Ibidem*, ks. 6, t. 26, kol. 37.

32. *Ibidem*, kol. 35.

zrobienia błyskotliwej kariery, poczucie dumy z przynależności do stanu szlacheckiego jednego z najpotężniejszych mocarstw świata – wszystko to, skuteczniej aniżeli jakkolwiek nadzór policyjny, zabezpieczało lojalność dawnej starszyny kozackiej i jej pełne oddanie gosudarowi-imperatorowi³³. Emigrujący znad brzegów Dniepru na brzeg Newy potomkowie najlepszych rodów Hetmańszczyzny – Bezborodków, Gudowiczów, Razumowskich, Koczubejów, Zawadowskich, Troszczyńskich – odgrywali niekiedy znaczną rolę w życiu rosyjskiego państwa i słusznie mogli się czuć wiernymi sługami imperium, zaś sam kraj i jego kulturę uważać za swoje³⁴.

Jednocześnie jednak niektórzy z potomków kozackiej starszyny, należący do rosyjskiej elity politycznej (i kulturalnej), nie zatracili całkowicie świadomości różnic dzielących ich od Wielkorusów: podkreślali swoje „południowo-ruskie” pochodzenia i, przejawiając swego rodzaju „lokalny patriotyzm”, szczylicili się swą przynależnością do „kozackiej nacji”. Jak celnie zauważa Jarosław Grycak, „przedstawiciele nowej szlachty ukraińskiej [...] ciągle jeszcze uważali Małorosję za swoją ojczyznę; ojczyznę tę postrzegali jednak już jako część większego państwa – imperium rosyjskiego. Nie odczuwali przy tym sprzeczności pomiędzy tymi dwoma rodzajami patriotyzmu – małorosyjskim i wielkoruskim³⁵.”

Wielce charakterystyczna dla ukształtowanej w ten sposób „małorosyjskiej mentalności” jest wypowiedź Wiktora Koczubeja (pełniącego w latach 1819-1823 funkcję ministra spraw wewnętrznych): „Nawet jeśli z urodzenia jestem chochołem [Ukraińcem], to równocześnie bardziej niż kto-

33. O. Subtielnij, „Ukraina: istorija”, Kijów 1994, s. 265.

34. Interesującą opinię na temat Małorusów jako doskonałych funkcjonariuszy carskich sformułował Marc Raeff. Jego zdaniem, „duża swoboda ich działania jako ‘obcych’, nie skrepowanych tradycją i przesądami, czyniła z nich szczególnie efektywne narzędzie imperialnej polityki. Poza tym klanowość, będąca dominującą cechą systemu władzy państwowej, stwarzała sprzyjające warunki właśnie dla zdolnej do samookreślenia się grupy powiązanych ściśle ze sobą przedstawicieli [etnicznej] mniejszości”. Zob. M. Raeff, „Ukraine and Imperial Russia: Intellectual and Political Encounters from the Seventeenth to the Nineteenth Centuries”, w: „Ukraine and Russia in Their Historical Encounter”, s. 72.

35. „Istorija Ukrainy”, Lwów 1996, s. 173.

kolwiek inny jestem Rosjaninem – w moich zasadach, w moim stanie, w moich nawykach. Moja pozycja i stanowisko, jakie zajmuję, pozwalają mi wznieść się ponad wszelkie sprawy błahe i nieistotne; na kwestię [ukraińskich] guberni patrząc z perspektywy całościowego interesu naszego państwa. Wizjami mikroskopowymi nie zwracam sobie głowy”.

Lojalność ukraińskiej elity z jednej strony, z drugiej zaś etnograficzna specyfika kultury i bytu prostego „małorosyjskiego” ludu sprzyjały kształtowaniu się na przełomie XVIII i XIX wieku pozytywnego stereotypu Ukraińca. Zaczął on wówczas funkcjonować w rosyjskiej świadomości społecznej jako śmieszny i malowniczy wariant Wielkorusa, zaś sama Ukraina – jako egzotyczna, południowa kraina obfitości. Autorzy zapisków i dzienników podróży prześcigają się w porównywaniu Ukrainy do Włoch. „Nasza Ukraina to druga Italia! – wykrzykuje z rozrzewnieniem książę Piotr Szalikow. – Malarzy, śpiewaków, muzyków kształtuje tutaj sama Natura!³⁶”. W opowieści „Hajdamak” Orest Somow porównuje Ukraińców z Włochami; podobnie jak ich beztroscy bracia apenińscy, mieszkańcy małorosyjskich zielonych dolin spędzają czas „na próżnowaniu i śpiewaniu słodko-brzmiących pieśni”³⁷. Inny rosyjski beletrysta z entuzjazmem konstatuje, że „nasi podróżnicy słusznie nazywają Małorosję Italią”³⁸, zaś anonimowy autor opowieści „Rusałki do dobra nie dowiedut: małorossijskaja byl”, opiewając uroki Ukrainy nazywa ją prostodusznie „Italią Rosji”. Ukraińcy z kolei widziani byli przez wielu romantycznie usposobionych Wielkorusów jako „rosyjscy Włosi”, „nasi południowcy” – o oryginalnych i jakże sympatycznych dla mieszkańców Północy kulturowo-obyczajowych rysach.

„To kraina błogosławiona i żyzna, kraina, w której tak radośnie świeci przepiękne słońce, tak szczodra i serdeczna jest przyroda: kwitną tam róże rozkoszne, dojrzewa bujna winorośl, zaś słowik – śpiewak natchnienia, ulubieniec poetów – napełnia dąbrowy słodkimi trelami. [...] W krainie tej upaja

36. „Putieszestwije kn. Pietra Szalikowa w Małorossiju”, Moskwa 1803, s. 204.

37. „Siewiernyje cwiety”, 1828, s. 228.

38. „Rasskazy pradieda. Kartiny nrawow, obyczajew i domaszniego byta małorossow”, Sankt-Petersburg 1833, ks. 1.

aromat łąk pokrytych barwnymi kobiercami; tam piękne młode dziewczęta, o policzkach niczym róże, splatają wesołe korowody przy wtórze fujarki lub dźwięcznej wołynki...” – tak oto, w sentymentalnym uniesieniu, przedstawiał Ukrainę autor noweli „Zaporożskie najezdy”³⁹.

Jednocześnie w świadomości Rosjan kształtuje się idea (ugruntowana wkrótce przez Karamzina) Ukrainy jako „pramatki” narodowych dziejów. Pod wpływem lektur historycznych wielu z nich wyrusza na Ukrainę w poszukiwaniu śladów chwalebnej przeszłości. „Stara rosyjska historia dawno już obudziła we mnie pragnienie zobaczenia Małorosji, sławionej tyloma wielkimi zdarzeniami – wyznaje Aleksy Lewszyn. – Byłoby czymś niewybaczalnym dla Rosjanina, jak myślałem, nie nawiedzić Kijowa, nie spojrzeć na Połtawę – i spieszyłem, by zobaczyć pomniki sławy naszych przodków”. „Oto kolebka naszej ojczyzny! – zachwycał się nieco dalej. – Oto ziemia, która była areną głośnych czynów dawnych przodków naszych! Oto kraina, w której Rosja zyskała tak fortunny kształt swej państwowości, w której opromieniona została blaskiem chrześcijańskiej wiary, rozślawiła się męstwem swych synów, rozjaśniła zorzą oświecenia i rozpoczęła bystry lot, który wyniósł ją na najwyższe szczyty sławy i wielkości”⁴⁰. Lewszynowi wtóruje W. Passiek: „Kraj, w którym powstały załążki naszej ojczyzny, skąd rozlała się i rozwinęła idea „udzielnych księstw” – ten kraj to Małorosja!”⁴¹. Poczucie całkowitej tożsamości, absolutnej identyfikacji z Ukrainą – jako kolebką rosyjskiej historii – dobitnie pobrzmiewa w patetycznych frazach Aleksandra Czurowskiego: „Błogosławiony kraju! Ziemió urzekająca!... Któż mógłby nie uznać w tobie ojczyzny naszej – prawosławnej Rusi? O!... Czy starczy słów, by wyrazić moje uczucia?”⁴².

Upowszechnienie się obrazu Ukrainy jako nieodłącznej i, co ważniejsze, „zaczątkowej” części Rosji, w połączeniu z postępującą w szybkim tempie asymilacją wyższych sfer ukraińskiej szlachty sprawiło, że zarówno przedstawiciele biurokracji centralnej, jak i prości Rosjanie powoli przestawali widzieć

39. Cyt. za: W. Sipowskij, *op. cit.*, s. 18.

40. A. Lewszyn, „Pisma iz Małorossii”, Charków 1816.

41. B. Passiek, „Putiewyje zapiski”, Moskwa 1834, s. 115.

42. W. Sipowskij, *op. cit.*, s. 19.

„Małorusów” jako odrębną grupę etniczną. Również obraz Ukrainca uległ dalszej modyfikacji. Prawno-administracyjne reformy Katarzyny oraz ich „ideologiczne zabezpieczenie” stworzyły mocny fundament dla idei trójjedynego s ł o w i a ń - s k o - r u s k i e g o p l e m i e n i a , którego splecionymi wzajemnie odgałęzzeniami miały być Wielka, Mała i Biała Ruś.

Nawet jednak w okresie najbardziej żywiołowego rozkwitu „ukrainofilstwa” (koniec XVIII – początek XIX wieku) Ukraińcy nie stali się dla Rosjan całkowicie „swoimi”. Pomijając fakt intensywnej inkulturacji elity, ukraińskie masy zachowywały swą etnograficzną odmienność i w oczach Wielkorusów nadal pozostawały narodem chochołów. Całe ich codzienne bytowanie, pozostające poza ramami zunifikowanego obyczaju szlacheckiego, jawiło się obserwatorom z Moskwy jako „nie całkiem ruskie, niepodobne, obce”. Przejeżdżając przez Ukrainę w drodze na Krym Paweł Sumarokow był szczerze zdziwiony tym, co zobaczył. „W schludnej i przytulnej chałupie – pisał – spotykam inne twarze, inne zwyczaje, inne ubiory, inne sprzęty, słyszę inny język. Czyżbym wjeżdżał do innego państwa?”⁴³. Inny rosyjski podróżnik, książę I. Dołgorukow, wspomina z kolei, że o ile w towarzystwie bogatych miejscowych szlaccików czuł się jak u siebie w domu, to we wszystkim innym Ukraina absolutnie nie przypominała mu Rosji. Czuł się tu, jak pisze, „niczym w obcych krajach”⁴⁴. „Tutaj, na Ukrainie – notuje w swych zapiskach podróżnych P.S. Wsiewołodski – czujesz już całkiem inną przyrodę – wjechałeś do Małorosji! Lud nie ten sam, inne rysy twarzy, rodzaj gleby, kraj-obraz – wszystko nabiera innego wyglądu”⁴⁵. Wielce charakterystyczny jest również fragment recenzji Mikołaja Polewoja z „Historii Małorosji” Mikołaja Bantysza-Kamieńskiego. Prezentując rosyjskiemu czytelnikowi popularny szkic etnogra-

43. P. Sumarokow, „Dosugi krymskiego sudji, ili wtoroje putieszestwije w Tawridu”, Moskwa 1803, cz. 1, s. 45.

44. I. Dołgorukow, „Sławny bubny za gorami, ili putieszestwije moje koje-kuda w 1810 g.”, Sankt-Petersburg 1870, s. 64.

45. P.S. Wsiewołodskij, „Putieszestwije czieriez Jużnuju Rossiju, Krym i Odiessu w Konstantinopol, Małuju Aziju, Siewiernuju Afriku, Maltu, Siciliju, Italiju, Jużnuju Afriku i Pariz w 1835 i 1836 godach”, Moskwa 1839, t. 2.

ficzny Ukrainy, Polewoj pisze m.in.: „Za Desną i Sejmem wkraczacie między lud całkiem różny od nas, czystych Rosjan. Język, odzież, fizjonomia, twarze, życie codzienne, domostwa, poglądy, wierzenia – całkiem nie nasze! Po- wiem więcej: do dzisiaj spoglądają tam na nas z wrogością”⁴⁶.

To ostatnie stwierdzenie zasługuje na szczególną uwagę. Okazuje się bowiem, że ogromna fala sentymentalnej fascynacji „ruską Arkadią”, jaka ogarnęła znaczną część wielkoro- syjskiej inteligencji, nie spowodowała analogicznego zjawiska po stronie „uroczych Małorusów”. „Uwagi na temat moral- ności Małorosjan muszą niestety zakończyć niezbyt przyjem- ną ich cechą – donosił fikcyjnemu adresatowi Aleksy Lewszyn w „Urywkach z listów o Małorosji”. – Muszę bowiem wspomnieć o ich nienawiści do Wielkorosjan. Łatwo zresztą sam możesz się o tym przekonać, słysząc często powtarzane przez nich zdanie: ‘dobry człowiek, ale Moskal’”⁴⁷.

W rzeczywistości nieprzyjazne nastawienie ukraińskiego ludu wobec Rosjan było częstokroć jedynie reakcją na protekcyjnalny, pobłażliwy, a niekiedy wprost pogardliwy stosunek przedstawicieli kulturalnej elity imperium wobec nieokrzesanych, prowincjonalnych ch o c h o ł ó w. Oto kilka przykładów. Pisząc o specyfice narodowego charakteru Ukraiń- ców P. Sumarokow przeprowadza następujące, wielce wymow- ne rozumowanie: „Właściwa temu ludowi powolność, widocz- na zarówno w ich chodzie, jak i w całej aktywności życiowej, wynika, jak sądzę, z ich obcowania od najmłodszych lat z wołami, zwierzętami, jak wiadomo, leniwymi, które ich do owej powolności przyzwyczajają”⁴⁸. Inny domorośły etnograf, książkę Dołgorukow, ujął analogiczny sąd w bardziej aforystycznej formule: „Wół jest żywym obrazem ch o c h o ł a, podobnie wołowatego i leniwego”⁴⁹.

To uczucie wzajemnej antypatii rzucało się w oczy nawet obserwatorom zagranicznym. Niemiecki podróżnik Johan Georg Kohl, który w trzecim dziesięcioleciu XIX wieku przemierzył całą Ukrainę – od Charkowa po Odessę i od Odes-

46. N. Poliewoj, „Istorija Małoj Rossii”, *Moskowskij Tieliegraf* 1830, t. 35, s. 76.

47. *Ukrainskij Wiestnik* 1816, t. 4, s. 47.

48. P. Sumarokow, *op. cit.*, s. 64.

49. I. Dołgorukow, *op. cit.*, s. 59.

sy po Przemyśl – zanotował w zapiskach z podróży: „Wrogość, jaką naród małoruski odczuwa wobec Wielkorosjan jest tak wielka, że bez przesady można ją określić jako narodową nienawiść. Od wieku XVII, kiedy kraj ten został przyłączony do carstwa moskiewskiego, uczucie to nie tylko nie osłabło, ale nawet uległo wzmocnieniu. [...] Małorusini utrzymują, że do czasu ich podporządkowania państwu moskiewskiemu byli wolnymi ludźmi, którzy nie znali prawa pańszczyźnianego. To Rosjanie, jak twierdzą, połowę ich narodu zmienili w niewolników. W pierwszym stuleciu po zjednoczeniu Małorosja posiadała jeszcze własnych hetmanów i zachowywała znaczną część dawnej konstytucji i przywilejów, ale wszystko to zostało zlikwidowane w wyniku wstecznych reform poprzedniego i obecnego wieku. [...] Do dzisiaj w całej Małorosji wspomina się bitwę pod Połtawą z uczuciami podobnymi do tych, z jakimi Czesi wspominają bitwę pod Białą Górą...”.

Swoje historyczno-psychologiczne rozważania kończy niemiecki podróżnik nieoczekiwanym i zdumiewającym prorocstwem: „Jeśli kiedykolwiek kolosalne imperium rosyjskie rozpadnie się na kawałki, nie ulega praktycznie wątpliwości, że Małorusini stworzą wówczas oddzielne państwo”⁵⁰.

Jak wynika z powyższych uwag, w przeciągu dwóch stuleci obraz Ukraińca w społecznej świadomości Rosjan ulegał transformacji w dość szerokiej skali: od wrogiego i podejrzanego stereotypu obcego-Litwina w połowie XVII wieku po życzliwy i protekcyjny stereotyp chochoła-małorusa w końcu XVIII i na początku XIX wieku. Należy tu jednak dodać, że ewolucja obrazu Ukraińca na tym się nie zakończyła. Przejmowana przez środowisko ukraińskie ideologia romantyzmu i wzmagająca się świadomość narodowa Ukraińców (w rezultacie działalności Bractwa Cyryla i Metodego) stopniowo reanimowały w Rosji stereotyp separatysty-mazepta.

Igor TORBAKOW

Thum. Roman Mazurkiewicz

50. J.G. Kohl, „Russia: St. Petersburg, Moscow, Kharkoff, Riga, Odessa, the German Provinces of the Baltic, the Steppes, the Crimea, and the Interior of the Empire”, London 1844, s. 527-529.

DOKUMENTY

Franciszek CHARWAT

ROK STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKICH 1938-1939

Data 31 marca 1938 r., data oficjalnego nawiązania stosunków z Polską, była dla Litwy czymś znacznie więcej niż dniem, znaczącym rozpoczęcie normalnego współżycia między dwoma państwami. Była wstrząsem.

Problem Polski wzarł się bowiem tak głęboko w całe życie narodu i państwa litewskiego, w duszę każdego poszczególnego Litwina, że gwałtowna zmiana od absolutnej negacji stosunków do ich normalnego zaistnienia musiała wywołać wstrząs nie byle jaki. Nazwałem problem Polski soczewką polityki Litwy – zmiana tej soczewki – inny sposób rozszczepiania gromadzących się w niej promieni, musiała oczywiście wywołać długi i bolesny proces nowego przystosowywania się oka, które do niej przywykło. Ażeby ten proces zrozumieć i należycie ocenić, musimy przede wszystkim przypatrzeć się dokładniej temu, czym była ta soczewka, ten problem litewsko-polski.

Rozpatrywać go będziemy pod dwoma jego aspektami: stosunków państwa do państwa i sprawy mniejszości polskiej na Litwie.

I. Sprawa państwa polskiego z państwem litewskim jest sprawą o przynależność Wilna i Wileńszczyzny. Stanęła ona

na widowni historycznej od pierwszej chwili egzystencji obu tych państw jako twórców samodzielnych. Litwa od pierwszej chwili żądała Wilna dla siebie bez względu na wolę zamieszkującej ją ludności, odrzucając z góry wszelkie koncepcje kondominium czy federacji, czy jakiegokolwiek kooperacji na tym terenie z Polską. Żądała Wilna bez żadnych zastrzeżeń, opierając się na swych prawach historycznych i plemiennych, uważając się za spadkobiercę W.Ks. Litewskiego i negując świadomie wszelkie zmiany czy wynikające z nich uprawnienia, zaszłe w ciągu ostatnich stuleci.

Na tym stanowisku stanęła Litwa jeszcze przed uzyskaniem własnej państwowości. Podtrzymała je w chwili gdy zagrażało Wilnu zajęcie przez wojska bolszewickie, uchylając się od wspólnej z Polską obrony tego miasta, utrzymała je, gdy po zdobyciu Wilna przez wojska Marszałka Piłsudskiego na bolszewikach, kilkakrotnie w ciągu 1919 Polska nawiązywała z nią rokowania dla znalezienia definitywnego rozwiązania przynależności spornego terenu.

Po zdobyciu Wilna na bolszewikach w kwietniu 1919 r. Marszałek Piłsudski wydał odezwę do ludności byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w której zapowiedział, że o ostatecznej przynależności państwowej ziemi wileńskiej decydować będą jej mieszkańcy. Ten postulat stał się podstawą podejścia do sprawy ze strony Polski, zarówno w stosunku do Wileńszczyzny samej jak i na terenie międzynarodowym. Tu leżała i leży kardynalna i nie do pogodzenia rozbieżność pomiędzy stanowiskami obu państw – Litwy, żądającej jednostronnego rozwiązania na podstawie pretensji historycznych – i Polski, żądającej rozwiązania zgodnego z faktycznym stanem obecnej świadomości narodowej mieszkańców.

Niepowodzenie bezpośrednich rokowań przypisać należy temu, że Litwa spodziewała się w burzliwych latach 1919 i 1920 dopiąć swego dzięki niepowodzeniom Polski w wojnie z Sowiecami. Istotnie latem 1920 r. wojska polskie ustąpić musiały z Wilna, zajęli je ponownie bolszewicy. Litwa w tym czasie zawarła traktat z Sowiecami, na mocy którego uzyskała wspólną z nimi granicę, włączającą w terytorium Litwy nie tylko Wilno i Wileńszczyznę, ale i część Suwalszczyzny, stanowiącą już od pół roku własność bezsporną Polski na mocy

decyzji wielkich mocarstw. W zamian za to Litwa przyznała Sowiecom prawo przemarszu, wspomagała nawet – mimo oficjalnej neutralności – czynnie operacje wojskowe sowieckie przeciw Polsce. W sierpniu tegoż roku spełniło się marzenie Litwinów, za zgodą okupantów sowieckich weszli w faktyczne posiadanie Wilna. Na kilka tygodni wcześniej, 10 lipca, Polska w narzuconym jej w Spaa rozejmie z Sowiecami zgodziła się była wycofać swą armię na linię Curzona, zezwolić na ustalenie warunków pokoju z Sowiecami za pośrednictwem mocarstw Ententy i poddać kwestię swej granicy z Litwą rozstrzygnięciu Rady. Zdawało się, że marzenia Litwy spełnią się definitywnie.

Tymczasem szczęście wojenne się odwróciło. Rozbicie bolszewików pod Warszawą umożliwiło bardzo rychło oczyszczenie okupowanej przez wojska litewskie na mocy traktatu z Sowiecami, Suwalszczyzny. 1 września Suwalszczyzna była w ręku polskim – wojska litewskie przystąpiły jednak do kontrataku. Kres walkom polsko-litewskim położył dopiero rozejm w Suwałkach z dnia 7 października.

9 października, na dzień zanim rozejm zaczął obowiązywać, generał Żeligowski z polecenia Marszałka Piłsudskiego zajął Wilno.

To pociągnięcie, to najcięższy pocisk w arsenale litewskich argumentów antypolskich – wiarołomstwo i podstęp, dzięki którym udało się Polakom zawładnąć własnością litewską, która by im bez tego – drogą sprawiedliwego rozstrzygnięcia – nigdy nie przypadła!

Otóż umowa suwalska była rozejmem, umową wojskową o zawieszeniu broni, wymianie jeńców i ustaleniu linii demarkacyjnej na części frontu, nie obejmującej zresztą Wilna. Wyraźnie zastrzegano, że linia ta nie przesądza w niczym terytorialnej przynależności ziem spornych. Miała obowiązywać od dnia 10 października do momentu ostatecznego załatwienia sporów terytorialnych. Marsz generała Żeligowskiego nastąpił, zanim umowa weszła w życie. Może on być raczej uważany za stworzenie *fait accompli* w stosunku do zobowiązań zaciągniętych w Spaa, a nie za pogwałcenie umowy suwalskiej, ewentualnie za pewien rozrachunek czy zabezpieczenie się wobec mocarstw zachodnich. Zajęcie Wilna z umową

suwalską właściwie nie ma nic wspólnego. – Dla tej argumentacji Litwini jednak są głusi i długo jeszcze zapewne głusi pozostaną.

Ponowne rokowania prowadzone w r. 1921 w Brukseli pod przewodnictwem Hymansa nie dały rezultatów. Wobec tego Rząd Polski przystąpił do jednostronnego załatwienia sprawy na podstawie zasady samostanowienia o sobie ludności spornych terenów. Sejm wileński 20 lutego 1922 r. jednomyślnie uchwalił przyłączenie ziemi wileńskiej do Rzeczypospolitej. Sejm polski 3 marca przyjął tę uchwałę do wiadomości i rząd polski objął tę ziemię w normalne władanie.

Uchwała ta wymagała z punktu widzenia prawa międzynarodowego uznania Ententy. Polska zdołała je uzyskać, wykorzystując zresztą zrecznie kwestię uznania przez mocarstwa Ententy zamachu dokonanego przez Litwę na Kłajpedzie. Z dniem 15 marca 1923 r., aktem uznania północno-zachodniej granicy Polski przez Konferencję Ambasadorów, kwestia wileńska jako międzynarodowe zagadnienie prawne przestała istnieć i spór terytorialny polsko-litewski powinien był zniknąć.

Litwa odmówiła jednak uznania prawomocności tej decyzji i tym samym granicy z Polską nie uznała za ustaloną. Ziemię wileńską uważała i uważa za kraj okupowany, granicę za linię demarkacyjną, Wilno za stolicę swego państwa *in partibus infidelium*. Uznała się za pozostającą w stanie wojny prawnej z Polską ze wszystkimi konsekwencjami, jakie stąd wynikają, więc absolutnym brakiem jakichkolwiek stosunków międzypaństwowych i absolutną swobodą prowadzenia walki przeciw Polsce w każdej formie, słownej, prasowej, w stosunkach z państwami trzecimi itd.

Stan ten trwał lat 18. Wszelkie wysiłki czy ze strony Polski, czy państw trzecich natrafiały na nieprzezwyciężony, istic litewski upór. Wprawdzie w r. 1927, wobec ultymatywnego postawienia sprawy przez Marszałka Piłsudskiego w Genewie wobec ówczesnego premiera Woldemarasa, Woldemaras odstąpił od swej tezy „wojny prawnej” i uznał, że między Litwą a Polską panuje pokój. Deklaracja ta została zaprotokołowana w Radzie Ligi – ale pozostała bez konsekwencji. Nawiazane na jej podstawie rokowania rozbiły się

o bierny opór Litwy tak samo jak wszystkie późniejsze próby podejmowane przez półoficjalnych lub prywatnych mediatorów za milczącą zgodą rządów. Różnica po 1927 r. była chyba w tym, że Litwa nie głosiła wszem i wobec swej absolutnej i zdecydowanej niechęci do usunięcia tej anomalii w życiu międzynarodowym – stała raczej na stanowisku, że owszem – ale wina leży po stronie Polski, która nieprawnie zagarniętej własności restytuować nie chce.

Jakie warunki międzynarodowe, jakie krzyżowania się interesów państw trzecich umożliwiały Litwie tę grę przez tak długi czas, widzieliśmy w poprzednim zestawieniu. Można by się zastanowić, jakie były warunki wewnętrzne, które na to pozwoliły, czy nacisk opinii publicznej, nacisk dużego procentu mniejszości polskiej, zresztą zdrowy rozsądek nic w tej sprawie nie miały do powiedzenia?

Ażeby to zrozumieć, trzeba się przyjrzeć podłożu psychicznemu, na którym powstał tzw. kompleks wileński. Bo inaczej tego nazwać nie można, jest to kompleks, czy uraz psychiczny, który wprowadził wyraźną deformację poczucia rzeczywistości politycznej w całym społeczeństwie litewskim.

Podłoże jego jest czysto emocjonalne. Wywodzi się z niechęci budzącej się świadomości narodowej i kulturalnej litewskiej do ciężącej na niej od wieków wyższej kultury polskiej. Patriota litewski dochodził do poczucia swego patriotyzmu drogą negatywną – jako uświadomienie sobie swej odrębności od polskości, swej niechęci do polskości. Przeskakując pięć wieków uśpienia, świeżo rozbudzony patriota litewski znajdował się od razu – bez żadnego przejścia – w czasach, gdy Wilno, Troki, Lida stanowiły ośrodek życia jego narodu, i widziały jego świadomość, były tą Litwą, do której nawiązywał. Co go obchodziły zmiany, jakie zaszły w czasie, gdy jego świadomość narodowa spała? Zmiany, zresztą gwałtem, bez jego woli i świadomości mu narzucone? On wracał do kraju ojców swoich – nie rozumiał siebie w oderwaniu od tych „miejsc świętych”.

Do tych stanów uczuciowych dochodzą rozważania rozumowe: dawna jedność historyczna tych ziem, wspólnota plemienna jej mieszkańców, łączność geograficzna i gospodarcza, świadomość silnego kurczenia się zasięgu językowego, który

każe bronić każdej pozostałej wysepki, odgrzebywać wszystkie resztki swojskości zasypane warstwą obcości. Uczucie i rozum złożyły się na wytworzenie teorii, że nie ma Litwy bez Wilna – a poparte litewskim uporem, sentymentalizmem i zaciętością przerodziły się z czasem w fanatyzm – ślepy i głuchy na argumenty.

To zasadnicze nastawienie z chwilą utraty Wilna i to utraty w ich oczach podstępem, wydarcia im go, przerodziło się w chorobliwy uraz. Dziś Litwin do kwestii tych wprost nie może podchodzić rozumowo, argumentacyjnie, dziś już mu nie chodzi o rację czy nie rację – Wilno to dla niego tabu, świętość, której odwojowanie jest irracjonalnym nakazem jego wiary, zewu jego krwi. Dlatego nie ma i nie może być na ten temat z Litwinami dyskusji. Zawsze powróci on do swego *ceterum censeo*.

Jedyną drogą zdaje mi się nie perswazja a spokojne konstatowanie faktu, że tak jest i inaczej nie będzie. Pozostawić trzeba czasowi przekształcenie tych uczuć w coś, co byłoby podobnym do uczucia mahometanina wobec Mekki.

Zresztą uczucia rewindykacji i nienawiści wobec zaborcy były przez cały czas troskliwie pielęgnowane. Słabą roślinką patriotyzmu litewskiego najłatwiej było hodować na uczuciu nienawiści i krzywdy, to uczucie odgradzało najpewniej, najwyraźniej nie bardzo jeszcze świadomego swej narodowości Litwina od Polaka, z którym i pod którego wpływem przywykł był żyć od wieków.

Trzeba jednak przyznać, że z biegiem czasu hodowla negatywnych uczuć dała i pozytywne rezultaty. Zniweczyła w znacznej mierze tę specyficzną dwoistość litewsko-polskiego patriotyzmu zaściankowego, ten zamazany sentymentalizm „tutejszości”, ten – *excusez moi le mot* – hermafrodytyzm polityczny, który z ludzi robił specjalną odmianę Litwinopolaków. Stworzyła męski typ nowego patriotyzmu litewskiego i męski typ nowego patriotyzmu polskiego, zdolnych kierować się w swych poczynaniach nie sentymentem a myślą o racji stanu swego państwa. Oczywiście, że z biegiem lat i krzepnięciem stanowiska Polski nie mało Litwinów zorientowało się, że postulat odzyskania Wilna coraz bardziej wysuwa się ze sfery prawdopodobieństwa. Nie przeszkodziło im

to jednak w utrzymaniu tego hasła – zwłaszcza po dojściu do władzy tautników jako części programu politycznego i ideologicznego, zarówno rządu jak i narodu, na użytek tak wewnętrzny jak i zagraniczny.

Dla propagandy ideologii wileńskiej założono w r. 1925 Związek Wyzwolenia Wilna. Zadaniem jego głównym było utrzymywać sprawę rewindykacji Wilna i uczucia z nią związane w stanie stałego wrzenia. Związek liczył 22.000 członków zorganizowanych w 612 oddziałach, ponadto 65 oddziałów za granicą – wśród emigracji w Stanach Zjednoczonych i na Wileńszczyźnie, oczywiście tajne. Wydawał on tak zwane paszporty wileńskie, książeczki, które świadczą o składaniu datków na cele Związku – ilość tych paszportów wyniosła 600.000. Propagandę Związek prowadził różnymi sposobami, za pomocą „dni i miesięcy wileńskich”, stawiania specjalnych krzyży przydrożnych z napisem „Pamiętajcie o Wilnie”, za pośrednictwem specjalnego kącika radiowego i tygodnika *Musu Vilnius* o fanatycznie antypolskim nastawieniu – przez wydawnictwa propagandowe, pieśni itd. Zbierał ponadto „Żelazny fundusz” na odzyskanie Wilna.

Związek Wyzwolenia Wilna był oficjalnie popierany przez organa rządowe, stał pod protektoratem Prezydenta Państwa, należeli do niego prawie że przymusowo wszyscy urzędnicy i działacze – członkostwo Związku było niejako patentem na patriotyzm.

W takie nastawienie psychiczne – padło kategoryczne żądanie Polski nawiązania z nią normalnych stosunków, zawarte w ultimatum z dnia 19 marca.

Dlaczego właśnie w tym momencie i dlaczego właśnie w tej formie? Wszak stan ten trwał od 18 lat, wszak nie był to pierwszy incydent graniczny, wszak skoro już groźby wojny trzeba było – dlaczego nie wymusić tą groźbą od razu załatwienie spornych kwestii?

W styczniu i lutym roku ubiegłego szef polskiej polityki zagranicznej p. Minister Beck przewidywał już, że zbliża się okres wielkich rozgrywek politycznych w Europie. Że rozgrywki te toczyć się będą w dwu punktach: Czechosłowacja i Bałtyk. Jaki będzie ich tok i rozwiązanie? Tego oczywiście nikt przewidzieć nie mógł. Chodziło o to, żeby do tych roz-

grywek zająć możliwie najlepszą pozycję. Żeby nie być zmuszonym do rozgrywania jednocześnie na dwu frontach.

Dlatego w tym czasie wzmożła się gwałtownie aktywność nasza w kierunku wypełniania tej niebezpiecznej luki, mogącej kryć wszelkie możliwe zasadzki, jaką brak stosunków z Litwą tworzył w murze naszych granic. Nawiązaliśmy poufne pertraktacje z rządem litewskim przez osoby prywatne, by jeszcze raz próbować dojść do porozumienia. Wyznaczony do tych pertraktacji po uzgodnieniu preliminarzy, czekałem z największym napięciem na decydujące słowo z Kowna – gdzie i kiedy spotkanie. I znów w ostatniej chwili – krok wstecz, jak tyle razy! Stara śpiewka – przede wszystkim rewindykacje wileńskie a potem dalsze rozmowy! Chwila nie jest zdaniem Rządu odpowiednia. Sytuacja bez wyjścia.

W tym momencie tragiczny wypadek zastrzelenia strażnika KOP-u podsunął nam do rąk upragnioną możliwość rozegrania sprawy litewskiej w momencie stosunkowo dla nas korzystnym. Błyskawiczna decyzja rządu polskiego i przyparcie partnera do muru bez dania mu możliwości wykręcenia się były w warunkach psychologii litewskiej jedyną pewną drogą do celu. I dziś z perspektywy roku, tak pełnego wydarzeń, poznawszy dobrze teren i ludzi – mogę powiedzieć, nie mogło być lepszej formy niż forma polskiego ultimatum i nie mogło być lepszej treści niż proste żądanie nawiązania stosunków.

Przyjechaliśmy do Kowna wieczorem 29 marca. Ulice oczyszczone z publiczności, co parę kroków policjant. Atmosfera jak gdyby chodziło o okupanta. Ochrona osobista posunięta do najdalszych granic. Przyjęcie poprawne, ale mroźne. Na mieście chodziły zakłady, czy Prezydent przyjmie listy uwierzytelniające osobiście, czy też w ostatnim momencie ogłosi się chorym. I dalej: sabotaż w znalezieniu mieszkań, uniemożliwienie nawiązania stosunków towarzyskich. W dziedzinie oficjalnej teza: wypełnić na sto procent zobowiązania zawarte w nocy z dnia 19 III i ani kroku dalej.

Notą z dnia 19 marca rządy litewski i polski zobowiązywały się zapewnić poselstwu strony przeciwnej warunki normalnego funkcjonowania, więc komunikację lądową, wodną, powietrzną, pocztową, telegraficzną i telefoniczną pomiędzy danym poselstwem a jego rządem.

Konferencja w Augustowie omówiła warunki realizacji tych zobowiązań. I na tym koniec.

Stałem przed gładkim murem, nie było o co zaczepić, by zrobić krok naprzód. Zdecydowałem, że najłatwiej będzie wybić w nim szczelinę tam, gdzie życie samo drogi szuka – normalizacji technicznej najtrudniej będzie się opierać. Istotnie już 12 kwietnia zdołałem uzyskać zasadniczą zgodę rządu na zawarcie trzech konwencji – pocztowej, komunikacyjnej i spławu na Niemnie. Ta ostatnia była niejako kompensatą za dwie pierwsze, odkrywała bowiem perspektywy zysków materialnych dla Litwy. Dalej życie samo winno rzeźbić i rozszerzać koleinę. Zgodziwszy się na jedno byłoby absurdem sprzeciwić się drugiemu. – I tak krok za krokiem poszła normalizacja stosunków.

2 maja 1938 r. podpisano w Kownie umowę pocztowo-telekomunikacyjną, 14 maja umowę o spławie na Niemnie, 25 maja w Warszawie umowę o komunikacji kolejowej. 22 czerwca w Kownie porozumienie o komunikacji lotniczej i 23 lipca porozumienie o otwarciu 3 dróg dla ruchu kołowego – 24 listopada w Warszawie porozumienie prasowe i w związku z tym w lutym 1939 r. załatwiono sprawę debitu gazet. Umowa handlowa po pierwszym niepowodzeniu w rokowaniach latem 1938 r. w Warszawie, doszła ostatecznie do skutku 22 grudnia 1938 r. w Kownie. W wykonaniu jej podpisano umowę turystyczną 18 lutego 1939 r. Poza tym zawarto 25 stycznia porozumienie przez wymianę not co do otwarcia konsulatów polskiego w Kłajpedzie i litewskiego w Wilnie. – Ze zgody tej Litwa dotąd nie skorzystała. – Grają tu dwa przeciwne prądy w opinii publicznej – jeden za konsulatem jako możliwością wzmocnienia litewskości, ułatwienia pracy organizacyjnej i powiedzmy otwarcie irredenty wśród Litwinów na Wileńszczyźnie, – drugi – przeciw, uważając, że byłoby to pewną abdykacją z pretensji, pewnym godzeniem się ze *status quo*, bo przecież konsulatów się nie utrzymuje na własnej ziemi.

Jest to zresztą charakterystycznym przyczynkiem do ogólnej atmosfery, w jakiej odbywała się normalizacja stosunków. – Bezsprzecznie osiągnięto dużo, przy czym za ważniejsze, a w każdym razie trudniejsze, uważam osiągnięcia w dziedzinie

rozbrojenia psychicznego. W pierwszym rządzie – rozwiązanie Związku Wyzwolenia Wilna, tej twierdzy i rozsądnika nienawiści i ideologii nie dającej się pogodzić z kardynalnymi warunkami dobrego sąsiedztwa. Nastąpiło ono rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych w dniu 25 listopada 1938 r. jako rezultat pół roku trwającego nacisku z naszej strony.

Było to osiągnięcie olbrzymie, ale bynajmniej nie oznacza definitywnego złożenia broni ani wyrzeczenia się idei. Stale – i do dziś dnia walczyć musimy na każdym kroku z rzeczami takimi jak: stemplowanie na pocztce listów napisem „bez Wilna nie uspokoiimy się”, z używaniem w korespondencji początkowo nawet oficjalnego terminu „okupowana Litwa” – oznaczaniem miejsca urodzenia w papierach obywateli „w okupowanej Litwie”, z mapami włączającymi bez ceremonii całą wileńszczyznę na obszar państwowy litewski, z napisami, broszurami, puszkami na ofiary na odzyskanie Wilna w miejscach publicznych i setką podobnych trudności. Ot – dla charakterystyki jeden przykład z tysiąca: na reklamowej ulotce, wydanej przez komitet organizacyjny międzynarodowych zawodów koszykówki, mających się odbyć 21 maja b.r. w Kownie, figuruje mapa Litwy, na której Kłajpeda leży poza obszarem państwowym, ale cała Wileńszczyzna jest doń włączona...

Przytaczam te przykłady dla scharakteryzowania atmosfery, dla wykazania, że osiągnęliśmy i bardzo dużo, i bardzo mało. Do dwóch zasadniczych spraw związanych właśnie z tą atmosferą dotychczas nie można było jeszcze w ogóle przystąpić i mało jest widoków na możliwość zaktualizowania ich nawet w bliskiej przyszłości. Jest to sprawa usunięcia lub zmiany w konstytucji artykułu, stwierdzającego, że Wilno jest stolicą Litwy i do sprawy ustalenia normalnej granicy.



Pragnę tu jeszcze zatrzymać się na chwilę nad drugim aspektem stosunków litewsko-polskich, nad sprawą mniejszości.

Ludność polska w Litwie stanowi autochtoniczną masę, rozmieszczoną w trzech zwartych kompleksach. Najlicniejszą

grupę stanowi klin pomiędzy Niemnem a Wilią, przedłużający się aż do brzegów Niewiaży i historycznej Laudy. Pośrodku tego klina leży miasto Kowno, w którym Polacy stanowią prawie trzecią część mieszkańców. Drugą grupę stanowią okolice Jezioros, będąc poniekąd przedłużeniem na zachód ośrodka polskiego na Inflantach. Trzecią grupę stanowi ośrodek polski na pograniczu Litwy, Polski i Niemiec; jest to do pewnego stopnia przedłużenie naszej Suwalszczyzny. Poza tym Polacy w rozproszeniu znajdują się w całym kraju. Jak już wspomniałem, ogólna liczba ludności polskiej na Litwie przekracza 200.000, podczas gdy statystyka urzędowa podaje zaledwie 64.000.

Nie będę się zastanawiał ani nad układem społecznym i warunkami życia, historii i dziejami przejęć i zmagani naszej mniejszości, bo wymagałoby to oddzielnego wykładu. Podam tylko w telegraficznym skrócie statystykę naszego stanu posiadania mniejszościowego:

Polacy na Litwie posiadają, licząc oddziały jako jednostki organizacyjne:

organizacji kulturalno oświatowych –	5	
Litwini w Polsce –		14
młodzieżowych –	5	
Litwini w Polsce		3
dobroczynnych –	3	
Litwini w Polsce		1
gospodarczych –	38	
Litwini w Polsce		22
zawodowych i wzaj. pomocy –	1	
Litwini w Polsce –		2
wyznaniowych –	żadnej	
Litwini w Polsce		31
internatów i ochronek –	3	
Litwini w Polsce		7

Ogółem stan posiadania Polaków w Litwie wynosi 55, Litwinów w Polsce 81 jednostek organizacyjnych.

Trzeba dodać, że w okresie maksymalnego posiadania liczba jednostek polskich w Litwie wynosiła 84, jednostek litewskich w Polsce ponad 1000.

Stan posiadania w dziedzinie szkolnictwa przedstawia się następująco:

szkół z nauką w języku polskim 18 z liczbą uczniów 928, w tym: przedszkoli 5, szkół powszechnych 10, gimnazjów 3.

Równocześnie Litwini posiadają w Polsce szkół 167 z liczbą uczniów 8624. W tym szkół powszechnych z językiem wykładowym litewskim 9, gimnazjum 1 i kursów zawodowych 4. Resztę stanowią szkoły utrakwistyczne lub z językiem litewskim jako przedmiotem – typ, którego na Litwie nie ma zupełnie.

W dziedzinie duszpasterstwa: Polacy w Litwie nie posiadają ani jednej parafii polskiej. Jedynie w Kownie jest 2 księży Polaków przy parafiach litewskich, którzy jednak kazać po polsku nie mogą, jedynie spowiadają po polsku.

Litwini natomiast posiadają w Polsce 21 parafii, w których nabożeństwa odbywają się tylko po litewsku i 10 parafii, obejmujących 19 miejscowości z nabożeństwami w obu językach.

Na tle tej statystyki pragnę podkreślić kilka momentów zasadniczych. Przede wszystkim Litwa stoi na stanowisku, że nie może być równorzędności w traktowaniu mniejszości polskiej w Litwie i mniejszości litewskiej w Polsce. Polskość jest i w Litwie właściwej i w jej „okupowanej części” na Wileńszczyźnie czymś obcym, napływowym, autochtonami są tylko Litwini. Wobec tego tak zwani Polacy, żyjący na Litwie, to spolonizowani Litwini, dzisiejsza Litwa ma więc pełne prawo moralne starać się o to, by wrócili oni do swego właściwego poczucia narodowościowego. Nie ma natomiast żadnych praw moralnych Polska wobec Litwinów, zamieszkałych na zajętych przez nią ziemiach – to są autochtoni, którzy nie tylko mają prawo pielęgnować swoją odrębność narodową i kulturalną, ale mają pełne prawo starać się o to, by i inni spolonizowani Litwini w Polsce do swej narodowości wrócili.

W rezultacie: wszelka eksterminacyjna polityka w stosunku do Polaków w Litwie jest moralnie uprawniona, wszelkie ukrócenie praw Litwinów w Polsce jest gnębieniem i bezprawiem.

Mniejszość polska w Litwie, nawraca pod tym kątem wi-

dzenia na łono swej „prawowitej” narodowości, drogą ustawy paszportowej, ustaw szkolnych i zrzeczeniowych, pozbawiania chleba i nacisku administracyjnego, oczywiście została zdziękowana. Odpadło to, co było oportunistyczne i to, co było słabo uświadomione. W łonie samej mniejszości nacisk ten wywołał głębokie przeobrażenia. Zniknęli dawni, naturalni przewodnicy w postaci dworów, zniszczonych reformą rolną, nielicznych księży polskich i kulturalnych sfer mieszczańskich. Zarysował się głęboki proces ideologiczny, tworzenie się nowych ideałów, nowych haseł, nowych ludzi. Proces ten musiał przejść przez stadium wewnętrznej walki, która podzieliła społeczeństwo na starych i młodych. Starych i w znaczeniu wieku i przywiązania do dawnych sentymentalnych ideałów, w typie tego co nazwałem „hermafrodytyzmem politycznym” i w znaczeniu metod, uznających oportunizm jako środek do zachowania polskiego stanu posiadania. I młodych w znaczeniu bojowości, bezkompromisowości, chęci oparcia się na najszerszych masach.

Dziś walka ta ma już najostrejsze swe stadium za sobą. Hasłem naczelnym jest dziś konsolidacja, znajdująca może jeszcze zbyt słabe zrozumienie i z jednej, i z drugiej strony. Normalizacja międzypaństwowych stosunków przyniosła świeży wiew w nienormalną dotąd atmosferę życia. Duża wartość ideologiczna, jaką posiada tutejsze społeczeństwo polskie, pozwala mieć nadzieję, że rozwój jego pójdzie dobrą drogą, pomimo bardzo ciężkich warunków, w jakich się znajduje i znajdować będzie.

Inna rzecz, że przy takim właśnie ujmowaniu kwestii mniejszości, na który oczywiście Polska zgodzić się nie może – kwestia mniejszościowa stanowi i stanowić będzie zawsze poważne obciążenie stosunków między oboma państwami. Nie należy bowiem zapominać, że poza wszystkim innym, Polacy w rozumowaniu Litwinów stanowią dla Litwy zawsze pewne niebezpieczeństwo. Tkwi ono w podświadomej predyspozycji społeczeństwa litewskiego na wpływy kultury polskiej. Potencjalne możliwości tej kultury wraz ze świadomością wspólnoty przeszłości historycznej stanowią zdaniem Litwinów pewne bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo, którego nie doceniać nie należy.

Tak więc doszliśmy do ustalenia, że oba aspekty sprawy polsko-litewskiej – problem wileński i problem mniejszościowy stanowią ciężką zaporę nie tylko dla normalizacji ale i dla dalszego ułożenia się stosunków między oboma państwami. Ostatnie tygodnie – które przyniosły tak zasadnicze zmiany w obliczu politycznym Europy, przyspieszyły też dojrzewanie omawianych tu spraw. Mam tu na myśli niedawną wizytę generała Rasztikisa w Polsce, pierwsze oficjalne gośczenie reprezentanta Litwy, bodaj że najważniejszego. Mogłoby się zdawać, że fakt ten podważa do pewnego stopnia moje konstatacje, a co najmniej, że nadaje przysłemu rozwojowi stosunków oblicze jaśniejsze, niżby można wnioskować z naszkicowanego przeze mnie obrazu.

Utinam falsus vates sim.

Ale pragnę tu z całym naciskiem podkreślić – właśnie wobec grona ludzi, pracujących w tych zagadnieniach – że nie można rzeczy koniunkturalnych kłaść na równej szali z rzeczami zasadniczymi. Koniunktura w tej chwili gra na nas. Otwarcie się oczu Litwinom na imperializm germanizmu, utrata Kłajpedy – to oczywiście momenty, które każdy dyplomata starać się musi wykorzystać nie tylko dla korzyści koniunkturalnych, ale więcej, dla podważania tej zasadniczej zapory, o której wyżej mówiłem. Ale to nie znaczy jeszcze, że ta zapora maleje, że przestaje istnieć. Trzeba się zawsze z nią liczyć i mieć ją na uwadze – zwłaszcza przy rozważaniach na temat bezpieczeństwa naszych granic, zwłaszcza w kolejnych momentach zmiennego szczęścia wojennego, gdyby nastąpić miały zmagania orężne Polski z wrogiem.

Franciszek CHARWAT

NOTA BIOGRAFICZNA

Franciszek Charwat, syn Józefa, urodził się 12 kwietnia 1881 r. w Stanisławowie. Studiował prawo w Wiedniu i w Czerniowcach, gdzie działał w Towarzystwie Akademików Polskich „Ognisko”. Od 1915 do 1918 r. pracował w austriackiej administracji. W odrodzonej Polsce uzyskał 4 XII 1918 r. nominację na konsula we Wrocławiu, następnie w latach 1919-1921 kierował placówkami konsularnymi w Berlinie, potem

w Hamburgu. Po kilkumiesięcznej pracy w MSZ w Warszawie, we wrześniu 1921 r. Charwat został skierowany do konsulatu w Charkowie na stanowisko *chargé d'affaires* konsulatu RP. W październiku 1923 przeniesiono go na kierownictwo konsulatu w Rydze, a w końcu następnego roku na stanowisko *chargé d'affaires* w Rewlu. Po dwóch latach Charwat przeniesiony został do stolicy Estonii, Tallina, w charakterze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego. W lipcu 1928 roku Charwat przeszedł na to samo stanowisko do Helsinek. W stolicy Finlandii przebywał do końca 1935 r., a od stycznia 1936 r. do marca 1938 r. Charwat był posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym w Rydze. Ostatnią placówką było Poselstwo RP w Kownie, którym Charwat kierował od momentu nawiązania przez Litwę stosunków z Polską 31 III 1938 do 14 X 1939 r., dnia ich zerwania przez Litwę. Losy wojenne zaniósł Charwata przez Szwecję, Francję i Portugalię do Brazylii. Franciszek Charwat zmarł na serce 1 V 1943 w Kurytybie – przy fortepianie, grając marsz pogrzebowy Chopina na zebraniu polonijnym z okazji święta narodowego 3 maja.

8 VI 1998

Maciej SIEKIERSKI

WSPOMNIENIA

Alicja DMUCHOWSKA

POLSKA DROGA PRZEZ MEKĘ

Mieszkałam przed wojną w Warszawie, studiowałam w Akademii Nauk Politycznych. Nie należałam do żadnej partii politycznej. W listopadzie 1939 wraz z narzeczonym oficerem zawodowym WP przeszłam przez tzw. zieloną granicę i pojechałam do Lwowa, gdzie przebywał mój ojciec. Chcieliśmy razem wyjechać do Szwecji, a stamtąd do Anglii. Mój narzeczony był w Lidzie i załatwiał dla nas przejście przez granicę. Chcieliśmy z ojcem wyjechać ze Lwowa. Na dworcu ojca aresztowało NKWD. Byliśmy umówieni, że jeśli podejdziesz do niego NKWD, ja odejdę, ponieważ miałam przy sobie pieniądze – 100 dolarów zaszyte w pasku do podwiązek. Ojca już nigdy nie zobaczyłam. Raz przyjęto ode mnie dla niego 100 rubli w więzieniu w Brygidkach. Potem ślad zaginął. W *Życiu Warszawy* z 24/25 XI 1990 zamieszczona została lista „Polacy więzieni w ZSSR (do kwietnia 1943)”. Jest tam m.in. taka informacja: „Józef Skowronek 1) urzędnik bankowy z Warszawy, 2) Gorkowskaja obł. Uzłag NKWD, 31 łagpkt., 3) D-735/41., 4) Nr 41/42 z 7 III, 5) Nie odnaleziony”.

Mnie wywieźli w nocy z 11 na 12 kwietnia 1940 roku na Syberię. Był to wywóz rodzin tych, którzy zostali aresztowani we Lwowie. Opowiadaliśmy sobie swoje historie. To były żony i córki aresztowanych. We Lwowie mieszkałam u przyjaciół ojca. Nikogo ze mną z mieszkania tego nie zabrano.

Przyszło trzech: dwóch umundurowanych i cywil. Kazali mi się zabierać. Jeden z nich powiedział, żebym zabrała ciepłe rzeczy, bo jadę *na białe niedźwiedzie*. Nie pozwolili mi pójść do drugiego pokoju, skąd chciałam wziąć pieniądze. Nie miałam też ze sobą żywności. Na dworcu miałam tylko plecak i kołdrę przewieszoną przez ramię. Myślałam, że uda mi się uciec. Widziałam, co się dzieje. Kiedy podchodziłam do wagonu, zrobiłam krok w tył i zaczęłam się cofać w odwrotnym kierunku. Wyszłam z dworca na pustą ulicę, ale dworzec był otoczony i cofnięto mnie. To była noc, na dworcu nie było zwykłych ludzi. Nie zauważyłam, żeby komukolwiek udało się uciec. Ja byłam młoda i wysportowana, więc myślałam, że mnie się uda.

Załadowano nas do bydłęcych wagonów, w jednym wagonie po około 20 osób. U góry były małe okienka, za siedzenia i posłania służyły nary. Wstawiono wiadro, myśleliśmy, że służy ono do załatwiania potrzeb fizjologicznych i tak zaczęliśmy je używać. Potem okazało się, że było ono przeznaczone na jedzenie i kiedy zaczęto co jakiś czas – bardzo rzadko – rozdawać zupę, nie mieliśmy jej w co wziąć. Niektórzy ludzie mieli żywność, ja, jak już mówiłam, nie miałam nic. Dokarmiła mnie dr Sawicka, żona pułkownika ze Lwowa.

Nie potrafię powiedzieć, jaką trasą jechaliśmy. Po drodze, jeszcze w Polsce, na dworcach czekali ludzie, bo wiedzieli, że jadą te transporty; wyrzucaliśmy im kartki, zawiadamiające rodziny. Pamiętam taką scenę: była w moim wagonie pani Kołba – wysunęła ona przez okno parasolkę, a ludzie z zewnątrz włożyli jej do tej parasolki jajka.

Rozdawano wrzątek i bardzo rzadką zupę. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał i pozwalano wysiąść: mężczyźni na jedną stronę, kobiety na drugą. Załatwialiśmy się przy samych torach, to było obrzydliwe.

Chleba nam nie dawano. Kto miał suchary, był w lepszym położeniu.

W czasie transportu jedna z kobiet, żona porucznika, zaczęła rodzić. Zbieraliśmy wszyscy czyste rzeczy, żeby owinąć to dziecko – synka – które urodziło się bez komplikacji. Później ta matka z dzieckiem mieszkała w sąsiednim kołcho-

zie, odwiedzałam ją. Składaliśmy się, żeby ją wyżywić.

Miałam te wydarzenia wszystkie zapisane, ale przed powrotem z Anglii do Polski w 1947 r. zniszczyłam notatki, obawiając się represji.

Dowiedziano nas do Semipałatyńska w Kazachstanie, południowa Syberia, nad rzeką Irtysz.

Dojechalśmy 2 maja. Z Semipałatyńska rozwieziono nas ciężarówkami do kołchozów. Ja wraz z grupą kilkunastu osób znalazłam się w kołchozie „Klara Zetkin” – Zanasiemenskij rejon – Semipałatyńska obłast. Mieszkał tam nauczyciel, który znał język polski, mówił, że pochodzi z rodziny wywiezionej na Sybir w 1863 roku. Obiecał mi, że nada z Semipałatyńska depeszę do Warszawy, do matki. Wydawało mi się to nierealne ale spróbowałam. Ta depesza dotarła do mamy, był to pierwszy znak, co się stało z wywiezionymi ze Lwowa. Napisałam: – *Jestem i pracuję w kołchozie „Klara Zetkin”* i podałam adres. Z matką nie miałam kontaktu, bo ona nie mogła do mnie pisać. Natomiast nawiązała kontakt z naszymi znajomymi we Lwowie i oni przysyłał mi pieniądze i paczki z tych pieniędzy, jakie u nich zostały.

Kiedy wieziono nas do kołchozu – było to zaraz po 1 maja – widzieliśmy bardzo dużo śpiących po rowach, pijanych do nieprzytomności ludzi. Zapamiętałam też – jak wydawało mi się wówczas dziwne zjawisko – kwiaty na polach. Były to wysuszone zmarznięte pomidory z nie zebranych plonów ubiegłego roku. Nie mieli transportu.

Umieszczono nas w pustych chałupach, kurnych chatach – dym z pieców uchodził przez otwór w dachu. Zamiast podłogi było klepisko, pod pryzami rosła trawa.

Był to kołchoz ogrodniczy zajmujący się uprawą pomidorów, czarnych i czerwonych porzeczek, arbuzów. Ale nie było zboża i nie mieliśmy mąki, a więc chleba. Ciągłe były z tym kłopoty. Dawano niewielkie przydziały mąki, które zupełnie nie wystarczały. Niekiedy dostawaliśmy pozwolenie na wyjazd do Semipałatyńska. Tam w lodziarniach sprzedawano lody, do których dodawano bułeczki. Kupowaliśmy jak najwięcej porcji lodów, żeby zdobyć te bułeczki. W Semipałatyńsku ludzie stali po jeden bochenek całą noc, dla nas to było niemożliwe, musieliśmy wracać do kołchozu. Jako

rozliczenie za pracę przydzielano kartofle i mąkę, ale nawet miejscowi kołchoźnicy dostawali bardzo mało, zupełnie niewystarczająco na życie, a nasza praca była uważana jako „zadatek” na przyszłą wypłatę i dostawaliśmy jeszcze znacznie mniej od nich.

W kołchozie było kilkunastu Polaków: lekarka dr Klara Sawicka, żona pułkownika ze Lwowa, pani Sołtysikowa z synem, Jan Małgorzewicz, były student wylany za awantury na uniwersytecie, lekarz, który tam zmarł – nie pamiętam nazwiska, Zofia Zachariasiewicz – żona sędziego i pani Kreis, żona oficera z córką.

Z przesiedleńców w kołchozie tym byli także Chińczycy, bardzo kulturalni ludzie. Byli czyści, dobrze pracowali. Ja wstąpiłam właśnie do chińskiej brygady. Mieszkali tam też Kazachowie, no i był ten, który przedstawił się jako potomek Polaków, a był donosicielem. Doniósł do NKWD na przykład o naszych spotkaniach modlitewnych, które w niedziele organizowała p. Zachariasiewiczowa. Przychodzili na te modlitwy również miejscowi kołchoźnicy. Po jego donosie przyjechał do kołchozu porucznik NKWD i groził, że jeżeli nie przestaniemy prowadzić *propagandy religijnej*, to nas wszystkich zamknie. Do końca mojego pobytu nikogo nie aresztowano. Uciekłam z kołchozu w sierpniu 1940 r.

Zbliżała się zima, chciałam wrócić do Polski. Przebrałam się za kołchożnicę: biała chustka zsunięta na czoło, ubrałam fufajkę, szeroką spódnicę. W kołchozie powiedziałam, że jadę do szpitala. W paszporcie było zaznaczone, że jestem przesiedlona i nie mam prawa wyjeżdżać. Przyszłam na dworzec i czekałam, żeby ktoś podszedł do kasy; chciałam prosić, żeby kupić dla mnie bilet (w kasie sprawdzano paszporty). Jakiś wysoki mężczyzna kupował bilet, poprosiłam go, żeby kupić i dla mnie bilet do Nowosybirsk, bo na dalszą odległość było wykluczone. Kupił mi, wsiadłam ale okazało się, że mój wybór był bardzo zły. Ten mężczyzna zaczął się zalecać. Gdy dojechalismy do Nowosybirsk zaczął się oświadczać, mówił, że jest kołchoźnikiem, że ma krowę, że jego matka będzie nam gotowała, że będzie mi przywoził z miasta czekoladę (której tam wcale nie było), że będziemy chodzić do kina. Powiedziałam mu, że nie chcę. Rozpiął koszulę, pokazał że

był ranny, był na froncie fińskim jako rezerwista NKWD. Wreszcie powiedział, żebym nie robiła z niego wariata, bo on wie, kim ja jestem, że jestem z przesiedleńców i muszę zgodzić się z nim jechać. Wtedy powiedziałam mu, że jeśli zawiezie mnie do Polski, to wtedy wyjdę za niego za męż. Brzmi to nieprawdopodobnie ale się zgodził. Jechaliśmy dalej. W Omsku, Tomsku kupował dla mnie bilety. Na każdym postoju pił wódkę, bałam się go. Gdy przyjechaliśmy do Omska zostawiłam walizkę w przechowalni, dałam mu kwit, żeby ją odebrał, a ja wsiadłam w pociąg, z powrotem na wschód, żeby tylko się od niego odczepić. Zostawiłam mu wszystkie rzeczy, a były wartościowe; za spodnie ojca mogłam dostać sporo pieniędzy. Szykując się do ucieczki sprzedałam kołdrę i parę rzeczy, ale nie miałam dużo pieniędzy.

Dojechałam aż do Mińska Białoruskiego – pięć tysięcy kilometrów. Ukradli mi w czasie podróży zegarek gdy spałam. Zaznajomiłam się z jakimś porucznikiem Czerwonej Armii i ukradłam mu mapę sztabową z zaznaczonymi przedwojennymi granicami. W pobliżu Mińska była granica, przez którą nie można było przejechać bez przepustki. Szukałam kontaktu, żeby mnie ktoś przewiózł przez granicę. Poznałam jakiegoś Polaka, polskiego kolejarza, który mieszkał w Mińsku. Zwierzyłam mu się, obiecał, że mnie przewiezie w wagonie służbowym. Umówiłam się z nim i poszłam do restauracji na obiad. Przysiedli się do mnie dwaj Rosjanie, zaczęli ze mną rozmawiać, a ja nie umiałam po rosyjsku. Myśmy jako protest nie uczyli się w kołchozie mówić po rosyjsku, udawaliśmy, że w ogóle nie znamy tego języka. Miałam taką zmyśloną historyjkę, że jadę do Niżnego Tajgielu, bo dowiedziałam się, że tam Polacy zapisują się dobrowolnie na roboty. Spytałi się, gdzie ja tu mieszkam. Podałam im fikcyjny adres. Całą noc miałam zamiar chodzić po Mińsku, bo nie mając przepustki nie można było dostać żadnego noclegu. Na dworcu bez biletu też nie można było przebywać. Powiedzieli, że mnie podwożą. Powinnam była się zorientować, ale się nie zorientowałam. Czarna wołga stała przed restauracją. Jak ja zobaczyłam, cofnęłam się, a oni na to: *niczewo nie pugajtes' grazdaneczko*. Byli to enkawudziści. Zawieźli mnie prosto pod republikańskie NKWD w Mińsku. Tam mnie aresztowano.

Więzienie

Aresztowana zostałam 10 października 1940 roku. Siedziałam w enkawudowskim więzieniu do czerwca 1941, kiedy to wywieziono mnie pod Archangielsk. W tym samym więzieniu siedział jego projektant, skazany za to, że nie przewidział, że więźniowie będą się mogli przez kaloryfery porozumiewać za pomocą alfabetu Morse'a.

Więzienie było bardzo nowoczesne. W mojej celi przeznaczony na dwie osoby siedziały ze mną dwie Rosjanki. Jedna studentka medycyny, druga też studentka, nie pamiętam jakiego kierunku. Były dwa łóżka, ale w ciągu dnia nie wolno było się położyć, trzeba było siedzieć. Od razu miałam ciężkie śledztwo, bo nie mogli uwierzyć, że przejechałam tyle tysięcy kilometrów nie mając odpowiednich dokumentów i żadnej pomocy ze strony jakiejś organizacji. Zaczęto mi wmawiać, że należę do organizacji, której celem jest oderwanie dawnych ziem polskich od Związku Sowieckiego. Śledztwo miałam dzień i noc, dzień i noc. Byłam nieprzytomna ze zmęczenia. Rano po śniadaniu zaraz mnie brano i wieczorem jak tylko zasypiałam, znów mnie brano na nocne śledztwo. Myślałam, żeby jakoś popełnić samobójstwo, tak byłam zmęczona z braku snu. Nie wiedziałam, że oni wszystkim wmawiają szpiegostwo, byłam przerażona tymi podejrzeniami, bo ja tylko uciekłam z zsyłki. Zamknięto mnie w celi z kobietą, która nazywała się Tamara Podlach, Polka, która donosiła do śledczych. Wypytywała mnie, ale w ubikacji spostrzegłam napis: Wystrzegać się Tamary Podlach. Najbardziej bałam się o to, że gdy mnie aresztowali, miałam przy sobie tę sztabową mapę. To mogło rzeczywiście stać się dowodem. I druga sprawa – miałam przy sobie list od matki, wysłany z Warszawy do Lwowa, w którym pisała, że w więzieniu w Brygidkach jest lekarz Polak, przez którego można coś zrobić dla mojego ojca. Było tam jego nazwisko i imię. Odchodziłam od zmysłów, że przez ten list NKWD może dotrzeć do tego lekarza. Przedziwna rzecz: o wszystko mnie pytali, a o to nie. Te dokumenty znikły. Miałam wrażenie, że jeden z tych śledczych był Polakiem i że on te rzeczy zniszczył.

Mówili mi, że jeśli nie powiem im o tej organizacji, do której należę, to będą bić mojego ojca. Wiedziałam, że ojciec siedzi, tylko nie wiedziałam, gdzie. Na biurku śledczego stał ciężki kałamarz, złapałam go i chciałam nim cisnąć w śledczego.

Chwycił mnie za rękę i zawołał, czy wolę być bita tak, jak u nas przed wojną policjanci bili komunistów, czy opo-
nami, jak u nich. Nic na to nie odpowiedziałam. Zbił mnie wtedy, ale to nie było takie straszne, bił mnie po siedzeniu, nic mi nie uszkodził.

Więzienie miało warunki bardzo dobre w porównaniu do warunków w kołchozie i potem w obozie. Jedzenie dobre: pół kilo chleba, dwie kostki cukru, dwa razy dziennie zupa. Jak się miałam przekonać, był to luksus. Przeniesiono mnie potem do celi, gdzie siedziałyśmy w piatkę, była tam też Halina Drucka Podbereska. Ona nam dużo śpiewała, ja opowiadałam książki. Była Tatarka o imieniu Ajsza z Kocka, miała tam mały dom publiczny, parę prostytutek. Analfabetka. Znała cały Kock, to było bardzo niebezpieczne. Powiedziałam jej: Ajsza, jak ty tak będziesz w śledztwie opowiadała, to oni pomyślą, że jesteś w coś zamieszana. Najlepiej nic nie mów. Poszła na śledztwo, wraca i mówi: Powiedziałam śledczemu, że u nas w celi jest taka mądra Ała i ona powiedziała mi, żebym nic nie mówiła, bo cały Kock wkopię i to się obróci przeciwko mnie. Wezwali mnie i powiedzieli, żebym nie robiła takich historii.

Prułyśmy koce, a z miotły do zamiatania wyciągałyśmy witki, które służyły nam jako druty, na których z tych wyprutych nitek robiłyśmy sobie ciepłe szaliki, skarpetki itp. Wiedziałyśmy, że po wyroku będziemy wywiezione na północ, a każda z nas miała tylko tyle odzieży, ile na sobie w chwili aresztowania.

Siedziała z nami Rosjanka, której krowy uciekły przez granicę. Goniła je, więc ją aresztowali, a w chałupie zostało dwoje małych dzieci. Odchodziła od zmysłów ze strachu, co się z nimi dzieje.

Zanim trafiłam do tej celi siedziałam dwa i pół miesiąca sama. W czasie Bożego Narodzenia, w wigilię, starszy *strielok* wrzucił mi przez okienko dodatkową porcję chleba. To już

było w więzieniu miejskim. W tym bloku siedzieli sami Polacy, polityczni. W wigilię wszyscy zaczęli śpiewać kolędy. Wydawało się, że się mury rozlecą od tych kolęd. Strażnicy usiłowali uspokajać, bo było słychać aż w mieście. Im bardziej uspakajali, tym głośniej ci mężczyźni śpiewali.

Gdy siedziałam sama, wyobrażałam sobie wolność i przyszłość: jak będę miała rodzinę, pięciu synów. Wyobrażałam sobie, jak każdy z nich będzie miał na imię, jak będzie wyglądał, jaki będzie miał zawód. Kiedy wyprowadzano mnie na spacer, myślałam o tym i uśmiechałam się do siebie, a *strelök* mówił: Co, ty zwariowałaś!? Myśmy w ogóle nie tracili nadziei, wierzyliśmy, że wybuchnie wojna sowiecko-niemiecka i że nas zwolnią.

Wyrok

Wezwali mnie na sąd. Siedział taki niby-sędzia, to było tzw. *osobowoje osowieszczenije*. Dostałam wyrok z paragrafu 64 i 76, tzn.: „przynależność do organizacji i dążenie do oderwania dawnych ziem polskich od ZSSR”. Dostałam osiem lat *isprawitielno trudowyje lagiera* we Władywostoku. Spytano, jakie mam życzenia. Miałam półbuty, jeszcze z Warszawy od świetnego szewca Hiszpańskiego ale były na obcasie, ten obcas zniszczył się i były one całkiem krzywe. Powiedziałam, żeby mi podzelowali te buty. Sędzia powiedział: – Dobrze. Ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Jak wyszłam na korytarz, pokazywaliśmy sobie na palcach, ile kto dostał. Najniższy wyrok to było pięć lat. Śmialiśmy się. Wtedy jeden *strelök* zapytał mnie: – Co się tak cieszysz? Na wolność idziesz? Odpowiedziałam: – Nie. Dostałam osiem lat. Puknął się w głowę. A ja byłam zadowolona, że się śledztwo kończy. Po wyroku zaprowadzono mnie do innej celi. Było tam dwanaście kobiet z AK w Lidzie. Były łóżka, ale dla mnie nie znalazło się miejsce. Ubrana byłam jak kołchoznica, myślały, że jestem Rosjanką. Wszystkie się ode mnie odsunęły ale jedna, Joanna Stankiewicz, wpuściła mnie na swoje łóżko. Po wojnie odnalazłyśmy się w Polsce. Robiłyśmy w tej celi przedstawienia teatralne.

Wyrok dostałam chyba w maju. Siedziałam po wyroku przeszło miesiąc. Wzywano nas po kilka i wywożono. Wiedzieliśmy już, że w obozach jest gorzej, niż w więzieniu. Byli tacy, co byli już w obozie. Mówili nam, żeby starać się nie wyjechać, ale jak to było można zrobić? W więzieniu było jedzenie i nie było tej strasznej pracy.

Wywieźli mnie z tej celi jedną. Usłyszałam: – Zabierajcie się z rzeczami. Wsadzono nas do pociągu, przejeżdżaliśmy przez Moskwę. W Moskwie przewieziono nas więzienną karetką zwaną *czornyj woron* z jednego dworca na drugi. Miałam wyrok do Władywostoku, ale tam mnie nie zawieźli. Najpierw do Wołogdy, do więzienia, gdzie siedzieliśmy razem z Rosjankami. Tam po raz pierwszy mogłam wypożyczyć książki z czytelnicy. Pożyczyłam sobie Szwejka po niemiecku. Tłumaczyłam na polski, zapisywałam na papierkach od papierosów i czytałam w celi. Nie kupowałyśmy niczego ze sklepiku, żadnych kontaktów ze światem, żadnych możliwości porozumiewania. Rosjanki kupowały w sklepiku więziennym papierosy; one miały pieniądze. Transportowali nas wagonami bydłocymi, karmili – co było bardzo męczące – słonymi śledziami, a nie dawali dostatecznie wody. W Wołogdzie zgłaszałam się do sprzątania więzienia – w ten sposób można było się na korytarzu czegoś dowiedzieć od innych więźniów. Pewnego razu gdy sprzątałam, zobaczyłam, że *strietok* drzemie nad gazetą. Była w niej wiadomość, że zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Rozpowiedziałam to po całym więzieniu strasznieśmy się wszyscy cieszyli. O czytaniu Szwejka ktoś doniósł, zostałam wezwana i zagrożono mi, że jeśli nie zaprzestanę *propagandy antyradzieckiej* ześlą mnie do ciężkiego obozu. To śledztwo w książce przypominało zupełnie śledztwo NKWD.

Z Wołogdy zawieziono nas dalej. Było nas, Polek, kilka: Irena Kudzewicz, Irena Olszańska, ja i starsza pani, której nazwiska nie pamiętam. Zawieziono nas pod Archangielsk. Były to *Oneżenskije Isprawitielnowo Trudowyje Łagieria* – nazwa od jeziora Onega. Wypuszczono nas z wagonów i prowadzono z psami. Psy pilnowały, by nie schodzić na bok, by nie uciec. Ta starsza pani miała chore serce i ciągle zostawała w tyle, psy ją popędzały. Pamiętam, były jakieś kałuże, moczyłam chusteczkę i przykładałam jej do serca. Doszłyśmy

do obozu. Był to tak zwany obóz *peresylny*. Tu odbyła się kwarantanna. Mężczyźni byli w jednej połowie baraku, a kobiety w drugiej. Można było wychodzić na dwór, ale tam też byliśmy przedzieleni płotem. W *peresylnym* badał nas lekarz i określał kategorię zdrowia. Mnie zakwalifikował jako *pełnocenną roboczą*. Przez ten płot prowadziliśmy rozmowy. Jeden z więźniów, Polak, Stanisław Czułowski (przed wojną pracował w COP-ie jako prawnik) przysłał mi przez lekarza ciepły wełniany sweter z kartką: „Proszę przyjąć. Mężczyzna zawsze da sobie lepiej radę”. Swetra nie przyjąłem, odesłałem mu i odpisałem: „Bardzo dziękuję, ale myślę, że kobieta zawsze da sobie radę lepiej”.

Z tego obozu przesłano mnie do obozu inwalidzkiego – numeru już nie pamiętam. Zaczęło się to, przed czym nas przestrzegali mężczyźni w więzieniu w Mińsku, że dadzą nas do obozu razem z kryminalnymi więźniami rosyjskimi i żeby szczególnie wystrzegać się kobiet kryminalistek. Rzeczywiście, jak nas tam doprowadzono, to więźniarki stały z kijami. Okazało się, że one bały się, że my im odbijemy tych ich więziennych mężów. Byłyśmy na to przygotowane. Pewien stary Kozak znad Donu, skazany na osiem lat, gdy zobaczył, że my trzy jesteśmy młode, wziął nas do siebie, do łaźni, tam nas zamknął, żeby nas uchronić przed tymi kobietami. Siedziałyśmy tam do nocy, dopiero jak się trochę ściemniło – białe noce! – to przeszłyśmy do baraku. Uchowałyśmy się tam dlatego, że to był cały barak kobiet rosyjskich, które siedziały, jak mówiły, za religię. Gdy dowiedziały się i zobaczyły, że to są Polki, wierzące, wzięły nas do swojego baraku i ulokowały na najwyższych narach (były tam czteropiętrowe prycze) i powiedziały, że jak będzie wchodził jakiś mężczyzna, to podniosą taki wrzask, że ucieknie. Mieszkałyśmy z tymi babuszkami. To było bardzo ważne, bo one nas pilnowały, były bardzo życzliwe.

Potem przygnali żony różnych ważnych działaczy, skazanych w 1936 roku. Przedtem były w obozach przy granicy fińskiej.

Pracowałam w cegielni. Ustawiało się mokre cegły na tzw. *jolkę*. Mokra cegła dużo waży, praca była bardzo ciężka. Było też koszenie traw w tajdze na siano. W Polsce w ogóle

kobiety nie kosiły, a w tajdze dodatkowo koszenie utrudniały korzenie. Były też potworne komary, gryzły tak, że całe ciało było w ranach. Cudem dostawałam jakieś długie męskie kalesony i zakładałam je na sukienkę, żeby zasłonić nogi. Malarii w tym obozie nie było. Była natomiast tzw. *cynga* – na skutek awitaminozy na całym ciele tworzyły się wrzody. Na tę *cyngę* po protekcji można było dostać wyciąg z igieł świerkowych tzw. *chwoje*. Wyżywienie było gorsze niż gdzie indziej, bo był to inwalidzki łagier. 300 g chleba z soi, jeśli ktoś był *pełnocenny roboczyj*, mógł dostać tego chleba więcej, nawet do 500 g ale trzeba było pracować bardzo wydajnie. Był głód. Jadłyśmy surowe kartofle pieląc pola. Ludzie strasznie chorowali od tych surowych kartofli. Budzono nas bardzo rano, wracało się wieczorem – cały dzień pracy. Do pracy chodziliśmy poza obóz, niezbyt daleko. Spałyśmy na gołych deskach. Nie było zupełnie naczyń. Gdy dawali zupę, nie było jej w co wziąć. Współwięźniowie zrobili nam kociołki z puszek. Najgorsze jednak były te kobiety, które od dziecka były prostytutkami. Miały zezwierzęcone twarze. Siedziały za różne kradzieże. Były *bezprizorne* – od dziecka nie miały domu. Jedna z nich w naszej obecności odrąbała motyką kawałek nosa rosyjskiej zakonnicy. Były bardzo ordynarne. Bardzo się bały tych swoich obozowych „mężów”. Oczywiście trzymałyśmy się od nich jak najdalej, ale były takie dwie Ukrainki, które od razu się z nimi stowarzyszyły.

Obóz był ogrodzony, z wieżyczkami strażniczymi. Były też psy. Bardzo źle chodziłam z powodu wrzodów na nogach. W cegielni pracował były sowiecki admirał. Dał mi lżejszą pracę – przesypywanie, suszenie piasku. Kiedyś zobaczył to kierownik obozu, enkawudzista – akurat przesypywałam piasek – i powiedział do tego admirała: – Co ty taką młodą pełnowartościową siłę roboczą do takiej pracy dałeś i uderzył go w głowę. Ten admirał był chory. To on powiedział nam o amnestii i dodał: – Jak będziecie na wolności, to powiedzcie wszystkim, że prawdziwi komuniści sowieccy, tacy jak ja, umierają na gruźlicę w obozach.

Kiedyś zasnąłam w czasie pracy w południe. Jak się obudziłam otaczały mnie psy obozowe, już mnie szukano. Poprowadzono mnie do komendanta obozu jako podejrzaną o

probę ucieczki ale wtedy *stretok*, który mnie przyprowadził, powiedział: Patrzcie na jej nogi, jak ona mogłaby na takich spuchniętych nogach uciekać. I nie ukarano mnie.

W obozie była izba chorych, pracowała tam lekarka Niemka z Niemców nadwożańskich. Ona mi chyba uratowała życie. Miałam całą twarz we wrzodach i zrobiło jej się mnie żal, leczyła mnie i wzięła mnie do tego szpitalika do pracy jako sanitariuszkę. Pracowałam tam parę dni i sama zachorowałam na krwawą dezynterię. Wtedy ona poszła dwanaście kilometrów do sąsiedniego obozu i przyniosła jakiś zastrzyk. Nie wiem, co to było. Zrobiła mi ten zastrzyk w brzuch, dostałam jeszcze wyższej temperatury, nastąpił kryzys i wyzdrowiałam. Byłam bardzo słaba. Jak wyczytywali nas po umowie Sikorski–Stalin kto wychodzi na wolność, to wydawało mi się, że nie wyjdę, że umrę.



Przed wyjściem do pracy odbywała się zbiórka. Grali piosenki i odliczali nas – ile osób wychodzi poza obóz. Czasami czytali wtedy komunikaty. W czasie jednej z takich zbiórek dostałam niespodziewanie skórzane sznurowane buty – skarb. Byłam bardzo zdziwiona, ale ktoś powiedział, że to dla mnie, że mam je sobie zabrać. Kiedy po pracy wróciłam do obozu, czekał na mnie magazynier, także więzień, z zawodu księgowy, z Moskwy. Dostał pięć lat, siedział już trzy. Zaprosił mnie do magazynu, gdzie miał pokoik. To był magazyn odzieżowy, bardzo źle zaopatrzony, ale trochę rzeczy tam było.

Posadził mnie przy stole, a na nim: tłusty śledź, kawałki cukru odrąbane z głowy cukru, chleb. To były wspaniałości. Dostawał je od bogatych funkcjonariuszy obozowych, takich jak kucharz czy *chleborez* za to, że dawał im coś z ubrania. Odpłacali mu się takimi skarbami, których zwykły więzień nie widział na oczy. Częstoował mnie tymi smakołykami i jednocześnie mi się oświadczył. Mówił, że się zakochał we mnie, że niedługo wyjdzie na wolność, że mnie wyreklamuje z obozu, bo ma duże znajomości w Moskwie. Słuchałam i starałam się w tym czasie jak najwięcej zjeść i nie odpowiadałam, bo wiedziałam, że gdy on skończy mówić, to ja będę musiała mu

powiedzieć, że nie zostanę jego żoną. Wreszcie skończył i powiedziałam mu, że nie mogę wyjść za niego za mąż, że mam narzeczonego w Polsce. Tu zaczęłam zdejmować buty z nóg. Wspaniałomyślnie zaprotestował, powiedział, żebym zatrzymała te buty, że może się jeszcze namyśle. Nigdy mnie potem nie napastował. To był naprawdę porządny człowiek. Pewno siedział tak samo niewinnie, jak my.

Tego dnia, kiedy zaczęto wypuszczać pierwszych zwolnionych, jeszcze nie wyszłam, bo po przebytej dezynтерии byłam za słaba. Wyszłam tydzień później. W fufajce miałam zaszyte listy osób z łagru do ich bliskich. Oddałam te listy potem w ambasadzie w Kujbyszewie, by rozeszła je do adresatów. Najpierw musiałam znów przebyć obóz *peresylnyj* „Plisiecka”, ten sam, w którym już byłam, zanim skierowano mnie do obozu inwalidzkiego. Tam lekarz nie zezwolił mi na dalszą drogę, powiedział, że zanim bym gdziekolwiek doszła, umarłabym po drodze i zatrzymał mnie w szpitaliku. Byłam nie tylko schorowana, ale i straszliwie wychudzona. W obozie *peresylnym* przebywałam około dwa tygodnie. Spotkało mnie tam wstrząsające przeżycie. Do szpitalika przyszła młoda dziewczętnastoletnia Rosjanka, która miała rodzić. Skazana została za to, że w kołchozie w którym pracowała, spłonął stóg siana, a ją posądzono o niedopilnowanie. W łagrze poznała jakiegoś Kałmuka i z nim zaszła w ciążę. Odsunęły się od niej wszystkie Rosjanki, ponieważ panowały tam silne uprzedzenia rasowe. Lekarka poleciła mi, by ją przywołać, gdy rodząca będzie potrzebowała pomocy lekarskiej. Nigdy dotąd nie asystowałam przy porodzie i nie wiedziałam, kiedy następuje ten moment, w którym lekarz musi pomóc rodzącej. Co jakiś czas biegałam do lekarki i prosiłam ją, żeby już przyszła. Przychodziła i wymyślała mi za to, że niepotrzebnie wzywam ją za wcześnie. Rodząca wrzeszczała i „chodziła po ścianie z bólu”. To było dla mnie ogromne przeżycie, to uczestniczenie w porodzie i w sytuacji, w której rodząca nie miała właściwie – poza ostatnim momentem – żadnej pomocy.

Po zwolnieniu można było wziąć skierowanie do dowolnej miejscowości. Żoną jednego ze *strietkow* była Polka, doradziła mi ona, żeby brać skierowanie do Kujbyszewa, bo tam są polskie władze. Ze skierowaniem dostawało się też pie-

niądze na bilet kolejowy do tego miejsca. Ja też te pieniądze dostałam, ale byłam tak wygłodzona, że od razu wydałam je na jedzenie. Kupiłam w pobliskim miasteczku na targu dwadzieścia jajek ugotowanych na twardo i zjadłam je. Nie wiem, jakim cudem nie dostałam skrętu kiszki. Pojechałam na gapę. Do pociągu trudno było się dostać, tłumy ludzi czekały. Wreszcie jakoś dostałam się i dojechałam do Kujbyszewa, gdzie była ambasada polska. W wielkich korytarzach ambasady koczowały tłumy ludzi, którzy tak jak ja zjechali tu z różnych łagrów, zsyłek. W ambasadzie prosiłam, by pomogli mi dostać się do wojska, ale odpowiedziano mi, że kobiet do wojska już nie przyjmują. Mężczyzn też niewielu przyjmowali, bo podobno kontyngent został już wyczerpany.

Większość ludzi, którzy przyjechali do Kujbyszewa po ratunek, była przez Rosjan rozsyłana po kołchozach. Tam obiecywano nam jakiś dach nad głową i jedzenie. Rosjanie łądowali nas w pociągi i wysyłali w rejon Uzbekistanu. Więcej było ludzi z zsyłki niż z łagrów. Wozili nas do różnych miejsc. Były to tragiczne transporty. Nie było jedzenia, każdy musiał kombinować, jak mógł (jesień 1941). Podróż trwała długo, wśród małych dzieci panowała epidemia odry. Bardzo dużo ich chorowało, część tych dzieci zmarła. Nie było im co dać jeść, nie było jak, i czym, ich leczyć. Ze mną w tym samym transporcie jechała kobieta, która uratowała swoje dziecko tylko dlatego, że karmiła je piersią, mimo że miało już ponad rok. Ja też nie miałam pieniędzy, ani jedzenia, zupełnie nic. Miałam do sprzedania tylko te buty, które dostałam od księgowego w łagrze. Sprzedawałam je za woreczek sucharów.

Można było wysiadać z pociągu, ale ludzie nie uciekali, bo dokąd? W czasie jednego z postojów zobaczyłam na drzewie orzeszki. Były bardzo smaczne. Napchałam nimi kieszenie ale gdy je zjadłam, myślałam, że umrę, bo okazało się, że to były orzeszki z drzewa rycynowego. Strasznie się pochorowałam. W czasie tego transportu poznałam rodzinę Kasprzyckich z Kresów – małżeństwo z córką i synem. Pan Kasprzycki był sierżantem. Zaopiekowali się mną, byli z zsyłki, mieli ze sobą trochę kaszy i mąki, podkarmiali mnie.

Wreszcie dotarłam do kołchozu, nazwy nie pamiętam. Był to Uzbekistan w rejonie miasta Osz. Poprzydzielali nas

do różnych chałup, ja dostałam się do pary staruszków, którzy mieszkali z wnukiem. Miał na imię Kim-San-Baj. Był to miły, ładny, ośmioletni chłopczyk. Ta rodzina uzbecka mieszkała w jednoizbowej chałupie, mnie umieścili w stajence osła. Spałam na czymś, co wydawało mi się stołem, a było żłobem osła. O świcie osioł, który był przyzwyczajony dostawać z rana jeść, podważał pyskiem skobel, wracał do stajenki i stawał nad żłobem chrząkając wymownie. Tak budził mnie dzień.

Uzbecy odnosili się do mnie serdecznie i w miarę możliwości dawali mi coś do zjedzenia, ale sami cierpieli głód. Mały Kim przynosił mi codziennie z rana wodę w *czagunce* (litrowy dzbanek) do mycia. Dobrze to wspominam.

Moją pracą było ścinanie suchych krzaków bawełny przeznaczonych na opał. Wiązało się ją w wiązki, przytraczało do pleców i tak maszerowałam do chałupy. Musiałam przechodzić przez rowy melioracyjne. Jeden z nich był głęboki, prowadziła nad nim kładka. Bardzo się tego przechodzenia bałam, bo wiązka obsuwała się z pleców i traciłam równowagę, myślałam, że spadnę. Ale nie było innego przejścia.

Chałupy były kurne, bardzo prymitywne. Siedziało się przy niskim stole, nakrytym kołdrą z bawełny. Pod spodem w podłodze był dołek, do którego kładziono żar, żeby grzać nogi. Drzwi były stale otwarte, żeby uchodził dym.

Moi gospodarze żywili się *lepioskami* (plackami) z mąki. Polacy dostawali za pracę 200 g mąki dziennie, wystarczało to na zabełtanie zupy. Kiedyś staruszkowie poszli do pracy, a mnie zostawili z krową, która miała rodzić, ale zastrzegli, żeby nie wołać ich za wcześnie, bo im szkoda dniówki. Oczywiście, nie wiedziałam, kiedy ich wezwać i w rezultacie wezwałam ich za późno. Cielak urodził się nieprawidłowo i krowa zdechła. Bałam się, żeby mnie nie posądzali, że rzuciłam urok, bo to byli bardzo prymitywni ludzie, albo żeby mnie nie oskarżali, że za późno ich zawołałam. Ale oni mnie nie posądzali, ani nie winili. Było to właściwie dla mnie szczęśliwe wydarzenie, bo oni później jedli wołowinę, a mnie dawali kości do ogryzienia. Rzucali je jak psu. Ale oni w takim zachowaniu nie widzieli niczego złego, ani obraźliwego. Byli to porządni ludzie, tylko bardzo prości. Bardzo ciężko żyło się w tym kołchozie. Któregoś dnia przyjechali do mnie państwo Kasprzyccy, którzy

przebywali niedaleko, w sowchozie. Wzięli mnie tam. Było o tyle lepiej, że w sowchozie była stołówka, w której można było się żywić. Ja nie dostawałam jedzenia, bo nie pracowałam, zostałam zapisana jako krewna jednego sierżanta z Polski. On dostawał przydział i dzielił się ze mną.

Przyszła wiadomość, że wszyscy mężczyźni mają jechać do wojska. Zrobiono zbiórkę, zebrało się kilkudziesięciu mężczyzn ale kobiet nie chciano zabrać. Powiedziałam, że muszę się dostać do wojska, ale nie chcieli mnie wziąć na samochód, który jechał do Osz, by zawieźć mężczyzn. Biegłam za samochodem i miałam szczęście, bo samochód zatrzymało na drodze stado owiec. Wtedy mężczyźni wciągnęli mnie na platformę i pojechałam.

W budynku, gdzie była komisja wojskowa, rząd nagich mężczyzn czekał na badania lekarskie. Kiedy major mnie zobaczył, wstał, podszedł do mnie, a ja powiedziałam: – Panie majorze, ja chcę się dostać do wojska! Odpowiedział: – Może jednak wyjdziemy z tego pokoju, będzie pani może przyjemniej rozmawiać gdzie indziej. Wyszliśmy, powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale ma rozkaz, żeby kobiet nie przyjmować, kontyngent już został wyczerpany.

Po tej komisji mężczyźni z „mojego” sowchozu zostali wciągnięci na listę do wojska, dostali po bochenku chleba, a ja nie. Ale gdy nadjechał pociąg, do którego wsiedli, ja też wsiadłam. Obiecali mi, że będą się starali wziąć mnie ze sobą. Mieli zbiorcze bilety. Umieścili mnie na trzecim piętrze w przedziale i przykrywali ciuchami, jak przychodził kontroler.

Podróż trwała bardzo długo, bo jechaliśmy z Osz do Jangi Julu. Pewnego razu przyszedł do wagonu podchorąży Bulsiewicz w angielskim mundurze. Zobaczył mnie, wdał się w rozmowę. Powiedziałam mu, że chcę się dostać do wojska ale nie wiem, jak to zrobić. Wtedy powiedział mi, że w tym samym pociągu jedzie generał Boruta-Spiechowicz i poradził mi, żeby na postoju pobiec do wagonu-salonki i poprosić go o pomoc.

Tak się stało. Rzeczywiście, na którejś stacji wybiegłam i poszukałam opisanego mi przez podchorążego Bulsiewicza wagonu-salonki. Konduktorka nie chciała mnie wpuścić, ale odepchnęłam ją i dotarłam do przedziału generała.

Generał Boruta-Spiechowicz wyszedł do mnie. Wyglądał

świetnie, ubrany w elegancki mundur, już odkarmiony po zwolnieniu z więzienia; był to przystojny mężczyzna. Zaprosił mnie do przedziału. Nie chciałam wejść, czułam się skrępowana – w tym pociągu nie mogliśmy się myć. Powiedziałam generałowi, że obawiam się, że mogę mieć wszy. Odpowiedział mi, że jak siedział w Butyrkach też miał wszy i że się tego nie boi. Weszłam do środka. Powiedziałam mu, że chcę się dostać do wojska. Generał zapytał mnie o moją historię, ale powiedział, że zanim mu opowiem, muszę coś zjeść. Wyjął konserwy, które miał jeszcze z czasów wizyty generała Sikorskiego w Moskwie, częstował mnie, wydzielając po trochu, żebym jadła powoli, żeby nie spowodować skrętu kiszki. Generał wysłuchał mojej opowieści i obiecał pomóc.

Jechaliśmy jeszcze parę dni, a mnie nie przyszło do głowy powiedzieć generałowi, że nie mam biletu i że w każdej chwili mogą mnie wyrzucić z tego pociągu. Codziennie w południe przychodził adiutant generała rotmistrz Sumowski albo podchorąży Bulsiewicz i prosili mnie na obiad do generała. Tak dojechalśmy do Jangi Julu.

W Jangi Julu nasza droga przez miasto wyglądała tak: generał Boruta-Spiechowicz i jego adiutanci w mundurach, eleganccy, i obok nich ja – w łapciach z łyka, w fufajce jeszcze z łągru, na nogach trzy pary pończoch, każda innego koloru, założone jedna na drugą, bo miały dziury w różnych miejscach: szara, beżowa i brązowa. Szłam z tymi eleganckimi paniami do sztabu, a po drodze mijaliśmy innych żołnierzy. Generał był bardzo lubiany, wszyscy, którzy mu salutowali, uśmiechali się przy tym.

W sztabie generał odesłał mnie do budynku, w którym spały ochotniczki. Umyłam się i już miałam się położyć spać, gdy przychodzi rotmistrz Sumowski i prosi mnie do generała. Generał zaprosił mnie do kasyna oficerskiego, gdzie byli sami oficerowie i ja, tak ubrana, jak w podróży. Generał powiedział, że jako jedyna w towarzystwie kobieta mam pełnić honory gospodyni domu – a ja zapomniałam jak się je nożem i widelcem; w łągrze jadłam drewnianą łyżką. Byłam okropnie zażenowana. Generałowi chodziło o to, by moim widokiem przypomnieć oficerom, w jakiej sytuacji są polskie kobiety w Związku Sowieckim.

Potem skierował mnie do Bronisławy Wysłouchowej, komendantki Pomocniczej Służby Kobiet. Nazywano nas wtedy *pestkami*. Jej też opowiedziałam swoją historię, na co zareagowała dość bezmyślnie mówiąc: – Myśmy panią wzięli z nędzy, niech nam pani teraz nie zrobi wstydu – czym mnie bardzo uraziła.

Przydzielono mnie do Guzaru. Był to obóz przejściowy dla żołnierzy polskich, był tam również obóz kobiecy. Mieścił się na wzgórzach w namiotach, w bardzo kiepskich warunkach. Bardzo dużo kobiet chorowało na biegunkę po tych łagrach, a doły, przeznaczone na ubikacje, znajdowały się daleko od obozu. Droga do nich była usłana ekstrementami, bo chore nie zawsze zdążyły dojść do tych dołów. Codziennie na apelu zgłaszałam się do sprzątania tej drogi i dołów. Byłam taka szczęśliwa, że przyjęto mnie do wojska, że chciałam wszystko robić, żeby tylko wyrazić swoją wdzięczność.

W Guzarze wśród żołnierzy polskich panowała epidemia tyfusu brzuszego. Był tam szpital, a przed nim codziennie leżały ułożone w trzech rzędach zwłoki tych, którzy umarli w nocy. Ładowano je na wóz i grzebano we wspólnej mogile.

Wśród kobiet śmiertelność była mniejsza. Któregoś dnia przyjechał porucznik z komendy obozu męskiego i wybierał spośród ochotniczek kandydatki na instruktorski kurs szoferski. Wybrał i mnie. Dziewczyny, które przyszły z Buzułuku, były w mundurach i wyglądały przyzwoicie, a ja ciągle w łagiernej fufajce i kołchożnej spódnicy na gumce.

W obozie tym dostawałyśmy chleb i supę, nie byłyśmy głodne. Razem ze mną, na kurs szoferski chodziły: Janina Ziółkowska, która przyszła z Buzułuku, Hanka Dąbrowska, bratanica generała Dąbrowskiego, Irena Harasymowicz, Irena Kudzewicz, która była ze mną w łagrze inwalidzkim. Na kursie uczyłyśmy się teorii, bo nie było samochodów. Codziennie były wspólne modlitwy, rano i wieczorem, na zbiórkach były odczytywane rozkazy i była musztra. Ochotniczki, które były na kursie szoferskim, nie miały musztry. W wyglądzie zewnętrznym były ogromne różnice. Te kobiety, które przyszły z Buzułuku, gdzie poprzednio mieścił się sztab wojska, miały mundury i prezentowały się bardzo dobrze, natomiast my, przybyłe z innych miejsc, byłyśmy w

łachmanach. Spałyśmy na ziemi. Teren był błotnisty, szło ku zimie, było zimno w namiotach, które często zawały się, bo nie umiałyśmy ich stawiać.

Wreszcie któregoś dnia na zbiorce komendantka Przystajko, która dowodziła nami po Bronisławie Wyślouchowej, oznajmiła nam, że nazajutrz będziemy ewakuowane ze Związku Sowieckiego do Persji. Te, które nie posiadały mundurów, miały je dostać. Oczywiście strasznie się ucieszyłam. Ale przed otrzymaniem mundurów zrobiono przegląd higieniczny i znaleziono u mnie wesz, po czym komendantka oświadczyła, że nie dostanę munduru, bo jestem zawszona. To był dla mnie szczyt rozpaczy, ale w końcu jednak dostałam mundur.

Trochę wcześniej, jeszcze gdy chodziłam na kurs szoferski, komendantka Przystajko zapytała mnie kiedyś, czy nie mam kogoś znajomego w V Dywizji (była to jedyna polska dywizja w ZSSR, która miała broń, a dowodził nią gen. Boruta-Spiechowicz). Powiedziała, że mam rozkaz wyjazdu do tej dywizji, ale to musi być omyłka. Wtedy uprzytomniłam sobie, że przecież znam generała i powiedziałam o tym komendantce. Ogromnie się zdziwiła.

Nie pojechałam jednak do V Dywizji, bo już nas ewakuowano do Persji. Dojechaliśmy do Krasnowodska. Tam trzeba było daleko iść plażą do statków, które miały nas zawieźć do Pahlevi. Irena Kudzewicz miała ze sobą woreczek z mąką, bo, mimo że wiedziała, że wyjeżdżamy ze Związku Sowieckiego, nie wierzyła, że będziemy miały dość jedzenia. Miała tej mąki z pięć kilogramów i niosła ją na plecach. Była bardzo słaba i pomagałam jej nieść. Drugą osobą, która też jej pomagała, była poetka Beata Obertyńska.

W Teheranie opiekowałyśmy się ludnością cywilną, wśród której była ogromna śmiertelność; ludzie umierali na tyfus i na malarię.

Stamtąd przejechałyśmy przez pustynię do Palestyny. Zaczynał się inny rozdział mojej historii wojennej. W Teheranie, w armii generała Andersa spotkałam podporucznika, znajomego z obrony Warszawy, zakochałam się i zaręczyłam. Dalsze losy są wspólne.

Alicja DMUCHOWSKA

KSIĄŻKI

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Na moim biurku zbierają się książki historyczne przesyłane przez przyjaciół lub zawodowych kolegów z kraju. Jest ich więcej niż mogę uważnie przestudiować. Tak więc czytam części, które mnie specjalnie interesują i staram się wyrobić sobie ogólny pogląd na charakter i zalety danego dzieła. Liczę, że do tych książek wrócę, a na razie włączam je do mej prywatnej biblioteki i wdzięczny jestem ofiarodawcom, że dzięki nim mogę trzymać rękę na pulsie bieżących wydawnictw, a przynajmniej niektórych z nich.

Zacznijmy od tytułów wznowionych. Dobrze się stało, że ukazała się na nowo i to bardzo porządnie wydana przez Editions Spotkania, ze wstępem i przypisami J. M. Nowakowskiego, książka Kajetana Morawskiego, „Tamten brzeg: wspomnienia i szkice”. Jeden z najwybitniejszych polskich dyplomatów, człowiek o wielkiej kulturze i talentach pisarskich, Morawski wydał tę książkę w 1960 roku. Nakład był chyba mały i nie dotarł do wielu osób i bibliotek. Wznowiony po trzydziestu sześciu latach, niewielki objętościowo tom stanowi nadal wciąż aktualną i interesującą lekturę.

Do literatury pamiętnikarskiej zaliczyć należy „Moje wspomnienia” Konstantego Skirmunta, wydane w Rzeszowie w 1997 r. ze wstępem i w opracowaniu Ewy Orlof i Andrzeja Pasternaka. Sygnalizowałem to wydawnictwo chyba już

uprzednio w *Zeszytach*. Obecnie, po gruntownym przeczytaniu tego tomiku muszę z żalem stwierdzić – z żalem, bo Skirmunta uważam za bardzo wybitnego ministra spraw zagranicznych – że wspomnienia te nie wnoszą zbyt wiele nowego. Tym bardziej więc należy ubolewać nad tym, że ich oryginalna wersja, zniszczona podczas wojny, a oparta na dokumentach, nie przetrwała do naszych czasów. Odtworzenie jej przez bardzo już podeszłego w latach Skirmunta nie rekompensuje tej straty.

Na wprost pamiętnikarskie jest nieduże opracowanie, właściwie raport, Tadeusza Kiersnowskiego pt. „Moje spostrzeżenia o Rosji Sowieckiej 1940-1942”, które ujrzały światło dzienne dopiero w zeszłym roku: Warszawa, 1997. Wiele tu cennych obserwacji i uwag, stanowiących przyczynek do tych lat spędzonych na „niehumanitarnej ziemi”.

Tom „Od Mochackiego do Piłsudskiego: sylwetki polityczne XIX wieku” (Warszawa, 1997) pióra Marcina Króla i Wojciecha Karpińskiego ukazał się w pełnej krasie, bez obciążenia cenzury, które 25 lat temu pozbawiły czytelników szeregu ważnych części i samego tytułu. Dzieło to napisane przez dwóch bardzo młodych autorów było już wtedy pewnym ewenementem, jak to podkreślał w swej przedmowie Henryk Wereszycki. Obaj autorzy, zajmujący dziś sami poważne miejsce w myśli politycznej, zarysowują ówczesne tło książki w interesującym posłowniu, zaś studium polskiej myśli politycznej na przestrzeni XIX i pierwszej połowy XX wieku, przedstawione w odniesieniu do rzeczywistego przebiegu dziejów jest pod wielu względami frapujące.

Do podobnej dziedziny należą następne, bardzo różne od siebie dwie książki. Pierwsza z nich pióra utalentowanego historyka, którego nazwisko figurowało w moich poprzednich omówieniach, Andrzeja Nowaka, nosi tytuł „Polacy, Rosjanie i biesy” (Kraków, 1998) i zawiera zbiór ciekawych i stymulujących studiów i szkiców. Książka składa się z pięciu części zatytułowanych: „Dziedzictwo Katarzyny”; „Wpływy rosyjskie na duszę polską”; „Między Leninem a Piłsudskim”; „Biesy 1917 roku” i wreszcie „Lekcje historii”. Znajdujemy tu m.in. interesujące rozważania natury historiograficznej – zwłaszcza na kanwie dzieł Pipesa – oraz w piątej części esej „Rosja w

polskiej myśli politycznej w XX wieku – materiał do refleksji”. Wszystko to pisane ze znanstwem i pasją publicysty.

Druga książka składa się z materiałów z konferencji naukowej opracowanych przez Chantal Delsol i Michela Maslowskiego i nosi tytuł „Histoire des idées politiques de l'Europe centrale” (Paryż, 1998). Czegóż tu nie ma w przeszło czterdziestu referatach podzielonych chronologicznie na cztery części: Tradycje średniowieczne od początków do XV w.; Swobody polityczne XVI-XVII w.; Kwestia tożsamości w XVIII i XIX w. i Wielkie prądy nowoczesne XIX i XX wieku. Wśród autorów polskich, francuskich, czeskich, węgierskich, ukraińskich znajdujemy nazwiska najwybitniejszych znawców tematu: prawdziwe *who's who* autorytetów. Opasły tom liczy ponad 600 stron, a jego ciężar gatunkowy odpowiada wadze. Konkuruje z nim tak objętością (ponad 500 stron) jak i znaczeniem, choć obejmuje węższy temat, wydane pod redakcją Samuela Fiszmana dzieło „Constitutional Reform in Eighteenth-Century Poland: The Constitution of 3 May 1791” (Bloomington, Ind., 1997). Zawiera on również materiały z konferencji naukowej – poświęconej rocznicy 3 Maja – pióra autorów polskich, amerykańskich i jednego niemieckiego (Jörga Hoenscha). Poczynając od referatu Normana Daviesa o 3 maju a kończąc na próbie porównania rewolucji 1788-92 z rewolucją 1980-90 Piotra Wandycza, ponad dwudziestu autorów omawia różne aspekty Konstytucji 3 maja w szerokim kontekście politycznym, konstytucyjnym, gospodarczym, międzynarodowym, kulturalnym i wychowawczym. Wśród nich figurują tacy znawcy jak A. Sucheni-Grabowska, J.A. Gierowski, J. Michalski, J. Bardach, A. Ajnenkiel, czy A. Walicki. Wyliczenie wszystkich nazwisk zajęłoby zbyt wiele miejsca. Szata graficzna tomu jest niezwykle staranna, a samo dzieło wraz z ilustracjami jest imponujące. Zawdzięcza ono to wszystko niestrudzonemu wysiłkom inicjatora i *spiritus movens* konferencji i redaktora tomu prof. Fiszmana.

Zawsze bliska memu sercu historia dyplomatyczna wzbogaciła się o szereg nowych opracowań, z których wymienię tutaj cztery. Pod redakcją Marka Baumgarta, który niestety nie dożył ukazania się tego tomu, ukazał się zbiór materiałów

z konferencji, która miała miejsce w 1995 r. w Szczecinie, pt. „Locarno z perspektywy siedemdziesięciu lat”, Szczecin, 1998. Zapewne na temat Locarno trudno jest powiedzieć coś nowego i odkrywczego, ale myśl przeanalizowania różnych aspektów tej arcyważnej konferencji, była słuszną i celową. Tym bardziej, iż z perspektywy przeszło pół wieku możemy patrzeć na Locarno bez emocjonalnego zaangażowania tak charakterystycznego i *pour cause* dla wielu Polaków i to przez wiele lat. Wśród autorów referatów znajdują się dwaj uczeni niemieccy (Ralp Schattkowsky i Wilhelm Kreutz) oraz liczni specjaliści polscy od dziejów dyplomacji. Poza redaktorem, którego poprzednie publikacje dotyczyły spraw niemieckich i brytyjskich i który poświęca swój referat Wielkiej Brytanii, widzimy tu nazwiska wielu innych historyków znanych i cennych dzieł, którzy wnoszą tu doświadczenie swego dorobku w danej dziedzinie. Nie zdziwimy się więc iż Henryk Bułhak na przykład zajmuje się Locarnem pod kątem sojuszu polsko-francuskiego, Andrzej Essen (autor niedawnej pracy o Małej Entencie) pisze o Czechosłowacji, a Andrzej Skrzypek o Sowietach. Wśród prac mniej znanych (przynajmniej niżej podpisanemu) historyków figurują interesujące przyczynki o polityce amerykańskiej, rozbrojeniu, Lidze Narodów, czy poglądach polskich ugrupowań politycznych.

Następna praca zbiorowa o tematyce dyplomatycznej to „Z dziejów Europy środkowej w XX wieku: studia ofiarowane Henrykowi Batowskiemu w 90-tą rocznicę urodzin” (Kraków, 1997). Wśród autorów poszczególnych referatów znajdujemy tak specjalistów polskich z kraju i z USA (J. Buszko, A. Cienciąła, E. Cziomer, E. Duraczyński, J. Kozeński, P. Łossowski, A. Mania, W. Michowicz, E. Orlof, J. Pajewski, M. Pułaski, I. Stawowy-Kawka, P. Wandycz, M. Zgórniak), jak i zagranicznych: Bernard Michel i Suzanne Champonnois z Paryża, Hans-Adolf Jacobsen z Bonn, Jaroslav Valenta z Pragi, Dušan Biber z Lublany. Jak zwykle w tego rodzaju publikacjach, poziom artykułów jest nierówny, a ich charakter waha się pomiędzy szerszą a większą i bardziej przyczynkową tematyką. Niemniej sporo tu interesującego materiału.

Trzecia referowana tu praca składająca się z referatów na konferencję międzynarodową (a druga w języku francuskim)

to: „La France et l'Europe centrale en 1867-1914. Impacts et images réciproques” (wydana jako numer specjalny *Slovanské štúdie*, Bratislava, 1995) pod redakcją Bogumily Ferenčuhovej – historyka słowackiego.

Zupełnie inny charakter ma ostatnia wreszcie książka o tematyce dyplomatycznej. Jest to *opus magnum* czołowego obecnie w kraju historyka stosunków międzynarodowych a jednocześnie specjalisty w sprawach polsko-litewskich Piotra Łossowskiego. Tom jest zatytułowany „Stosunki polsko-litewskie 1921-1939 (Łowicz, 1997), opiera się na imponującej bazie źródłowej tak polskiej jak litewskiej i może być uważany za ostatnie słowo (jeśli coś takiego istnieje w historiografii) w tej dziedzinie. Autor, laureat m.in. Nagrody Instytutu Józefa Piłsudskiego, może traktować ten tom jako godne zakończenie swej profesorskiej kariery, choć na szczęście emerytura w Polsce na wyższych uczelniach czy w PAN-ie nie oznacza absolutnie wycofania się z życia naukowego, nawet z dydaktyki.

Na granicy historii i politologii jest interesujący zbiór materiałów z konferencji, która odbyła się dwa lata temu na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku: „State and Nation Building in East Central Europe”, pod red. Johna S. Micgiela (New York, 1996). Nie sygnalizowałem jej w mych wcześniejszych przeglądach a zasługuje na to. Poszczególne jej części dotyczą takich tematów jak historia i tożsamość narodowa; dyskurs, tożsamość i polityka; budowanie państwa i narodu w kontekście węgierskim; federalizm; Bałkany; Ukraina.

Krótką wzmianka należy się tomikowi pt. „Historiografia krajów Europy Środkowowschodniej” pod red. Jerzego Kłoczowskiego i Pawła Krasa (Lublin, 1997), który zawiera sześć artykułów na ten temat: Polski (Wandycz), Czechosłowacji (Kořalka), Węgier (Deák), Jugosławii (Banac) i Bułgarii (Teodorova) przetłumaczonych z angielskiego. Ukazały się one pierwotnie w 1992 r. w numerze *American Historical Review* i chyba warto było zapoznać z nimi polskiego czytelnika. Skoro mowa o prof. Kłoczowskim nie sposób nie odnotować książki jubileuszowej „Historia peritus” (Lublin 1998) wydanej ku jego czci. Abstrahując od niezwykle bogatej i różnorodnej treści artykułów, które składają się na te dwa tomy, jest to największa

objętościowo i chyba najwspanialej wydana księga jubileuszowa jaką kiedykolwiek widziałem.

Do *genru* popularno-naukowych syntez, ale utrzymanych na wysokim poziomie naukowym – co sprawia, że słowo popularny może tu być nawet mylące – należy nieduży tom pióra czterech wybitnych historyków: Henryka Samsonowicza, Antoniego Maczka, Andrzeja Szwarca i Jerzego Tomaszewskiego pt. „Od plemion do Rzeczypospolitej: Naród, państwo, terytorium w dziejach Polski” (Warszawa, 1996). Kolejni autorzy piszą o średniowieczu, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, okresie zaborów i niepodległym dwudziestoleciu i robią to w sposób niebanalny i pobudzający do myślenia. Jeśli mamy brać poważnie alarmy na temat odwrotu młodszeo pokolenia w Polsce od historii, to książki tego typu są ze wszech miar potrzebne i pozytywne.

Ostatni z wyżej wymienionych autorów Jerzy Tomaszewski, doskonały znawca tak historii gospodarczej jak i tematyki czechosłowackiej, opublikował w serii „Historia Państw Świata w XX wieku”, tom pt. „Czechosłowacja” (Warszawa, 1997). W przejrzystym i ogólnie biorąc zbalansowanym i obiektywnym wykładzie Tomaszewski dał nam bardzo dobry krótki przegląd dziejów naszego sąsiedniego sąsiada (sąsiadów) od 1918 do 1992 roku. Osobiście chętnie widziałbym nieco więcej na temat polityki zagranicznej Beneša i trochę więcej przypisów z tej dziedziny, ale wynika to zapewne z moich zainteresowań i preferencji. *Nota bene* jedyny drobny bardzo błąd jaki dostrzegłem, to właśnie w tej części książki a mianowicie gdy Tomaszewski cytując F. G. Campbella nazywa go historykiem brytyjskim. Campbell – mój (częściowo) uczeń z Yale to Amerykanin. Ale to oczywiście drobiazg.

Na koniec bardzo cenna pozycja z rzędu źródeł: „Tajne dokumenty Biura Politycznego – PRL-ZSRR 1956-1970” (Londyn, 1998). Wybór i wstęp Jerzego Paczkowskiego, jednego z czołowych obecnie specjalistów od najnowszych dziejów Polski, wicedyrektora Instytutu Spraw Politycznych PAN-u, który to Instytut osobiście uważam za wyjątkowo ważną i zasłużoną placówkę naukowo-badawczą. Tom zawiera kilkadziesiąt dokumentów, poczynając od relacji Go-

mułki z rozmów polsko-sowieckich z 19 października 1956 r. a kończąc na liście Biura Politycznego KPZR do Biura Politycznego KC PZPR z 18 grudnia 1970, wyrażającym niepokój w związku z wydarzeniami na wybrzeżu. Chociaż jeden czy dwa dokumenty (jak na przykład pierwszy) były uprzednio publikowane w periodykach naukowych, dobrze się stało, że zostały włączone do tego zbioru i przez to stały się łatwiej dostępne. W ogóle jest to kopalnia informacji, oddająca, co jest szczególnie istotne, charakter rozmów i ton wypowiedzi towarzyszy sowieckich i polskich. Z ukazaniem się tego tomu otrzymujemy cenny przyczynek do bazy źródłowej do studiów nad dziejami PRL.

Piotr WANDY CZ

Piotr NIWIŃSKI

„PANY I REZUNY”

Kiedy na półkach księgarskich pojawiła się nowa pozycja dotycząca stosunków polsko-ukraińskich w latach 1945-1947, wydawało się, iż będzie to kolejne wydawnictwo z cyklu „arcydzieł” Prusa, przypominające zbrodnie dokonane przez Ukraińską Powstańczą Armię na ludności polskiej. Na szczęście tak nie jest. Jednak już sam tytuł – „Pany i rezuny”* – okazał się zastanawiający. Tym bardziej, iż obok znalazł się także podtytuł – „Współpraca AK-WiN i UPA”. To jakby z góry określiło niecodzienny i nowatorski charakter tej pracy, wydanej w Oficynie Wydawniczej „Volumen”.

Jest to bowiem pozycja dotycząca współpracy wojskowej

* Grzegorz Motyka i Rafał Wnuk: „Pany i rezuny”, Oficyna Wydawnicza „Volumen”.

i politycznej Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz AK-WiN (czyli zarówno Armii Krajowej jak i jej największej kontynuacji – organizacji Wolność i Niezawisłość). Napisana przez młodych historyków, absolwentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zarazem pracowników Instytutu Studiów Politycznych PAN – Grzegorza Motykę i Rafała Wnuka – jest bez wątpienia swoistym przełomem w polskiej historiografii. Ludziom wychowanym na filmie „Ogniomistrz Kaleń” czy książkach typu „Łuny w Bieszczadach” Jana Gerharda bądź „Ślady rysich pazurów” Wandy Żółkiewskiej (a takich jest wielu), wydawać się ona bowiem może sensacją wyssaną z palca. Według autorów wyżej wymienionych „arcydzieł” UPA mordowała ludność polską, a Armia Krajowa tylko jej broniła, tworząc m.in. w tym celu liczne oddziały partyzanckie lub we współpracy z miejscową ludnością, oddziały samoobrony. Twierdzi się więc, że nie powinno być z Ukraińcami żadnej współpracy, a niektórzy posunąć się mogą nawet do oskarżenia o kolaborację, bo przecież Ukraińcy to zbrodniarze, wrogowie narodu polskiego. Dodajmy, iż jest to nader często wypowiedzana opinia, głównie w środowiskach kombatanckich.

Paradygmat o zbrodniczości UPA, a co za tym idzie, wszystkich Ukraińców (obowiązujący w Polsce nawet w dawnych podręcznikach historii) nie jest niestety odosobniony. Podobne teorie istnieją na Ukrainie, gdzie z kolei pokazuje się „ludobójczą twarz Armii Krajowej”. Charakterystyczne jest, iż Ukraińcy piszą o zbrodniach Polaków, a Polacy o zbrodniach UPA, podciągając pod tę formułę nieraz wszelkie tragiczne wydarzenia na wschodzie Polski. Niejednokrotnie oddziały niemieckie, wykorzystywane do tłumienia ruchu partyzanckiego i pacyfikacji terenu, były przez naszych historyków podawane jako przykład zbrodni ukraińskich. Podobnie Ukraińcy pisząc choćby o pacyfikacji Bieszczad obciążają za tę zbrodnię naród polski.

Co najmniej od momentu wejścia na ziemię II Rzeczypospolitej władzy sowieckiej i jej przedstawiciela, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, propaganda komunistyczna rozpoczęła zmasowany atak na UPA, Ukraińców, a wręcz na wszystko co ukraińskie. Był on obliczony na pol-

skie społeczeństwo. Ukazywano Ukraińców jako „rezunów” – okrutnych, fanatycznych i wrogich polskości. Ukazywano także fałszywie – abstrahując od faktycznej odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, które muszą zostać wyjaśnione a odpowiedzialni za nie napiętnowani.

Jednocześnie na terytoriach wcielonych do ZSSR sowiecka propaganda „ukazywała bestialskość wieloletniej okupacji polskiej tych terenów”. „Robotnicza władza” kreowała się jako strona wprowadzająca na te tereny swoiście pojmowaną „sprawiedliwość społeczną”, kończącą władanie „polskich panów”.

Dotychczasowe publikacje obu stron skupiały się głównie na wyliczaniu tego, jakie zbrodnie i kiedy popełnił przeciwnik, bazując przy tym zazwyczaj na źródłach strony poszkodowanej, a więc z natury nieobiektywnych.

Ten stan panował w obu historiografiach przez cały okres istnienia sowieckiego totalitaryzmu. Niestety, istnieje on częściowo i dzisiaj, a jego efektem jest w dalszym ciągu negowanie osiągnięć drugiego narodu. Bolesne, ale i celne jest stwierdzenie autorów: „(...) podczas corocznych obchodów zwycięstwa nad bolszewikami, 15 sierpnia, nikomu nie przychodzi na myśl, aby do współudziału w uroczystościach zaprosić przedstawicieli Ukrainy, której armia walczyła wówczas u polskiego boku (...)”.

Książka „Pany i rezuny” nie jest pracą demaskatorską, ukazującą całokształt historii stosunków polsko-ukraińskich przed, podczas i po II wojnie światowej w innym niż dotąd świetle. Nie to jest jej celem. Pozycja taka wymagałaby bowiem z obu stron wielkiego nakładu pracy i olbrzymiego zespołu ludzi. Jak określa to wyżej wymieniony podtytuł, autorzy zajęli się tylko fragmentem tej historii. Fragmentem niezwykle istotnym, a jednocześnie całkowicie przemilczanym. Jest to jak gdyby sygnał dla historyków obu narodowości, iż czas zapomnieć o dawnych waśniach i dla dobra dwu narodów rozpocząć wspólne badania konfliktu polsko-ukraińskiego.

Praca obejmuje zasadniczo okres trzech lat – od 1945 roku do 1947 roku, dla zaznaczenia tła historycznego cofa się jednak i w czasy wojenne. Terenem zaś przedstawionych ba-

dań są ziemie wschodnie II RP, czyli szeroko pojęte Kresy południowo-wschodnie, Lubelszczyzna i Rzeszowszczyzna.

Książka składa się z 10 rozdziałów, a jej układ sugeruje, iż jest przeznaczona dla szerszego grona odbiorców. Dwa pierwsze rozdziały przybliżają czytelnikowi zarys dziejów obu stron: Armii Krajowej przekształconej następnie w Delegaturę Sił Zbrojnych i jej kontynuacji – organizacji Wolność i Niezawisłość oraz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Dużą wartość ma także dla polskiego odbiorcy przedstawiona krótko w rozdziale drugim historia ukraińskiego ruchu narodowego, zapoczątkowana tutaj w 1929 roku powstaniem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Jest to temat zasadniczo nieznanym przeciętnemu czytelnikowi, a przyznam, iż mnie także niezbyt dobrze, pomimo iż zajmuję się historią najnowszą Kresów. Można się tu dowiedzieć, kiedy powstała UPA, czym różniły się oddziały „bulbowców” od „banderowców”, jakie były programy polityczne i wojskowe różnorodnego przecież podziemia ukraińskiego. Przedstawiona została także walka licznych (w 1944 roku – co najmniej 30 000 żołnierzy) sił UPA zarówno z Niemcami jak i Rosjanami czy wreszcie ze stroną polską.

Temu ostatniemu problemowi poświęcony jest rozdział trzeci, którego zadaniem jest ukazanie podłoża i przebiegu konfliktu polsko-ukraińskiego w latach 1943-1948. Autorzy bynajmniej nie uniewinniają strony ukraińskiej, pokazując przykłady mordów na ludności polskiej, poparte zresztą licznymi cytatami. Z tego podsumowania wynika, iż w planowanej eksterminacji Polaków dużą rolę odegrały oddziały ukraińskiej Służby Bezpieczeństwa, swoiste „bojówki” UPA, prowadzące planową politykę „oczyszczania” tych terenów zgodnie z założeniami ukraińskiego dowództwa. Chciano bowiem zmusić ludność polską do ewakuacji z terenów przyszłego państwa ukraińskiego, ponieważ jedynolitość etniczna tych ziem miała pomóc w akceptacji przyłączenia ich do Ukrainy na przyszłej konferencji pokojowej. Z przedstawionej syntezy widać, jak w pewnym momencie planowe „akcje zastrasżające” wymknęły się spod kontroli i stały się typową wojną „ludową”, z całym bagażem jej okrucieństwa.

Autorzy podają także przykłady polskiego odwetu. Ukazane tutaj mordy, które na ludności ukraińskiej dokonało polskie podziemie, kładą kres tezie o „czystości” naszej walki. Początkowe akcje odwetowe (choćby pacyfikacja przez lwowski Kedyw Chlebowic Świrskich), mające na celu zahamowanie ukraińskich „czystek”, w wielu przypadkach także wymknęły się spod kontroli polskiej konspiracji. I tutaj „(...) założenia i rozkazy dowódców (...) łamała żądza zemsty i odwetu (...)”.

Widocznym błędem tej części książki jest brak rozgraniczenia natężenia popełnianych zbrodni, wskutek czego na wyszczególnionych terenach zamazuje się obraz tych strasznych wydarzeń. Nie wiadomo zbyttnio, gdzie ginęły tysiące niewinnych ludzi, a gdzie skala tragedii była mniejsza. Przydatne byłyby tutaj liczby, choćby szacunkowe, bądź nawet przybliżone dane procentowe. To samo zresztą można zarzucić dalszym etapom pracy. Brak jest czytelnikowi przynajmniej ogólnikowego przybliżenia stopnia, w jakim zawarte porozumienia wpłynęły na zahamowanie walk i rzezi. To wypacza nieco obraz tła historycznego.

Jednak rozdział ten jest tylko wprowadzeniem do dalszej części. Autorzy nie rozstrzygają tutaj stopnia winy, „kto zaczął”, „kto był gorszy”, choć pierwsze odgłosy na temat książki wskazują właśnie na fakt, iż brak wyraźnego potępienia strony ukraińskiej za zbrodnie jest odbierany, szczególnie przez kombatanatów, negatywnie. Jest on wyraźnie tylko rysem historycznym, koniecznym dla lepszego zrozumienia stopnia wrogości obu stron konfliktu, który musiał być przełamany przy próbach porozumienia.

O próbach tych mówią następne rozdziały, które dzielą terytorialnie zakres przedstawianego materiału. Osobno potraktowane są Kresy Wschodnie, południowo-wschodnia Lubelszczyzna, Podlasie i Rzeszowszczyzna. Takie ułożenie rozdziałów jest nieprzypadkowe, gdyż porozumienia pomiędzy AK i UPA miały charakter regionalny, choć nigdy nie zostały formalnie zaakceptowane przez kierownictwa obu organizacji. Traktuje o tym zresztą ostatnia część książki.

Kolejny rozdział, dotyczący prób porozumienia na terenach południowo-wschodnich Kresów, jest pierwszym spo-

śród analogicznych, gdyż właśnie tam miały miejsce zarówno pierwsze ostre konflikty pomiędzy obiema stronami jak i próby zakończenia walk. Tam też wydarzenia przybrały najbardziej tragiczny charakter. Mimo licznych rozmów, prowadzonych głównie z inicjatywy strony polskiej jako atakowanej, które miały na celu nawiązanie stałych porozumień, kończących walki i rzezie, nie ustanowiono żadnej trwałej ugody, choć historycy ukraińscy twierdzą, iż została ona zawarta, jednak nigdy nie weszła w życie. Spośród wielu proponowanych porozumień, udało się jedynie ustalić zasadę wyłączenia z konfliktu lwowskiego świata kultury. Mordowanie uczonych uznano z obu stron za barbarzyństwo.

Historia prób pokojowego rozwiązania konfliktu na tych terenach sięga jednak jeszcze początków wojny. Zarówno strona polska, która widziała te ziemie jako własne po zakończeniu działań wojennych, jak i strona ukraińska, licząca na powstanie Niepodległego i Zjednoczonego Państwa Ukraińskiego, od 1939 roku starały się znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Wielokrotne kontakty obu stron, prowadzone za pośrednictwem grekokatolickiego duchowieństwa, trwały do początków 1944 roku, kiedy to tereny te zajęła Armia Czerwona. Mimo jednak chęci „(...) strony nie miały sobie do zaferowania niczego, co mogłoby być przyjęte (...)”. Zaowocowało to rozpoczęciem, a wkrótce i wzmożeniem walk.

Dopiero wspólne, śmiertelne niebezpieczeństwo totalitaryzmu sowieckiego, zmusiło obie strony do swoistego zawieszenia broni. Nie były to jednak wielkie pakty pomiędzy narodami. Zdaniem autorów, ta dotychczas nie zbadana część wspólnej historii, dotyczyła regionalnych porozumień na szczeblu poszczególnych oddziałów, choć niektóre źródła wskazywałyby na ich szerszy zasięg. Wymaga to jednak dalszej kwerendy. Jednak dla dokładnego zbadania tego problemu potrzeba byłoby dziś pomocy strony ukraińskiej.

Na te niemal bezowocne próby bez wątpienia wpływała wzajemna niechęć i podejrzliwość odnośnie intencji drugiej strony. Istniejąca świadomość wielkich krzywd po obu stronach uniemożliwiała często jakiegokolwiek rozmowy.

Kolejny rozdział, dotyczący porozumień AK-WiN z UPA

na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie, napędza większym optymizmem. Także tutaj pierwsze ważniejsze rozmowy odbyły się po wkroczeniu Armii Czerwonej. Istotną rolę w nawiązaniu porozumień odegrała osoba kpt. Mariana Gołębiewskiego ps. „Ster”, „Irka”. Jako komendant zamojskiego Kedywu prowadził podczas okupacji niemieckiej akcje przeciw Ukraińcom a po wkroczeniu wojsk sowieckich rozpoczął rozmowy z dotychczasowymi wrogami. Pozostawił na boku osobiste urazy, uznał iż ważniejsze od zemsty jest zakończenie przelewu krwi.

Efektem jego starań było spotkanie delegacji obu stron w Rudzie Różanieckiej. Wynikiem tego, najbardziej bodaj znanego porozumienia (utrwalonego nawet na kliszy fotograficznej), stało się ustalenie granic rozdzielania terenów na kontrolowane przez UPA i AK. Charakterystycznym elementem rozmów było ustalenie zasad zabezpieczania się przed prowokacjami drugiej strony bądź komunistycznych organów bezpieczeństwa „(...) w celu uniknięcia podejrzeń o mordowanie ludzi niewinnych, sądenie osób narodowości polskiej na obszarze kontrolowanym przez UPA wymaga konsultacji z komendantami AK i odwrotnie (...)”.

Ciekawą sprawą, ujawnioną przez autorów, było pośrednictwo obu organizacji WiN i UPA w handlu gospodarskimi. Opuszczone domy ukraińskie zajmowane były przez polskie rodziny, które płaciły UPA za możliwość ich przejęcia. Podobnie działo się i w drugą stronę. Takie postawienie sprawy *de facto* zakończyło pogromy ludności cywilnej na terenach objętych porozumieniem. Jednak te regionalne rozmowy dotyczące Chełmszczyzny czy powiatu hrubieszowskiego nigdy nie zyskały akceptacji Komendy Głównej AK (a w zasadzie Delegatury Sił Zbrojnych – takie bowiem obowiązywało nazewnictwo) czy Zarządu Głównego WiN.

Porozumienia AK-WiN z UPA na Podlasiu, o których traktuje rozdział VI, były dużo płytsze niż na wspomnianej wyżej Lubelszczyźnie. Próby kontaktów ograniczyły się zasadniczo do jednego większego i kilku incydentalnych porozumień. Jednakże i tam doszło w efekcie do zawieszenia broni oraz nawiązania słabej, ale zawsze, współpracy. Jej skutki były dość ograniczone i narażone na prowokacje zarówno z jednej

jak i z drugiej strony. Autorzy jednak sami przyznają iż w pełnym opisie tych wydarzeń przeszkodą jest brak źródeł, gdyż większość ludzi biorących udział w tych wydarzeniach już nie żyje, w dokumentach zaś znaleźć można jedynie pośrednie dowody współpracy obu stron. To symptomatyczne, że tak niewiele wiemy o stronie ukraińskiej. Pomimo tego terytorium Podlasia zasługuje, w intencji autorów, na wyróżnienie, gdyż „(...) porozumienie, choć bardzo kruche, trwało (...)”. W jego efekcie doszło także do wspólnych działań zbrojnych, które zostały opisane w dalszej części książki.

Kolejny rozdział dotyczy prób porozumienia pomiędzy AK-WiN i UPA na Rzeszowszczyźnie. Podobnie jak i w poprzednich autorzy przeanalizowali sytuację, w jakiej doszło do spotkań obu stron na tych terytoriach. Niezmiernie ciekawa jest przedstawiona tu postać kapitana armii jugosłowiańskiej Dragana Sotirovicia ps. „Draża”, który po ucieczce z obozu jenieckiego w Rawie Ruskiej przyłączył się do AK. To właśnie z jego inicjatywy, osoby pozbawionej emocjonalnego stosunku do konfliktu polsko-ukraińskiego, doszło także tutaj do porozumienia. Jego specyfiką było w efekcie wyznaczenie nieformalnej granicy dzielącej oddziały polskie od ukraińskich oraz powstrzymanie się przez obie strony od eksterminacyjnej polityki względem ludności cywilnej.

Interesująca jest także, ukazana przez autorów, postawa mieszkańców tych ziem obu narodowości, którzy w obliczu konfliktu chronili się wzajemnie, nie zważając na pochodzenie. Nie była to co prawda postawa powszechna, ale jej liczne przypadki dokumentują tezę, iż waśń polsko-ukraińska na tych terenach nie powstała wyłącznie w wyniku oddolnej inicjatywy. Widać wyraźną inspirację innych, „nieznanych” czynników w kształtowaniu wzajemnych, złych stosunków.

W pracy tej swoje miejsce znalazło też krótkie omówienie stosunku podziemia narodowego do wymienionych wyżej porozumień AK-WiN z UPA. Oddziały narodowe, przechodzące w okresie okupacji niemieckiej kilka rozłamów, połączyły się pod władzą sowiecką, tworząc w zasadzie jednolity front. Istniały co prawda zarówno Narodowe Siły Zbrojne jak i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, jednak ich stosunek, także w kwestii porozumień z Ukraińcami, był jednakowy.

Mimo prób wciągnięcia przez AK podziemia narodowego do lokalnych porozumień z UPA, uznało ono konieczność prowadzenia otwartej walki zbrojnej. Jej efektem było m.in. wymordowanie 6 czerwca 1945 roku mieszkańców wsi Wierzchowiny. Przebieg tej akcji z dużym obiektywizmem został szczegółowo odtworzony przez autorów. Tragedia ta posłużyła następnie propagandzie komunistycznej dla ukazania NSZ-u jako organizacji ludobójczej, zbrodniczej. Stała się jednym z elementów akcji demonizowania postawy tej formacji Polski podziemnej.

Przedostatni rozdział jest najbardziej chyba interesujący. Obok rozdziału dotyczącego struktury i działalności UPA jest bowiem absolutnym *novum* w polskiej historiografii, gdyż dotyczy wspólnie prowadzonych przez UPA i AK-WiN działań zbrojnych. Rozdział ten dodatkowo podzielony jest na trzy części: akcje przeprowadzone, akcje prawdopodobne (o których ciągle niewiele wiemy) i akcje zmyślone dla potrzeb komunistycznej propagandy.

Wśród nich na największą uwagę zasługuje chyba przeprowadzenie wspólnej akcji na Hrubieszów. Inicjatywa wyszła ze strony polskiej. Do czysto militarnego celu (zdobycia powiatowego miasteczka, zniszczenia akt Komisji Wyszedełczej i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego) doszła zapewne ze strony polskiej chęć utrwalenia przez wspólną akcją zawartych na tych terenach porozumień. A może także uwiarygodnienie się w oczach ukraińskich. Udaną w zasadzie akcją, której podstawowe cele zostały zrealizowane, autorzy opisali bardzo sumiennie i szczegółowo. Mizernie wyglądają dziś dawne propagandowe opisy tych walk, w których „reakcyjne podziemie” wspólnie z „ukraińskimi mordercami” poniosło klęskę (jednym z żołnierzy, niezbyt skutecznie broniących Hrubieszowa przed oddziałami polsko-ukraińskimi, był dzisiejszy gen. Wojciech Jaruzelski).

Rozdział ostatni dotyczy stosunku kierownictwa UPA oraz AK-WiN wobec zawartych porozumień. O ile informacje o nich spotkały się w kolejnych komendach WiN-u z chłodnym przyjęciem (komendant Obszaru Centralnego WiN, Józef Rybicki „Maciej” wydał nawet całkowity zakaz współpracy z Ukraińcami), o tyle Główna Komenda UPA

dążyła do porozumienia. W efekcie wydano na początku 1945 roku rozkaz zakazujący mordowania ludności cywilnej, a wobec osób związanych z aparatem komunistycznym nie można było stosować odpowiedzialności zbiorowej. Zakazano także mieszania się do sporów religijnych, częstych na tych terenach. Efektem była wzmożona akcja propagandowa, wydano setki różnych ulotek, przeznaczonych dla Ukraińców i Polaków. Oddźwięk w terenie na zmianę polityki dowództwa ukraińskiego był jednak dość słaby, czego wynikiem były dalsze incydenty zbrojne ze strony lokalnych oddziałów UPA, choć już nie na skalę lat 1943-1944.

Ciekawie opisana jest także działalność emigracyjnych kół polskich i ukraińskich, dążących do porozumienia. Przedstawiony został tutaj zarówno przebieg tworzenia, głównie z inicjatywy polskiej, tzw. klubu federacyjnego „Międzymorza”, dążącego do powołania na „(...) Międzymorzu bałtycko-czarnomorsko-adriatyckim konfederacji wszystkich 16 zamieszkujących ten region narodów” jak i, w zasadzie ukraińskiej, Antybolszewickiej Ligi Oswobodzenia Narodów. Inicjatywy te zostały zablokowane jednak przez głęboko sięgające rozbitcie obu emigracji.

Praca wzbogacona jest notami biograficznymi najważniejszych osób zaangażowanych w tworzenie wzajemnych porozumień, licznymi, unikalnymi fotografiami oraz schematami struktur AK, UPA, OUN na interesujących nas obszarach.

Autorzy bodaj jako pierwsi wykorzystali liczne zbiory archiwalne obu stron konfliktu. Z polskich źródeł: unikalne zespoły archiwów Wojewódzkich i Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie oprócz cennych dokumentów „bezpieki” znajdują się także liczne materiały AK, zarekwirowane podczas aresztowań; Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych; zasoby Centralnego Archiwum Wojskowego oraz akta spraw sądowych.

Jednak prawdziwym przełomem było sięgnięcie do materiałów strony „przeciwnej”. Wymienić warto choćby zbiory Centralnego Państwowego Archiwum Wyższych Organów Władzy i Administracji Ukrainy w Kijowie (dawne archiwum KGB) czy Państwowego Archiwum Rosyjskiej Federacji w Moskwie i Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego.

Praca ta jest niejako apelem o zaniechanie waśni, o rozpoczęcie bez obciążeń dziejowych badań nad tym okresem historii. Jest także prośbą o otwarcie archiwów dla historyków drugiej strony, o rozpoczęcie teraz tak pożądaných (w kontekście polityki wejścia obu państw do zjednoczonej Europy) wspólnych dyskusji. Jest wreszcie próbą skierowania uwagi polskich historyków na postępowanie polskiej strony konfliktu, a historyków ukraińskich na stronę ukraińską. Jest ona niezwykle wartościowa, mimo swego ograniczonego zakresu tematycznego. Wartościowa zarówno dla historyków jak i polityków.

Piotr NIWIŃSKI

M.K. DZIEWANOWSKI *

NOWE SPOJRZENIE NA HISTORIĘ EUROPY

Gdy w roku 1947 rozpocząłem moje studia doktoranckie w Harvardzie, wykładowcy gorąco polecali nam sześciotomowe dzieło Arnolda J. Toynbee, „A Study of History”. Będąc dostatecznie zajęty obszernymi lekturami obowiązkowymi, sięgnąłem po jednotomowy skrót tego dzieła, ogłoszony przez Oxford University Press. Gdy spojrzałem do indeksu, zauważyłem, że o Polakach wspomina autor tylko raz, o Czechach i Węgrach ani razu, natomiast Polinezja wymieniona była aż 11 razy.

Ignorancja dotycząca spraw polskich i całej Europy Środkowo-Wschodniej w amerykańskich sferach akademickich Stanów Zjednoczonych była dotychczas raczej normą, niż wyjątkiem. Nie pomogły wysiłki rosnącej tam grupy uczonych polskich, z tak wybitnym historykiem jak Oskar Halecki na czele. Jego

* Autor „War at Any Price. World War Two in Europe, 1939-1945” (dwa wydania), „History of Soviet Russia” (5 wydań i przekład na język chiński).

znakomita praca pt. „Frontiers and Limits of European History”, została niemal całkowicie zignorowana. Pionierska praca profesora R.R. Palmerta, wykładowcy takich czołowych uczelni jak Princeton i Yale, „The Age of the Democratic Revolution”, w której próbował włączyć Polskę, Czechy i Węgry do wspólnego nurtu dziejów reszty Europy, zrobiła tylko ograniczony wyłom w poglądach większości studentów amerykańskich. Do niemal ostatnich lat, Europa była utożsamiana z Europą Zachodnią, a Polska była traktowana jako aneks do Niemiec, albo Rosji.

Tacy polscy historycy jak Piotr Wandycz, J. R. Krzyżanowski czy Anna Cienciała nie znaleźli wśród czytelników takiego uznania na jakie zasługują.

Sytuacja ta poczęła się powoli zmieniać na skutek roli, jaką Polska odegrała w obaleniu Imperium Sowieckiego. Jej żywiołowy pęd powrotu do Europy i szybki bieg przemian gospodarczo-ustrojowych zrobiły poważne wrażenie na poglądach co bystrzejszych obserwatorów. Odbiło się to, w pewnym stopniu i na literaturze dotyczącej spraw międzynarodowych. Brakło jednak dotychczas historycznej syntezy, pisanej przez poważnego naukowca, pracy, która sugestywnie i autorytatywnie uwypukliłaby organiczne związki Polski, Czech i Węgier z zachodnim członem kontynentu europejskiego. Pracą taką wydaje mi się być nowa książka wybitnego historyka brytyjskiego, Normana Daviesa, wydana w roku ubiegłym, przez Oxford University Press*.

We wstępie autor zaznacza, że jego iście monumentalna praca nie zawiera nic nowego. Jest to godna pochwały skromność, a nowatorskie podejście do tematu, jak i oryginalność w opracowaniu poszczególnych fragmentów, uderza na każdym kroku. Książka składa się ze wstępu (46 stron) oraz 12 rozdziałów ujętych zasadniczo chronologicznie, oraz z około 300 wstawek tematycznych, które autor nazywa „kapsułkami”; każda z nich omawia jakieś zagadnienie związane z wieloma problemami, nie mieszczącymi się w ramach jednej epoki. Pierwszy rozdział (47 stron) dotyczy prehistorii kontynentu

* Norman Davis „Europe A History” Oxford, New York, 1997.

europejskiego; rozdział ten pokrywa pierwsze pięć milionów lat, tego co z geopolitycznego punktu widzenia jest półwyspem euroazjatyckiej masy lądowej, czyli „wyspy świata”, jak to określił Halford Mackinder. Już tu musi uderzać czytelnika, zwłaszcza zachodnioeuropejskiego, obszerna wstawka o Ukrainie, jako obszarze przez który w okresie wędrówki ludów przewinęła się największa liczba plemion, jakie ostatecznie stworzyły dzisiejsze osiadłe społeczeństwa europejskie.

Rozdział drugi (55 stron), poświęcony jest starożytnej Grecji i jej potężnemu wpływowi na dzieje reszty cywilizowanego świata. Wierny swemu pierwotnemu założeniu, autor podkreśla rolę śródziemnomorskiego środowiska naturalnego na kształtowanie się nieporównywalnej plejady genialnych ojców naszej kultury, z Homerem, Platonem, Archimedesem i Arystotelesem na czele.

Rozdział trzeci (65 stron) daje zarys dziejów imperium rzymskiego. Tutaj oryginalność podejścia wyraża się w traktowaniu obu jego części, zachodniej i wschodniej, jako równouprawnionych członów społeczności europejskiej. Ich rozłam na dwa, w końcowym wyniku antagonistyczne człony, przekroczył chronologicznie granice dziejów antycznego świata; Bizancjum było dziełem epoki przejściowej, wkraczającej we wczesne Średniowiecze. Autor słusznie podkreśla znaczenie tego, co nazywa „imperatywem terytorialnym” w kształtowaniu się rzymskiego imperium, rozrastającego się, nie jak greckie, z autonomicznych republik-miast, ale z jednego centrum, Latinum. Umocniwszy się na jego żyznych równinach, Rzymianie, ze zdumiewającym uporem podbijali, krok po kroku, sąsiednie terytoria lądowe, aby po trzech wojnach z Kartaginą, stać się wreszcie imperium morskim. Jednak główną ich siłą były nie okręty, tak jak u Greków, lecz legie armii lądowej. Bitwy morskie, wygrywane przez Rzymian, polegały też na takim nagłym zbliżeniu się ich okrętów do galer nieprzyjaciela, aby można na nie przerzucić pomosty, przez które rzymscy legioniści mogli przedostać się na pokład i tam rozstrzygnąć bitwę walką wręcz. Nie zaniedbując militarnych osiągnięć Rzymian, autor poświęca sporo miejsca ich zasługom cywilizacyjnym z prawodawstwem na czele. Ciekawe są uwagi autora o powiązaniach początków Chrześcijań-

stwa z Pax Romana, zwłaszcza w jego wschodniej, bizantyjskiej wersji.

Czwarty rozdział (169 stron) jest jednym z najciekawszych, bo daje przekonującą syntezę tego, co na ogół nazywa się „mrokami Średniowiecza”. Według Normana Daviesa, okres od upadku Cesarstwa Rzymskiego, aż do wypraw krzyżowych, to czasy, gdy tworzyły się podwaliny nowoczesnej Europy. Autor widzi tu nakładanie się na siebie czterech procesów. Pierwszy to wdzieranie się rozlicznych ludów barbarzyńskich do serca europejskiego kontynentu. Drugi proces, to stopniowy rozdzźwięk między wschodnią a zachodnią częścią imperium rzymskiego podmytego przez najazdy zewnętrzne. Trzeci, to przenikanie Chrześcijaństwa pomiędzy pogańskich barbarzyńców i ich stopniowa asymilacja do kultury rozkładającego się imperium. Czwartym procesem były najazdy Arabów, którzy w siódmym wieku zdołali podbić nie tylko znaczną część Azji Mniejszej i Afryki Północnej, ale i większość Półwyspu Iberyjskiego. Z tej bazy Arabowie, często zwani wówczas Saracenami, grozili podbojem reszcie Europy. Dopiero zwycięstwo Karola Martela (Młota) pod Tours i Poitiers (732) zażegnało to niebezpieczeństwo. Jak potoczyłyby się losy Europy, gdyby nie triumf króla Franków, pradziadka Karola Wielkiego, trudno przewidzieć. Spekulując na ten temat, dyplomata brytyjski Lord d’Abernon, (*n.b.* porównując bitwę pod Tours i Poitiers z Bitwą Warszawską roku 1920) pisał: „Gdyby Karol Martel nie powstrzymał Saracenów pod Tours... Koran byłby dziś wykładany na Oxfordzie... Gdyby Piłsudski i Weygand nie zdołali zatrzymać triumfalnego marszu sowieckiej armii, w bitwie pod Warszawą, nie tylko Chrześcijaństwo poniosłoby niebezpieczną porażkę, ale i samo istnienie zachodniej cywilizacji zostałoby zagrożone”.

W rozdziale piątym, pokrywającym okres od połowy wieku VIII do końca wieku XV (92 strony), czytelnika polskiego ucieszą wstawki o Wiśle, Hejnale Mariackim oraz Lajkoniku, zaciekawi też „kapsułka” o języku litewskim. Autor uważa go za najbardziej archaiczny ze wszystkich języków indo-europejskich. W innej nowatorskiej wstawce, mamy związną próbę rozwiązania zagadki Chazarów i ich znaczenia dla całości europejskiego dziedzictwa. Nowością są tu też

obszerne uwagi o tak zwykle lekceważonych tematach, jak dzieje Budy, Nowgorodu, czy też pochodzenia Cyganów.

Rozdział szósty (186 stron) omawia to, co na ogół nazywa się szczytem Średniowiecza, a autor nazywa „Kryzysem Chrześcijaństwa” – lata od około 1250 do roku 1493, epoką „wielkiej schizmy i załamania się ostatniej krucjaty”. W ramach krytycznego podejścia do filozofii i obyczajowości epoki średniowiecznej, mamy krótkie wstawki o takich zagadnieniach jak antysemityzm, czarna magia, sabaty czarownic oraz prostytutka. Nowatorskie jest włączenie mało znanego zachodnioeuropejskim historykom problemu słowiańskiej Zadruży, czy kontakty Wielkiego Księstwa Moskiewskiego z resztą Europy. Kontakty te, utrzymywane głównie w interesie władców Moskwy i ich zdobywczych planów, nie niweczą faktu izolacji mas społeczeństwa od reszty świata. I tak, na przykład, o odkryciu Ameryki przez Kolumba, ogół Moskwiczów dowiedział się dopiero po całym wieku.

W siódmym rozdziale, pokrywającym epokę Renesansu, Reformacji oraz Kontrreformacji (108 stron), mamy celną analizę „Odrodzenia” (*renatio*) Europy, pod wpływem tak nowych prądów umysłowych, jak i nowych odkryć geograficznych. Dla równowagi, autor podkreśla, że lata od połowy wieku XV do schyłku XVII były też okresem królowania astrologii, wiary w duchy, zaklęcia magiczne i najprzeróżniejsze, mniej lub bardziej cudowne zjawiska. Mentalność średniowieczna długo współistniała z rozwojem nauk przyrodniczych i skutecznie opierała się narodzinom poglądu racjonalistycznego. Ciekawe tu są wstawki o biczownikach, Inkwizycji oraz propagandzie, jako dziecku sprzecznych poglądów religijnych. Ciekawostką jest tu dość obszerne omówienie przepowiedni Nostradamusa, postaci zwykle całkowicie pomijanej przez ortodoksyjnych historyków.

W rozdziale ósmym (98 stron), poświęconym epoce Oświecenia, często zwanej także epoką Oświeconego Absolutyzmu, autor daje mistrzowską analizę obu tych etykiet, wykazując na licznych przykładach ich względność w zestawieniu z rzeczywistością. Podkreśla on, do jakiego stopnia renesansowy ideał równowagi Rozumu i Wiary został w wielu wypadkach pogwałcony, na rzecz tego pierwszego członu i jaką reakcję

zapoczątkował już na schyłku wieku XVIII w postaci Rewolucji Francuskiej. I znowu uderzają wstawki o polskiej szlachcie i roli buntów chłopskich w dziejach Rosji, z akcentem na rewoltę Pugaczowa. Nowością jest uwypuklenie roli Ukrainy oraz sejmu, znanego jako „niemy” (1717) w dziejach ekspansji wielkorosyjskiej. Zjawiska tak często pomijane przez historyków zachodnich. Badaczy mody męskiej zaciekawi tu historia krawata, który wywodzi się z Krocacji (Chorwacji).

Rozdział dziewiąty (84 strony) jest kluczowy, z punktu widzenia współczesnego czytelnika, bo omawia lata od 1770 do 1815, a więc okres, który, w znacznym stopniu, ukształtował naszą epokę wojen oraz przewrotów społecznych i gospodarczych, a zatem i rewolucję wieku XX. Samo słowo „rewolucja” nabrało w tej epoce nowego znaczenia; kiedy Mikołaj Kopernik pisał swe główne dzieło „De revolutionibus orbium celestium”, termin *revolutio* oznaczał w jego rozumieniu systematyczne, naturalnymi prawami kosmosu kierowane obroty ciał niebieskich. Już w wieku XVII i na początku XVIII ten sam termin począł oznaczać gwałtowne przemiany w politycznym i społeczno-gospodarczym układzie spraw ziemskich; mamy więc rewolucję naukową, rewolucję przemysłową i w końcu Rewolucję Francuską.

Autor słusznie uważa Rewolucję Francuską za przewrót najbardziej uniwersalny ze wszystkich gwałtownych przewrotów ery nowożytnej. Wstrząs wywołany we Francji, „Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela” oraz obaleniem monarchii, odbił się echem od Lizbony aż po Petersburg i od Sztokholmu aż po Neapol. W ciągu wieku XIX wstrząs ten ogarnął cały cywilizowany świat. Stąd gruntowna analiza genezy Rewolucji Francuskiej, zaczynając już od Rewolucji Amerykańskiej oraz skutków tych wstrząsów dla rozmaitych członów społeczności europejskiej, jest jednym z kluczy do zrozumienia naszej epoki. I tu też spotykamy się z rzadkim we współczesnej historiografii uwzględnieniem tego wstrząsu na Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Analiza ta jest przerywana rozlicznymi wstawkami, zaczynając od „kapsułki” o gilotynie, poprzez oryginalne szczegóły o roli kobiet; choć Napoleon jest traktowany bez zbytnich, właściwych Brytyjczykom uprzedzeń, jego sprawy osobiste, zwłaszcza stosunek do cesa-

rzowej Marii Ludwiki, nie jest oddany z obiektywizmem, charakterystycznym dla reszty tego rozdziału. Tak korespondencja Napoleona z jego habsburską żoną, jak i obserwacje naocznych świadków są dowodem, że nie zasługiwał na porzucenie go. Zakończeniu rozdziału brak odpowiedniego syntetycznego zamknięcia.

Rozdział dziesiąty (138 stron) poświęcony jest głównie Wielkiej Brytanii, która po wojnach z rewolucyjną i napoleońską Francją, wyłania się jako najbardziej dynamiczna siła, nie tylko Europy, ale wręcz całego globu. Pomimo tego, raz jeszcze, autor ma miejsce dla wschodniej i północnej części kontynentu, znajdując okazję dla cytowania Słowackiego, czy umieszczenia odpowiedniej wstawki o fińskim eposie narodowym „Kalevala”. Sport też nie jest zapomniany, bo mowa jest zarówno o „Tour de France”, jak i o roli boksu, jako igrzysku dla mas.

Rozdział jedenasty (160 stron) zatytułowany „Zmierzch Europy”, czy też tłumacząc dosłownie „Europa w zaćmieniu” („Europe in Eclipse”), to okres dwóch wojen światowych, które autor zasadniczo traktuje jako rodzaj konfliktu ciągłego buntu Niemiec przeciwko podstawowym wartościom europejskiej cywilizacji. W tym rozdziale, miejsce Polski jest szczególnie wyeksponowane, bo autor zgadza się z określeniem Lorda d'Abernona, ambasadora brytyjskiego w Berlinie, że bitwa warszawska była „osiemnastą bitwą decydującą o losach świata”. Przy omawianiu Drugiej Wojny Światowej, autor też nie zaniedbuje przypomnienia kluczowej roli, jaką Polska grała, tak przy wybuchu konfliktu zbrojnego, jak i w ostatnich jego fazach. Nie brak też zwięzłej wstawki o Katyniu.

Końcowy rozdział dwunasty (140 stron) otwierają uwagi o Europie, choć rozdartej przez układy jałtańskie, ale pamiętnej swych więzów z resztą wspólnoty europejskiej. Specjalne długie ustępy poświęcone są rozpadowi sowieckiego imperium i roli, jakie w tym procesie odegrały państwa satelickie, z Polską na czele.

Książkę zamykają indeksy, indeks numer III (124 strony) zawiera kompendium przytecznych dat i innych danych o podstawowych faktach, dotyczących historii Europy. Wartość tego zestawu oceniają z wdzięcznością zarówno bada-

cze, jak i wykładowcy tego przedmiotu, bo ogromnie ułatwia on orientowanie się w gąszczu nauk pomocniczych, takich jak na przykład genealogia głównych dynastii europejskich.

W Stanach Zjednoczonych, w przeciwieństwie do Europy, książka Normana Daviesa spotkała się z licznymi atakami kolegów po fachu, zazdrosnych o iście monumentalny wy czyn brytyjskiego historyka. A imponuje rozległością swych zainteresowań oraz arsenałem lingwistycznym. Poza zarzutami „Polonofilstwa”, krytycy koncentrowali się głównie na dużej ilości błędów faktologicznych, zwłaszcza dotyczących dat. Osobiście nie zgadzam się z takim podejściem do dzieła liczącego bądź co bądź przeszło pół miliona słów i traktującego o około 60.000 faktów historycznych. Przy takich rozmiarach jakiegokolwiek pracy, spora lista błędów jest nieunikniona. Następne wydania powinny zaradzić tym usterkom. Błędy w faktologii z naddatkiem równoważą zadziwiający rozmach dzieła, błyskotliwość i potoczystość wątku narracyjnego oraz oryginalność podejścia. Zwłaszcza ta ostatnia jest odświeżająca. Dlatego, wydaje mi się, autor zasłużył na wyrazy uznania ze strony wszystkich ludzi pochodzących z Europy, zwłaszcza z wschodnich jej połaci.

M.K. DZIEWANOWSKI

Tadeusz WYRWA

POLACY O POWOJENNEJ EUROPIE NA ŁAMACH *LA FRANCE LIBRE*

W powszechnym pojęciu termin „Wolna Francja” utożsamiany jest, zgodnie z rzeczywistością, z gen. de Gaulle'em i Francuzami, którzy walczyli przy boku państw sojusznicych. Na ogół mało natomiast znane jest to, że w Londynie

– siedzibie gen. de Gaulle'a i Komitetu Wolnej Francji (do czerwca 1943 r.) – był wydawany miesięcznik, pt. *La France Libre* („Wolna Francja”) o zmiennym do de Gaulle'a stosunku. Naczelnym redaktorem tego czasopisma był André Labarthe, o którym napisze później René Cassin¹, jeden z najbliższych współpracowników de Gaulle'a:

„Co do Labarthe, to był on bardzo inteligentny, ale też i ogromnym blagierem. Bardzo go wspierałem w tworzeniu wspianego czasopisma pt. *La France Libre*. Napisałem dla niego jeden z pierwszych artykułów o dokonanej przez Vichy *coup d'Etat*. Otrzymał pieniądze od gen. de Gaulle'a, któremu nadskakiwał, a o którym jednocześnie źle się wyrażał”². Jest to wewnętrzna sprawa Francji, ale wzmianka o niej jest niezbędna dla poznania profilu czasopisma, gdzie ukazywały się artykuły autorów polskich.

Sekretarzem redakcji czasopisma *La France Libre* był Raymond Aron, znany filozof i publicysta, występujący tam pod pseudonimem René Avord. Warto też odnotować, że w czerwcu 1940 r. Aron wyjechał z Saint-Jean-de-Luz do Anglii na okręcie („Ettrick” – tak Aron podaje w swoich wspomnieniach), gdzie część załogi była złożona z polskich oficerów. Na tym okręcie znajdował się również René Cassin. Redakcja *La France Libre* składała się z czterech stałych członków, dwóch Francuzów: Labarthe'a i Arona oraz – i tutaj jest kuriozum – dwoje cudzoziemców polsko-żydowskiego pochodzenia: Marta Lecoutre (być może nazwisko przybrane), Żydówka z Warszawy i Stanisław Szymańczyk, Żyd z przyłączonego w 1938 r. do Polski Zaolzia. Pisał o nich Aron w wydanych po wojnie „Pamiętnikach”. O Szymańczyku, b. komuniście, nie miał pochlebnej opinii, podkreślał jego inteligencję, ale też i ogromny cynizm³.

Czasopismo *La France Libre* – jak potwierdza Aron – powstało za namową gen. de Gaulle'a i należało do obozu „Wolnej Francji”, ale nigdy nie było czasopismem gaullistow-

1. W 1968 r. René Cassin otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla.

2. Archives de France (Nationales). Archives René Cassin. Sygnatura: 382A.P.27.

3. Raymond Aron, „Mémoires”, Juillard, Paris 1983, str. 168-170, 172.

skim. Bliskie początkowo środowisku „Wolnej Francji”, uchodziło następnie za periodyk antygaullistowski po konflikcie, jaki zaistniał między de Gaulle’em a admirałem Muselierem⁴. W konflikcie tym Labarthe stanął po stronie adm. Museliera, a później poparł, znajdującego się w północnej Afryce gen. Henri Girauda, rywala gen. de Gaulle’a⁵. Jeśli chodzi o Arona, co sam podkreśla: „nie mogło być mowy, żebym dołączył do zwycięskiego odtąd ruchu gaullistowskiego. Działalność polityczna została przeniesiona z Londynu do Algieru”. Odnośnie do wydawanego miesięcznika pisze: „Nasze czasopismo utrzymywało przyjacielskie stosunki z Polakami z Londynu i wiele razy publikowaliśmy ich artykuły pisane z namowy ich oficjalnych władz, tzn. rządu polskiego na obczyźnie”⁶.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy też ściślej – paradoksalnością polityki rządu polskiego w Londynie, zwłaszcza gen. Sikorskiego, była jego dwutorowa polityka wobec Francji. Z jednej bowiem strony zachował dużą powściągliwość w stosunku do „Wolnej Francji” de Gaulle’a, a z drugiej utrzymywał, szczególnie od jesieni 1942 r., bliski kontakt z rządem Pétaina w Vichy⁷. Jednocześnie, już od czerwca 1942 r. za pośrednictwem gen. Juliusza Kleeberga⁸, nawiązał i później

4. Szczegóły tego konfliktu na przełomie 1941/42 nie są dziś wystarczająco znane. Adm. Muselier miał zamiar wyeliminować de Gaulle’a, stanąć na czele „Wolnej Francji” i oddać Flotę pod rozkazy Anglików. W rzeczywistości sam został dyscyplinarnie usunięty z zajmowanego stanowiska.

5. Wzięty do niewoli w maju 1940 r. gen. Henri Giraud wyostał się na wolność w kwietniu 1942 r. i dotarł do Algieru, gdzie – przy poparciu Amerykanów – objął stanowisko zwierzchnika cywilnego i francuskich sił zbrojnych w Afryce północnej, co spotkało się ze sprzeciwem gaullistów. W styczniu 1943, pod presją Rossevelta i Churchilla, doszło do spotkania w Casablance gen. de Gaulle’a z gen. Giraudem i w wyniku tego spotkania przewodnictwo utworzonego następnie „Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” zostało podzielone między obydwu generałów, ale w październiku tego samego roku de Gaulle wyeliminował gen. Girauda.

6. Raymond Aron, *op.cit.* str. 182-184, 189.

7. Zob. Tadeusz Wyrwa, „Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina” w: *Zeszyty Historyczne* Nr 101, Paryż 1992, str. 32-55.

8. Zob. Sprawozdanie gen. Juliusza Kleeberga z dnia 24 czerwca 1942 z rozmowy z gen. H. Giraudem, wysłane z Francji do gen. Sikorskiego

zacieśnił kontakt z gen. Henri Giraudem, wtedy gdy był on w konflikcie z gen. de Gaulle'em. Zalecanie z kolei autorom polskim publikowanie artykułów na łamach miesięcznika *La France Libre*, które przeszło na pozycje antygaullistowskie, musiało przeto mieć dość specyficzny wydźwięk.



Pierwszy numer czasopisma *La France Libre* wyszedł z druku w listopadzie 1940 r. Pierwszym natomiast artykułem, jaki się tam ukazał był artykuł Marii Kuncewiczowej⁹ pt. „Paryż, mój Paryż”, zamieszczony w numerze z października 1941¹⁰. Autorka pisze w nim z nostalgią o Paryżu i z iluzją o roli, jaka Londynowi przypadła do odegrania. „Londyn nie jest już dłużej stolicą wyspiarską. Anglicy nie są dłużej izolacjonistami... Londyn staje się dla Paryża trudną do pokonania konkurencją. To jest dopiero jego inauguracja, jako metropolii europejskiej. Po wojnie narody, które tworzą obecnie wspólny z Wielką Brytanią, front przyjdą z procesją do Londynu, żeby uczcić zmarłych i ich niezachwianą nadzieję zwycięstwa. Nowy świat wytworzy nową tradycję. Ale w tym nowym świecie rola Paryża nie ulegnie zmianie, podobnie jak niezmienna pozostała rola Aten”. Taki zdaje się przeważał pogląd wśród Polaków, którzy znaleźli się podczas wojny w Wielkiej Brytanii.

Zanim przejdę do opracowań o treści bliżej związanej z moim tutaj tematem, chciałbym przynajmniej odnotować kilka innych artykułów z tych, jakie ukazały się na łamach *La France Libre*. Marian Kukiel¹¹ w artykule „Napoleon i Hitler w Rosji”¹² porównuje strategię i cel obydwu tych kampanii, co wówczas w 1942 roku, podczas zwycięskiej jeszcze

w Londynie. Sprawozdanie to znajduje się w Archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Sygnatura: A.XII 1/90.

9. Maria Kuncewiczowa (1899-1989), pisarka. Do 1956 r. w Londynie, później w Chicago, a w 1962 powróciła do Polski.

10. *La France Libre* nr 12, 15 października 1941, str. 502-504.

11. Marian Kukiel (1885-1973), generał, historyk wojen i wojskowości, profesor, członek rządu RP w Londynie. Po wojnie na emigracji.

12. *La France Libre* nr 19, 15 maja 1942, str. 38-42.

ofensywy niemieckiej, było aktualne. Dwa artykuły poświęcone były literaturze polskiej. W pierwszym z nich, pt. „Literatura emigracji polskiej”¹³, pióra Zbigniewa Grabowskiego¹⁴, autor pisze o odmiennych warunkach, w jakich powstawała literatura Wielkiej Emigracji, utrwalająca jednocześnie więź z Francją, w porównaniu z dużo mniejszym plonem działania literatów z emigracji po 1939 r., m.in. i dlatego, że wielu pisarzy zostało w Kraju i proces twórczy nie został właściwie przerwany. Drugim artykułem z tej serii jest Jana Lechonia¹⁵ „Literatura polska i nasza epoka”¹⁶. W oparciu o polskich klasyków, przeważnie z XIX wieku, autor uwydatnia spójność ideologii narodowej z naszą literaturą i jej aktualność w dobie obecnej. Z kolei Władysław Folkierski¹⁷, w artykule „Tysiącletnie powinowactwo”¹⁸, naszkicował stosunki kulturalno-ideowe – od wczesnego średniowiecza do 1939 r. – jakie łączyły Polskę i Francję i na tym tle podkreśla wadliwość stosunków w dziedzinie politycznej, z czego winni wyciągnąć naukę ci, którzy po wojnie będą odbudowywali Europę. Głównie też Francji poświęcony był artykuł Stanisława Strońskiego¹⁹ pt. „Nasza dobra stara Europa”²⁰. Autor pisze, iż trudno sobie wyobrazić odbudowę Europy bez miejsca, jakie od wieków zajmowała w niej Francja i tym bardziej przeto należy ubolewać nie tylko nad jej klęską z 1940, ale i ciągłym jeszcze wewnętrznym rozbięciem społeczeństwa i władzy (gen. de Gaulle’a – marsz. Pétaina). Stroński słusznie zwracał uwagę, że rozgraniczenie dwóch istniejących wówczas Francji było trudne do zrobienia, z powodu, jak można się było domyśleć, dwulicowej postawy przygniatającej większości Francuzów.

13. *La France Libre* nr 18, 17 kwietnia 1942, str. 479-481.

14. Zbigniew Grabowski (1903-1974), anglista, prozaik i publicysta. W Londynie od 1937, po wojnie na emigracji.

15. Jan Lechoń (1899-1956), poeta. Od końca 1940 do śmierci w 1956 r. w Nowym Jorku.

16. *La France Libre* nr 21, 15 lipca 1942, str. 231-237.

17. Władysław Folkierski (1890-1961), profesor, romanista, historyk literatury. Po wojnie zostaje w Londynie. Związany ze stronnictwem narodowym, bierze czynny udział w politycznym życiu emigracji.

18. *La France Libre* nr 25, 16 listopada 1942, str. 48-55.

19. Stanisław Stroński (1882-1955), profesor, romanista, polityk i publicysta. Po wojnie zostaje na emigracji.

20. *La France Libre* nr 9, 17 lipca 1941, str. 192-194.

Autor wierzył mimo wszystko w odrodzenie Francji, bez której nie byłoby odrodzenia cywilizacji europejskiej.

Europa i stosunki międzynarodowe po wojnie stanowiły temat pięciu artykułów autorów polskich zamieszczonych na łamach *La France Libre*. Pierwszy z nich, pt. „Zasady demokratyczne w stosunkach międzynarodowych”²¹ jest pióra Stanisława Grabskiego²². Autor daje tło historyczne dawniejszych układów w Europie i podziału wpływów między najpotężniejsze państwa, co w żadnym wypadku nie może służyć do naśladowania, gdyż nie zabezpieczy pokoju po drugiej wojnie światowej. Zdemokratyzowanie stosunków międzynarodowych jest w pierwszym rzędzie uzależnione od ustanowienia demokracji w poszczególnych krajach. Obecne wojny są wojnami totalnymi i ich przygotowanie wymaga całkowitego podporządkowania wszystkich dziedzin życia jednemu dyktatorskiemu kierownictwu, czego przykładem był Hitler. W demokratycznie rządzonym kraju nie jest to możliwe. Szanując zasadę demokratycznego rozwiązywania problemów we własnym kraju, łatwiej jest później stosować podobne metody w stosunkach międzynarodowych, gdy w grę wchodzi różne konflikty wymagające kompromisów i polubownego załatwiania spraw. Obywatel wychowany w ustroju demokratycznym nie zaakceptuje nigdy dobrowolnie polityki narzuconej mu przez inne państwo, polityki, która siłą rzeczy staje się później zarzewiem nowej wojny. Przede wszystkim trzeba, żeby życiowe sprawy małych i biednych państw były respektowane na równi ze sprawami mocarstw. Żadna siła zbrojna nie zapewni trwale pokoju, jeżeli nie będzie zorganizowana zgodnie z zasadami demokracji międzynarodowej. Dla zabezpieczenia pokoju należy wszystko zrobić, żeby nowy porządek międzynarodowy nie był autorytatywny lecz demokratyczny. Nowy porządek będzie można zaprowadzić wtedy, gdy nie będą nadużywane pojęcia nacjonalizmu, wolności i równości. Międzynarodowa współpraca wymaga ścisłego rozgraniczenia dziedzin, w których narody będą miały całkowitą swobodę w urządzaniu swojego życia, od dziedziny zarezerwowanej dla

21. *La France Libre* nr 17, 16 marca 1942, str. 286-290.

22. Stanisław Grabski (1871-1949), polityk, profesor, ekonomista, historyk dziejów myśli ekonomicznej. W 1945 wraca do Polski.

współpracy międzynarodowej, mającej za cel dobro w skali światowej, czy też większego regionu, np. Europy. Nie wystarczy jednak powołanie do życia jakiejś nowej Ligi Narodów. Trzeba dążyć zwłaszcza do tego, żeby w stosunkach międzynarodowych dominował duch solidarności, wzajemny respekt praw i interesów wszystkich narodów w duchu autentycznej demokracji.

Stanisław Grabski jest autorem drugiego jeszcze artykułu pt. „Po wojnie”²³, który zaczyna przypomnieniem, że ostatecznym celem wojny jest pokonanie Niemiec, co jednak nie powinno przysłaniać potrzeby wypracowania nowej organizacji międzynarodowej, jaka winna powstać po odniesieniu zwycięstwa nad hitleryzmem. Zasadniczą dla niego kwestią, podobnie jak i dla innych autorów zabierających na ten temat głos, była konieczność zabezpieczenia Europy przed ponownym odrodzeniem militarnej potęgi Niemiec. Grabski pisze i powołuje się na powszechnie panującą opinię, iż należy utworzyć siły zbrojne przeznaczone wyłącznie do czuwania nad pokonanymi Niemcami²⁴. Rozbieżne natomiast miały być zdania co do składu tych sił: wyłonionych z kilku państw czy z jednego tylko mocarstwa, któremu by podlegały? Ta ostatnia hipoteza nie wytrzymała krytyki, gdyż doprowadziłoby to do hegemonii jednego państwa. Poza tym chodziło przecież nie tylko o Niemcy, ale w ogóle o zabezpieczenie pokoju, który mógł być zakłócony przez rządy innych krajów. Rozwiązaniem dla Grabskiego byłoby, zgodnie z tendencją panującą w środowisku rządu polskiego w Londynie, utworzenie w Europie Środkowo-Wschodniej federacji czy konfederacji, bloków państw, związanych wspólną cywilizacją i wspólnymi potrzebami natury ekonomicznej, których potencjał byłby skutecznym gwarantem pokoju na całym kontynencie, a Polskę zabezpieczałby od agresji Niemiec jak i Rosji. Autor nie miał jednak złudzeń i pisał, że w każdym układzie pokój nie będzie trwał a prawo międzynarodowe stanie się zbiorem martwych formułek, jeżeli przywódcy mocarstw,

23. *La France Libre* nr 22, 15 sierpnia 1942, str. 371-373.

24. W pierwszych latach po wojnie Niemcy zostały podzielone na 4 strefy okupacyjne: amerykańską, brytyjską, francuską i sowiecką. Władzę w każdej z tych sfer sprawowali dowódcy wojsk okupacyjnych.

ignorując zasady moralne, będą kierowali się jedynie przesłankami materialnymi.

Zbliżoną tezę przedstawił Adam Pragier²⁵ w artykule „Pokój po drugiej wojnie. Polski punkt widzenia”²⁶. Na wstępie Pragier podkreśla, iż dwie są istotne kwestie, które należy brać pod uwagę, jeżeli chce się rozwiązać problem pokoju: zbiorowe zapewnienie bezpieczeństwa krajów Europy i organizacja ekonomicznej współpracy na trzech szczeblach: światowym, kontynentalnym i regionalnym. Powojenna Europa nie będzie mogła opierać się w dalszym ciągu na niestałej równowadze państw suwerennych, z których każde prowadzi własną politykę, jak gdyby było jedynym państwem na świecie. Małe i średnie państwa będą musiały się zjednoczyć, żeby sobie zapewnić, dzięki wzajemnej współpracy, środki ekonomiczne i siły obronne, które głównie dotychczas posiadały jedynie państwa mocarstwowe. Tego rodzaju federacje nie będą tworzone, jak to dawniej bywało, na bazie dynastycznych korzyści lub podbojów, lecz w oparciu o wspólne interesy mniejszych państw, których istnienie jest zagrożone. Autor pisze następnie o poczynionych pierwszych krokach zmierzających do utworzenia konfederacji polsko-czechosłowackiej (w 1943 r. Benes, pod presją ZSSR, wycofał się z dobrze zapowiadających się wstępnych układów), oraz o możliwości i potrzebie powstania dwóch federacji regionalnych w Europie Środkowo-Wschodniej. Polityka tych federacji nie może być wroga wobec ZSSR, lecz też i Rosja nie powinna sięgać po przewodnictwo nad kontynentem europejskim, a gdyby do tego pretendowała, to spotkałaby się z federacyjnym związkiem państw, liczących łącznie około stu milionów ludzi. Rosja, podobnie jak i inne kraje, będzie potrzebowała przede wszystkim spokoju dla odbudowy wojennych spustoszeń. Federacje grupujące poszczególne państwa doprowadzą do utworzenia organizacji o charakterze światowym, który zastąpi nieudolną Ligę Narodów. Decyzje tej organizacji winny być pobierane absolutną większością, nie jednomyślnie. Musi ona posiadać organ władzy wyko-

25. Adam Pragier (1886-1976), ekonomista, profesor, działacz polit. PPS. Po wojnie na emigracji; członek rządu RP w Londynie.

26. *La France Libre* nr 20, 15 czerwca 1942, str. 137-146.

nawczej i dysponować międzynarodowymi siłami zbrojnymi. Jeżeli obecne pokolenie chce rzeczywiście uratować ludzkość od całkowitego zniszczenia winno już teraz położyć trwałe podwaliny pod nowy układ stosunków międzynarodowych.

W następnym z kolei artykule pt. „O Europie po wojnie”²⁷ Henryk Strasburger²⁸ przypomina, że wszyscy mówią o budowaniu demokracji i stawia jednocześnie pytanie: na czym właściwie polega autentyczna demokracja? W odpowiedzi pisze, że demokracja to po prostu jedyny sposób zapewnienia ludziom szczęścia. Odwołując się do przykładów z przeszłości, zwraca uwagę na zaniedbania, w rozwoju demokracji, problemów gospodarczych. Z pewnym optymizmem, mało jednak uzasadnionym w praktyce twierdzi, że w pierwszej wojnie światowej alianci, a później Liga Narodów walczyli, podobnie jak i w toczącej się teraz wojnie, walczą o rozciągnięcie zasad demokracji na stosunki międzynarodowe. Świat jest dzisiaj zbyt mały, żeby można było tolerować, obok państw rządzonych demokratycznie, kraje eksploatowane gospodarczo i podzielone na mocarstwowe sfery wpływów, jak to się działo dotychczas. Utworzenie dla Europy specjalnych instytucji administracyjnych, celem przyścia z pomocą krajom potrzebującym wsparcia jest sensowne, ale zachowanie Europy w separatyzmie, jakimś „Paneuropeizmie”, nie wydaje się być uzasadnione. Strasburger kończy artykuł z przekonaniem, że Liga Narodów walczy o urzeczywistnienie idei międzynarodowej, która będzie stanowić bazę nowego systemu w świecie²⁹.

Ostatni artykuł na ten temat jest pióra Olgerda Górki³⁰. Punktem wyjścia rozważań autora w artykule „Bezpieczeństwo i wolność”³¹ jest pytanie, które z tych dwu pojęć jest

27. *La France Libre* nr 33, 15 lipca 1943, str. 222-226.

28. Henryk Strasburger (1887-1951), ekonomista. Podczas wojny w rządzie RP w Londynie. W latach 1945-1949 poseł PRL w Londynie, później pozostał na emigracji.

29. Od 1940 roku Liga Narodów istniała właściwie tylko formalnie, nie przejawiała już żadnej aktywności i po wojnie została zastąpiona przez Organizację Narodów Zjednoczonych, powołaną do życia na konferencji w San Francisco w 1945 r.

30. Olgerd Górka (1887-1955), historyk, profesor, publicysta i polityk. W 1945 r. wrócił do Polski.

31. *La France Libre* nr 36, 15 października 1943, str. 441-447.

ważniejsze? Stawianie na pierwszym miejscu bezpieczeństwa w świecie i unikanie za wszelką cenę nowej wojny może się okazać bardzo szkodliwe. Jeżeli bowiem będą istniały narody pozbawione wolności i niepodległości, to zapewnienie zbiorowego bezpieczeństwa służyć będzie do utrzymania *status quo* z ustalonym podziałem na sfery wpływów. Mieszkańcom kontynentu europejskiego dobrze są znane skutki utraty wolności i niepodległości oraz cena, którą trzeba płacić za ich odzyskanie, stąd i waga, jaką do nich przywiązują. Dla Brytyjczyków natomiast, nie zagrożonych na ich wyspie utratą niepodległości, i myślących w kategoriach własnych korzyści, ważniejsze jest zapewnienie na kontynencie bezpieczeństwa, mniejsza już z tym jakimi środkami. Autor zakłada jednak możliwość pogodzenia wolności z ograniczeniem suwerenności, ale pod warunkiem, że będzie dobrowolnym aktem danego państwa i co najważniejsze – że będzie to wspólna zasada stosowana przez wszystkich tak, jak wspólne dla wszystkich winno być zabezpieczenie pokoju. Układ ten nie wyklucza, wręcz odwrotnie, możliwości tworzenia federacyjnych związków państw, czego nie przewidział Traktat Wersalski w systemie zbiorowego bezpieczeństwa i co, zdaniem Górki, było dużym błędem.

Raymond Aron wspominając swoją pracę w redakcji *La France Libre* pisał: „Spekulacje Polaków na temat przyszłości obracały się w nierealnym zupełnie świecie. Wyobrażali sobie sieć krajów, małych i średnich, które zjednoczą się przeciwko Związkowi Sowieckiemu i przeciwko Niemcom, i w ten sposób zapobiegną tak konfliktowi z jedną z tych potęg, jak ich koalicji...”. Aron wyjaśnia następnie, że wiele jest powodów, które uniemożliwiają utworzenie buforowej strefy między Związkiem Sowieckim a Niemcami. Podstawowym warunkiem realizacji tej idei jest zespolenie krajów tworzących tę strefę na tyle, żeby żadne z nich, w razie jakiegokolwiek konfliktu, nie odwoływało się do arbitrażu jednej z ościennych potęg. W okresie międzywojennego dwudziestolecia zamiast zjednoczenia zaogniły się konflikty: Rumunii i Węgier o Transylwanię, Polski o Zaolzie itp. Według Arona, państwa tej buforowej strefy nie będą dysponowały odpowiednią siłą, żeby spełniać rolę podwójnej zapory, zwróconej

ku wschodowi i ku zachodowi³², niemożliwe do wykonania również z uwagi na prosowiecką orientację polityki czechosłowackiej, którą Aron surowo krytykował.

Jak już wyżej wspomniałem – i co jest powszechnie wiadomo – projekt tworzenia federacji lub konfederacji był koncepcją polityki, jedynej właściwie, gen. Sikorskiego w odniesieniu do powojennego układu stosunków międzynarodowych w Europie Środkowo-Wschodniej. W myśl tej koncepcji wskazane było zorganizowanie dwóch federacji: jednej obejmującej Czechosłowację, Litwę, Polskę, Rumunię i Węgry, i drugiej, która połączyłaby Albanie, Bułgarię, Grecję, Jugosławię i ewentualnie Turcję. Dla nikogo nie było właściwie tajemnicą, że głównym celem federacji miało być zabezpieczenie się na przyszłość przed agresją Niemiec i Związku Sowieckiego. Koncepcja ta spotkała się z gwałtownym atakiem Moskwy. Nieprzychylny też stosunek do idei federacji panował w środowisku gaullistowskiej „Wolnej Francji”³³. Wywodziło się to głównie z tego, że myślą przewodnią polityki de Gaulle’a była zawsze idea Francji mocarstwowej, która miała być osią równowagi europejskiej i czynnikiem pośredniczącym między anglosaskim Zachodem a Rosją sowiecką i w realizacji tej polityki federacja stanowiłaby jedynie przeszkodę.

Wydaje się, że niezbyt fortunne było to, że na łamach *La France Libre* Polacy główny nacisk położyli na lansowanie idei federacji, która wówczas nie miała, nie mogła mieć znikąd żadnego poparcia. Bardziej pożyteczne z myślą o przyszłości, w tym dla powojennych stosunków polsko-francuskich, byłoby podjęcie – przy pomocy tego czasopisma – problemów na bieżąco wtedy aktualnych na temat Europy Środkowo-Wschodniej i polityki sowieckiej, której bezkonkurencyjna propaganda coraz większe wyrządzała na Zachodzie szkody.

Tadeusz WYRWA

32. Raymond Aron, „Mémoires”, *op.cit.*, str. 198.

33. Zob. „Polska idea federacji Europy Środkowo-Wschodniej w oczach ‘Wolnej Francji’ generała de Gaulle’a” w: *Zeszyty Historyczne* nr 56, str. 227-236.

RUMUŃSKIE LATA PŁK. JÓZEFA BECKA

Najnowsza pozycja z cyklu książek o tematyce uchodźczo-rumuńskiej autorstwa Tadeusza Dubickiego poświęcona została mało dotychczas znanemu okresowi życia ostatniego przedwojennego ministra spraw zagranicznych II RP¹. Zaskakującą dla czytelnika jest konstatacja, że z niespełna pięćdziesięcioletniego swojego życia, aż pięć spędził na uchodźstwie ale równocześnie i internowaniu w Rumunii.

Postać pułkownika Becka występowała już w opracowaniach Tadeusza Dubickiego, zarówno poświęconych losom wojska polskiego w Rumunii², jak i przede wszystkim grze politycznej jaką prowadzili w Rumunii między sobą, ale i na zewnątrz skierowaną, sikorszczycy i sanatorzy³. Był to jednak okres, w którym płk. Beckowi dopisywało jeszcze zdrowie, które tak niespodziewanie i nagle załamało się wkrótce. Nim to nastąpiło nie poddawał się przeciwnościom losu, na które polityk winien być przygotowany i uodporniony. Znał się już z wcześniejszych opracowań jego próby uciezek – co najmniej pięciu będących w fazie przygotowywania, ostatnią podjętą 20 października 1940 r. o której niedawno autor informował na łamach *Zeszytów Historycznych*.

Próba ta jak w soczewce skupiła wszelkie siły, które jawnie bądź z ukrycia usiłowały wpłynąć na losy Becka. Dowiadujemy się więc o „wiarołomnych” gospodarzach, zwłaszcza tych spod znaku „Żelaznej Gwardii”, nieustępliwych i zaciętych Niemcach śledzących każdy krok Becka, niezdecydowanych do końca aliantach i rodzimych przeciwnikach politycznych.

1. T. Dubicki, „Internowanie płk. Józefa Becka w Rumunii (IX 1939 – VI 1944)”. Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach–Opolu, Opole 1997, ss. 125 + 20 nlb.

2. „Wojsko polskie w Rumunii 1939-1941”, Warszawa 1994, ss. 360.

3. „Sanatorzy kontra Sikorszczycy czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939–1940”, Warszawa 1993, ss. 156.

Ogromnym atutem książki Tadeusza Dubickiego jest to, że oparł ją w dużym stopniu o nieznane dotychczas i niedostępne materiały rumuńskie. Dzięki temu można dziś bez wątpliwości przedstawić choćby przebieg wspomnianej ucieczki, w której – jak to można określić od początku „siedzieli Rumuni”. Jest to o tyle ważne dla tego tematu, że dotychczas w zależności od proveniencji politycznej piszącego, bądź podejrzewano sikorszczyków o denuncjację, bądź z drugiej strony próbowano ośmieszać samego Becka, za jego rzekome zachowanie się w czasie ucieczki.

Książka przynosi szereg szczegółowych ustaleń zarówno dotyczących warunków egzystencji ministra i najbliższego otoczenia, które od początkowych, nawet luksusowych, ewoluowały, nie tylko z bezpośredniej winy gospodarzy (w końcu Rumunia prowadziła wojnę jako państwo faszystowskiej Osi), którym pod koniec wojny żyło się coraz gorzej.

Na takim tle kluczowym momentem stała się choroba płk. Becka, której symptomem było pojawienie się latem 1942 r. lekkiej chrypki. W archiwach rumuńskich zachowały się zaskakująco dokładne opisy rozpoznania choroby i podjętych metod jej zwalczania. W tym przypadku, choć medycyna przegrała, pomoc medyczna w zakresie diagnozowania i zastosowanego leczenia wydają się być właściwymi, choć... być może najstosowniejszą kuracją byłoby przewiezienie chorego w inny klimat, co zalecili rumuńscy lekarze, ale czego nie potrafili przeforsować, wobec stałego uporu Niemców, rumuńscy gospodarze.

W takich warunkach przez dwa kolejne lata płk Beck, w zależności od samopoczucia egzystuje w warunkach, które najbliższe otoczenie usiłuje mu „zorganizować” jak najlepiej. Jest to już egzystencja człowieka cywilnego, nie politycznego, który skazany przez chorobę, do końca utrzymuje swoją poprzednią klasę.

Symbolicznym zakończeniem wędrówki płk. Józefa Becka – którą podjął przymuszony warunkami we wrześniu 1939 r. – było pochowanie go w 1991 r. na warszawskich Powązkach po czterdziestu siedmiu latach spoczywania w rumuńskiej ziemi.

Reasumując – książka Tadeusza Dubickiego, choć dotyka historii w jej wymiarze jednostkowym, dzięki nagromadzo-

nym tam licznym, nieznanym faktom, wykracza poza charakter pozycji historyczno-przyczynkarskiej, jest pełnowymiarową, udokumentowaną książką.

Jednocześnie godzi się podkreślić, że wydanie tej pozycji przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach – Opolu, w ramach serii „Jeńcy wojenni 1939–1945. Fakty, dokumenty, sylwetki” (red. Cz. Wawrzyniak) jest kolejną książką⁴ utrzymaną na dobrym poziomie wydawniczym, czego dowodem w recenzowanej książce są np. zreprodukowane zdjęcia, w zdecydowanej większości dotychczas nieznanne (np. paszportu wydanego przez Brytyjczyków w 1940 r., gdzie Beck jest w okularach i z wąsami, modelu statku, który budował w l. 1942–1943, czy wreszcie domku, w którym zmarł).

W kontekście dotychczasowych opracowań o pułkowniku J. Becku można powiedzieć, że oprócz rozpraw A.M. Cieniwały historiografia nie posiadała wiarygodnych informacji o rumuńskich losach polskiego ministra. Książka Tadeusza Dubickiego wypełnia tę dodatkową lukę w naszej wiedzy historycznej.

Krzysztof KUCZYŃSKI

Andrzej GRZYWACZ

„STUDIA RZESZOWSKIE”

W 1995 roku na rynku wydawniczym pojawiły się poświęcone tematyce historycznej *Studia Rzeszowskie*. Perio-

4. K. Gałczyńska, „Konstanty Ildefons Gałczyński – Kriegsgefangener 5700”, Opole 1993; K. Gałczyńska, „Zbierz w sercu całą moc.: (Hanka Ordonówna w latach wojny)”, Opole 1996.

dyk ukazuje się pod auspicjami Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie, zaś wśród wydawców czwartego numeru pisma znajdujemy również Instytut Europejskich Studiów Społecznych w Rzeszowie. Dotychczas światło dzienne ujrzały cztery zeszyty – pierwszy i drugi w 1995 r., trzeci w 1996 r. i czwarty w 1997 r. Zespół redagujący kolejne tomy składa się z trzech osób: Jana Drausa (red. naczelny), Zbigniewa K. Wójcika i Włodzimierza Bonusiaka.

Zasadniczą część pisma tworzą „Artykuły”, następnie „Dokumenty”, „Wspomnienia” („Pamięci tych, co odeszli”), „Fakty – Opinie – Polemiki”, dział recenzji, krótkie „Noty o książkach”, „Varia” i dział listów do redakcji. Całość zamykają krótkie notki o autorach publikacji. Zadania, które ma spełniać pismo zostały nakreślone przez przewodniczącego Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, prof. dr hab. Jana Drausa.

„Celem tego przedsięwzięcia jest (...) upowszechnianie wiedzy o najnowszej historii regionu [i] skupienie wokół tego pisma środowisk kombatanckich oraz historyków i prawników, zajmujących się problematyką dziejów najnowszych. (...) Oprócz rozpraw naukowych i recenzji książek publikowane będą dokumenty, wspomnienia i sylwetki (biogramy) osób, które swoją działalnością wyznaczyły sobie miejsce na regionalnej drodze do niepodległości. Ponadto OKBZpNP w Rzeszowie publikować będzie sprawozdania i informacje dotyczące śledztw i dokumentacji zbrodni. Pismo otwarte też będzie na wszelkiego rodzaju opinie, sprostowania i polemiki”.

Pierwszy numer *Studiów...* w znacznej części został poświęcony działalności organizacji niepodległościowych i aparatu represji po II wojnie światowej.

Dział artykułów otwiera tekst Andrzeja Zagórskiego „Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość na Rzeszowczyźnie w latach 1945-1947”.

Krzysztof Winiarski poruszył w swym artykule jeden z przyczynków do dziejów wojskowych organów sprawiedliwości („Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Rzeszowie 1946-1955. Struktura organizacyjna i obsada personalna”).

Mało znaną problematykę więziennictwa Polski w latach 1944-1956 poruszył Włodzimierz Bonusiak („Więzienie na Zamku w Rzeszowie w latach 1944-1956”). Inny aspekt funkcjonowania więzienia nakreśliła Maria Ewa Ożóg w artykule „Ukraińcy w więzieniu na Zamku w Rzeszowie w latach 1945-1949”. Ze względu na niekompletność materiału źródłowego autorka nie pokusiła się o jednoznaczne ustalenie ilości osób narodowości ukraińskiej przetrzymywanych w celach rzeszowskiego Zamku, lecz największa ich liczba przypadła na 1947 r. Przechowywano zarówno mężczyzn jak kobiety, osoby w wieku od 14 do 82 lat, z czego aż 80% stanowiła młodzież do 30 roku życia. Więźniów skazywano zazwyczaj na surowe kary, w tym wiele wyroków śmierci (w latach 1945-1946 36 skazanych na śmierć). Tematykę rzeszowskiego więzienia zamyka „Lista straconych i zmarłych w więzieniu na Zamku w Rzeszowie (sierpień 1944 – grudzień 1956)” autorstwa Marii Ewy Ożóg. Janusz Borowiec poruszył w swym szkicu bolesną kartę z dziejów stosunków polsko-ukraińskich, Akcję „Wisła” („Ukraińcy skazani na śmierć przez Wojskowy Sąd Grupy Operacyjnej *Wisła* w 1947 roku”).

Dział dokumentów *Studiów Rzeszowskich* poświęcono w całości aktowi oskarżenia przeciwko 39 działaczom WiN sporządzonemu przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie. Część wspomnieniowa zawiera „Przeżycia akowca od sierpnia 1944 do listopada 1947” roku autorstwa Michała Sobienia ps. „Wrzos”.

Obok działu recenzji i not o książkach w dziale „Varia” znajdujemy „Sprawozdanie z działalności GKBZpNP za lata 1991-1994”, skład personalny OKBZpNP i notę o rewaloryzacji Zamku w Rzeszowie.

Drugi numer pisma zawiera bardziej zróżnicowany tematycznie i chronologicznie zbiór tekstów. Artykuł Zbigniewa K. Wójcika omawia działalność tymczasowych władz miasta Rzeszowa w okresie pierwszych dni okupacji niemieckiej. Pozostałe materiały odnoszą się do powojennych dziejów Rzeszowszczyzny. Zbigniew Nawrocki zajął się pierwszymi miesiącami istnienia struktur komunistycznego aparatu represji („Powstanie i rozbudowa aparatu bezpieczeństwa publicznego

w województwie rzeszowskim sierpień 1944 – luty 1945”).

Dzieje lokalnej organizacji Stronnictwa Pracy w latach czterdziestych przedstawił Jan Draus („Stronnictwo Pracy w Rzeszowskim 1945-1946-1950”). Autor na wstępie nakreślił szkic historii ogólnokrajowych struktur Stronnictwa Pracy w latach 1937-1950, po czym dokonał prezentacji losów rzeszowskiego Zarządu Wojewódzkiego SP – konfliktów wewnętrznych między grupą związaną z Karolem Popielem i „zrywowcami”, szykanowania przez władze komunistyczne działaczy „popielowskiego” SP, tworzenia i działalności lokalnych kół partii, schyłkowego okresu istnienia stronnictwa. Losami Stronnictwa Narodowego i powiązanych z nim sił Narodowej Organizacji Wojskowej zajął się kolei Andrzej Daszkiewicz („Z dziejów Stronnictwa Narodowego w Polsce południowo-wschodniej w latach 1944-1946”). Inne aspekty ustanawiania komunistycznego porządku społeczno-ustrojowego poruszył Jan Baszta („Kolektywizacja wsi rzeszowskiej 1948-1956”). Dział artykułów zamyka tekst Janusza Szkutnika „Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Rzeszowskiej 1978-1980”.

Dział dokumentów zawiera kontynuację poprzedniej edycji źródłowej – tekst wyroku na 39 działaczy WiN w Rzeszowie. Dział wspomnień z kolei poświęcono publikacji pochodzących ze zbiorów Instytutu Yad Washem w Jerozolimie relacji, dotyczących tragicznych losów rzeszowskich Żydów. „Fakty – Opinie – Polemiki” przynoszą kilka ciekawych przyczynków. Jan Draus zestawił „Listę zatrzymanych i aresztowanych przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie w 1944 roku”. Stanisław Rewer przedstawił zbrodnię na rodzinie Rzymów dokonaną 1 grudnia 1950 roku („Władza ludowa a sprawa chłopska w Zabratówce”). Losami dziesięciu młodych ludzi ze wsi Glinianka, Bieliny i Wólka Tanewska, aresztowanych na polecenie WUBP w Rzeszowie zajął się Zbigniew Nawrocki („Młodzież w więzieniach UB”). Jan Basta opisał jeden z epizodów konfliktów komunistycznych władz polskich z Kościołem katolickim – starania zmierzające do podporządkowania władzom Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu jesienią 1966 roku.

Numer trzeci *Studiów Rzeszowskich* został poświęcony dziejom Małopolski Wschodniej. Dziejami przedwojennego Lwowa zajął się Andrzej Bonusiak („Terytorium, ludność i samorząd Lwowa w ostatnich latach przed II wojną światową”). Przedmiotem krótkiego szkicu stały się zagadnienia rozwoju urbanistycznego, stosunków demograficznych, sieci komunikacyjnej, wodociągowej, gazowej i elektrycznej, wreszcie działalność samorządu miejskiego. Zamiarem Grzegorza Hryciuka było prześledzenie zmian demograficznych w Małopolsce Wschodniej podczas II wojny światowej („Przemiany ludnościowe w Galicji Wschodniej 1939-1945”).

Zbliżone zakresem tematycznym są dwa kolejne artykuły: Włodzimierza Bonusiuka „Unifikacja Galicji Wschodniej i Wołynia z ZSSR 1939-1941” oraz Grzegorza Mazura „Z dziejów sowietyzacji tzw. Zachodniej Ukrainy 1939-1941”. Poruszono w nich aspekty prawno-organizacyjne unifikacji południowo-wschodnich Kresów II RP ze Związkiem Sowieckim i politykę sowieckiego okupanta.

Edyta Czop uczyniła przedmiotem swego studium „Deportacje ludności polskiej z obwodu lwowskiego w 1940 roku”. Autorka przedstawiła kolejne deportacje, teorię i faktyczne mechanizmy deportacji oraz losy deportowanej ludności. Jakub Chonigsman i Waclaw Wierzbieniec przedstawili dzieje obozu janowskiego, mieszczącego się w południowo-wschodniej części Lwowa przy ul. Janowskiej („Obóz janowski we Lwowie”). Spełniał on funkcje głównego ośrodka eksterminacji ludności w Dystrykcie „Galizien”. Obóz funkcjonował do początków lipca 1944 r. – niemal do zajęcia Lwowa przez wojska sowieckie. Zamordowano w nim około 200.000 osób.

Powojenną historię archidiecezji w Lubaczowie nakreślił Tomasz Opas. Wychodząc od skrótowego przypomnienia rozwoju metropolii kościelnej w Haliczu a następnie we Lwowie, autor skoncentrował się nad funkcjonowaniem archidiecezji pod rządami arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, oraz zmianami prawno-organizacyjnymi zaistniałymi w latach 90-tych. W dziale dokumentów *Studiów Rzeszowskich* Grzegorz Mazur i Grzegorz Ostasz opublikowali dwie relacje por. Romana Tatarskiego ps. „Roman Luda” dotyczące pierwszych miesięcy

tworzenia i działań polskiego ruchu oporu we Lwowie okupowanym przez Związek Sowiecki.

„Pamięci tych, co odeszli” przynoszą wspomnienie o Kazimierzu Bartlu, Stanisławie Ostrowskim, biskupie Wincentym Urbanie, gen. Stanisławie Sosabowskim, Mieczysławie Gębarowiczu, ks. Alfonsie Schletzu, ks. Antonim Chomiczkiem, ppłk. dypl. Bolesławie Tomaszewskim, mjr. Piotrze Szewczyku, płk. Franciszku Rekuckim, ks. Wacławie Szetelnickim, mjr. Pawle Witoldzie Szredzkim i kpt. Ludwiku Kurtyczu.

Czwarty i jak na razie ostatni zeszyt *Studiów Rzeszowskich* rozpoczyna – nietypowo – mieszczący trzy artykuły dział pod wspólnym tytułem „Wybory do sejmu w 1947 r.”. Otwierają go refleksje Jana Drausa pt. „Wybory do sejmu w 1947 roku z perspektywy półwiecza”. Zbigniew Nawrocki i Janusz Borowiec ukazali działalność komunistycznych struktur aparatu bezpieczeństwa podczas kampanii wyborczej i w trakcie głosowania do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. („Rzeszowski aparat bezpieczeństwa w kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. Metody fałszowania wyników”).

Ponad połowę mieszkańców siedmiotysięcznego Tarnobrzega stanowili Żydzi. Planowa eksterminacja ludności żydowskiej rozpoczęła się w 1943 r. Niektóre fakty związane z losami Żydów z Tarnobrzega podaje Adam F. Baran w artykule „Gehenna Żydów tarnobrzeskich”. Zbigniew Nawrocki zajął się działaniami rzeszowskich struktur Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w okresie tuż przed zgonem i zaraz po śmierci Józefa Stalina.

„Lista wywiezionych do łagrów w ZSSR z Obwodu AK Rzeszów” autorstwa Andrzeja Zagórskiego zawiera 293 nazwiska zestawione na podstawie zbadanych przez autora relacji łągierników, którzy powrócili do Polski. W dziale recenzji opisano siedem książek, natomiast „Noty o książkach” zawierają krótkie omówienia 23 pozycji książkowych.

Zainteresowania autorów publikujących na łamach *Studiów Rzeszowskich* koncentrują się na historii najnowszej regionu rzeszowskiego. Zdecydowana większość tych materiałów pomieszczonych na prezentowanych łamach dotyczy

okresu II wojny światowej i lat powojennych, aczkolwiek niekiedy pojawiają się publikacje sięgające do dziejów II Rzeczypospolitej. Obszernie prezentuje się *spectrum* tematyczne poruszanych w poszczególnych publikacjach problemów – od działalności ruchu oporu zarówno w latach wojny, jak i w okresie powojennym, poprzez zbrodnie hitlerowskie i stalinowskie, funkcjonowanie rodzinnego aparatu przymusu, funkcjonowanie władz lokalnych, aż po problematykę mniejszości narodowych (zagłada ludności żydowskiej, stosunki polsko-ukraińskie). Jedyne życzenie autora niniejszego tekstu odnosi się do szerszego uwzględnienia okresu 1918-1939 na łamach pisma. Wskazanie na skromniejszą ilość publikowanych materiałów dotyczących dziejów II Rzeczypospolitej nie jest jednak zarzutem pod adresem twórców pisma, przed którymi stanęło ambitne zadanie wypełnienia ogromnych luk w badaniach historii najnowszej regionu rzeszowskiego, nagromadzonych z powodu zapisów cenzury. Zadanie to *Studia Rzeszowskie* realizują skutecznie od 1995 r., przynosząc corocznie pokaźną „porcję” bardzo wartościowych tekstów, godnych polecenia zarówno dla zawodowych badaczy dziejów najnowszych, jak i historyków – amatorów. Wydawcom należy jedynie życzyć dalszej owocnej pracy nad przygotowaniem kolejnych tomów pisma.

Andrzej GRZYWACZ

NADESŁANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

PASZKOWSKI (Lech). *Sir Paul Edmund de Strzelecki. Reflections on his life.* Str. 370. Arcadia, Australia 1997.

DZIEWANOWSKI (Marian Kamil). *Lord Wellington. Po-*

gromca Napoleona. Str. 195. Wyd Atla 2, Wrocław 1997.
KURYŁOWICZ (Marek), WITKOWSKI (Wojciech). *Rozprawa Jana Zamoyskiego o senacie rzymskim.* Tekst ła-

- ciński oraz komentarz historyczno-prawny. Str. 323. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- SPODENKIEWICZ (Paweł), *Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska – ludzie i miejsca*. Str. 127. Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1998.
- Dzieje wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i zaprzyjaźnionych z nim stowarzyszeń 1957-1997*. Red. A. Grocholski. Str. 70. Oficyna Wydawnicza SIGNUM.
- Pomerania ethnica*. Mniejszości narodowe i etniczne na Pomorzu Zachodnim. Red. M. Giedroyc, J. Mieczkowski. Str. 253. Wydawca: AMP Paweł Majewski, Szczecin 1998.
- KOCÓJ (Henryk). *Francja a Konstytucja 3 Maja*. Obrady Sejmu Wielkiego w relacjach przedstawicieli Francji w Warszawie. Zagadnienia wybrane. Str. 447. Katowice 1997.
- PROKOP (Jan). *Sowietyzacja i jej maski*. PRL w latach stalinowskich. Str. 160. Wyd. VIRIDIS, Kraków 1997.
- TRUNK (Jechiel Jeszaja). *Pojln*. Obrazy i wspomnienia z Łodzi. Str. 142. Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 1997.
- JACKIEWICZ (Mieczysław). *Polskie życie kulturalne w Republice Litewskiej 1919-1940*. Str. 330. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1997.
- WITKOWSKA (Alina). *Cześć i skandale*. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków. Str. 212. Wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk.
- Lietuvių Atgimimo Istorijos Studijos*. Nr. 14. Ytautas Jogela. Vilniaus Romos katalikų devasinė akademija 1833-1842 metais: organizacija ir veikla. Str. 234. Eugrimas, Vilnius 1997.
- GRAF VON SCHWERIN (Christoph). *Als sei nichts gewesen*. Erinnerungen. Str. 414. Edition Ost, Berlin 1997.
- KRAWCHUK (Andrii). *Christian Social Ethics in Ukraine*. The Legacy of Andrei Sheptytsky. Str. 404. Canada Institute of Ukrainian Studies Press, Metropolitan Andrey Sheptytsky Institute of Eastern Christian Studies, and the Basilian Press, Edmonton-Ottawa-Toronto 1997.
- PACZKOWSKI (Andrzej). *Polska 1986-1989: od kooptacji do negocjacji*. Kilka uwag o wchodzeniu w proces zmiany systemowej. Str. 44. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Województwo kijowskie. T. 11. Str. 804. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1997.
- NIVAT (Georges). *Regards sur la Russie de l'an VI*. Considération sur la difficulté de se libérer du despotisme. Str. 292. Editions de Fallois/l'Age d'Homme, Paris 1998.
- PROKOP (Jan). *Lata niby-Polski*. Literatura – stalinizm – mity polityczne. Str. 146. Wyd. VIRIDIS, Kraków 1998.

OKRUCHY HISTORII

Tomasz WŁODEK

KRZYŻACY

*Jakubowi II Następcy Tronu
Dedykuje*

1. Początki

Turyści zwiedzający jerozolimskie Stare Miasto, udający się po obejrzeniu dzielnicy żydowskiej uliczkami wiodącymi z placu przy ruinach synagogi Hurwa pod Ścianę Płaczu, mijają resztki jakiegoś kościoła i nie wiedzą nawet, że stanowi on miejsce, w którym setki lat temu miał początek długi ciąg wydarzeń, mający w ostatecznym rozrachunku niemały wpływ na kształt kończącego się obecnie stulecia w tym na wybuch drugiej wojny światowej.

Owe niepozorne ruiny stanowią jedyną pozostałość po kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny wybudowanym przy szpitalu należącym do Zakonu Szpitala Niemieckiego, w Polsce doskonale znanym pod nazwą Zakonu Krzyżackiego.

Początki Zakonu giną w pomroce dziejów. Wiadomo, że w roku 1118 powstał w Jerozolimie Szpital Niemiecki Najświętszej Marii Panny, o którym najstarsze informacje przekazał nam Jakub von Vitry, biskup Akko w latach 1216-1228, który w swoich kronikach zapisał, że:

„Po tym jak Święte Miasto, po wyzwoleniu go, zostało zasiedlone przez chrześcijan, wielu Niemców i Alemanów przybyło jako pielgrzymi do Jerozolimy i nie mogło się porozumieć, albowiem nie znali języka miasta¹, wzbudzili oni litość pewnego bogatego Niemca, który ze swoją małżonką mieszkał w mieście i postanowił na swój koszt wybudować hospicjum dla opieki nad biednymi i potrzebującymi. Gdy hospicjum to zgromadziło wielu chorych, wzniosł on za zgodą patriarchów przylegające doń oratorium pod wezwaniem Świętej Bogarodzicielki Maryi. Długo opiekował się chorymi, częściowo na własny koszt, a częściowo za to co zdołał zebrać wśród wiernych. Wielu z nich, zwłaszcza z narodu niemieckiego pochodzących, poświęcili się i swoje dobra szpitalowi i służbie chorym. Gdy z biegiem czasu pojawili się wśród nich również ludzie stanu rycerskiego, uznali, że ku większej chwale Bożej, winni nie tylko zająć się opieką nad biednymi chorymi, lecz również swoje życie Chrystusowi poświęcić i przez obronę Ziemi Świętej dla Niego tak duchowo jak i cieleśnie walczyć. Po czym, nie rezygnując z opieki nad chorymi, przyjęli na siebie zobowiązania i prawa Świątyni². Dla odróżnienia od innych [zakonów rycerskich] wyhaftowali czarne krzyże na swoich białych płaszczach.”

Jednak, wbrew opinii biskupa, nie jest dzisiaj do końca jasne czy założenie Szpitala Niemieckiego w Jerozolimie w roku 1118 było w jakikolwiek sposób powiązane z powstaniem Zakonu Niemieckiego. Wiadomo bowiem, że w roku 1187 Jerozolima została zdobyta przez Saladyna i istniejący w niej wówczas Szpital Niemiecki został zniszczony.

Dla odbicia utraconych przez krzyżowców terenów ruszyła Trzecia Krucjata. Europejskie armie przybyły do Palestyny jesienią 1189 roku i przystąpiły do oblężenia miasta i portu Akko. Ponieważ warunki podczas przeciągającej się blokady były ciężkie, zaś rycerstwo dziesiątkowane przez choroby, toteż grupa kupców z Bremy i Lubeki zorganizowała latem 1190 roku na okolicznych wydmach szpital połowy, pierwotnie mieszczący się w namiocie z płótna żaglowego. Po

1. Tj. języka francuskiego, którym mówiła większość uczestników pierwszej krucjaty.

2. Tj. regułę Zakonu Templariuszy.

zdobyciu miasta szpital umieszczono w budynku w pobliżu murów miejskich i nadano mu nazwę Szpitala Niemieckiego Świętej Marii z Jerozolimy. Spory czy ów szpital stanowić miał kontynuację szpitala o tej samej nazwie, który istniał w Jerozolimie do czasu podboju Saladyna, czy też zbieżność nazw jest przypadkowa trwają do dziś i w efekcie nie wiadomo na pewno czy Zakon Krzyżacki powstał w Jerozolimie w roku 1118 czy w Akko w 1190, z tym, że współczesni historycy – oraz sam Zakon – raczej przychylają się do tej drugiej wersji³.

Niezależnie od tego czy Zakon Niemiecki powstał w roku 1118 czy też w 1190, nie ulega wątpliwości, że początkowo pełnił on wyłącznie funkcje szpitalne. Jednak już w roku 1198 stał się również zakonem rycerskim, którego celem miała być obrona chrześcijańskiego królestwa Jerozolimskiego.

Dalsze lata przyniosły jego gwałtowny rozwój zaś rozsiane po świecie filie zaczęły powstawać w błyskawicznym tempie. W 1196 oprócz Akko istniało w Palestynie pięć domów zakonnych. Rok później założono kolejne w Palermo na Sycylii i w Baletta w południowych Włoszech. Sto lat później było ich już rozrzuconych po Europie od Szwecji po Morze Śródziemne ponad trzysta.

2. Zakon Szpitalniczy

Działalność wojskowa stanowiła tylko jeden aspekt historii Zakonu Niemieckiego. Drugim, rzadziej zauważanym celem jego działalności była opieka nad chorymi i potrzebującymi. Myślę, że warto krzyżackiej działalności charytatywnej oraz intelektualnej poświęcić kilka słów.

Zgodnie z regułą Zgromadzenia w siedzibach Zakonu starano się zakładać szpitale i przytułki dla starców. Źródła przekazują nam wiele informacji na temat krzyżackich służb medycznych. Zakonne szpitale odznaczały się wysoką higieną,

3. Szczegółowo kwestię tę omawia broniąc przy okazji tezy, że Zakon powstał w Akko w 1190, a nie w Jerozolimie w 1118 Gerard Muller w pracy „Jerusalem oder Akkon? Über den Anfang des Deutschen Ordens nach dem gegenwertigen Stand der Forschung”.

nierzadko dysponowały własnymi łaźniami, a nawet – bieżącą wodą. Założony przez Krzyżaków w Gdańsku szpital św. Elżbiety posiadał – używając współczesnej terminologii – oddział położniczy, czyli osobny budynek z kuchnią dla matek z małymi dziećmi, a także własną sporą bibliotekę – a proszę pamiętać, że było to w średniowieczu!

Zakon prowadził także szereg szkół, w tym niektóre na bardzo dobrym poziomie. Wśród braci było wielu autorów traktatów z dziedziny prawa, medycyny, teologii, geometrii a nawet lingwistyki – na przykład ich dziełem jest opracowanie słownika języka pruskiego. Oprócz tego zakonnicy pozostawili po sobie sporą spuściznę literacką i dziejopisarską obejmującą dzieła o tematyce religijnej jak również liczne kroniki. W drugiej połowie XIV wieku Zakon podjął nawet próbę utworzenia uniwersytetu w Chełmnie uzyskując dla projektu aprobatę papieża, jednak ostatecznie zamiar ten został zarzucony, zapewne na skutek kłopotów finansowych spowodowanych przez ciągnące się wojny.

Wiele ze szpitali lub przytułków założonych przez Krzyżaków w krajach, w których działało ich zgromadzenie, zostało później przejętych bądź przez inne zakony (jak np. szpital św. Ducha w Toruniu przejęty w roku 1414 przez siostry benedyktyнки) bądź przez rady miejskie (jak np. w Gdańsku lub Królewcu). Myślę, że warto byłoby kiedyś przebadać dokładnie losy tych instytucji. Niewykluczone, że niektóre z nich, pod zmienioną nazwą i pod zmieniającym się w ciągu stuleci zarządem i właścicielem dotrwały aż do naszych czasów⁴.

4. Tak pół żartem a pół serio pozwolę sobie postawić historyków wobec następującego problemu. Wspomniany wcześniej szpital polowy, który dał początek Zakonowi, stał się po zdobyciu Akko Centralnym Szpitalem Zakonu Niemieckiego. Rolę tę pełnił aż do upadku Królestwa Jerozolimskiego kiedy tytuł ten został przejęty przez szpital elbląski, założony około roku 1242, który apogeum swojej świetności osiągnął pod koniec XIV wieku stając się niezwykle – jak na owe czasy – nowoczesnym zakładem. W roku 1457 został on przejęty przez Radę Elbląga. Nie są mi znane jego dalsze losy, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał, jako szpital miejski, funkcjonować nadal. Być może udałoby się przy pomocy akt wykazać, że to właśnie któryś z dzisiejszych szpitali istniejących w tym mieście (Wojewódzki Szpital Zespolony, Szpital Wojskowy lub Poliklinika MSW) jest prawnym spadkobiercą Głównego Szpitala Zakonu Niemieckiego a tym samym również i owego szpitala w namiocie z płótna żaglowego wzniesionego na przedpolach Akko, o którym wspominał biskup von Vitry.

3. Prusy

Upadek Królestwa Jerozolimskiego i ostateczna klęska krzyżowców sprawiły, że Zakon musiał znaleźć dla siebie nową siedzibę. Początkowo, za namową węgierskiego króla Andrzeja, Krzyżacy osiedlili się w Siedmiogrodzie, gdzie w zamian za nadaną im ziemię mieli bronić południowych granic państwa. Na otrzymanych terenach przystąpili do budowy umocnień a dla ich zagospodarowania zaczęli sprowadzać osadników z Niemiec. Następca Andrzeja, Bela, zorientował się, że Zakon zaczyna wydostawać się spod kontroli stając się państwem w państwie i przepędził ich z Węgier.

Jak wiadomo Konrad Mazowiecki miał mniej wyobraźni i zaprosił ich do swojego księstwa, aby pomogli mu w obronie granicy z Prusami, często wówczas najeżdżającymi ziemie polskie. W swojej naiwności liczył na to, że nadając Zakonowi Ziemię Chełmińską zapewni sobie jego pomoc przeciwko kłopotliwym sąsiadom, co z kolei umożliwi jemu samemu podjęcie starań o zdobycie Krakowa i koronację na Wawelu. Celu w postaci korony Królestwa Polskiego nie osiągnął, wywołał za to kilka stuleci zaciekłych wojen. Inna sprawa, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że wypędzeni z Węgier Krzyżacy pojawiliby się nad Bałtykiem tak czy inaczej.

Warto też pamiętać o jednym dość istotnym szczególe. Stulecia późniejszych walk z Krzyżakami sprawiły, że raczej mamy tendencję do utożsamiania się z podbitymi przez Zakon Prusami oraz demonizowania jego rycerzy. Zresztą jest to trend ogólnoświatowy – dzisiejsi historycy raczej biorą stronę ludów podbitych – rzadziej zaś podbijających, stąd dużo można we współczesnej historiografii znaleźć ciepłych słów pod adresem czy to północnoamerykańskich Indian, czy też europejskich Prusów. Ogólnie rzecz biorąc panuje tendencja przedstawiania tych ludów jako społeczeńści idealnych, żyjących w umiłowaniu pokoju i w harmonii z przyrodą, podczas gdy narody europejskie utożsamiane są ze wszelkim złem jakie tylko ludzkość kiedykolwiek spotkało. Nie jest to wbrew pozorom moda nowa – już dawniej w epoce Oświecenia zrobił w książkach karierę stereotyp szlachetnego dzikusa –

wolnego od wad cywilizacji i nieskażonego nowoczesnością. Jak to zwykle bywa, rzeczywistość jest mniej romantyczna, zaś historycy bezkrytycznie idealizujący ludy podbite często nie kierują się pragnieniem dociekania prawdy, lecz chęcią wykorzystania historii dla „dokopania” czy to współczesnym władcom, czy to kościołowi katolickiemu. Niestety, niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z niesłuszności przenoszenia dzisiejszych poglądów dla interpretowania wydarzeń z odległej przeszłości. Ani Indianie, ani Prusowie nie byli bynajmniej miłującymi pokój i przyrodę rolnikami, tworzącymi wolne od wad społeczeństwo, nikomu w drogę nie wchodzące i pragnące tylko być zostawionym w spokoju. W rzeczywistości, jedni jak i drudzy, byli narodami wojowników, kochającymi się w wojaczce i wyprawach rabunkowych, często pełnych wyrafinowanego okrucieństwa. Łupieżcze rajdy Prusów pustoszyły raz po raz Mazowsze, toteż dla mieszkańców tej dzielnicy zapewnienie sobie jakiej-takiej ochrony granic było kwestią (dosłownie) życia i śmierci. Współczesna moda na sympatię dla narodów pokonanych – wynika po trosze z tego, że nie istniejąc nie stanowią już oni dla nas zagrożenia, a po trosze również i stąd, że antyklerykalna propaganda lubi wykorzystywać motyw podboju Ameryki przez białych kolonizatorów jako argumentu w swoich atakach na chrześcijaństwo.

Modny dzisiaj pacyfizm jest luksusem na jaki stać bogatą i bezpieczną Europę końca dwudziestego wieku. Niestety Konrad Mazowiecki nie miał czasu ani możliwości zastanawiać się czy Ewangelia pozwala czy nie pozwala na prowadzenie wojen mających na celu ujarzmianie pogan. Bilans setek spalonych wsi i zniszczonych kościołów sprawiał, że z Prusami „coś należało zrobić”.

Początkowo próbowano ich nawracać metodami pokojowymi. Jak pamiętamy już w roku 997 udał się do nich z misją Wojciech z Pragi, lecz wkrótce poniósł śmierć. W 1009 ten sam los spotkał jego następcę, Brunona z Querfurtu. Pewne efekty osiągnęli dopiero cystersi, którym udało się w roku 1207 założyć klasztor na Pomorzu. Był to jednak sukces krótkotrwały. Klasztory i kościoły zostały przez Prusów zrównane z ziemią.

Nieskuteczność akcji misyjnej popchnęła władców Mazowsza w stronę zaakceptowania rozwiązania militarne­go. Znajdująca się w stanie roz­bicia dzielnicowego Polska była jednak zbyt słaba aby Prusów podbić o własnych siłach, toteż narodził się pomysł powie­rzenia obrony pogranicza któremuś z zakonów rycerskich. W Europie istniały wówczas rozmaite zgromadzenia mnichów rycerzy – hiszpański Zakon Calta­ra­va, niemiecki Zakon Krzyżacki, oraz – teoretycznie ponadna­rodowe, w praktyce jednak zdominowane przez Francuzów i Włochów – zakony templariuszy i joannitów. Czyż nie był czas aby utworzyć zakon rycerski polski?

Tak doszło do powstania w roku 1228 Zakonu Rycerzy Dobrzyńskich, nazwanego tak od miasta w którym znaleźć miała się jego siedziba. W założeniu mieli oni za zadanie walkę z Prusami i obronę przed nimi Mazowsza, w praktyce jednak nigdy nie rozwinęli szerszej działalności a pomysł okazał się być niewypałem. Być może, gdyby powstanie ich zgromadzenia przypadło na czasy Łokietka lub Kazimierza Wielkiego, już po ponownym zjednoczeniu Królestwa Pol­skiego, poszliby w ślady templariuszy lub zakonów Calta­ra­va czy Santiago di Compostella stając się potężną i elitarną organizacją decydującą o kształcie polityki państwowej. Ponieważ jednak powsta­li na prowincjonalnym i ubogim Mazowszu, więc nigdy nie zdołali zdobyć znaczenia i osta­tecznie w roku 1235 zostali wchłonięci przez Zakon Krzy­żacki gdy ten pojawił się w okolicy, zaproszony przez roz­czarowanego brakiem sukcesów Rycerzy z Dobrzynia Kon­rada Mazowieckiego.

Nie będę tu omawiał historii podboju Prus oraz dziejów Zakonu nad Bałtykiem, gdyż sa to sprawy na ogół pow­szechnie w Polsce znane.

4. Schyłek

Jak wiadomo punktem zwrotnym w historii Zakonu (oraz środkowo-wschodniej Europy) była bitwa pod Grun­waldem, stanowiąca jego poważną klęskę militarną. Historycy na ogół są zgodni co do tego, że zwycięstwo to zostało przez

Jagiełłę zaprzepaszczone. Gdyby Polacy natychmiast ruszyli z pobojuwiska na Malbork – stolica państwa krzyżackiego zostałaaby zdobyta niemal bez walki i Zakon przestałby istnieć w roku 1410. Zwlekając kilka dni, król dał przeciwnikowi czas na otrząśnięcie się z klęski i zorganizowanie obrony, a w ostateczności przedłużył jego agonię o ponad stulecie. Paweł Jasienica twierdził, że Jagiełło uczynił to celowo, aby poprzez zniszczenie państwa krzyżackiego nie wzmocnić zbytnio Polski kosztem Litwy. Król miał podobno wychodzić z założenia, że unia pomiędzy oboma krajami nie przetrwa, jeżeli jeden stanie się wyraźnie silniejszy od drugiego. Czy rzeczywiście takie były jego kalkulacje nigdy już się nie dowiemy, jedno jest tylko pewne – zawarty w Toruniu pokój nie dawał Polsce prawie nic, niemal jak gdyby wojna 1410 roku nie zakończyła się druzgocącym zwycięstwem, lecz pozostała nierozstrzygnięta. Trudno o lepszą ilustrację tezy, że Polacy potrafili wygrać bitwy, ale systematycznie przegrywają wojny.

Grunwald nie stanowił końca Zakonu, stanowił jednak dla niego potężny ogłuszający cios między oczy. Cios śmiertelny miał mu zadać syn Jagiełły, Kazimierz Jagiellończyk. W polskiej historiografii jest to postać mało znana, być może dlatego, że nie została spopularyzowana przez powieściopisarzy. Matejko przedstawił go jako dość szaro i przeciętnie wyglądającego człowieka, nie mającego nic z dostojności licznych innych monarchów. Takim zresztą królem był – zorganizowanym, kompetentnym i sprawnym, choć pozbawionym rycerskiego temperamentu mogącego stać się kanwą dla ballad i poematów. Za jego sprawą zdobycie stolicy Zakonu odbyło się w sposób niezbyt patetyczny, bez żołnierzy wdzierających się na mury i zatykających sztandary na zdobytych basztach i bez bohaterskich szturmów, które mogłyby stać się tematem dla obrazów batalistycznych. Gdy w roku 1457 wojska polskie stanęły pod Malborkiem, był on broniony przez czeskich najemników. Zamiast posyłać żołnierzy do ataku, król zapytał załogę o to, jaką im Zakon obiecał zapłatę za obronę zamku, po czym zaproponował, że da tyle samo i to gotówką jeżeli go oddadzą bez walki. Wyplącalność Wielkiego Mistrza stała już wówczas pod znakiem zapytania, więc kondotierzy nie mieli specjalnych skrupułów i twierdza,

nie zdobyta przez Jagiełłę w regularnym oblężeniu, wpadła w ręce jego syna dzięki zwykłej transakcji kupieckiej. W osobie Jagiellończyka, miała Polska króla-pragmatyka, który postawione sobie cele na ogół osiągał, nawet jeżeli czynił to w sposób odlegający od widowiskowości Grunwaldu.

Podczas wojny trzynastoletniej nie dochodziło do wielkich wypraw podobnych do tej z 1410 roku, była to wojna obliczona na wyczerpanie przeciwnika, do czego zresztą doszło – Zakon został pokonany, gdyż Jagiellończyk doprowadził go do bankructwa. Dwie jednak bitwy podczas tej wojny uważa się za rozstrzygające – pod Świecinem w roku 1462 pokonane zostały wojska krzyżackie, dzięki czemu Pomorze Gdańskie przeszło pod władzę polską. Było to o tyle istotne, że Prusy zostały odcięte od Europy, skąd Zakon mógłby otrzymywać zaopatrzenie, broń i pieniądze. Samo w sobie nie wystarczyłoby to jeszcze do pokonania Krzyżaków, przynajmniej tak długo, jak długo ich okręty panowały na Bałtyku. Jednak gdy Gdańsk i Elbląg zdobyły się na zorganizowanie i wyekwipowanie floty wojna przeniosła się na morze. Przez szereg lat walki miały charakter korsarskich rajdów sprowadzających się do atakowania konwojów przewożących zaopatrzenie dla wojsk Zakonu, aż z biegiem czasu Krzyżacy znaleźli się w defensywie również na Bałtyku. Do decydującej rozgrywki doszło w roku 1463, gdy flota Wielkiego Mistrza wpłynęła w ujście Wisły z zamiarem dostarczenia zaopatrzenia w rejon położonego w głębi lądu Gniewna. Wyprawa się nie udała, krzyżackie żaglowce musiały zawrócić. Manewrując wśród odnóg Wisły dotarły na Zalew Wiślany próbując przebić się do pozostającego w rękach zakonnych Królewca. Nadaremnie – w rejonie Elbląga oczekiwała już polska flota. Bitwa była tyleż zaciekła co krótka – z kilkudziesięciu okrętów Zakonu żaden nie zdołał uciec, wszystkie co do jednego zostały zdobyte przez Polaków.

Bitwa na Zalewie Wiślanym stanowiła jedno z ważniejszych zwycięstw militarnych w historii Polski, jednak co dziwne, nie stała się ona częścią narodowej mitologii tak jak Grunwald, Wiedeń czy Chocim. Być może spowodował to fakt, że Polska była (i w dużym stopniu nadal jest) krajem śródlądowym, gdzie legenda kawalerzysty – zagończyka

zawsze miała silniejsze oddziaływanie aniżeli chęć odkrywania nowych lądów i wypraw na inne kontynenty. Budowania silnej floty nigdy nie uważano w Polsce za priorytet narodowy, podejmowane od czasu do czasu próby stworzenia marynarki wojennej zarzucano po kilkunastu latach. Na przestrzeni ponad trzech stuleci dzielących wywalczenie przez Polskę dostępu do morza od pierwszego rozbioru Rzeczpospolita była na Bałtyku nieobecna. Kilka drobnych sukcesów, jak chociażby przełamanie szwedzkiej blokady Gdańska w bitwie pod Oliwą w 1627 roku, nie miało w tym obrazie żadnego praktycznego znaczenia, były one zresztą szybko zaprzepaszczane.

Jest więc rzeczą zdumiewającą, że Polska, jak już powiedzieliśmy, kraj tradycyjnie śródlądowy, odniosła jedno z ważniejszych zwycięstw militarnych w swojej historii w bitwie morskiej. Niestety jednak, ani Jakub Vochs, głównodowodzący polskiej floty we wspomnianej bitwie, ani jego kaszubscy marynarze bohaterami narodowymi nie zostali, a szkoda.

Pokonany w wojnie trzynastoletniej Zakon musiał pogodzić się z utratą Pomorza Gdańskiego wraz z Malborkiem. Był to cios, z którego już nigdy nie zdołał się podnieść – pozostała część państwa zakonnego pograżyła się w głębokim kryzysie. Powołaniem Zakonu była militarna obrona chrześcijaństwa – ale przed kim? W wieku XV pogan już nad Bałtykiem nie było, Polska była krajem chrześcijańskim tak jak i Zakon, w dodatku wojna trzynastoletnia rozpoczęła się od powstania wywołanego przez Związek Pruski, czyli organizację skupiającą poddanych Zakonu, chcących się spod jego władzy wyzwolić. Przed kim Zakon miał bronić pruskich chrześcijan, skoro oni sami dobitnie dawali mu do zrozumienia, że żadnej ochrony nie chcą?

Przez pewien czas rozważano plany przesiedlenia Krzyżaków na południowo-wschodnie kresy Polski i Litwy celem powierzenia im obrony przed Tatarami jednak planów tych, niestety, nie zrealizowano. W czasach Jana Olbrachta oddziały Zakonu wzięły nawet udział w polsko-litewskiej wyprawie do Mołdawii mającej w zamierzeniu opanowanie czarnomorskich portów Kili i Białogrodu. Cel nie został osiągnięty, portów nie zdobyto, zaś w drodze powrotnej wyprawa zakończyła się niepowodzeniem.

czyła się straszną klęską w lasach bukowieńskich, po której jeszcze wiele lat później miało krążyć w Polsce przysłowie, że za króla Olbrachta wyginęła szlachta. Wchodzący w skład wojsk polskich hufiec krzyżacki został doszczętnie wybity przez Mołdawian.

Podczas panowania Zygmunta Starego okres współdziałania polsko-krzyżackiego dobiegł końca i wojny rozgorzały na nowo, z tym, że tym razem ich wynik był już z góry przesądzony. Zakon był głęboko zdemoralizowany, masowe przechodzenie braci na protestantyzm zdzięsiatkowało jego armię. Wielki Mistrz nie miał innego wyjścia jak prosić o pokój.

Jak wiemy Zygmunt Stary mógł wówczas jednym ruchem pióra zaanektować Prusy dobijając Zakon ostatecznie. Zamiast tego zgodził się na sekularyzację jego państwa i przekształcenie go w księstwo będące lennem Polski. Ostatni Wielki Mistrz przeszedł na luteranizm i został świeckim władcą Prus. Z punktu widzenia strategicznych interesów Polski był to straszny błąd – Prusy Książęce miały w latach potopu szwedzkiego wykorzystać słabość Rzeczypospolitej dla uniezależnienia się od niej, połączyć z Brandenburgią i wzmocnić militarnie na tyle aby, już jako Królestwo Prus, zorganizować rozbiory Rzeczypospolitej, zaś sto lat później zjednoczyć Niemcy. Nic więc dziwnego, że w polskiej potocznej świadomości zarówno Fryderyk Wielki, Otto von Bismarck, cesarz Wilhelm, jak i pewien malarz, stali się w prostej linii dziedzicami wielkich mistrzów Zakonu Niemieckiego.

W rzeczywistości sprawy są bardziej skomplikowane.

Historycy piszący o dziejach Zakonu Krzyżackiego na ogół kończą je na roku 1525 i hołdzie pruskim. Tylko nieliczni wspominają, że bynajmniej nie przestał on wtedy istnieć, lecz jedynie został przekształcony w organizację charytatywną istniejącą po dziś dzień.

Zarówno jedni jak i drudzy nie mają racji.

5. Zakon Niemiecki po roku 1525

Po roku 1525 Zakon istniał nadal. Faktem jest, że po utracie własnego państwa zaczął kłaść większy nacisk na dzia-

łałność stanowiącą jego pierwotne powołanie – czyli na prowadzenie szpitali, jednak nie jest prawdą, że przestał istnieć jako organizacja rycerska stawiająca sobie za cel obronę chrześcijaństwa. Co więcej – wojska polskie i krzyżackie miały się jeszcze na polach bitewnych spotkać niejednokrotnie – i to za każdym razem w dość zaskakujących okolicznościach.

Ale po kolei.

Konsekwencją hołdu złożonego przez Albrechta Hohenzollerna królowi polskiemu była likwidacja państwa krzyżackiego w Prusach. Przetrwało jednak państwo zakonne w Inflantach, pierwotnie założone w XIII wieku przez Zakon Kawalerów Mieczowych, później połączony unią z Zakonem Niemieckim. Po pokoju toruńskim i odzyskaniu przez Litwę Żmudzi północna część państwa zakonnego nie mając lądowego połączenia z Prusami rozwijała się jednak *de facto* niezależnie co, w połączeniu z jej geograficznym oddaleniem, pozwoliło jej przetrwać blisko 50 lat dłużej. Stojąc wobec groźby podboju przez Iwana Groźnego ostatni Wielki Mistrz inflancki Gotthard Kettler postanowił szukać pomocy w Polsce i poszedł w ślady Albrechta Hohenzollerna składając hołd lenny królowi polskiemu i sekularyzując państwo zakonne. W ten sposób Zakon Krzyżacki przestał istnieć nad Bałtykiem.

Jednak oprócz Prus Zakon dysponował posiadłościami ziemskimi rozrzuconymi w Europie, zorganizowanymi w szereg tzw. baliwatów, czyli jednostek organizacyjnych grupujących po kilka-kilkanaście domów zakonnych. Ich losy potoczyły się rozmaicie.

Baliwat czeski oderwał się od Zakonu już w wieku XIV, kiedy to jego przełożony został podporządkowany cesarzowi niemieckiemu a nie Wielkiemu Mistrzowi. Baliwat ten został zniszczony przez Husytów w latach 1417-1436.

Baliwat Romania, znajdujący się, wbrew temu co jego nazwa mogłaby sugerować, na terenie Grecji, powstał po zajęciu tego kraju przez krzyżowców. Po podboju tureckim został zniszczony, ostatnia placówka Krzyżaków upadła tam w roku 1500. W basenie Morza Śródziemnego Zakon posiadał jeszcze posiadłości na Cyprze, we Włoszech i na Sycylii. Wszystkie one przestały istnieć najpóźniej w XV wieku, czy

to na skutek podbojów tureckich, czy też przejmowania ich przez Kurię Rzymską. Część została skonfiskowana przez Wenecjan podczas ich wojen z cesarstwem w roku 1512.

Niewielkie domy zakonne istniały też przejściowo w południowej Francji a nawet Hiszpanii. Zostały one jednak zlikwidowane i sprzedane, gdy okazało się, że ich utrzymanie jest nieopłacalne.

Największe jednak posiadłości zakonne (oprócz pruskich rzecz jasna) znajdowały się na terenie Niemiec. W roku 1525, w chwili likwidacji państwa krzyżackiego, leżały one poza zasięgiem władzy króla polskiego, toteż decyzji o sekularyzacji nie uznały. Jednak pozostały w Niemczech Zakon był zbyt słaby aby kiedykolwiek móc powrócić do Prus. W dodatku, jak się wkrótce okazało, był wewnętrznie rozbity – a przez kilka lat nie zdołano się porozumieć na temat tego, kto ma zostać wybrany Wielkim Mistrzem w następstwie Albrechta. Ostatecznie, po licznych sporach i negocjacjach, został nim w roku 1529 Walter von Cronberg. Stał on na czele Zakonu znajdującego się w głębokim kryzysie, skłóconego i podzielonego. W ciągu wieku XVI część prowincji przyłączyła się do reformacji, tak że przez pewien czas istniały nawet trzy zakony krzyżackie – katolicki, luterkański i kalwiński. Na przestrzeni stuleci jego protestanckie odłamy powoli wymarły zaś do naszych czasów przetrwał tylko niewielki kalwiński Rycerski Zakon Niemiecki, Baliwat Utrecht, powstały po oderwaniu się od Zakonu jego filii położonych w Niderlandach. Istniał on na terenie Zjednoczonych Prowincji do roku 1811, kiedy został przejściowo zlikwidowany przez Francuzów, reaktywowany w roku 1815 funkcjonuje po dziś dzień. Na jego członków przyjmowane są wyłącznie osoby narodowości holenderskiej mogące udokumentować pochodzenie arystokratyczne co najmniej przed rokiem 1795.

Ale wróćmy do losów katolickiego odłamu Zakonu.

W roku 1527 siedziba Wielkiego Mistrza została przeniesiona do Mergentheim we Frankonii w południowych Niemczech.

Utrata własnego państwa oraz straty poniesione podczas reformacji uczyniły koniecznością głęboką reformę reguły Zakonu. Jej autorem miał zostać arcyksiążę Maksymilian

Austriacki, Wielki Mistrz w latach 1590-1618. Jest to postać o tyle ciekawa, że niewiele brakowało a zostałby królem Polski.

Po abdykacji Henryka Walezygo Maksymilian zgłosił swoją kandydaturę na króla polskiego. Pod naciskiem cesarza Zakon zgodził się przyjąć go w swoje szeregi, zapewne po cichu licząc na to, że w razie obrania go królem pozwoli Krzyżakom na powrót do Prus. Jednak brać szlachecka zgromadzona na polu elekcyjnym nie potrafiła osiągnąć porozumienia co do wyboru monarchy. Mówiąc ściślej – zdołano się dogadać co do tego, że król został wybrany, kłopot w tym, że nie ustalono kto. Część „panów braci” obstawała przy Zygmuncie Wazie, podczas gdy inni woleli Maksymiliana i w efekcie doszło do krótkiej wojny domowej. Maksymilian wkroczył do Polski z zamiarem opanowania Krakowa i objęcia władzy metodą faktów dokonanych. Miał jednak pecha, gdyż najpotężniejszy człowiek ówczesnej Rzeczypospolitej, kanclerz Jan Zamoyski, stanął po stronie sympatyków Zygmunta i zdecydował się uzurpatora wypędzić siłą. Kraków powitał go zamkniętymi bramami, oblężenie miasta nie przyniosło rezultatu i arcyksiążę musiał wycofać się na Śląsk, gdzie pod Byczyną dopadł go pościg Zamoyskiego. Pobity w polu, Maksymilian trafił do niewoli, z której zwolniony został po podpisaniu układów, w których definitywnie zrzekł się jakichkolwiek pretensji do polskiej korony. Królem został Zygmunt III Waza.

Nie sposób przewidzieć jak potoczyłaby się historia Rzeczypospolitej gdyby Maksymilian zdołał wówczas wprowadzić na polski tron dynastię Habsburgów. Być może Polska uniknęłaby katastrofalnych wojen szwedzkich, jednak jest wysoce prawdopodobne, że zostałaaby wciągnięta w wojnę trzydziestoletnią. Być może, że przez Habsburgów Polska związałaby się bardziej z Europą Centralną zamiast tracić przez następne stulecie siły i energię na obronę swoich wschodnich kresów. Jest jednak wysoce wątpliwe aby mogło mu się udać ponowne sprowadzenie (katolickiego) Zakonu Niemieckiego do protestanckich Prus.

Jedno wszakże wydaje się nie ulegać wątpliwości – gdyby władzę w Polsce objęli Habsburgowie – stolica pozostałaby

w Krakowie. Jako Galicjanin stawiam więc kreskę za Maksymilianem.

Pokonany jako pretendent do polskiej korony, miał więcej szczęścia jako reformator Zakonu Krzyżackiego, którego Wielkim Mistrzem został trzy lata później. Opracował nową regułę zakonną, kładącą większy niż dotychczas nacisk na działalność szpitalną oraz duchowną. Oprócz prowadzenia szpitali i przytułków zaczęto także zajmować się kształceniem księży. W Mergentheim Maksymilian założył seminarium duchowne, nieco później ufundowano także bursę dla studentów teologii na uniwersytecie w Kolonii.

6. *Wojny z Turcją*

Jednak fakt, że Zakon zaczął przykładać większą wagę do działalności edukacyjnej i charytatywnej nie oznaczał bynajmniej rezygnacji z jego powołania jako instytucji rycerskiej mającej bronić chrześcijaństwa – z bronią w ręku. Czasy były bowiem ciężkie. W roku 1526, w rok po hołdzie złożonym przez Albrechta Zygmunta Staremu na Rynku w Krakowie, Turcy uderzyli na Węgry i rozgromili pod Mohaczem armię Ludwika Jagiellończyka. Był to koniec królestwa Węgier, a także ogromnego wielonarodowego imperium dynastii Jagiellonów, które u szczytu potęgi obejmowało oprócz Polski i Litwy również Czechy i Węgry wraz ze Słowacją, Siedmiogrodem, Słowenią i Chorwacją. Rządzona przez Habsburgów Austria, zaczęła pełnić rolę przedmurza chrześcijaństwa, co w praktyce oznaczało dla niej blisko półtora stulecia zaciepionych walk dla powstrzymania naporu muzułmanów. Dwukrotnie zresztą, w latach 1529 oraz 1683, dojść miało do sytuacji, gdy armie tureckie stały pod Wiedniem zaś los cesarstwa wydawał się ostatecznie przesądzony.

Nie można się więc dziwić, że w myśl opracowanej przez Maksymiliana nowej reguły Zakonu co najmniej trzyletnia służba na tureckim pograniczu stała się obowiązkiem dla kandydatów na braci oraz wszystkich chcących robić w nim karierę lub piastować urzędy. W odróżnieniu jednak od czasów pruskich, kiedy to Zakon sam był podmiotem poli-

tyki i potrafił samodzielnie prowadzić i wypowiadać wojny, teraz jego rola nabrała charakteru pomocniczego. Trudno zresztą aby było inaczej – wojna jak wiadomo wymaga trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Nie posiadając już własnego państwa Zakon nie był w stanie utrzymywać wielkich armii – poczynając od XVI wieku jego siły zbrojne nie przekraczały liczebnie tysiąca żołnierzy, co stanowiło wprawdzie siłę znaczącą i mogącą zadecydować o wynikach bitew, jednak zbyt małą, aby mógł zdobyć się na jakąkolwiek samodzielną działalność i w efekcie stał się organizacją związaną z dynastią Habsburgów.

W tej sytuacji zaczęto sobie zdawać sprawę z tego, że dobrze byłoby przejąć we władanie którąś z twierdz przy granicy z Imperium Osmańskim co pozwoliłoby na odzyskanie namiastki własnej państwowości. Niewykluczone, że pomysły te wysunięte zostały pod wpływem przykładu Zakonu Joannitów, który na śródziemnomorskiej wysepce Malcie utworzył swoje mikropaństwo i który prowadził nie kończące się walki podjazdowe z flotą turecką oraz policyjne rajdy przeciwko berberyjskim piratom.

Przez pewien czas pod hasłem wspólnej walki z napierającymi na Europę muzułmanami próbowano zjednoczyć katolickie i protestanckie odłamy Zakonu, jednak ostatecznie nie zdołano osiągnąć porozumienia i projekt przejęcia przez Krzyżaków nadgranicznych fortec został zarzucony. Jednak przez cały wiek XVII mniejsze lub większe oddziały zakonne brały udział w wojnach z Turcją. Istnieją przekazy, że pewne symboliczne poczty krzyżackie walczyły w basenie Morza Śródziemnego, między innymi wspierając Wenecję i Zakon Joannitów podczas obrony miasta Candia na Krecie, oblężonego przez armie sułtana w roku 1669.

Coraz bardziej uzależniony od Habsburgów Zakon został wciągnięty w wojnę trzydziestoletnią, która okazała się dla niego katastrofą. Wprawdzie pod jej koniec odzyskano posiadłości czeskie, jak pamiętamy zniszczone przez Husytów w początkach XV wieku, jednak odbyło się to za cenę zrujnowania dóbr w Niemczech. Środek ciężkości Zgromadzenia przesunął się z Niemiec do Austrii.

Jest rzeczą ciekawą, że jedna z ostatnich większych bitew

toczonych przy współudziale sił krzyżackich była jednocześnie ostatnim znaczącym zwycięstwem dawnej Rzeczypospolitej. W roku 1683 wojska Zakonu Niemieckiego weszły w skład polsko-niemiecko-cesarskiej koalicji, która pod dowództwem Jana III Sobieskiego uratowała Wiedeń podczas tureckiego oblężenia. Naczelnym wódz oddziałów krzyżackich, Ludwig Anton von Pfalz Neuburg walczył podczas tej bitwy na lewym skrzydle wojsk sprzymierzonych. Również w oblężonym Wiedniu nie brakło Krzyżaków – na przykład dowódca kierujący obroną miasta – Guido von Starhemberg – był – o czym podręczniki historii rzadko wspominają – rycerzem zakonnym. Zresztą historia kontaktów pomiędzy Polską a Zakonem nie skończyła się wspólną walką przeciwko wojskom Kara Mustafy – wnuk Jana III Sobieskiego, Klemens August, wstąpił do Zakonu Niemieckiego i w roku 1732 osiągnął w nim nawet godność Wielkiego Mistrza.

Odsiecz Wiednia stanowiła ostatni przebłysk świetności dawnej Rzeczypospolitej a zarazem ostatnią większą operację wojskową toczoną przy współudziale Zakonu Niemieckiego. Dopóki w bitwach walczyli ze sobą ludzie uzbrojeni w miecze, a później szable czy rapiery, dopóty wojny można było prowadzić przy pomocy sił wprawdzie niewielkich liczebnie – ale elitarnych. Jednak pojawienie się broni palnej, stopniowo przez cały wiek XVI i XVII usprawnianej i udoskonalanej, zmieniło skład wojsk. Miejsce barwnych rycerzy awanturników w stylu Pana Wołodyjowskiego, dowodzącego pochodzącymi z ochotniczego zaciągu laudańskimi dragonami, garnącymi się do służby z chęci sławy, przygód czy dla zarobku, zajął żołnierz uzbrojony w karabin z bagnetem, wcielony do wojska siłą i poddany żelaznej tresurze, aby, jak to ujął Fryderyk Wielki, swojego kaprala bał się bardziej aniżeli wroga. W tych warunkach rola jaką oddziały zakonne mogły odgrywać na polach bitewnych zmalała do zera.

7. Hoch- und Deutschmeisterregiment

Zdając sobie sprawę z tego, że czasy „rycerzy w habitach” odchodzą w przeszłość, Wielki Mistrz Ludwig Pfalz posta-

nowił sformować pułk krzyżacki wchodzący w skład armii cesarskiej i mający stanowić jednostkę kultywującą wojskowe tradycje Zakonu. Tak doszło do utworzenia 15 marca 1695 roku *Hoch- und Deutschmeisterregiment* – „Pułku Wielkiego Mistrza i Mistrza Niemieckiego”⁵. Na wymarsz w pole nie musiał długo czekać – wojna z Turcją, wprawdzie osłabioną po klęsce pod Wiedniem, trwała nadal. Jak pamiętamy, w roku 1684 doszło do utworzenia Świętej Ligi – koalicji Państwa Kościelnego, Austrii, Wenecji i Polski, stawiającej sobie za cel wspólną walkę z muzułmanami. Ofensywa rozpoczęta na ogromnym froncie rozpościerającym się od Grecji po Podole szybko przyniosła szereg spektakularnych sukcesów – flota wenecka zdołała opanować Peloponez, zaś wojska cesarskie zdobyły Belgrad. W chwili gdy już wydawało się, że sułtan został zmuszony do proszenia o pokój, znalazł nieoczekiwanego sojusznika w osobie Ludwika XIV, króla Francji, który przystąpił do wojny przeciwko Austrii, dając tym samym przypartej do muru Turcji kilka lat wytchnienia – a także możliwość przejścia do chwilowej kontrofensywy. Jednak w roku 1697 na froncie francusko-austriackim zaplanował spokój, co pozwoliło cesarzowi na ponowne przerzucenie sił na Bałkany. Tym razem w skład sił austriackich wchodzić miał również pułk krzyżacki.

Swój chrzest bojowy przeszedł 6 września 1697 w potyczce pod Szireger Heide, zaś pięć dni później wziął udział w bitwie pod Zenta, w okolicy Szeged w południowych Węgrzech, w której naczelnym dowódcą sił austriackich, księżę Eugeniusz Sabaudzki pokonał armię turecką prowadzoną osobiście przez sułtana Mustafę II. Zwycięstwo to stanowiło zwieńczenie dzieła rozpoczętego pod Wiedniem przez Sobieskiego – w jego wyniku Turcy zostali nie tylko pobici, ale również ostatecznie wypędzeni z Węgier. Dwa lata później traktat karłowicki postawił kropkę nad „i”. Imperium Otto-

5. W czasach poprzedzających rozwiązanie Zakonu w Prusach tytuł Mistrza Krajowego przysługiwał przełożonym Zakonu w poszczególnych krajach – istniał więc Mistrz Czeski, Niemiecki etc. Po roku 1525, gdy baliwaty położone poza krajami niemieckimi albo się uniezależniły (jak np. utrechcki) lub przestały istnieć (jak czeski lub pruski), Wielki Mistrz (przełożony całego Zakonu) był każdorazowo równocześnie Mistrzem Niemieckim (przełożonym Zakonu w Niemczech).

mańskie musiało zwrócić Polsce Podole, uznać zwierzchnictwo Wenecji nad Grecją i definitywnie opuścić Węgry. Europa była uratowana.

W ciągu następnego stulecia pułk krzyżacki dzielił wloty i upadki państwa Habsburgów. W latach 1704-1710 walczył przeciwko Turkom na Bałkanach aby w roku 1712 zostać wysłanym do Niderlandów. Powrócił na pola bitewne podczas wojny sukcesyjnej hiszpańskiej w latach 1734-1748 walcząc na terenie Włoch. Podczas wojny siedmioletniej bronił (wówczas jeszcze austriackiego) Śląska przed Prusakami Fryderyka Wielkiego, ponosząc duże straty podczas bitwy pod Legnicą. Na krótko wziął udział w wojnie o sukcesję bawarską, aby po roku 1788 ponownie pojawić się na Bałkanach w ofensywach przeciwko Turkom.

Poczynając od roku 1793 pułk brał udział w wojnach z rewolucyjną Francją i Napoleonem walcząc między innymi pod Wagram i Marengo. Zresztą lista bitew i potyczek stoczonych przezeń w epoce napoleońskiej jest zbyt długa aby ją wymieniać w całości, o jednej wszakże wspomnieć należy. W roku 1799 podczas oblężenia Mantui we Włoszech pułk krzyżacki spotkał się ze – służącymi po przeciwnej stronie frontu – legionami Henryka Dąbrowskiego.

W roku 1848 został skierowany do tłumienia rewolucji w Wiedniu oraz do walki z powstańcami węgierskimi, zaś 9 sierpnia 1849 wziął udział w bitwie pod Temesvar, w której połączone armie austriacka i rosyjska pokonały Węgrów dowodzonych przez Polaka, weterana powstania listopadowego – Józefa Bema.

Stłumienie powstania węgierskiego stanowiło ostatnią zwycięską wojnę toczoną przez Cesarstwo Austriackie – każda następna przynosiła już tylko klęski. Tak było podczas wojny z Francją w roku 1859 oraz Prusami w 1864. W obydwu przypadkach pułk krzyżacki brał udział w walkach.

Ta ostatnia wojna, a właściwie katastrofalna bitwa pod Sadową w dzisiejszych Czechach, stanowiła koniec Cesarstwa Austrii. Przystarzała i źle dowodzona armia cesarska została rozgromiona przez zdyscyplinowane wojsko pruskie uzbrojone w nowoczesne szybkostrzelne karabiny ładowane od tyłu. Niemal kompletnie wybite zostały 12 pułk węgierski, 26

włoski, 51 węgiersko-rumuński, 47 styryjski, 57 polski oraz 8 batalion tyrolski. Ciężkie straty poniósł również pułk krzyżacki.

Nazwy jednostek rozbitych pod Sadową wymieniłem celowo, albowiem lista ta doskonale ilustruje problem przed jakim stanęło pokonane cesarstwo – Austria stanowiła pstrokatą mozaikę rozmaitych, niewiele ze sobą łączących grup etnicznych, których utrzymanie w jednym państwie było możliwe tylko siłą – a tej po wojnie z Prusami już nie było – lub przy pomocy kompromisów. Franciszek Józef uznał, że nie ma innej drogi jak negocjacje.

Rezultatem był tak zwany *Ausgleich* czyli umowa przekształcająca Cesarstwo Austriackie w dualistyczną monarchię Austro-Węgierską. Franciszek Józef został – jako I Ferenc József – koronowany na króla Węgier, obie części monarchii uzyskały własne parlamenty i rządy, wspólna pozostała jednak polityka zagraniczna. Armia, z wyjątkiem jednostek obrony terytorialnej, czyli austriackiej *landswehry* i węgierskich *honvedów* miała pozostać ponadnarodowa, choć ze względów praktycznych językiem komendy pozostał w niej język niemiecki.

Węgrzy uznali, że poprzez *Ausgleich* osiągnięte zostały wszystkie cele, o które walczyli w powstaniu 1848 roku i od tej pory stali się żarliwymi orędownikami utrzymania jedności monarchii. Przy okazji również i Galicja wykorzystała swoją szansę otrzymując autonomię, co, jak po cichu liczono, stanowić miało pierwszy krok ku przekształceniu (po ewentualnej wojnie z Rosją) Austro-Węgier w Austro-Węgry-Polskę. No ale to już zupełnie inna historia.

Myślę, że w tym momencie należy wyjaśnić pewne potencjalne nieporozumienie, które jak się obawiam, mogło stać się udziałem Czytelnika. Otóż wbrew temu, co mogłaby jego nazwa sugerować, w pułku krzyżackim nie służyli bynajmniej jacyś brodaci mnisi-rycerze lecz najzwyczajni austriaccy rekruci, pochodzący, po podzieleniu Austrii na szereg okręgów werbunkowych, z których każdy dostarczać miał żołnierzy do ściśle określonej jednostki wojska, z przedmieść Wiednia. Po prostu armie są na ogół instytucjami dość konserwatywnymi oraz rozmiłowanymi w tradycji i – na przykład – po dziś

dzień w skład Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych wchodziły oddziały kawalerii (zamiast koni dosiadające helikopterów lub czołgów) zaś w armii francuskiej istnieje pułk afrykańskich spahisów (złożony z żołnierzy, którzy nigdy w życiu nie widzieli Afryki na oczy). Śledzenie tradycji podobnych jednostek stanowić może dla kogoś rozmiłowanego w historii wojskowości niezwykle pasjonujące hobby.

Z *Hoch- und Deutschmeisterregiment* rzecz miała się podobnie. Jak przystało na pułk wywodzący się z Zakonu Niemieckiego mundur noszony przez jego żołnierzy miał kolor śnieżnobiały w nawiązaniu do koloru płaszczy rycerzy zakonnych⁶, zaś oficerowie przypinali do nich odznaki z czarnym krzyżem. Ponadto każdy z kolejnych Wielkich Mistrzów Zakonu Niemieckiego nosił tytuł *Regimentsinhaber* („Właściciel pułku”) oraz posiadał – teoretycznie – prawo do mianowania w nim oficerów (w praktyce jednak nigdy z tego prawa nie korzystano). Pod każdym jednak innym względem pułk krzyżacki, na początku obecnego stulecia przemianowany na 4. Cesarsko-Królewski Pułk Piechoty, stanowił zwyczajną jednostkę armii austro-węgierskiej.

8. Od odsieczy Wiednia do likwidacji Zakonu Rycerskiego

A teraz wróćmy do losów Zakonu Niemieckiego, które przestaliśmy śledzić po bitwie pod Wiedniem.

Cały wiek XVIII to okres jego stopniowego zamierania i przeistaczania się w organizację czysto honorową. Jedno wszakże wydarzenie w tym okresie jest godne odnotowania – w roku 1701 zdobył się na oficjalny protest dyplomatyczny w związku z przyjęciem przez władców Prus tytułu królewskiego, do czego, jak uważano, nie mieli prawa. Jednak Zakon był wówczas tak słaby, że nikt na ów protest nie zwrócił uwagi, nie mówiąc już o potraktowaniu go poważnie.

Cios ostateczny Zakonowi na terenie Niemiec zadało obalenie monarchii we Francji i wojny napoleońskie. Rewolucja rozpoczęta pod hasłem ograniczenia królewskiego abso-

6. Po roku 1867 zamieniono je na ciemnoniebieskie, jako lepiej maskujące.

lutyzmu szybko uległa degeneracji przekształcając się w ruch nastawiony na walkę z chrześcijaństwem. Dla Francji oznaczało to początek okresu zaciekłych prześladowań religijnych, kasaty klasztorów i burzenia kościołów. Przy tej okazji, po zajęciu przez wojska rewolucyjne terytoriów na lewym brzegu Renu doszło do konfiskaty znajdujących się w nich majątków Zakonu Niemieckiego.

W roku 1809, po pokonaniu Austrii i opanowaniu Niemiec, Napoleon rozwiązał Zakon na terenie Rzeszy. Przetrwały jedynie konwenty pozostające poza zasięgiem jego władzy – w Wiedniu, Grazu oraz kilku innych miastach cesarstwa. Z tego też względu siedzibę główną Zgromadzenia przeniesiono do stolicy Austrii, gdzie pozostaje po dziś dzień.

Po upadku Napoleona z Zakonu Niemieckiego pozostały już w zasadzie tylko resztki zaledwie kilkunastu braci i sześciu rycerzy.

Przez pierwszą połowę XIX wieku trwała stopniowa odbudowa Zgromadzenia. Przede wszystkim w roku 1839 zmieniono jego regułę przekształcając go w bractwo szpitalnicze, a więc rezygnując z prowadzenia działalności wojskowej⁷, tym razem jak się wydaje – definitywnie. Po raz pierwszy od średniowiecza przywrócono do życia żeńską gałąź Zakonu. Krzyżackim siostrom powierzono prowadzenie szpitali oraz domów opieki społecznej.

Stopniowo Zakon odrodził się oraz zaczął rozprzestrzeniać na terenach cesarstwa austriackiego. Od lat 60-tych XIX wieku Krzyżacy powrócili nawet na pola bitewne – tym razem jednak jako sanitariusze i personel szpitali polowych. Po raz pierwszy Zakon sformował oddziały sanitarne podczas wojny z Włochami. Później wzięły one udział w wojnach z Francją (1859) i Prusami (1861) oraz podczas I wojny światowej. Podczas tej wojny w skład armii c.k. monarchii wchodziło 6 szpitali polowych oraz kolumn sanitarnych wystawionych przez Zakon Niemiecki.

7. Choć co prawda nadal do Zakonu przyjmowani byli bracia-rycerze, był to już jednak tytuł wyłącznie honorowy. Ponadto reguła zakonna nie zabraniała przyjmowania w jego szeregi braci pełniących zawodowo służbę w wojsku, stąd też wśród dziewiętnastowiecznych Krzyżaków było wielu wyższych rangą oficerów armii Austro-Węgierskiej.

Rozpad Austro-Węgier sprawił, że stanął on wobec groźby likwidacji, gdyż w ekskrajach c.k. monarchii uchodził za organizację blisko związaną z obaloną dynastią Habsburgów. Uprzedzając oczekiwane dekrety nacjonalizacyjne rządów Czechosłowacji, Włoch i Jugosławii, Wielki Mistrz arcyksiążę Eugen złożył na ręce papieża rezygnację z pełnionych funkcji, zaś Zakon Niemiecki został, na mocy decyzji Stolicy Apostolskiej, przekształcony z rycerskiego w ściśle religijny.

Myszę, że w tym momencie należy zwrócić uwagę na dość istotny fakt, który jak się wydaje, często prowadzi do nieporozumień wśród ludzi niezorientowanych w subtelnościach reguły zakonnej oraz prawa kanonicznego. Otóż, wbrew temu co na ogół się sądzi, Zakon Niemiecki nie był zakonem klerykalnym – jak dominikanie, franciszkanie czy jezuita lecz rycerskim. W praktyce oznaczało to, że tworzyli go bracia trzech różnych kategorii. Bracia-rycerze – stanowiący trzon jego sił zbrojnych, zwykli bracia – nie mający święceń kapłańskich, pełniący funkcje administracyjne i gospodarcze, czasami tylko powoływani do służby wojskowej, najczęściej jako lekkobrojni, oraz bracia-duchowni, którzy nie mogąc na mocy przepisów prawa kanonicznego⁸ służyć w wojskach pełnili w nich tylko rolę kapelanów, a oprócz tego prowadzili szkoły oraz seminaria. Zgodnie z regułą zakonną w skład kolegium elektorów wybierających Wielkiego Mistrza wchodzić miał tylko jeden brat duchowny, zaś sam urząd został, na mocy bulli papieskiej z 1216 roku, zarezerwowany dla braci-rycerzy.

Zmiana charakteru zakonu z rycerskiego na klerykalny oznaczała, że funkcję Wielkiego Mistrza mieli od tej pory pełnić wyłącznie bracia-duchowni. Instytucję braci-rycerzy zlikwidowano, zaprzestając przyjmowania nowych kandydatów, zaś żyjący jeszcze w domach zakonnych stopniowo wymarli⁹. W efekcie Zakon Niemiecki został przekształcony w organizację *stricte* religijną, niewiele, pod względem organizacyjnym różniącą się od wielu innych – nazwijmy je tak – „konwencjonalnych” zakonów katolickich.

8. Zakazującego księżom brania osobistego udziału w wojnach.

9. Ostatni z nich, komtur krajowy Friedrich Graf Belrupt-Tissac zmarł w roku 1970 i został pochowany w krypcie kościoła pod wezwaniem świętej Elżbiety przy siedzibie głównej Zakonu w Wiedniu.

W ten sposób Arcyksiążę Eugen, łączący funkcję Wielkiego Mistrza oraz generała armii austro-węgierskiej został ostatnim Wielkim Mistrzem nie posiadającym święceń kapłańskich.

9. Zakon w propagandzie

Koniec XIX wieku przyniósł na ziemiach polskich wchodzących w skład Niemiec zaostrenie polityki germanizacyjnej. Pod wpływem wiadomości płynących z poznańskiego, Maria Konopnicka napisała patetyczną Rotę, w której znalazły się między innymi takie słowa:

*Do krwi ostatniej kropli z żył
bronić będziemy Ducha
aż się rozpadnie w proch i pył
krzyżacka zawierucha*

Jak widzimy, poetka pozostawała pod przekonaniem, że wilhelmińskie Niemcy stanowią naturalną kontynuację Zakonu Niemieckiego, zaś ich polityka germanizacyjna to w istocie rzeczy dalszy etap zmagania polsko-krzyżackich. Problem w tym, że w chwili gdy Maria Konopnicka pisała Rotę, zaś Michał Drzymała toczył swoje boje z Hakatą, Zakon istniał w Austrii, Czechach, Słowacji, Słowenii i we Włoszech – słowem w wielu krajach – ale nie w Niemczech, gdzie był nieobecny od stulecia. Co więcej, w cesarskich Niemczech Hohenzollernów¹⁰, a zwłaszcza w protestanckich Prusach w epoce Bismarcka, *kulturkampf* i zwalczania Kościoła katolickiego, katolicki i blisko związany z Habsburgami Zakon Niemiecki byłby instytucją niezbyt mile widzianą, toteż nawet nie zaprzątano sobie głowy jego restytucją w tym kraju.

Z drugiej jednak strony mit Zakonu bardzo działał na wyobraźnię rozmaitych nacjonalistów. Ot chociażby, zwycięstwo wojsk niemieckich nad rosyjskimi w bitwie pod Tannenbergiem¹¹ podczas pierwszej wojny światowej zostało przez niemiecką propagandę ogłoszone jako historyczny rewanż za klęskę

10. Proszę pamiętać, że Zakon Niemiecki nie uznawał tytułów królewskich władców Prus!

11. Położonym niedaleko historycznego Grunwaldu.

grunwaldzką. (Mniejsza o to, że w roku 1410 pod Grunwaldem żadnych Rosjan nie było, chyba że liczyć za nie kilka pułków ruskich ze Smoleńska...). Cesarz Wilhelm posunął się nawet do utworzenia – wzorem istniejącego już wcześniej podobnego pułku w armii austro-węgierskiej – pułku krzyżackiego w armii niemieckiej. Sformowano go w roku 1897 jako 152 pułk piechoty i – choć nie wywodził się z Zakonu Niemieckiego – otrzymał nazwę *Hoch- und Deutschmeisterregiment*. Wziął on udział w pierwszej wojnie światowej, walcząc między innymi – w bitwie pod Tannenbergiem. Rozwiązany został 28 grudnia 1918 roku w Malborku.

Na tym propagandowe wykorzystywanie historii państwa krzyżackiego się nie zakończyło. Po dojściu Hitlera do władzy pojawiły się projekty przekształcenia Zakonu Najświętszej Marii Panny w elitarną instytucję hitlerowską. Zakon nie wyraził na podobne pomysły zgody i w efekcie, gdy po aneksji Austrii naziści zajęli Wiedeń, został zdelegalizowany a jego majątki skonfiskowane. Rok później podobny los spotkał go w Czechach. Tak oto dochodzimy do zdumiewającego paradoksu współczesnej historii – gdy hitlerowcy wkroczyli we wrześniu 1939 do Krakowa, z wielką pompą zorganizowali przeniesienie przechowywanych na Wawelu kopii sztandarów krzyżackich¹² do Malborka, w oczywistej próbie nawiązania do historii. W tym samym czasie Zakon Krzyżacki był zakonem prześladowanym, którego działalność była zakazana.

Przyczyny wrogości Hitlera do Zakonu Niemieckiego są rozmaite. Po części wynikały one zapewne z jego głębokiej niechęci do Habsburgów, których wielonarodowa, w dużej mierze słowiańska, monarchia stanowiła negację ideału czystych rasowo Wielkich Niemiec. Jeżeli dodamy do tego filosemityzm Franciszka Józefa oraz uosabiany przez jego dynastię legalizm kilkusetletniej tradycji, to szybko zrozumiemy dlaczego narodowi socjaliści do wszystkiego co przypominało nie istniejące już Austro-Węgry odnosili się z ostantacyjnym obrzydzeniem. Gdy zaś Zakon odmówił firmowania swoim imieniem rasistowskich pomysłów NSDAP musiał zostać zlikwidowany.

12. Po bitwie pod Grunwaldem w ręce polskie wpadł komplet sztandarów wojsk krzyżackich. Jako trofeum wojenne zostały one złożone na Wawelu. Niestety, z biegiem stuleci wszystkie rozsypały się ze starości, tak że do naszych czasów dotrwały tylko ich historyczne kopie, przechowywane obecnie w zbiorach wawelskiej.

10. Czasy współczesne.

Reaktywacja Zakonu Niemieckiego na terenie Niemiec

Odrodzenie stało się możliwe dopiero po wojnie, kiedy to przystąpiono do odbudowy zgromadzenia we Włoszech i Austrii. Co więcej, dzięki klęsce Hitlera możliwy się stał powrót Zakonu do Niemiec, po raz pierwszy od roku 1809. W latach powojennych zaczęły powstawać domy zakonne w Bawarii i Nadrenii. Nieco później Zakon rozszerzył swoją działalność na Belgię, a od roku 1964, kiedy założona została parafia misyjna w Lidköping, na Szwecję. Jako ciekawostkę wymienić należy fakt, że w owych latach jednym z dobroczyńców zgromadzenia był kanclerz Konrad Adenauer, który został nawet zaliczony do grona *familiaries*, to jest osób wspierających Zakon w jego działalności. Dało to pretekst komunistycznej propagandzie do niewybrednych ataków i przedstawiania go na rozmaitych plakatach w krzyżackim białym płaszczu z czarnym krzyżem.

Współczesne Zgromadzenia Braci i Sióstr Zakonu Niemieckiego utrzymują szereg szpitali, domów starości oraz szkół i internatów. Dla porządku pozwolę sobie wspomnieć o niektórych z nich: domy starców w Akwizgranie, Kilonii, Wicke-Wemborn, szpitale w Kolonii, Haan koło Dusseldorfu i Konstancji, Frankfurcie, żeby wymienić tylko nieliczne. Oprócz tego Zakon prowadzi szkołę pielęgniarek, liczne przedszkola i internaty.

Upadek komunizmu w roku 1989 sprawił, że Zakon powrócił do swoich siedzib w Czechosłowacji i Słowenii. Na początku lat 90-tych Wielki Mistrz odwiedził Polskę i Malbork co wzbudziło falę spekulacji na temat ewentualnego zwrotu Malborka Krzyżakom. Pogłoski te zostały jednak przez niego stanowczo zdementowane, gdy oświadczył, że zamek ten nie stanowi dla Zakonu żadnego symbolu. Współczesny Zakon jest zresztą daleki od apoteozowania swojej przeszłości i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że opinia publiczna w Polsce ma o nim nie najlepsze zdanie a jego ewentualny powrót na ziemię polskie wzbudziłby – nazwijmy to ostrożnie – mieszane uczucia. Z tego też względu plany otwierania domów zakon-

nych w Polsce nie są, o ile mi wiadomo, rozważane. Z drugiej jednak strony Zgromadzenie bardzo się stara o poprawę swojej reputacji i – na przykład – jego przedstawiciele biorą chętnie udział w rozmaitych konferencjach i sesjach historycznych na temat jego dziejów jakie od czasu do czasu organizowane są na polskich uniwersytetach.

Współczesna kwatery główna Zakonu Najświętszej Marii Panny znajduje się w Wiedniu, kilkaset metrów od katedry świętego Stefana. Aby tam trafić, należy stojąc przed katedrą odnaleźć najbliższą restaurację McDonalda – kościół Zakonu Niemieckiego znajduje się niemal dokładnie naprzeciwko. Z zewnątrz budynek niewiele różni się od wielu innych mieszczkańskich kamienic Wiednia. Jedynie niewielka wieżyczka stanowi znak, iż we wnętrzu znajduje się świątynia.

Ściany kościoła pokryte są herbami rycerzy zakonnych oraz czarnymi krzyżami. Biuro Wielkiego Mistrza znajduje się na piętrze, naprzeciwko skarbcu, otwartego dla zwiedzających przez kilka godzin dziennie, nie codziennie, dlatego też przypadkowy turysta chcący po prostu wejść do środka ma szansę zastać zamknięte na głucho drzwi.

W skarbcu eksponowane są pieczęcie i dokumenty zakonne, trochę uzbrojenia i portrety wielkich Mistrzów. Polak zwiedzający natrafi w kasie na sporą kolekcję polskich książek o historii Zakonu, starających się poinformować o współcześnie prowadzonej przezeń działalności społecznej oraz próbujących poprawić jego nie najlepszą reputację w naszym kraju.

11. Spadkobiercy tradycji Zakonu

Ale Zakon istniejący w Wiedniu nie jest jedynym prawnym spadkobiercą historycznego Zakonu Niemieckiego. Pisałem już, że w Utrechcie istnieje protestancki Zakon Niemiecki, przyjmujący na członków jedynie osoby narodowości holenderskiej, nie doprowadziłem jednak do końca historii 4. Cesarsko-Królewskiego Pułku Piechoty Wielkiego Mistrza i Mistrza Niemieckiego.

Pułk ten wziął udział w I wojnie światowej i przetrwał upadek Habsburgów. W zamęcie towarzyszącym rozpadowi

Austro-Węgier został rozwiązany w roku 1918, jednak dwa lata później reaktywowano go jako część sił zbrojnych Republiki Austrii. Jak już pisałem Hitler z jednej strony pragnął legendę Zakonu Niemieckiego wykorzystać do celów propagandowych, z drugiej zaś sam Zakon zwalczał. Gdy więc po *Ausschluss* armia austriacka została wcielona do Wehrmachtu, pułk krzyżacki zlikwidowano, zaś jego poszczególne bataliony rozparcelowano pomiędzy rozmaite jednostki. Jednocześnie zaś tytuł *Hoch- und Deutschmeister* został nadany jednej z dywizji niemieckich.

Ponowne odtworzenie pułku krzyżackiego możliwe stało się dopiero po odzyskaniu przez Austrię niepodległości. W roku 1967 na mocy rozkazu wydanego przez Ministerstwo Obrony tytuł *Wiener Infanterieregiment Hoch- und Deutschmeister* nr 4 wraz z pułkowymi insygniami oraz godłami został przekazany 4. *Jaegerbatalion*. Jednostka ta, po reorganizacji Sił Zbrojnych Republiki Austrii w roku 1979 przekształcona w 21 *Landswehrregiment*, istnieje do dziś, stanowiąc prawdopodobnie jedyną wśród wszystkich oddziałów dzisiejszych armii państw europejskich, która swoją tradycję wywodzić może poczynając od wypraw krzyżowych i oblężenia Akko.

Myślę, że na zakończenie powinienem opowiedzieć o jeszcze jednej formacji sił zbrojnych Zakonu Niemieckiego.

W przeszłości, w średniowiecznych miastach, władcy zobowiązywali ludność do tworzenia oddziałów samoobrony, mających bronić murów i bram w razie zagrożenia. Na ogół mieszkańcom poszczególnych dzielnic lub rzemieślnikom określonych zawodów przydzielano do obrony odcinek murów lub jedną z baszt, które w ten sposób zyskiwały często nazwy „pasamotników”, „szewców” czy „stolarzy”. Aby byli odpowiednio wprawieni we władaniu bronią zobowiązywano ich do częstych ćwiczeń wojskowych. W Krakowie pozostałością takiej średniowiecznej milicji miejskiej jest Bractwo Kurkowe istniejące po dziś dzień.

Wspominałem już, że w latach 1527-1809 siedziba Zakonu Niemieckiego mieściła się w Mergentheim. Podobnie jak w innych miastach tak i tam powołano do życia straż mającą bronić 21 baszt i 4 bram miejskich. To co odróżniało milicję z Mergentheim od podobnych formacji w innych zakątkach

Europy to fakt, że rolę oficerów pełnili w niej rycerze Zakonu Niemieckiego. Oprócz sił samoobrony Zakon utrzymywał w tym mieście także niewielki oddział wojska stanowiący załogę zamku będącego siedzibą Wielkiego Mistrza. Wiadomo, że w roku 1786 oddział ten liczył 48 dragonów, 4 podoficerów oraz kilkadziesiąt osób różnych służb pomocniczych.

Ostatnie informacje o zakonnej załodze zamku w Mergentheim pochodzą z roku 1804 kiedy odbyła się tam mini defilada w związku z objęciem urzędu Wielkiego Mistrza przez arcyksięcia Antona Victor von Osterreich. Po rozwiązaniu Zakonu w Niemczech w roku 1809 kompania z Mergentheim została zlikwidowana, choć ochotnicza straż miejska, już nie dowodzona przez braci-rycerzy, przetrwała w tym mieście aż do roku 1870.

W ciągu następnych dziesięcioleci Mergentheim stało się miejscowością uzdrowiskową, zaś zamek Wielkich Mistrzów zamieniono na muzeum. O istniejącej tam kiedyś straży obywatelskiej zapomniano – aż do pewnego marcowego wieczoru 1977 roku, kiedy to grupa około piętnastu szacownych obywateli miasta zgromadzonych w hotelu zdrojowym wpadła na pomysł reaktywowania starodawnej tradycji. Po uzyskaniu dla projektu aprobaty samego Wielkiego Mistrza zorganizowano osiemnastowieczne białe mundury żołnierzy krzyżackich i od tej pory uzbrojona w muszkiety, piki i halabardy *Die Historische Deutschorden Compagnie zu Mergentheim* (Kompania Historyczna Zakonu Niemieckiego z Mergentheim) stała się nieodłączną częścią wszystkich zakonnych uroczystości.

Może w Polsce warto pomyśleć nad reaktywowaniem Zakonu Rycerzy Chrystusowych z Dobrzynia?

Paryż,
Dzień świętego Jerzego,
patrona rycerzy,
A.D. 1997

Tomasz WŁODEK

Pragnę gorąco podziękować Dr C. Ham (Muzeum Historii Wojska, Wiedeń), Dr B. Demel (Centralne Archiwum Zakonu Niemieckiego, Wiedeń) oraz Dr R. Haneman (Muzeum Zakonu Niemieckiego, Mergentheim) za pomoc okazaną mi podczas zbierania materiałów do niniejszej pracy.

BOLESŁAW PIASECKI W 1968 ROKU

Bolesław Piasecki (1915-1979) dojrzał w latach trzydziestych pod wpływem rodzących się ruchów prawicowo-nacjonalistycznych. Koneksje rodzinne i towarzyskie zaprowadziły go do związku z organizacją młodzieżową Obozu Wielkiej Polski, utworzonego przez Romana Dmowskiego. W przeciwieństwie do Związku Ludowo-Narodowego z początku lat dwudziestych, który miał charakter narodowo-demokratyczny, OWP był strukturą autorytarną, odrzucającą demokrację liberalną. Piasecki oderwał część jego młodzieży i współdziałał w tworzeniu Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR), w którym także dokonał rozłamu i założył własną grupę ONR-FALANGA, która była skrajniejsza od ONR-ABC. Nazwy tych ruchów wywodziły się od nazw czasopism, które obydwaj środowiska wydawały. FALANGA było grupą najskrajniejszą, opowiadała się za „katolickim totalizmem”, a Piasecki nawoływał do „umundurowania dusz”. Był wtedy skrajnym nacjonalistą i antysemitą. Akcje bojowe organizacji Piaseckiego spowodowały, że znalazł się on na kilka miesięcy w obozie w Berezie Kartuskiej, gdzie właśnie doszło do ostatecznego zerwania między ONR-ABC i ONR-FALANGĄ. Teoretycznie Piasecki był skrajnym opozycjonistą wobec obozu Marszałka Piłsudskiego, lecz już po jego śmierci poszukiwał kontaktu z sanacyjnym Obozem Zjednoczenia Narodowego (OZON) i wprowadził do tego obozu część swojej młodzieży, dążąc do opanowania z czasem całej tej organizacji i w ogóle do przeniknięcia do Piłsudczyków, by przechwycić od nich władzę. Głównym kontaktem Piaseckiego był szef OZON-u płk Koc, lecz Piasecki miał także sporadyczny kontakt z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Sanacja jednak stosunkowo szybko zorientowała się w zamierzeniach Piaseckiego i cała jego grupa została z wielkim hałasem wyrzucona z OZON. Spowodowało to przejściowy kryzys w FALANDZE, ale dotrwała ona jednak do wojny.

W 1940 roku Piasecki utworzył wojskową organizację Konfederacja Narodu, która walczyła w północno-wschodnich rejonach Polski i brała udział w walce o Wilno, ponosząc ogromne straty. Piasecki potem ukrywał się przed Rosjanami w Józefowie pod Warszawą ale został zadenuncjowany i aresztowany przez Rosjan. Przesłuchiwał go w Lublinie na zamku sam osławiony generał NKWD Sierow, który był sprawcą wywiezienia do ZSSR całego kierownictwa Polski podziemnej. W przeciwieństwie do innych przywódców obozu londyńskiego, Piasecki zaproponował komunistom współpracę, co ich zdumiało, ale i zaciekawiło. Generał Sierow pod wrażeniem osobowości Piaseckiego i jego koncepcji o przekonaniu podziemia londyńskiego do zaniechania oporu, przekazał go władzom polskim z pozytywnymi referencjami. Piasecki, będąc jeszcze w więzieniu, miał rozmowę z Władysławem Gomułką, który zdecydował o zwolnieniu go z więzienia na ul. Rakowieckiej w Warszawie. Potem Piasecki rozmawiał jeszcze z Gomułką wraz z innymi swymi wojennymi współpracownikami i w połowie 1945 roku uzyskał koncesję na powstanie tygodnika *Dziś i Jutro*, a także na stworzenie własnej bazy gospodarczej, by nie korzystać z dotacji państwowej.

Grupa *Dziś i Jutro* przekształciła się w 1952 roku w Stowarzyszenie PAX, akceptując wcześniej, bo już w grudniu 1948 roku, zasady ustroju socjalistycznego. Piasecki zaczął głosić hasło wieloświatopoglądowości obozu socjalistycznego w Polsce, lecz partia przez pewien czas zakazywała mu używać tej formuły. Po roku 1956, kiedy w PAX-ie nastąpił rozłam, Piasecki wywalczył sobie prawo mówienia i pisania o wieloświatopoglądowości obozu socjalistycznego. Komuniści zdawali się traktować to jako mało szkodliwą formułę, a Piasecki chciał właśnie przez nią doprowadzić do zmian w PRL polegających na tym, że kadłubowe partie ZSL i SL zostaną zastąpione przez jego własną partię katolicką i socjalistyczną. Linia ta została zdezwuowana przez Stolicę Apostolską w 1955 roku, kiedy książka Piaseckiego i tygodnik *Dziś i Jutro* znalazły się na indeksie watykańskim. Piasecki wycofał ze sprzedaży swoją książkę i zmienił tytuł tygodnika *Dziś i Jutro* na *Kierunki* i pozornie podporządkował się Watykanowi.

Lata mijały i Piasecki jakoś nie widział szans stworzenia własnej partii politycznej i zbliżenia się do kręgów władzy. Dopiero w latach 1971-1979 został członkiem Rady Państwa PRL, ale była to namiastka, a nie realny udział we władzy politycznej, co było zawsze głównym celem Bolesława Piaseckiego. Dopiero w 1968 roku, gdy po konflikcie izraelsko-arabskim na Bliskim Wschodzie doszło do dużej fali antysemityzmu w Polsce, a zwłaszcza w polskiej partii, Piasecki spostrzegł swoją szansę. I wtedy właśnie w dniu 3 maja 1968 roku wygłosił swój słynny referat do członków PAX-u, który urzędujący minister spraw wewnętrznych rozesłał do wszystkich członków kierownictwa PZPR.

Referat Piaseckiego był napisany specyficznym językiem, przez który autor chciał osiągnąć dwa cele polityczne. Z jednej strony mówił o krytycznej kontynuacji ustroju i władzy, przez co chciał uspokoić Władysława Gomułkę i jego ekipę, że pozostanie jej wierny. Z drugiej strony stawiał pytanie: „czy nie wiedzieliście, że syjoniści współrządzą Polską, że jest brak rotacji kadr, że nie ma socjalistycznego ruchu umysłowego, że nie ma informacji?” W tym pytaniu w sposób zakamuflowany zawarta jest teza nacjonalistycznego skrzydła partii, że należy usunąć ze stanowisk w partii i państwie tzw. wówczas syjonistów, czyli Polaków pochodzenia żydowskiego. Piasecki bał się Gomułki, lecz jednocześnie wspierał nacjonalistyczne skrzydło w PZPR. Dlatego mówił w sposób mało zrozumiały dla ludzi nieczynnych wtedy politycznie: „Nie trzeba wiązać z małą stabilizacją tow. Wiesława (czyli Gomułkę – A.M.), a trzeba mówić o jego działaniu na innych odciśnięciach, to znaczy o słusznej polityce międzynarodowej, o oparciu rozwoju Polski o inwestowanie, o pokonaniu w tamtym okresie (po 1956 r. – A.M.) układu stalinowskiego w jego błędach, a poza tym trzeba docenić fakt, że to nie kto inny, a właśnie Wiesław na Kongresie Związków Zawodowych postawił sprawę syjonizmu.”

Zabezpieczywszy się tymi słowami przed przypuszczeniem, że jest przeciw ekipie Gomułki, Piasecki jawnie zaatakował tzw. syjonizm, czyli udział w aparacie partyjnym i państwowym Polaków pochodzenia żydowskiego, mówiąc: „Drugi problem to stosunek do zmian kadrowych. Tu są

rzeczy oczywiste. Z jednej strony chodzi o kierunek tych zmian antysyjonistyczny, antykosmopolityczny, antyreakcyjny, a z drugiej strony o zabezpieczenie się przeciwko mierzotom, przeciwko oportunistom. Pozytywne zmiany kadrowe patriotyczno-socjalistyczne powinny być ukierunkowane na ludzi kompetentnych”. Tu Piasecki miał na myśli swój PAX, pisał świadomie mętnie o małej stabilizacji i dawał do zrozumienia, że ZSL, SD i Front Narodowy nie spełniają twórczej roli. Jednocześnie znów w sposób zakamuflowany oferuje partii swoje usługi, mówiąc: „...jest naszym zadaniem stworzyć duży PAX, a potrzebą partii, którą powinna ona odczuć, powinno być nazwanie tego dużego PAX-u – w sensie ilościowym, jakościowym i w sensie roli politycznej – stronictwem.”

Krótko mówiąc, Bolesław Piasecki popierał, a nawet chciał przyspieszyć zmiany kadrowe w Polsce, pojmowane jako odsuwanie od władzy Polaków pochodzenia żydowskiego, by zastąpić ich ludźmi swojej własnej grupy – PAX-u. Idea ta była z jednej strony haniebna, bo zdążyła do niszczenia ludzi na stanowiskach tylko z powodu ich pochodzenia narodowościowego, a z drugiej strony naiwna, bo partia była zbyt liczna, by potrzebować do pomocy w rządzeniu „duży PAX”, który tak naprawdę nigdy nie był duży.

Krótko mówiąc, Piasecki dążył do podzielenia się przez partię władzą z PAX-em, tak jak w latach trzydziestych chciał z OZN i płk. Kocem podzielić się władzą z piłsudczykami. Skoro tamten manewr się nie udał, to powtórzenie go w obozie komunistycznym, centralnie kierowanym z Moskwy, było pomysłem wręcz absurdalnym. Piasecki czuł to i starał się swój cel kamuflować „nowomową”, dobrem PRL i PZPR. Oczywiście mu się to nie mogło udać. Nie przeczę bynajmniej, że Piasecki był człowiekiem inteligentnym, lecz jego pycha i żądza władzy przyćmiły realia, w których Piasecki w systemie totalnym nie miał najmniejszej szansy na duży PAX, ani na jego udział we władzy politycznej. Podziwiam tylko naiwność Piaseckiego, który im więcej mówił, tym bardziej był skazany na przegraną. Dowodzi tego fakt, że ówczesny szef policji politycznej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych minister Wicha rozesłał jego tekst do wszystkich członków

kierownictwa PZPR, ostrzegając ich w ten sposób przed aspiracjami PAX-u i Piaseckiego. Dzisiaj aspiracje te wydają się śmieszne, a język, którym zostały wyartykułowane jest „nowomową”, lecz wtedy wzmacniały nacjonalizm i antysemityzm w Polsce. Manewr Piaseckiego nie mógł się udać, stanowił fałszywą grę, ale także osobisty dramat dla człowieka, który nie był zwykłym agentem, lecz zarazem był zdolnym oddawać komunistom najbardziej niechlubne usługi w imię współzrządzenia z nimi, a w marzeniach przejęcia od nich władzy w Polsce. Najbardziej podły w tym wszystkim był fakt, że Piasecki posłużył się antysemityzmem dla iluzorycznego udziału we władzy politycznej. Tekst jego jest nowomową, z której jednak uważny czytelnik może odczytać jego rzeczywiste intencje, które jednakże były zawstydzające.

Andrzej MICEWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 124 ukazał się obszerny wywiad Pani Bożeny Puchalskiej z generałem Juliuszem Hibnerem. Przeczytałem z zainteresowaniem tym większym, że w okresie bitwy pod Lenino i później byłem żołnierzem 3-go batalionu pierwszego pułku piechoty I-szej dywizji im. Tadeusza Kościuszki i uczestniczyłem w wielu zdarzeniach opisanych w wywiadzie.

Jestem pełen najwyższego szacunku dla gen. Hibnera, który w 1943 roku był moim pośrednio hierarchicznym dowódcą, za szczerość z jaką opisał obserwowane przezeń fakty i zawile sytuacje konfliktowe. Jestem także pełen uznania dla autorki wywiadu za wnikliwość prowadzenia go i za chęć zadania sobie dużego trudu odtworzenia go z taśmy i przekazania do publikacji. O niektórych, spośród opisywanych zdarzeń, dowiedziałem się dopiero dzięki lekturze wywiadu. Niespełna 18-letni żołnierz „na dole”, nawet w randze chorążego, nie mógł bowiem wiedzieć o wszystkim, co działo się „na górze” struktur wojskowych.

Do tej ogólnej, nader pozytywnej opinii pragnąłbym dorzucić kilka drobnych lecz historycznie istotnych uwag.

Pierwsza dotyczy cytowanego nazwiska dowódcy pierwszego pułku piechoty. Aż do bitwy pod Lenino był nim ppłk Derks, a nie Dec, jak to zostało kilkakrotnie podane na stronach 81-84. Czy Derks był rzeczywiście sowieckim oficerem? Zakładam, że Juliusz Hibner, był poinformowany co do tego na pewno lepiej niż inni. Ze względu jednak na brzmienie nazwiska Derks oraz na jego nienaganną polszczyznę („mówiący zresztą niezłe po polsku” – J.H.) bez najmniejszego akcentu rosyjskiego czy ukraińskiego, panowało „na dołach” powszechne przekonanie o tym, że był przedwojennym polskim oficerem. A może był jednym i drugim? A może został odrzucony w 1942 roku przez armię gen. Andersa a następnie wyłowiony przez czerwoną armię? Na te pytania jedynie archiwa mogą udzielić wiarygodnej odpowiedzi.

Reguła ogólna przyjęta w ówczesnych latach była dość specyficzna. Wiem na podstawie własnych obserwacji, że sowieccy oficerowie wydelegowani do służby w 1-szej dywizji im. T. Kościuszki

byli podzieleni na dwie grupy.

Pierwszą stanowiły osoby mówiące po polsku, choćby nawet mało poprawnie. Byli to niemal w każdym przypadku oficerowie urodzeni w Polsce lub potomkowie Polaków, wywiezionych do Rosji. Wśród nich można było wyróżnić następujące podgrupy:

- a) Przedwojenni polscy oficerowie rezerwy, którzy ze względów politycznych czy też ideologicznych woleli służyć w armii sowieckiej niż zgłosić się do organizowanej w ZSSR, jesienią 1941, armii gen. Andersa. Przykładem może tu być osoba Jerzego Putramenta, znanego pisarza, którego poznałem w maju 1943 w szkolnej kompanii podchorążych. Pełnił funkcję zastępcy dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych i z tego tytułu był przełożonym wszystkich podchorążych kompanii. Nie zachowałem o nim najlepszych wspomnień ale to jest już inna sprawa.
- b) Przedwojenni polscy oficerowie rezerwy, którym względy techniczne lub rodzinne utrudniły zgłoszenie się do biur werbunkowych armii gen. Andersa lub którym odmówiono przyjęcia do tej armii. Warto może zwrócić uwagę na mało znany fakt. Werbunkiem do I-szej Armii Wojska Polskiego pod egidą „Związku Patriotów Polskich” w ZSSR zajmowały się wszystkie sowieckie „wojenkomandy” (terenowe komendy wojskowe), rozsiane po całym kraju sowieców. Było to olbrzymie ułatwienie, szczególnie dla ochotników polskich. W przeciwieństwie do tego, armia gen. Andersa dysponowała tylko jednym, jedynym punktem naboru – najpierw w Kujbyszewie a potem w Samarkandzie. Wcale nie było proste dostać się tam, gdyż pierwszeństwo w otrzymywaniu biletów kolejowych mieli wojskowi w stanie czynnym oraz osoby posiadające urzędowe „komandirówki” rozkazu wyjazdu). Wielu polskich ochotników nie miało zatem technicznych możliwości zgłoszenia się na apel gen. Sikorskiego.

Do tej podgrupy zaliczyłbym również majora Łopacińskiego, który przed wojną był nadkomisarzem policji państwowej. Został mianowany dowódcą szkolnego batalionu, w skład którego wchodziła jedyna wówczas w dywizji kompania podchorążych.

Obie powyższe podgrupy polskich oficerów uchroniły się przed losem Katynia. Wielu z nich nie uniknęło natomiast zsyłki przez NKWD do przymusowych obozów pracy w kręgu podpolarnym.

- c) Członkowie dawnych Brygad Międzynarodowych, uczestnicy walk o Hiszpanię republikańską. Byli to najczęściej Polacy o wysokiej kulturze osobistej. Władali kilkoma językami a ponadto byli prokomunistycznymi ideowcami. Ze względu na ich ochotniczą i rzeczywiście bohaterską przeszłość otaczano ich wielkim szacunkiem. Pełnili funkcje dowódcze wysokiego

szczebla (np. gen. Karol Świerczewski) lub polityczno-wychowawcze (np. Juliusz Hibner).

- d) Potomkowie Polaków wywiezionych do Rosji przed rewolucją bolszewicką. W okresie II-giej wojny światowej służyli oni w czerwonej armii zanim jeszcze powstały polskie oddziały wojskowe w ZSSR. Wydelegowani z urzędu do I-szej dywizji kościuszkowskiej zajęli stanowiska dowódcze różnych szczebli od kompanii do pułku. Zaliczam do nich m.in. dowódcę mego batalionu pod Lenino, kapitana Dziewanowskiego i jego szefa sztabu kapitana Jastrzębskiego. Byli to przeważnie ludzie o dobrej wiedzy wojskowej i dużym doświadczeniu bitewnym.

Wszystkie powyższe 4 podgrupy miały prawo noszenia polskich mundurów.

Drugą grupę stanowili oficerowie sowieccy, Rosjanie zupełnie nie znający języka polskiego. Mieli typowo rosyjskie nazwiska. Z nielicznymi wyjątkami chodzili w sowieckich mundurach oficerskich. Nie zajmowali stanowisk dowódczych. Byli fachowcami wyjątkowo wysokiej klasy. Pełnili funkcje instruktorów wojskowych. Zaliczam do nich, m.in. kapitana Muratowa, który był instruktorem mojej kompanii podchorążych. Przy tej okazji chciałbym ujawnić, mało dziś popularne po Katyniu, słowo prawdy o tych instruktorach: wielu polskich żołnierzy zawdzięcza swe życie ich znakomitemu szkoleniu w pełni odpowiadającemu warunkom ówczesnej wojny.

Juliusz Hibner wspomina, że tuż przed atakiem dywizji na pozycje hitlerowskie poszukiwał tego sowieckiego pplka Derksa (Deca): „...wtedy jakiś młody oficer mi mówi: ja go gdzieś widziałem leży pijany. Istna zgroza! Pułk rusza do ataku, a dowódca leży gdzie pijany” (s. 84). Faktycznie w dniu bitwy pod Lenino nie widziałem Derksa na froncie ani rano ani po południu. Nawiasem mówiąc, upijali się nie tylko sowieccy oficerowie. Wódka jest przecież ogólno-słowiańskim napojem. Derks upił się niestety w momencie drastycznie nieestosownym. Zjawił się na linii frontu dopiero tuż przed zachodem słońca, zapewne po wytrzeźwieniu. Był zdezorientowany. Kryjąc się pospiesznie w rowie, pytał z wyraźnie odczuwalnym w głosie strachem, gdzie są Niemcy? Nie zdążyłem odpowiedzieć – tuż 80 metrów przed nami – kiedy rozpoczął się ich kontratak. Pplk Derks, zamiast objąć dowództwo nad rozproszonymi resztkami oddziałów jego pułku, wpadł w panikę i zdezerterował. Pod osłoną nocy uciekł na tyły, w stronę rzeki Miereji. Kościuszkowcy odbili kontratak i utrzymali zdobyte pozycje do chwili, kiedy nad ranem zostali zluzowani przez oddziały czerwonej armii. Juliusz Hibner nie wspominał w wywiadzie o tym haniebnym czynie pplk. Derksa (Deca). Nie dziwię się temu. Nastąpiło to bowiem już po trafieniu Juliusza Hibnera przez pocisk niemiecki i utracie przezeń przytomności. Po bitwie pod Lenino, pplk Derks został

zdjęty ze stanowiska dowódcy pułku. Jeśli pamięć mnie nie myli, został skazany przez sąd polowy. Nowym dowódcą mianowano Leonarda Borkowicza, awansowanego z tej okazji do stopnia majora.

Druga uwaga wiąże się ze słowami autora: „Pierwszy batalion ruszył do boju i po pewnym czasie razem z Kupszem poszliśmy na stanowiska głównych sił, bo właśnie wtedy miały one [tzn. mój 3-ci batalion – przyp. H.D.] uderzyć do zasadniczego ataku” (s. 84). Otóż przypominam sobie, że nad ranem w trakcie przygotowania artyleryjskiego, ks. mjr Franciszek Kupsz skoczył do mego okopu. Zwrócił się do stojącego obok, sympatycznego skądinąd 18-letniego Stanisława Sosna-Sarno, którego rodzice byli Polakami. Zapropozował mu, podobnie jak innym, przystąpienie do spowiedzi przed bitwą. Sosna-Sarno słabo znał język polski. Był komsomolcem, wychowanym w sowieckim stylu. Odpowiedział więc po rosyjsku: „Ja nie maluś, ja komunist”. Na to ks. Kupsz: „My zdiś w polskoj armiji, spowiedajsja job twoju mać, ja toże komunist”. Poskutkowało. Przypuszczam, że ks. Kupsz chciał aby żołnierze obserwujący z dali jego i Sosnę-Sarno myśleli, iż mój towarzysz broni jest prawdziwym Polakiem-katolikiem. W tym samym czasie dostrzegłem Juliusza Hibnera w sąsiednich okopach. Nie jest wykluczone, iż ze względu na pełnioną przezeń funkcję zastępcy dowódcy pułku do spraw politycznych nie chciał uczestniczyć bezpośrednio przy spowiedziach i krępować swoją obecnością spowiadających się żołnierzy. Świadczy to o kulturze i wielkim takcie Juliusza Hibnera. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć jakie losy spotkały po wojnie ks. Franciszka Kupsza? Słuch o nim zaginął. Może ktoś z Czytelników zachował o nim jakieś ciekawe informacje? Jaśli idzie o Stanisława Sosnę-Sarno to wiem przynajmniej, że po wojnie świetnie opanował język polski, poślubił Polkę i osiedlił się w Polsce. W latach 60-tych zaciągnął się do polskiej marynarki handlowej. Jego zaś córka Tatiana Sosna-Sarno, stała się pod koniec lat 70-tych jedną ze znanych aktorek scen polskich.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Henryk DUNAJEWSKI



Palaiseau, 16 lipca 1998 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W wyjaśnieniach dotyczących wspomnień „Było to tak...” wkradł się błąd w notce biograficznej pana Eugeniusza Szyra (str. 176-177). Byłabym wdzięczna za umieszczenie erraty w następnym

numerze *Zeszytów Historycznych*.

Eugeniusz Szyr w latach 1945-70 był między innymi wiceministrem przemysłu, zastępcą i przewodniczącym PKPG, 1959-1972 wicepremierem rządu PRL i członkiem KC PZPR, 1972-82 ministrem gospodarki materiałowej. Za nieścisłości autorka (B.P.) bardzo przeprasza.

Uprzejmie dziękuję. Łączę wyrazy szacunku,

Bożena PUCHALSKA-HIBNER

9 lipca 1998

Szanowny Panie Redaktorze

Z dużym opóźnieniem zapoznałem się z dwoma artykułami pana Andrzeja Grzywacza w numerach 121 i 123 *Zeszytów Historycznych*, dotyczącymi relacji ppłk. dypl. Andrzeja Mareckiego o naszych przygotowaniach do wojny, napisanej w lutym 1940 r. Dziś, kiedy wszystkie aspekty tych przygotowań i przebiegu kampanii wrześniowej są już dokładnie znane, relacje ppłk. Mareckiego pisane z pamięci, bez dostępu do dokumentów, nie wnoszą nic nowego do historii planowania kampanii 1939 r. Wszystkie okoliczności w jakich podstawowe decyzje Naczelnego Wodza były pobierane w tym okresie, oraz ich motywy są wyczerpująco przedstawione w relacjach ówczesnego Szefa Sztabu Głównego gen. Wacława Stachiewicza, które zostały ostatnio wydane w Warszawie pod tytułem „Wierności dochować żołnierskiej”. Jest to rozszerzone i uzupełnione wydanie pism generała uprzednio drukowanych w numerach 40 i 50 *Zeszytów Historycznych*. Polecam wszystkim, których te sprawy interesują, zapoznanie się z treścią tych relacji przed przystępowaniem do oceny decyzji Naczelnego Dowództwa przed wojną i podczas kampanii. W komentarzach pana Grzywacza do tekstu relacji Mareckiego znalazło się kilka nieścisłości, które chciałbym sprostować. A więc:

1) Interwencja Gdańska nigdy nie była częścią składową planu operacyjnego. Stwierdzają to jednogłośnie w swych relacjach: Szef Sztabu Głównego gen. Stachiewicz, jego zastępca do spraw operacyjnych płk Jaklicz, ppłk Marecki, gen. Bortnowski i inni. Naczelnny Wódz uważał wysunięcie znacznych sił do „korytarza” za nonsens operacyjny wymuszony względami politycznymi.

2) Opanowanie miasta Gdańska nigdy nie było planowane. Celem Korpusu Interwencyjnego było zajęcie i obsadzenie jedynie południowej części terytorium Wolnego Miasta.

3) Komentarz p. Grzywacza, że „...gen. Bortnowski musiał za-

angażować obronnie swoje siły głęboko na północy” z powodu planowanej interwencji gdańskiej jest nieściśle.

W wypadku ogólnego uderzenia na Polskę siły znajdujące się na północ od pozycji bydgoskiej miały być ściągnięte automatycznie na południe od niej. Wycofanie zarządzono 31 sierpnia rano ale rozkaz, w odniesieniu do 27 d.p., nie został tego dnia wykonany przez armię Pomorze.

4) Twierdzenie, że „...Nie brano raczej pod uwagę zagrożenia głębszym obejściem sił nieprzyjaciela z Prus Wschodnich przez linię Narwi...” jest nieściśle. Odcinek Biebrzy i Narwi wzmacniany był od marca w miarę jak na to pozwalały środki i nowo organizowane siły. Wybudowano fortyfikacje Wizny, Nowogrodu, Osowca i Puszczy Augustowskiej. Przygotowano zalewy Narwi i Biebrzy, które niestety nie mogły spełnić swego zadania na skutek wyjątkowo suchego lata.

5) Komentarz że „...zastanawia nieadekwatność sił mających zabezpieczyć wypełnienie kategorycznego warunku zabezpieczenia obszarów skrzydłowych” wymaga wyjaśnienia:

Nikt chyba dzisiaj nie kwestionuje faktu, że na skutek niewystarczającego przemysłu wojennego i braku funduszy na wyekwipowanie większej ilości dywizji, nie mieliśmy w 1939 roku dość sił w stosunku do długości frontu, aby dostatecznie obsadzić wszystkie możliwe kierunki natarcia niemieckiego. Po wojnie wielu krytykowało operacyjne rozwinięcie naszych wojsk, ale żaden z tych krytyków nie umiał wykazać, który odcinek frontu należało, według nich, osłabić żeby wzmocnić skrzydła i jakie byłyby tego konsekwencje gdyby Niemcy uderzyli na osłabionym odcinku.

Dziś gdy kierunki uderzeń niemieckich są znane, łatwiejsza jest krytyka, *post factum*, naszego rozwinięcia sił. W sierpniu 1939 r. w obliczu strategicznego okrążenia, musieliśmy być gotowi bronić całej 1200 kilometrowej granicy rozmieszczając nasze nie wystarczające na to siły tam gdzie spodziewane były główne uderzenia niemieckie.

Uważam, że aby uniknąć subiektywnych interpretacji i fałszywych konkluzji w ocenie przedwojennych decyzji Naczelnego Wodza, należy wziąć pod uwagę te różne czynniki ekonomiczne, finansowe, polityczne, przemysłowe i demograficzne, które odgrywały często decydującą rolę w kształtowaniu tych decyzji.

Łączę wyrazy poważania

Bogdan STACHIEWICZ

SPIS TREŚCI

Antoni Pospieszalski: <i>Tło naszego dwutysiąclecia</i> . . .	3
Piotr Mitzner: <i>Mój ojciec konspirator</i>	17
Andrzej Grzywacz: <i>Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku</i>	67
Igor Torbakow: <i>Swój czy obcy? Stereotyp Ukraińca w Rosji XVII-XVIII wieku</i>	101

DOKUMENTY

Franciszek Charwat: <i>Rok stosunków polsko-litewskich 1938-1939</i>	121
Maciej Siekierski: <i>Franciszek Charwat – nota biogra- ficzna</i>	134

WSPOMNIENIA

Alicja Dmuchowska: <i>Polska droga przez mękę</i>	136
---	-----

KSIĄŻKI

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	155
Piotr Niwiński: <i>„Pany i rezuny”</i>	161

M.K. Dziewanowski: <i>Nowe spojrzenie na historię Europy</i>	171
Tadeusz Wyrwa: <i>Polacy o powojennej Europie na łamach La France Libre</i>	178
Krzysztof A. Kuczyński: <i>Rumuńskie lata płk. Józefa Becka</i>	189
A. Grzywacz: „ <i>Studia Rzeszowskie</i> ”	191
<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	197

OKRUCHY HISTORII

Tomasz Włodek: <i>Krzyżacy</i>	199
Andrzej Micewski: <i>Bolesław Piasecki w 1968 roku</i>	228

LISTY DO REDAKCJI

Henryk Dunajewski: <i>Uwagi na marginesie pracy Bożeny Puchalskiej (Zeszyty Historyczne nr 124)</i>	233
Bożena Puchalska-Hibner: <i>Sprostowanie do noty biograficznej Eugeniusza Szyra (Zeszyty Historyczne nr 124)</i>	237
Bogdan Stachewicz: <i>Sprostowanie do artykułów Andrzeja Grzywacza w nr 121 i 123 Zeszytów Historycznych dot. relacji płk. Andrzeja Mareckiego</i>	237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 31 AOÛT 1998
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 3^e trim. 1998
N° d'imprimeur : 3145

